

OPINIA

**KWARTALNIK
SPOŁECZNY I NAUKOWY**

Redaguje zespół:

*Marek Albiniaak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chytek, Michał Janiszewski (sekretarz redakcji), Adam
Lewandowski (sekretarz naukowy), Krzysztof Lancman, Marek Michalik,
Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy
Wawrowski, Kazimierz Wilk*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Instytut Historyczny NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:
Akces, Warszawa

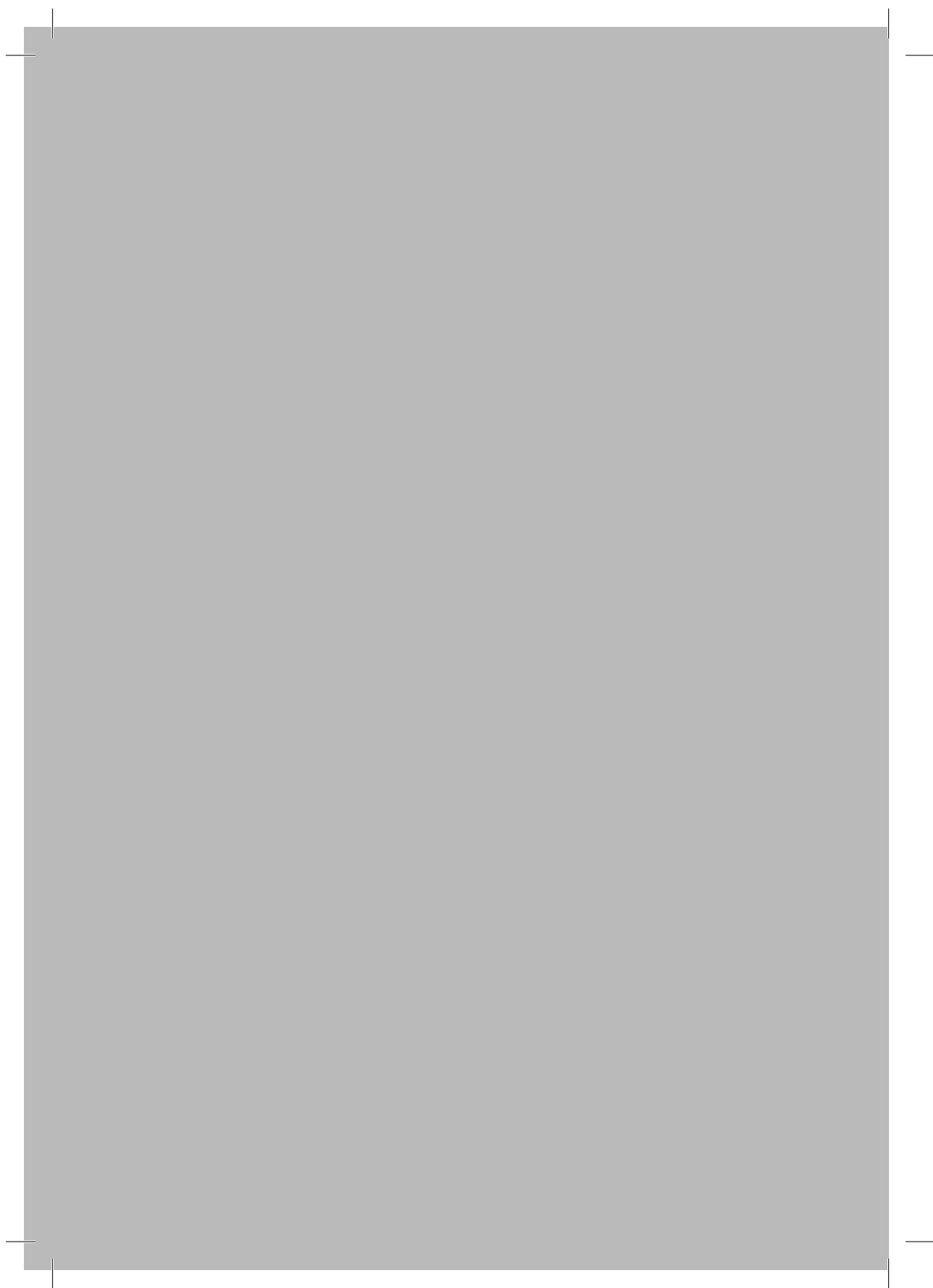
SPIS TREŚCI

„Jeśli zapomnę o Nich – Ty Boże na niebie zapomnij o mnie!”	7
Powitanie Kadrówki w Kielcach	10
Uroczystości upamiętnienia żołnierzy Armii Krajowej – „Jerzyska 2024”	12
80. rocznica bitwy oddziałów Armii Krajowej pod Pecynką	20
Obchody 80. rocznicy męczeńskiej śmierci błogosławionego księdza Józefa Stanka SAC	45
Spotkanie z cyklu „Tajemnice bezpieki”	52
ŁUKASZ PERZYNA	
Rozwój i pułapki. Niezwykły jubileusz Centrum im. Adama Smitha	54
Uhonorowani	57
„Zrzut Cichociemnych – ZAPORA 2024”	62
Obchody 80. rocznicy zakończenia walk powstańczych w Warszawie prowadzonych w ramach Akcji „Burza”	70
DR WOJCIECH BŁASIAK	
Patologizacja partii politycznych w Polsce	79
ŁUKASZ PERZYNA	
Moje kontakty z KGB z seksem i alkoholem w tle	85
ŁUKASZ PERZYNA	
Czy Duda rozwiąże parlament? Czas niespodzianek. Andrzej Anusz gościem Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej	90
MIROSŁAW RESZEWICZ	
Józef Mackiewicz – pisarz czy polityk (na przykładzie „Karierowicza” i „Drogi donikąd”) cz. 2	95
ŁUKASZ PERZYNA, PIOTR WÓJCIK	
„Zapamiętaj: jeden nabój, jeden Niemiec”	104
HENRYK PIOTROWSKI	
Rozmowa z Powstańcem Warszawskim Henrykiem Piotrowskim ps. Edek ze Zgrupowania Krysa	108
RYSZARD CZARNECKI	
Podziemny NZS. Co nam zostało z tamtych lat?	136

SPIS TREŚCI

ŁUKASZ PERZYNA Kaden, oficer I Brygady	141
JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI Piłsudczycy	156
WŁODZIMIERZ KULIGOWSKI Wiersze	321
ŁUKASZ PERZYNA Zanim zginął minister Pieracki. O powstającej powieści Roberta Bombały	327
ŁUKASZ PERZYNA Wiktor Bater, jeden z nas.	333
Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia”	345
KATARZYNA ŚNIADECKA 45. rocznica powstania KPN. Sen o Wielkiej Polsce1 – KPN na scenie politycznej opozycji PRL.	360

**WYDARZENIA
I
UROCZYSTOŚCI**



„JEŚLI ZAPOMNĘ O NICH – TY BOŻE NA NIEBIE
ZAPOMNIJ O MNIE!”

14.07.2024 r. – W tym dniu wszystkie Polskie Serca, biły w Domostawie. Pomnik, ufundowany przez Naród Polski upamiętniający pomordowanych na Kresach Polaków! Pomnik, który krzyczy! Krzyczymy w imieniu tych, którzy sami o siebie upomnieć się już nie mogą.



„JEŚLI ZAPOMNĘ O NICH – TY BOŻE NA NIEBIE ZAPOMNIJ O MNIE!”

Na niedzielnej uroczystości odsłonięcia pomnika stały się tłumy Polaków, którzy chcieli w ten sposób oddać hołd ofiarom ukraińskiego ludobójstwa.



Na pomnik składa się ogromny orzeł w koronie, na którego skrzydłach umieszczono nazwy miejsc, w których Ukraińcy mordowali Polaków. W centralnej części orla wycięto krzyż, a w powstałą lukę artysta wkomponował dziecko nabite na widły. Według zamysłu autora, mają one symbolizować ukraiński tryzub. Ostatni element monumentu to postacie ojca, matki z niemowlęciem, chłopca i dziewczynki, za którymi na płocie widnieją dziecięce główki nabite na sztachety. Pomnik wraz z cokołem mierzy 20 metrów wysokości.

Pomnik został wykonany na zamówienie Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce i ukończony w 2017 roku. Przez dłuższy czas problemem było jednak znalezienie miejsca, na którym można postawić monument, gdyż kolejne gminy po kolei odmawiały. Autorem monumentu jest Andrzej Pityński, to dar Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce. Ze względu na kontrowersyjną formę nie chciało go wiele miast, pomnika nie chciały władze Rzeszowa, Torunia, Jeleniej Góry, Stalowej Woli. Stał w Domostawie w gminie Jarocin w pobliżu trasy S-19.

„JEŚLI ZAPOMNĘ O NICH – TY BOŻE NA NIEBIE ZAPOMNIJ O MNIE!”



Uroczystości odsłonięcia pomnika rozpoczęła w niedzielę polowa msza św. koncelebrowało kilku księży związanych z komitetem budowy pomnika w tym ksiądz Antoni Moskal zwany przez środowiska nacjonalistyczne „kustoszem pamięci o Wołynie”.

Rzeźba została odlana w brązie w Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych w 2018 roku. Pierwotnie pomnik miał zostać odsłonięty 11 lipca 2018 roku, w 75. rocznicę Rzezi Wołyńskiej, jednak przez kilka lat nie udało się znaleźć dla niego lokalizacji.

W uroczystości odsłonięcia pomnika uczestniczyła delegacja Okręgu Opocznik Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.



POWITANIE KADRÓWKI W KIELCACH

12 sierpnia 2024 roku w 110. rocznicę Legionowego Czynu Niepodległościowego i 100. rocznicę pierwszego przemarszu szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej „Kadrówka” wkroczyła do Kielc.



„Kadrówka” wyruszyła z krakowskich Oleandrów 6 sierpnia, w rocznicę wymarszu legionistów Józefa Piłsudskiego. Trasa 59. marszu (44. po wojnie) wiodła historycznym szlakiem między innymi przez Michałowice, Słomniki, Miechów, Wodzisław, Jędrzejów, Chojny nad Nidą, Chęciny i Szewce do Kielc. W uroczystości przywitania uczestniczyła reprezentacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego.

POWITANIE KADRÓWKI W KIELCACH



Projekt przejścia szlakiem Kompanii Kadrowej zrodził się w 1922 roku. W 1924 roku strzelcy wyruszyli na historyczną trasę jako 1. Marsz Szlakiem Kadrówki. Celem było uczczenie rocznicy czynu zbrojnego dokonanego w 1914 roku. W 1939 roku zorganizowano ostatni przed wojną, 15. marsz szlakiem Kadrówki. W 1981 roku, z inicjatywy środowisk niepodległościowych ziemi kieleckiej i krakowskiej, odbył się pierwszy marsz po II wojnie światowej (16. w historii). W czasach PRL Kadrówka wyruszała historycznym szlakiem mimo częstych represji ze strony ówczesnych władz. Od roku 1989 marsze z Krakowa do Kielc cieszą się niesłabnącą frekwencją, a ich uczestnicy witani są przez przedstawicieli władz państwowych i samorządowych oraz mieszkańców miejscowości, przez które przechodzą.

UROCZYSTOŚCI UPAMIĘTNIEŃ ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ – „JERZYSKA 2024”

„W lasach Puszczy Kamienieckiej, w czworokącie: Jerzyska – Burakowskie – Gwizdały – Łazy, w dniach 13 – 15 sierpnia 1944 roku, miała miejsce nierówna walka I Kompanii 32 Pułku Piechoty, 8 Dywizji Piechoty Armii Krajowej i w jej składzie oddział Narodowych Sił Zbrojnych z Wołomina z przeważającymi siłami 7 Dywizji Piechoty Wehrmachtu”. – to nagłówek szerszej informacji, znajdującej się na tablicy przy pomniku w Jerzyskach.



Bitwa pod Jerzyskami będąca elementem Akcji „Burza” na tej ziemi, jest jednym z symboli bohaterstwa i determinacji żołnierzy Armii Krajowej i Naro-

UROCZYSTOŚCI UPAMIĘTNIENIA ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ

dowych Sił Zbrojnych. Wiedząc o nadciągających wojskach sowieckich dawali nadzieję na wolność i suwerenność oraz chcieli zagwarantować Polsce prawo do decydowania o swej przyszłości. Mimo tragicznych strat, ich walka przeciwko okupantowi niemieckiemu stanowiła ważny moment w historii naszego regionu i jest częścią naszego dziedzictwa. Po latach komunistycznego zniewolenia, heroiczny bój żołnierzy AK i NSZ, dzięki naszej zbiorowej pamięci oraz staraniom kilku osób i Instytutu Pamięci Narodowej może być rokrocznie przypominany i uroczystie świętowany.

W niedzielę, 18 sierpnia 2024 r. na leśnej polanie w Jerzyskach (gm. Łochów) odbyły się uroczystości związane z 80. rocznicą bitwy i Świętem Wojska Polskiego.



Po wprowadzeniu kompanii honorowej Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim pod dowództwem porucznika Arkadiusza Nowaka, Reprezentacyjnej Orkiestry Wojska Polskiego pod dowództwem majora Andrzeja Zaremby i pocztów sztandarowych (około piętnastu) odśpiewano Hymn Polski.

UROCZYSTOŚCI UPAMIĘTNIEŃ ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ



Głównym celebrazem Mszy Świętej był ks. Prałat Tadeusz Osiński – Kapelan Okręgu Warszawa-Wschód Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

UROCZYSTOŚCI UPAMIĘTNIEŃ ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ



Apel Poległych odczytał Pan porucznik Jakub Kołodziej z Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej. Po apelu nastąpiła Salwa Honorowa i składanie wieńców i wiązanek.



UROCZYSTOŚCI UPAMIĘTNIECIA ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ

Następnie Prezes Zarządu Okręgu Warszawa-Wschód Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Mirosław Widlicki odznaczył wyróżniających się członków Koła ŚZZAK w Łochowie.



UROCZYSTOŚCI UPAMIĘTNIEŃ ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ

Dalsza część uroczystości odbyła się na „Polanie pod Dębami” obok leśniczówki Jerzyska.

W zakolu polany zbudowana była, bogato zdobiona różnymi już historycznymi sprzętami scenografia do widowiska przedstawiającego jedną z potyczek bitwy pod Jerzyskami.



Dalej już poza terenem widowiska stały namioty: nadleśnictwa Łochów i Kół Gospodyń Wiejskich z różnymi specjałami.



Zwieńczeniem uroczystości była inscenizacja fragmentu bitwy, z towarzyszeniem huku wybuchających granatów i nieustannym ostrzałem karabinów maszynowych, gdzie losy potyczki przechylały się raz w jedną raz w drugą stronę.

UROCZYSTOŚCI UPAMIĘTNIEŃ ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ



Na koniec tradycyjna, znakomita grochówka.

Sponsorami uroczystości byli: Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Starostwo Węgrowskie.

UROCZYSTOŚCI UPAMIĘTNIEŃ ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ



Organizatorem widowiska był Instytut Historyczny NN im Andrzeja Ostoję Owsianego, Miejski i Gminny Ośrodek Kultury w Łochowie oraz Okręg Warszawa-Wschód ŚŻŻAK.

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

Uroczystości w miejscu gdzie w 1944 roku oddziały partyzanckie Armii Krajowej w ramach akcji „Burza” stoczyły walki z niemieckim najeźdźcą w dniu 31 sierpnia 2024 roku rozpoczęły się Polową Mszą Świętą w intencji poległych którą odprawił ksiądz Stanisław Tylus SAC, kapelan Środowisk Żołnierzy Armii Krajowej któremu asystował ks. Zygfryd Żebrowski proboszcz parafii w Długosiodle.



W wygłoszonym kazaniu ksiądz Stanisław mówił:
„Bojąc się więc, poszedłem i ukryłem twój talent w ziemi”.

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

To słowa, które wypowiedział trzeci sługa z dzisiejszej Ewangelii. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych sług, którzy mądrze zainwestowali pieniądze i co przyniosło im podwójną korzyść, trzeci sługa obawiając się utraty talentu, czyli pewnej sumy pieniędzy, zagrzebał go w ziemi. Kiedy właściciel powrócił z podróży, nadszedł czas rozliczenia. Pan był bardzo zadowolony z dwóch pierwszych sług, ale trzeci rozszłościł go, gdyż zagrzebał jedyny talent, który otrzymał. Nazwał go „złym i gnuśnym”. A gnuśny, to określenie osoby pozbawionej chęci działania i energii, inaczej mówiąc: to człowiek leniwy. Odebrał mu więc talent, który był mu powierzony i wrzucił sługę do ciemności, w których był „płacz i zgrzytanie zębów”.

Droży Bracia i Siostry!

Chcę, byście zwrócili uwagę na powód, dla którego sługa zagrzebał talent. Powiedział on: „Bojąc się więc poszedłem i ukryłem twój talent w ziemi”. Ukrył talent w ziemi z powodu strachu. Strach prowadzi więc wielu ludzi do zakopywania talentów w ziemi.

To w Księdze Rodzaju czytamy: „Wtedy to Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia”. Bóg stworzył człowieka z prochu ziemi – jesteśmy więc ziemią! W tej ziemi, czyli wewnątrz siebie, ukrywamy talenty z powodu strachu: strachu, że się nie uda, strachu przed wyśmianiem, strachu przed zbyt ciężką pracą, strachu przed nieznanym, duchami strachu i strachu przed człowiekiem, oto tylko kilka przykładów.

Wygłąda na to, że strach dla wielu ludzi jest uzasadnionym powodem, by nic nie robić. Jednak chcę, byście zauważyli, że pan w przypowieści Jezusa nie okazał sympatii słudze, który zakopał talent. Kiedy sługa powiedział: „Bałem się”, pan nie wziął go w ramiona, mówiąc: „Dobrze, w porządku, biedaczku. Przykro mi, że dopuściłem do tej niewygodnej sytuacji”. Nie, pan skarcił go surowo i w złości krzyknął: „Sługo zły i gnuśny! Wiedziateś, że żnę tam, gdzie nie posiałem, i zbieram tam, gdzie nie rozsypałem. Powinieneś więc być oddać moje pieniądze bankierom, a ja po powrocie byłbym z zyskiem odebrał swoją własność. Dlatego odbierzcie mu ten talent, a dajcie temu, który ma dziesięć talentów!”.

Dlaczego pan oskarżył tego sługę o lenistwo? Ponieważ zamiast zmierzyć się ze swoimi lękami i podjąć ryzyko z miłości do swego pana, wybrał łatwiejszą drogę: zakopać talent, zostać w domu i zrelaksować się.

Bracie i Siostro!

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

Chrystus chce ci dziś powiedzieć: Jeśli uważasz, że strach jest dobrą wymówką, by nie wypełnić Bożej woli, to lepiej przemyśl to dwa razy! Jeśli chcesz wiedzieć jak pokonać strach, to istnieje na to tylko jeden sposób: zmierzyć się z nim! Niemniej jednak, stawianie mu czoła wymaga odwagi.

Wyobraźcie sobie, Bracia i Siostry, że macie zamiar podjąć najtrudniejsze zadanie w swoim życiu. Nie macie przy tym żadnego pojęcia, co was spotka i wtedy Pan przychodzi i mówi wam: „Bądź bardzo odważny!”

Takie wyzwanie może przerazić człowieka! Dlaczego? Ponieważ w obliczu niepewności potrzebna jest odwaga. Odwaga to nie brak strachu. W rzeczywistości nie ma odwagi bez strachu. Odwaga to wola zmierzenia się ze strachem. Wszystkie obietnice, zwycięstwa i przeznaczenie, które czekają na ciebie Bracie i Siostro, zależą od twojej chęci zmierzenia się ze strachem. Gdyby spełnienie Bożej woli w naszym życiu było tylko sprawą sławy, reputacji i osobistego przeznaczenia, można by powiedzieć: „Nie warto. Zostań w domu, oglądaj telewizję i ciesz się spokojnym i komfortowym życiem”. Ale tam, gdzie w grę wchodzi wieczne Boże Królestwo, nasz talent nie należy do nas; on należy do Mistrza. On włożył go w nasze ręce.

A pewnego dnia Pan powróci i zdamy sprawę z tego, co zrobiliśmy z Jego inwestycją. Myślę, że jednym z najbardziej tragicznych miejsc, jakie kiedykolwiek odwiedzamy, jest cmentarz, nie z powodu ludzi tam pochowanych, ale z powodu tego, co jest pogrzebane w ludziach tam pochowanych: książki i pieśni, które nigdy nie zostały napisane, przebaczenie nigdy nie udzielone, wynalazki nigdy nieodkryte; tyle potencjału, który nigdy nie został zrealizowany. Tyle rzeczy zakopanych i straconych na wieki, tylko dlatego, że ktoś bał się zranienia, krytyki, odrzucenia, trudności finansowych lub fizycznego niebezpieczeństwa.

Zauważmy, że sługa był wrzucony do ciemności, w których był płacz i zgrzytanie zębów. Teologowie nie są zgodni co do faktu, czy tu mowa o piekle czy nie, ale jedna rzecz jest tu pewna, Jezus mówi o głębokim smutku i żalu, wyrzutach sumienia co do rzeczy niemożliwych do odzyskania, straconych na wieki.

Wielu ludzi mówi o emocjach, które odczują, gdy dotrą do Nieba. Istnieją popularne piosenki o tym, jak będziemy tańczyć, ośladnięci radością. Jednak wielu może doświadczyć zupełnie innych emocji po przebyciu do Nieba: tj. żalu. W tym momencie wszystkie ziemskie lęki będą się wydawać bezsilne i odległe, jak niejasne wspomnienie czy sen, który ledwo pamiętamy. A tymczasem, wpływ tych obaw bę-

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

dzie odczuwalny na wieki. Będzie za późno, aby się cofnąć i zrobić to, co należało zrobić, a fale żalu opanują wielu ludzi. Nic dziwnego, że w Księdze Apokalipsy (21,4) czytamy, że Jezus:

*„otrze z ich oczu wszelką łzę,
a śmierci już odtąd nie będzie.
Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu
już [odtąd] nie będzie,
bo pierwsze rzeczy przeminęły”.*

Z lękiem i strachem śmierci zmierzili się ci, którzy walczyli w bitwie pod Pecynką, a którą stoczyły tu od 28 do 31 sierpnia 1944 r. oddziały partyzanckie Armii Krajowej Obwodu Ostrów Mazowiecka „Opocznik”, z siłami Wehrmachtu oraz jednostkami żandarmerii i SS. Po stronie polskiej zginęło wtedy około 60 partyzantów. Była to największa bitwa partyzancka w Puszczy Białej oraz jedna z największych na ziemiach polskich. Ranni i wzięci do niewoli zostali rozstrzelani na miejscu i pochowani w zbiorowej mogile.

Wszyscy oni dotrzyмали przysięgi wojskowej, zasługują więc na miano najlepszych synów Rzeczypospolitej i należy oddać im hołd!

Zazwyczaj na sztandarach piszemy słowa: „Bóg – Honor – Ojczyzna”. Te trzy słowa streszczają syntetycznie najwyższe ideały, według których żyły pokolenia polskich bohaterów, również i tych spod Pecynki. Oznaczają one życie dobre i szlachetne, jakiego chcemy uczyć nasze dzieci.

Żołnierze Armii Krajowej żyli i umierali, jak «prawi żołnierze polscy». Również dzisiaj, bronią którą powinniśmy bronić naszej Ojczyzny, tak jak wtedy i przez kolejne komunistyczne lata, jest prawe życie, oparte na jasnych zasadach, takich jak «Dekalog» czy przysięga żołnierska.

Pod Pecynką bolesne konsekwencje poniósł przede wszystkim ludność cywilna. Już 31 sierpnia na śródleśnym gościńcu, w pobliżu Małaszka, Niemcy rozstrzelali co najmniej 30 osób, a w pobliskich Plewkach – 11 osób. Dwa dni później (2 września 1944) żołnierze Wehrmachtu spacyfikowali wieś Lipniak-Majorat, mordując 448 osób – mieszkańców wsi oraz koczujących w pobliżu uchodźców z sąsiednich miejscowości. W gronie ofiar znalazło się wiele kobiet i dzieci (Razem 489 osób).

Patrząc z perspektywy czasu na całe to okrucieństwo wojny, na tragedię i cier-

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

pienie tych ludzi, prośmy Boga, aby nigdy więcej do nich nie dochodziło. Takie miejsca, zwłaszcza w obliczu obecnej sytuacji na świecie, jeszcze bardziej powinny nam uświadamiać, że powinniśmy zrobić wszystko co w naszej mocy, aby więcej do tego nie dopuścić.

Wojna to suma jednostkowych niewyobrażalnych ludzkich tragedii i tragedii Narodu. Dlatego nie wolno narażać na to kolejnych pokoleń. W 1939 r. Polska nie zdążyła się uzbroić, robiła co mogła, ale miała tylko 18 lat pokoju. Dzisiaj jesteśmy 35 lat po przekształceniu z 1989 r. I co? Gdy więc słucham o zaniechanych zakupach uzbrojenia, o przeciągających się negocjacjach, o jakiejś dziwnej niemożności i ślimaczeniu się w newralgicznych sprawach, to zachodzę w głowę i pytam, co ci, od których to wszystko zależy, mają w swoich głowach?

Aborcja, lgbt, ks. Olszewski, o. Tadeusz Rydzyk, prawo siły, religia w szkole czy poza, pełna nienawiści zaciętość, lekceważenie istotnych spraw – to jest dziś ważne, co tam jakaś iluzoryczna wojna! Mamy zresztą sojuszników. Rząd ostatecznie w razie konieczności i tak uda się na emigrację i stamtąd (z Berlina?) będzie gorąco protestował, a „Julki” i „Mariany” będą się dziwić, że nie można bezpiecznie wyjść z domu na „impre”. I nie będzie winnego (no, chyba że PiS). Może dadzą nam (a może nie) jakąś Generalną Gubernię i każą się cieszyć? Premier swoim wyznawcom potrafi zresztą wszystko wytłumaczyć, nawet utratę niepodległości. I jeszcze brawa dostanie. Przesadzam, prawda?

Przypowieść o talentach, to też zachęta do działania, aktywności, zaangażowania, czyli do życia. Cieszymy się z tego daru życia i mnożmy nasze talenty, bo każdy z nas je ma. Nie zakopujmy ich swoją niechęcią, złością czy niecierpliwością. Bądźmy szczęśliwi w Bogu. Pogrzebmy swoje lęki, a nie talenty!

Zmarli bohaterzy, żołnierze i ludność cywilna, niech odpoczywają w pokoju i nigdy nie zapomniani, pozostaną dla kolejnych pokoleń Polaków drogowskazem do życia prawego, wypełnionego służbą Ojczyźnie ziemskiej i nadzieją życia w Ojczyźnie niebiańskiej.

Amen!

Organizatorem obchodów był Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg „Opocznik”, (przy wsparciu Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych), Zarząd Okręgu Warszawa – Wschód ŚŻŻAK,

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ



Urząd Gminy Wąsewo, Urząd Gminy Długosiodło, Nadleśnictwo Wąsosz, Koło Łowieckie „Bekas”, PSP w Brudkach Starych oraz szkoły współpracujące.



80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

Wojskową asystę honorową wystawił 22. Wojskowy Ośrodek Kartograficzny w Komorowie oraz 52. Batalion Lekkiej Piechoty 5. Licznie stały się poczty sztandarowe organizacji kombatanckich, służb mundurowych, samorządów, leśników i szkół.

Po Mszy Świętej i powitaniu poczty sztandarowej i gości, wśród których byli między innymi;

- Zastępca Dyrektora Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu - Pan Zbigniew Siedlewski,
- Prezes Zarządu Głównego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej - Porucznik Harcmistrz Janusz Komorowski ps. „Antek”
- Prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Warszawa-Wschód - Pan Mirosław Widlicki
- Pułkownik Leszek Iwaniec z 22. Dowódca Wojskowego Ośrodka Kartograficznego z Komorowa wraz z asystą wojskową.
- Prezes Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego - Pan Andrzej Chyłek wraz z liczną reprezentacją członków.
- Prezes Komitetu Katyńskiego, radny Sejmiku Mazowieckiego - Pan Andrzej Melak
- Wójt Gminy Długosiodło Pan Stanisław Jastrzębski
- Wójt Gminy Wąsewo Pani Urszula Nadratowska
- Starosta Powiatu Wyszowskiego Pani Marzena Dyl
- Pan Rafał Kowalczyk Radny Sejmiku Wojewódzkiego
- Ksiądz Zygfryd Żebrowski - Proboszcz Parafii pod wezwaniem Św. Rocha w Długosiodle
- Ksiądz Stanisław Tylus SAC – Kapelan Okręgu „Opocznik” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej i Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego
- Nadleśniczy Nadleśnictwa Wyszaków - Pan Robert Wielkowski
- Nadleśniczy Nadleśnictwa Ostrów Mazowiecka - Pan Waldemar Wańczyk
- Dyrektor Muzeum „Dom Rodziny Pileckich” w Ostrowi Mazowieckiej - Pani Karolina Kolbuszewska

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

- Dyrektor Publicznej Szkoły Podstawowej im. Żołnierzy Armii Krajowej w Brudkach Starych - Pani Izabela Zalewska
- Dyrektor Szkoły Podstawowej im. Bohaterów Leśnej Placówki AK Mrowisko w Knurówcu - Pani Renata Jechna
- Dyrektor Szkoły Podstawowej im. Harcmistrza Podporucznika AK „Zośki” Tadeusza Zawadzkiego w Sieczkach - Pani Monika Gajownik
- Dyrektor Zespołu Szkół w Starym Bosewie - Pani Beata Rydzewska
- Dyrektor Szkoły Podstawowej im. Papieża Jana Pawła II w Blochach - Pani Justyna Łempicka
- Koordynator Certyfikowanych Klas Wojskowych Zespołu Szkół nr 7 im. Szczepana Bońkowskiego w Warszawie - Pani Mirosława Niewiarowska
- Prezes Międzyszkolnego Klubu Historycznego im. Armii Krajowej Ziemi Radzyńskiej - Pan Władysław Kolatorski z młodzieżą



- Prezes Koła Łowieckiego „Bekas” - Pan Maciej Michalski
- Działacze Opozycji Antykomunistycznej,
- Członkowie Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej,
- Mieszkańcy okolicznych miejscowości,

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

Gorąco witano kombatanatów uczestniczących w obchodach. W szczególny sposób powitano dowódcę jednostki wojskowej z Komarowa wraz z poczetem sztandarowym i Kompanią Honorową. Jednostka ta jest od wielu lat współorganizatorem uroczystości pod Pecynką.

Odśpiewano hymn narodowy.

Głos zabrał Piotr Wójcik – Wiceprezes Zarządu Okręgu „Opocznik” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.



W swoim przemówieniu powiedział:

Szanowni Państwo – dziś jak co rok spotykamy się w miejscu upamiętnienia jednej z największych i najważniejszych bitew, toczonych w lipcu i sierpniu 1944 roku, przez żołnierzy Obszaru Warszawskiego Armii Krajowej, w Akcji Burza. Walki stoczone tu pod Jarząbką i Chojnami oraz Pecynką przez III batalion 13 pp AK w dniach 28 lipca - 31 sierpnia były niezwykle zacięte pochłonęły wiele ofiar zarówno w szeregach żołnierzy AK jak i eksterminowanej na masową-

-ludobójczą skalę przez niemieckie regularne oddziały Wehrmachtu ludności ziemi ostrowskiej.

Masakra w pobliskim Lipniaku Majoracie dokonana została przez Niemców 2 września – zamordowano tam, ze szczególnym okrucieństwem 448 cywilów – mężczyzn, starców oraz mnóstwo kobiet i dzieci. Jest to przykład tysięcy podobnych zdarzeń – kaźni Polaków z rąk niemieckich - i woła wciąż głosem swych ofiar tak samo donośnie jak ofiary rzezi Woli czy Ochoty w Powstaniu Warszawskim. To są zbrodnie których sprawców nie ukarano..., za które nie zadośćuczyniono... A słyszymy dziś od polityków niemieckich i części wtórujących im polskich, że Polsce nie należą się żadne reparacje żadna forma realnego wymiaru zadośćuczynienia...

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

Mają nam wystarczyć puste frazesy... i mantra o potrzebie pojednania... Nie można się na to godzić...

Obchodzimy w tym roku okrągłą już 80 – tą rocznicę Akcji „Burza” i rocznicę Powstania Warszawskiego jako jej najważniejszej Bitwy. Także 80 – tą rocznicę największej bitwy AK w Puszczy Białej...

Mimo to, że mamy wiele opracowań historyków, a także bezcenne świadectwa uczestników walk obwodu „Opocznik” AK i bitwy pod Pecynką, pozwolę sobie jednak mówić nie tylko ogólnie o symbolach i imponderabiliach, uważam za ważne i potrzebne aby nieco dłużej zająć Państwa uwagę i przedstawić choćby skrótowo rys historyczny i tło wydarzeń z sierpnia i września 1944 r.

W tym czasie tereny przedwojennego powiatu Ostrów Mazowiecka należały w ramach organizacji struktur Armii Krajowej do Obszaru Warszawskiego i jednego z jej 3, poza okręgiem Warszawa-Miasto, podokręgów – podokręgu Wschód. Podokręg ten dzielił się z kolei na 7 obwodów. Jednym z nich był obwód o kryptonimie „Opocznik” – obwód AK Ostrów Mazowiecka. (pozostałe obwody to Garwolin, Mińsk Mazowiecki, Siedlce, Sokołów Podlaski, Węgrów i Radzymin).

Dowódcą Obszaru Warszawskiego był gen. Albin Skroczyński ps. „Łaszcz”. Dowódcami Podokręgu „Wschód” (do którego należał „Opocznik”) byli w czasie realizacji Akcji „Burza” - Płk. Hieronim Suszczyński ps. „Szeliga” do aresztowania go przez Sowietów

7 sierpnia 44, a po nim Pptk. Lucjan Szymański ps. „Janczar”, „Kamiński” – do aresztowania go przez NKWD 23 grudnia 44 r.

Dowódcami obwodu ZWZ/AK Ostrów Mazowiecka byli :

- kpt/mjr Eugeniusz Mieszkowski ps. „Ostry” od listopada 1941 do śmierci w maju 1943 r.

- następcą był kpt. Józef Zdrajkowski ps. „Kłós” – pełnił funkcję od maja do października 43 r;

Trzeci dowódca Obwodu „Opocznik” – kpt/ppłk Henryk Pracki ps. „Golski”, „Rola” pełnił tę funkcję do ostatniej dekady lipca tj. rozpoczęcia akcji „Burza” i mobilizowania przez obwód III batalionu 13 pp AK pod bezpośrednim dowództwem, dowódcy całego 13pp AK - mjr. Antoniego Jahołkowskiego ps. „Brzeski”.

Początki budowy struktur przyszłego obwodu ZWZ/AK Ostrów Mazowiecka to koniec roku 1939...Działalność Służby Zwycięstwu Polski, powstających wtedy na

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

tym terenie organizacji niepodległościowych jak – Organizacja Wojskowa, Organizacja Wojskowa „Wilki”, Narodowa Organizacja Wojskowa, Tajna Armia Polska, Komenda Obrońców Polski i inne. Zakończony sukcesem proces zjednoczenia tych organizacji w ramach ZWZ/AK, dokonany w Obwodzie w latach 1941-43, to w dużej mierze zasługa pierwszego dowódcy obwodu ZWZ/AK kpt. Eugeniusza Mieszkowskiego...

Obwód, tak jak wszystkie struktury ZWZ potem AK przygotowywał się do realizacji sformułowanych przez KG AK i Rząd RP w Londynie - planu powstania powszechnego oraz jego zasadniczej modyfikacji dokonanej w okresie luty-październik 1943 – tj. planu powstania strefowego, którego ostatnią wersją był plan Akcji „Burza. Burza zakładała mobilizację AK do odtwarzania regularnych „wielkich jednostek” WP (dywizji i brygad), w miarę zbliżania się frontu sowieckiego podejmowanie walki z Niemcami przez jednostki AK, wyzwalamie terenu i ośrodków miejskich własnymi siłami, lub w taktycznym współdziałaniu z wojskami sowieckimi. Zakładała powoływanie od razu na wyzwolonych terenach polskiej administracji cywilnej i występowanie przez AK wraz z nią w roli gospodarza terenu. Wykluczone było wstępowanie oddziałów AK do komunistycznego wojska – berlingowców. Cały czas oprócz przygotowań do powstania powszechnego, potem „Burzy” prowadzona była walka bieżąca oraz wydawanie i kolportaż prasy konspiracyjnej. Dla pokazania wielkiej skali wysiłku obwodu „Opoczniak” wystarczy wskazać na to, że w okresie od stycznia 43 do lipca 44 r. zostały wykonane w liczbie 199, działania zbrojne takie jak m.in.:

- 24 akcje sabotażu kolejowego,*
- 26 akcji sabotażu na liniach komunikacyjnych,*
- 7 akcji przeciwko policji i urzędnikom administracji niemieckiej,*
- 32 likwidacje kolaborantów,*
- 5 akcji przeciwko Arbeitsamtowi,*
- 5 akcji niszczenia obiektów gospodarczych i przemysłowych, jedno uwolnienie więźniów,*
- 4 starcia zbrojne - ataki oddziałów partyzanckich i walki w obronie radiostacji,*
- 2 uderzenia na oddziały Wehrmachtu,*
- 6 akcji rozbrajania żołnierzy i policjantów niemieckich. Szczególnym echem*

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

w lokalnej społeczności odbiły się akcje wysadzenia w powietrze budynku Arbeit-samtu w Ostrowi Mazowieckiej w dn. 1.05.43 r., czy zlikwidowanie przed budynkiem Gestapo, oficera -Kreishauptmana dr Reinholda Ekerta, w dn.25.05.43 r.

Jeszcze w połowie 43 r. i w początku 44 r. obwód wystawił oddziały partyzanckie. Pierwszy Lotny Oddział Bojowy ppor. Alfreda Wieczorka „Tatara”, pełniący m.in. funkcję ochrony radiostacji pracującej na potrzeby KG AK. Drugi – Lotny Oddział Dywersyjny, który skupiał przede wszystkim żołnierzy Kedywu Obwodu.

W dniu 01.04. 43 r. stan osobowy całej struktury wojskowej obwodu AK „Opocznik” to 46 oficerów, 13 podchorążych, 483 podoficerów , 1370 szeregowych i 160 osób cywilnych.....

(....)

24 lipca 44 r. - po odprawach z KG AK , dowódca Obszaru Warszawskiego gen. Skroczyński, na odprawie w Warszawie, wydał rozkaz dowódcy Podokręgu „Wschód” płk. H. Suszczyńskiemu „Szeli” rozpoczęcia realizacji „Burzy”. Dla obwodu „Opocznik”, rozkaz realizacji „Burzy” został, podobnie jak do pozostałych obwodów Podokręgu „Wschód”, wydany przez jego dowódcę już 26 lipca 44 r.

Obwód mobilizował III batalion 13 pp. AK w składzie 3 kompanii strzelckich o nr.7,8 i 9, kompanii CKM (o nr.3) oraz plutonów: saperów , łączności oraz zwiadu konnego.

Przy III batalionie mobilizowało się dowództwo i sztab całego 13 pp. AK z jego dowódcą (od 26 lipca) mjr. Antonim Jahotkowskim –„Brzeskim”, sprawującym też jednocześnie bezpośrednie dowództwo III bat.

Dowódcami pododdziałów (kompanii i samodzielnych plutonów) byli m.in.:

kompanii 7 - ppor. Feliks Przybytniewski ps. „Mieczysław”,

kompanii 8 - ppor. Alfred Wieczorek „Tatar”,

kompanii 9 - ppor. „Zygmunt” - Wacław Śladewski,

kompanii CKM (o nr 3) - ppor. „Sójka” - Tomasz Grąbczewski.

Mobilizacja rozpoczęła się 26 lipca 44 r. i w jej wyniku do batalionu stawilo się ponad 950 żołnierzy, jednak ze względu na brak uzbrojenia, w okolicach 10 sierpnia dokonano reorganizacji i zmniejszono stan do niespełna 400 uzbrojonych żołnierzy. W jednym z meldunków do KG AK i gen. Skroczyńskiego i komendy Obszaru warszawskiego major „Brzeski” podaje liczebność batalionu na 21 oficerów i 356 podoficerów i szeregowych.

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNĄ

Ok. 2 sierpnia III bat 13 pp. AK skoncentrował się najpierw w okolicach wsi Stara Pecyna a następnie założył obóz leśny w okolicach wsi Lipniak Majorat. Przy batalionie znajdował się sztab 13 pp. AK oraz radiostacja pułku o kryptonimie „Wanda24” utrzymująca stały kontakt z Podokręgiem Wschód do 7 sierpnia oraz przez cały czas realizacji Burzy z Obszarem Warszawskim i KG AK.

Niebawem po rozpoczęciu „Burzy” za zgodą dowództwa Podokręgu Wschód, nawiązano kontakt z sowietami – do batalionu został przydzielony sowiecki oficer łącznikowy z radiostacją i jej obsługą. Jednymi z ważniejszych wydarzeń i sukcesów w trakcie realizacji „Burzy” przez III batalion było - wysadzenie w dniu 17.08 pociągu wojskowego z transportem czołgów i dział oraz uszkodzenie toru kolejowego Wyszków – Ostrolęka na odcinku 150 m oraz zrealizowany niedługo później, skuteczny atak na magazyny niemieckie pod Rogoźną w wyniku czego zdobyto ponad 200 granatów. Działania w ramach „Burzy” były przez III batalion 13 pp. AK prowadzone do końca sierpnia z niewielkimi przerwami – spowodowanymi narastaniem nasycenia terenu wojskami niemieckimi w związku z faktem ukształtowania się frontu o zaledwie kilka km od obozowiska partyzantów. W ostatniej dekadzie sierpnia III batalion był praktycznie cały czas zamknięty w okrążeniu oddziałów frontowych wermachtu z 541 Dywizji Grenadierów, a także 35 i 292 Dywizji Piechoty.

27 sierpnia gen. Skroczyński wydał dowódcy 13 pp. AK rozkaz wykonania uderzeń na oddziały Wermachtu. W dniu 28 sierpnia najpierw 8 kompania ppor. „Tatara” uderzyła na tabory i batalion wermachtu na linii wsi Chojny – Jarząbka. W wyniku wielogodzinnej walki oddziały niemieckie wycofały się z tego terenu. 8 kompania, także poniosła straty, zużyła sporo amunicji i nie miała możliwości dalszego ataku i przebicia się do frontu sowieckiego. Wieczorem powróciła do obozu batalionu. Tego samego dnia, nieco później niż 8 kompania rozpoczęła natarcie 7 kompania, atakując na szosie z Długosiodła do Wąsewa koło wsi Plewki, zaatakowała niemiecką kolumnę samochodową, niszcząc kilka pojazdów. Wywiązała się walka do której włączały się kolejne oddziały wermachtu. W związku z narastającą przewagą wroga 7 kompania przerwała walkę i wycofała się do miejsca postoju batalionu. Mimo to, że akcje zaczepne były częściowo koordynowane z sowiecką artylerią, nie równoważyło to jednak ogromnej przewagi liczebnej i ogniowej Niemców. Obie wykonane przez III batalion 13 pp. AK uderzenia

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

były przyczyną koncentracji sił ponad 6 batalionów z niemieckich dywizji – 541 Grenadierów, 35 i 292 DP – wspartych artylerią i czołgami, które otoczyły cały okoliczny obszar leśny wokół miejsca postoju partyzanckiego batalionu i rozpoczęły 31 sierpnia koncentryczne natarcie w celu jego likwidacji.

Trzeba podkreślić, że „Bitwa pod Pecynką” to nie tylko walka 31 sierpnia, lecz także wykonane, na rozkaz dowódcy Obszaru Warszawskiego AK, zakończone pewnym sukcesem uderzenia batalionu z 28 sierpnia. Należy też pamiętać o tym, że dowódca 13 pp. AK mjr. A. Jahołkowski „Brzeski”, po wykonaniu uderzeń 28 sierpnia w dniu 30 sierpnia, przewidując niemieckie natarcie i oblławę wydał rozkaz rozformowania III batalionu w celu umożliwienia żołnierzom posiadającym cywilne ubrania podjęcia prób powrotu do rodzinnych miejscowości jeszcze przed rozpoczęciem oblawy. Pan Zbigniew Kempisty – uczestnik bitwy – żołnierz 8 kompanii i autor opisu bitwy pod Pecynką stwierdził w swojej książce, że w okresie ostatnich dni poprzedzających atak niemiecki z 31 sierpnia, części pododdziałów 7 i 9 kompanii III bat. udało się przeniknąć przez pierścień niemiecki i wyjść z okrążenia. Za cały okres realizacji „Burzy” przez III bat. 13 pp. AK, zarówno oddział jak i jego dowódca uzyskali wysoką ocenę KG AK.

Po wydaniu w/w rozkazu mjr. „Brzeskiego” z 30 sierpnia, dalszą walkę prowadziło niespełna 200 żołnierzy przede wszystkim z 8 kompanii, z udziałem małych grup z 7 i 9 kompanii i plutonów łączności i saperów. Dowodził nimi ppor. Alfred Wieczorek „Tatar”. Walka z oblawą niemiecką rozpoczęta w okolicy zabudowań nadleśnictwa Pecynka, wczesnym rankiem 31 sierpnia, trwała cały dzień do późnego wieczora. Mimo niepełnych stanów dywizji Niemcy mieli wielokrotną (6-7 krotną) przewagę liczebną i jeszcze wyższą sprzętową i ogniową. Oddziały III batalionu prowadziły walkę o przebicie się z okrążenia do innych części Puszczy Białej gdzie miałyby szansę przetrwać. Mimo ogromnej przewagi wroga żołnierze „Opocznika” zadawali mu duże straty i odnosili w walce sukcesy – jak np. zdobycie i unieszkodliwienie niemieckiej baterii dział ciężkich. W walce zginęło i zostało przez wroga, po walce, zamordowanych co najmniej 60 żołnierzy AK. Niemcy twierdzili że zabili ponad 130 partyzantów, ale źródła i polscy historycy raczej tego nie potwierdzają. Straty niemieckie były także wysokie – w odwecie za walkę III bat 13 pp. AK 2 września, wermacht dokonał potwornej rzezi ludności cywilnej głównie starców, kobiet i dzieci w Lipniaku Majoracie, gdzie nie SS czy gestapo,

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

ale regularne oddziały niemieckich wojsk lądowych wymordowały ze szczególnym okrucieństwem 448 osób. Główne starcie i walki 31 sierpnia pod Pecynką skończyły się późnym wieczorem, gdy niemiecka oblawa opuściła lasy... Do 3 września wytrwał w okolicach nadleśnictwa w Pecynce oddział ppor. „Tatara”. Spotkał tego dnia w tym miejscu czołówki sowieckiego 53 korpusu armijnego. Ppor. „Tatar” rozwiązał oddział i zwolnił żołnierzy do domów...

Chciałbym teraz prosić o uwagę, w szczególności, obecną tu licznie młodzież. Otóż dzięki weteranom III batalionu 13 pp. AK, uczestnikom wcześniejszych walk „Opocznika” jak i bitwy pod Pecynką, możemy dziś korzystać nie tylko z opracowań zawodowych historyków dotyczących „Burzy” w Obszarze Warszawskim AK, ale też publikacji ich autorstwa. Szczególne miejsce zajmuje świadectwo, które dał Pan Zbigniew Kempisty ps. „Turoń” żołnierz 3 plutonu 8 kompanii w swojej książce „Bitwa pod Pecynką. 31.VIII. 1944”. Podobnie niezwykle cenne jest opracowanie zespołu redakcyjnego członków „Opocznika” pod kierownictwem Pana Jerzego Godwoda – żołnierza 3 kompanii ps. „Kaem” i „Słoma”, rannego pod Pecynką, zatytułowane: „Księga Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej Obwodu Ostrów Mazowiecka 1939-1944.” Znajdujemy w tych książkach niezwykle sugestywne i autentyczne opisy - historii obwodu, obrazy najważniejszych starć oczywiście wraz z relacjami z przebiegu najważniejszej - bitwy pod Pecynką oraz, co szczególnie ważne i cenne... nazwiska i pseudonimy – biogramy ponad 1000 żołnierzy i osób cywilnych – weteranów „Opocznika”.

W akcji „Burza” w obwodzie „Opocznik”, żołnierze III bat. 12 pp. AK wykonywali swoją patriotyczną, żołnierską powinność tak samo jak wiele dziesiątek tysięcy żołnierzy AK realizujących „Burzę” od Wołynia, przez Lwowski, Wileński okręgi AK, aż po Obszar Warszawski i Powstanie Warszawskie – jako szczególny i centralny akt tej operacji.

Podjęli bez wahania walkę o wolność Polaków i niepodległość Polski. Wykonali najlepiej jak można zobowiązanie zawarte w tych fundamentalnych słowach fragmentu przysięgi AK –

„ (...) przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił – aż do ofiary życia mego. (...)”

Walczyli z honorem i odwagą mimo ogromnej niemieckiej przewagi liczebnej

i ogniowej... Można śmiało porównać ich postawę do postawy ikonicznych w kulturze europejskiej wojowników Sparty broniących wolności starożytnej Hellady, którzy

Nie pytali ilu jest wrogów, tylko gdzie są...

Trzeba pamiętać, że Akcja Burza i Powstanie Warszawskie było walką przeciwko dwóm bestialskim totalitaryzmom. Militarnie AK walczyło z Niemcami, politycznie z Sowietami. To Niemcy i Rosjanie, nawet walcząc przeciwko sobie, zawsze byli sojusznikami w niszczeniu Polskiej Niepodległości i eksterminacji Polskiego Narodu. W 1944 r. okupacja niemiecka została niejako zastąpiona sowiecką.

Musimy też zawsze pamiętać o tym, że bardzo duża grupa żołnierzy „Opocznika” zdecydowała się prowadzić walkę o Niepodległość dalej – przeciwko sowieckiemu NKWD i polskojęzycznej komunistycznej agenturze sowieckiej. Jako Żołnierze Niezłomni w „Ruchu Oporu Armii Krajowej”, „Narodowych Siłach Zbrojnych”, „Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym” czy Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość” ginęli w walce, byli wywożeni do sowieckich obozów na Syberię, aresztowani, torturowani i mordowani w więzieniach NKWD i UB, więzieni a potem prześladowani i inwigilowani przez UB i SB przez całe życie....

Wystarczy przywołać losy takich ludzi jak dowódcy podokręgu Wschód AK realizujący „Burzę” – Ppłk Hieronim Suszczyński aresztowany 7 sierpnia, zesłany do łagrów w głębi Rosji sowieckiej na wiele lat, Ppłk Lucjan Szymański kolejny dowódca podokręgu wschód od 7 sierpnia do 23 grudnia 1944 r. Wtedy to został aresztowany i wkrótce zamordowany przez UB 6 marca 1945 w więzieniu przy ul. 11 Listopada w Warszawie. Podobnie aresztowany został i zesłany do sowieckiego obozu w Ostaszku dowódca 13 pp. AK mjr. Antoni Jahotkowski – „Brzeski” oraz wielu oficerów jego sztabu, a także bardzo wielu niższych rangą żołnierzy „Opocznika”. Trzeba koniecznie przypomnieć także powojenną działalność niepodległościową „Niezłomnych” kobiet – łączniczek i sanitariuszek „Opocznika”, które również padały ofiarą represji komunistycznych, ale przetrwały i wykonały wspaniałą pracę która ocaliła od zapomnienia historię przeszło tysięcznej rzeszy żołnierzy III bat 13 pp. AK z Ostrowi Mazowieckiej – żeby wymienić tytułem przykładu choć 2 z nich – Panię – Aleksandrę Wawrzkiewicz ps. „Lalka”, „Dan-ka” oraz Barbarę Rajewską ps. „Odwetowna”.

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

Jakie jest ich przesłanie?... Ich wszystkich...- żołnierzy AK poległych w akcji Burza, Powstaniu Warszawskim, Jako Żołnierze Niezłomni w antykomunistycznym powstaniu lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

To przesłanie jest o tym, że wolność Polaków i suwerenność i niepodległość Polski nie mają ceny... której nie warto za nie zapłacić....

Zaiste... oni nie pytali... ilu jest wrogów!

Bronili niepodległości mężnie w ekstremalnie trudnej sytuacji, samotni – zdradzeni przez sojuszników, w Wojnie Obronnej Polski we wrześniu 1939 r.

Trwali w ofiarnej walce Wojska Polskiego w kolejnych latach – w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie i w Kraju - w Służbie Zwycięstwu Polski, Związku Walki Zbrojnej, Armii Krajowej i w Powstaniu Warszawskim...

Oni także nie pytali... ilu jest wrogów.

Później jako Żołnierze Niezłomni, uczestnicy powojennego Powstania Antykomunistycznego – z ROAK, Stowarzyszenia WiN, NZW, NSZ, KWP (Konspiracyjnego Wojska Polskiego) i innych organizacji, do końca bronili naszej Wolności...

Oni wszyscy ...nie poszli na haniebny kompromis z odwiecznymi, po dziś dzień..., wrogami Polski – Niemcami (wtedy hitlerowskimi) i Rosją (wtedy sowiecką)!

Zapłacili straszliwą cenę – ginęli w walce, byli mordowani, więzieni i torturowani, poniżani i opluwani... wymazywani z historii. Na zwycięstwo, które było ich jedyną nagrodą, na przywrócenie godności, czekać musieli kilkadziesiąt lat...

Ostatecznie jednak Zwyciężyli!

Nie tylko moralnie, lecz także w wymiarze historycznym i politycznym... bo ich spadkobiercy podjęli ich przesłanie, zrealizowali testament, zachowali ciągłość myśli i czynu niepodległościowego....

Szukatem symboli i metafor heroicznego i tragicznego losu i ofiary Żołnierzy Służby Niepodległości, tych tysięcy istnień Polskich kobiet i mężczyzn, wśród których byli także żołnierze III bat 13 pp. AK... żołnierze „Opocznika”.

Oto słowa Zbigniewa Herberta – fragment jego często przywoływanego, ale także niezwykle do dziś aktualnego „Przesłania Pana Cogito”:

*„Idź dokąd poszli tamci do ciemnego kresu
po złote runo nicości twoją ostatnią nagrodę
idź wyprostowany wśród tych co na kolanach*

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

*wśród odwróconych plecami i obalonych w proch
ocalałeś nie po to aby żyć
masz mało czasu trzeba dać świadectwo
bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny
w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy
a Gniew twój bezsilny niech będzie jak morze
ilekroć usłyszysz głos poniżonych i bitych
niech nie opuszcza ciebie twoja siostra Pogarda
dla szpiclów katów tchórzy - oni wygrają
pójdą na twój pogrzeb i z ulgą rzucą grudę
a kornik napisze twój uładowany życiorys
i nie przebaczej zaiste nie w twojej mocy
przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świecie
(...)*

*powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem
jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku
a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką
chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku
idź bo tylko tak będziesz przyjęty do grona zimnych czaszek
do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora Rolanda
obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów
Bądź wierny ... Idź!"*

„Masz mało czasu...trzeba dać świadectwo!(...) Bądź wierny... Idź!"

Helleńska kultura i filozofia, rzymskie prawo i chrześcijańska etyka... - fundamenty cywilizacji europejskiej... Iliada, Pieśń o Rolandzie... Etos Rycerski, Umiłowanie Wolności, Bóg Honor i Ojczyzna – to wszystko nieśli z dumą na sztandarach..., nieśli to wszystko w umysłach i sercach...

Armia Krajowa i Żołnierze Niezłomni obronili wartości i zachowali je, przekazując nam – to ich i nasza Tożsamość. Zachowanie tej Ciągłości to nasz – dzieci, wnuków i prawnuków obowiązek...

Naszą powinnością jest także dziś przeciwstawienie się odradzającym się

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

i współcześnie mutującym totalitaryzmem ze wschodu i zachodu, niszczeniu chrześcijańskiej kultury Europy przez zwyrodniałe neomarksistowskie ideologie które prowadzą do zbrodni – podeptania godności i wartości życia ludzkiego, do intelektualnego, moralnego i estetycznego pustoszenia Europy.

Tylko zachowując tożsamość, te tradycyjne fundamentalne wartości stanowiące DNA kultury i cywilizacji europejskiej, twardo broniąc imponderabiliów, będziemy w stanie, we współpracy z sąsiadami w środkowo-wschodniej Europie, zbudować między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem obszar rozwoju, partnerstwa, współpracy i bezpieczeństwa. Podmiotową pozycję Polski, jako jednego z liderów Nowej Europy – pozycję należącą się nam jako jednemu z Wielkich Narodów Europejskich.

Żołnierze AK Obwodu „Opocznik”, obrońcy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Prawi Żołnierze Polscy, wierni przysiędze, wypełnili swój obowiązek... Z Honorem...Do końca... Do ofiary życia swego.

Cześć Ich Pamięci !!!

Prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej i Prezes Okręgu „Opocznik” ŚZŻAK Grażyna Rudnik wręczyli Publicznej Szkole Podstawowej im. Żołnierzy Armii Krajowej w Brudkach Starych – Medal „Za Zasługi dla ŚZŻAK”.



80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

Następnie wręczyli „Odznakę-Wyróżnienie” Za Wkład Pracy Społecznej w ŚŻŻAK - Panu Rafałowi Kowalczykowi.

Prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej i Prezes Okręgu „Opocznik” ŚŻŻAK Grażyna Rudnik wręczyli Odznaki Honorowe – Za Zasługi dla ŚŻŻAK AK które otrzymali;

Kinga Stawecka, Jan Chojnacki, Katarzyna Śniadecka, Kazimierz Wilk, Ireneusz Jastrzębski, Jerzy Dobrowolski, Waldemar Zakrzewski, Izabela Zalewska, Alina Skłodowska, Andrzej Siemieniuk i Maciej Michalski.



Legitymacje członkowską ŚŻŻAK Okręgu „Opocznik” odbierały następujące osoby;

Mirosława Niewiarowska, Ewa Nykowska, Andrzej Melak, Jan Wojciechowski, Jadwiga Topolewska-Wojciechowska, Waldemar Sikorski, Tomasz Bracichowicz, Alicja Chojnacka, Stanisław Chrupek, Łukasz Ossowski, Paweł Skupiński, Jakub Pacholski.



80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

Na cześć poległych Bohaterów odczytany został Apel Pamięci oraz oddano salwę honorową i złożono wieńce.



W trakcie uroczystości, Okręg „Opoczniak” ŚZŻAK dzięki wsparciu Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego i Zarządu Głównego ŚZŻAK, obdarował młodzież i uczestników książkami o tematyce historycznej i biuletynami AK.

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ



Uczestnicy uroczystości wysłuchali na koniec występu słowno-muzycznego w wykonaniu uczniów Szkoły Podstawowej w Brudkach Starych.



80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

Następnie nastąpił żołnierski poczęstunek – grochówka.



Po głównych uroczystościach w Pecynce złożono kwiaty w miejscach pamięci w Lipniaku-Majoracie oraz Długosiodle.



80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

Wiersz uczestnika uroczystości.
ŻOŁNIERSKIE ODDANIE

My wiemy Żołnierze, skąd mieliście siłę,
Żeby podjąć walkę, w ramach akcji "**Burza**",
Gdyż będąc **Narodu**, najwierniejszym synem,
Chcieliście zwycięstwa, na **Ojczyzny** gruzach.

Marzyliście przecież, by **Polskę** odzyskać,
Nie patrząc na pomoc odwiecznego wroga,
W **Waszych** sercach była, niepodległość bliska,
Jednak do zwycięstwa, długa była droga.

Nie doczekaliście wrót wolnego kraju,
Które z bronią w ręku chcieliście otworzyć,
Tutaj, pod **Pecynką**, w bój szalenie krwawy,
Rzuciliście siły, by wolności dożyć.

Lecz tu, na polanie dosięgła **Was** kula,
Którą pluton hańby odebrał **Wam** życie,
W kraju jeszcze długo, ogień wojny hulał,
A po Was pozostał nekrolog na płycie.

Żołnierskie oddanie nie poszło na marne,
Jak **Baczyński, Gajcy**, co legli w **Powstaniu**,
Gdyż byliście wszyscy, krwią znaczonego ziarnem,
Które kiełkowało w wolności przesłaniu.

I dzisiaj, po latach, przyszła wymarzona,
Przez rocznik "**Kolumbów**", własną krwią przelana,
A przez pokolenia na nowo stworzona,
Wolna Polska Ziemia i dla **Was** wygrana.

80. ROCZNICA BITWY ODDZIAŁÓW ARMII KRAJOWEJ POD PECYNKĄ

W hołdzie poległym i rozstrzelanym żołnierzom Armii Krajowej, w **80** rocznicę

Bitwy pod Pecynką, z wyrazami pamięci dedykuję ten wiersz, w imieniu Okręgu AK, "Opocznik" i Warszawa - Wschód, polskiej społeczności sołectw, Długosiodła, Wąsewa, Wyszkowa, i własnym.

Ostrołęka
Zenek Kozłowski
31.08.2024

OBCHODY 80. ROCZNICY MĘCZEŃSKIEJ ŚMIERCI BŁOGOSŁAWIONEGO KSIĘDZA JÓZEFA STANKA SAC

23 września 2024 roku o godz. 14,00 na warszawskim Czerniakowie u zbiegu ulic Solec i Wilanowskiej uczciliśmy pamięć błogosławionego ks. Józefa Stanka SAC, jednego z kapelanów Powstania Warszawskiego, męczennika II wojny światowej.



OBCHODY 80. ROCZNICY MĘCZEŃSKIEJ ŚMIERCI BŁOGOSŁAWIONEGO KSIĘDZA...

- *Ksiądz Józef Stanek dobrze wypełnił słowa Ewangelii, iż nie ma większej miłości nad tę, jeśli ktoś życie swoje oddaje za swoich przyjaciół*
- powiedział w swoim wystąpieniu, doradca prezesa IPN Jan Józef Kasprzyk.



Zaznaczył także, że ksiądz Stanek wykazał się niezwykle odwagą i poświęceniem, pozostając ze swoimi towarzyszami broni do samego końca. Choć miał możliwość ucieczki na prawobrzeżną Warszawę, wolną już od niemieckich wojsk, zdecydował się oddać swoje miejsce w ewakuacyjnym pontonie rannemu koledze z oddziału. Zamiast ratować własne życie, wybrał pozostanie z powstańcami, których wspierał duchowo i moralnie w najtrudniejszych chwilach.



OBCHODY 80. ROCZNICY MĘCZEŃSKIEJ ŚMIERCI BŁOGOSŁAWIONEGO KSIĘDZA...

W 80. rocznicę męczeńskiej śmierci błogosławionego ks. Józefa Stanka ps. „Rudy”, kapelana Zgrupowania Armii Krajowej „Kryśka” przedstawiciele Instytutu Pamięci Narodowej, Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoję Owsianego oraz Parafii Świętego Wincentego Pallotiego w Warszawie złożyli kwiaty pod pomnikiem znajdującym się w miejscu stracenia błogosławionego ks. Stanka przez Niemców.



OBCHODY 80. ROCZNICY MĘCZEŃSKIEJ ŚMIERCI BŁOGOSŁAWIONEGO KSIĘDZA...

Centralną częścią uroczystości kościelnych była Eucharystia, której przewodniczył i homilię wygłosił Jego Eksceleńcja ks. Romuald Kamiński, biskup warszawsko-praski.



W homilii ukazał jak słowa Ewangelii wypełniły się w życiu bł. Józefa Stan-ka i zaprosił słuchaczy do naśladowania mężnej i bohaterskiej postawy kapelana Powstania Warszawskiego.



OBCHODY 80. ROCZNICY MĘCZEŃSKIEJ ŚMIERCI BŁOGOSŁAWIONEGO KSIĘDZA...

Uroczystości uświetnił Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego dając koncert pieśni wojskowych.



OBCHODY 80. ROCZNICY MĘCZEŃSKIEJ ŚMIERCI BŁOGOSŁAWIONEGO KSIĘDZA...



W obchodach wzięli udział, poczty sztandarowe oraz grono wiernych.

Organizatorami uroczystości byli: Instytut Pamięci Narodowej, Proboszcz Parafii pw. św. Wincentego Pallottiego w Warszawie – ks. Sławomir Radulski SAC oraz Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego.

* * *

Ksiądz Józef Stanek urodził się 3 grudnia 1916 roku w Łapszach Niżnych na Spiszu. Po śmierci rodziców trafił do pallotyńskiego gimnazjum w Wadowicach, a następnie wstąpił do Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (pallotyńów), gdzie przyjął święcenia kapłańskie w 1941 roku. Podczas II wojny światowej zaangażował się w pomoc dla ludności cywilnej oraz działalność konspiracyjną w Warszawie.

W sierpniu 1944 roku, w czasie Powstania Warszawskiego, pełnił posługę jako kapelan zgrupowania „Kryśka” pod pseudonimem „Rudy”. Był niezwykle oddany powstańcom, udzielając sakramentów, wspierając duchowo i organizując pomoc medyczną. Pod koniec walk na Czerniakowie zrezygnował z możliwości przeprawy pontonowej na drugi brzeg Wisły, oddając swoje miejsce

OBCHODY 80. ROCZNICY MĘCZEŃSKIEJ ŚMIERCI BŁOGOSŁAWIONEGO KSIĘDZA...

ciężko rannemu powstańcowi Wojciechowi Zabłockiemu, pozostając do końca z walczącymi. 23 września 1944 roku został schwytany przez Niemców, torturowany, a następnie publicznie powieszony na własnej stule.

Jego heroiczna postawa stała się symbolem poświęcenia i odwagi kapelanów wojennych. W 1999 roku ks. Józef Stanek został beatyfikowany przez papieża Jana Pawła II jako jeden ze 108 błogosławionych męczenników II wojny światowej. Jego pamięć jest wciąż żywa jako przykład patriotyzmu i wierności ideałom chrześcijańskim.

SPOTKANIE Z CYKLU „TAJEMNICE BEZPIEKI”

Instytut Pamięci Narodowej zorganizował w dniu 27 września w Centralnym Przystanku Historia im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Warszawie (ul. Marszałkowska 107).

„*Bohaterowie czy zdrajcy? Dlaczego wolna Polska oddaje hołd Armii Ludowej?*” z cyklu „Tajemnice bezpieczeństwa”.



Podczas kolejnego spotkania z cyklu „Tajemnice bezpieczeństwa” Piotr Woyciechowski rozmawiał z Janem Józefem Kasprzykiem, Lechem Parellem i profesorem Wiesławem Wysockim o paradoksach naszej pamięci historycznej. Jak wolna Rzeczpospolita odnosi się do bohaterów wykreowanych w okresie komunistycznym i jaką rolę w wyborze i honorowaniu osób autentycznie zasłużo-

SPOTKANIE Z CYKLU „TAJEMNICE BEZPIEKI”

nych dla Polski ma Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych? W wydarzeniu udział wzięła liczna reprezentacja Instytutu Historycznego NN im Andrzeja Ostoja Owsianego i Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Całość debaty można obejrzeć w programie z cyklu „Tajemnice bezpieki” na kanale IPNtv na YouTube pod tytułem „*Bohaterowie czy zdrajcy*”.



ŁUKASZ PERZYNA

ROZWÓJ I PUŁAPKI. NIEZWYKŁY JUBILEUSZ CENTRUM IM. ADAMA SMITHA

Jubileusz charakteryzuje się tym, że każdy ma prawo świętować go po swojemu. Centrum im. Adama Smitha zdecydowało się na swoje 35-lecie przygotować to, co potrafi robić najlepiej: debatę o perspektywach i barierach rozwoju Polski. Z oceną polskiej transformacji, co zrozumiałe, zważywszy, że renomowany think tank powołany został we wrześniu 1989 roku, podobnie jak rząd Tadeusza Mazowieckiego, chociaż przez środowiska od wielu lat wcześniej aktywne.

Obecny prezydent Centrum Smitha Andrzej Sadowski jeszcze w szkole w Przasnyszu w czasach pierwszej Solidarności zorganizował obchody rocznicy Konstytucji Trzeciego Maja, później przez wiele lat w opozycji politycznej i drugim obiegu wydawniczym budował jedno z trzech najciekawszych dla odrodzonego polskiego liberalizmu środowisk: warszawskie, które wraz z pozostałymi, krakowskim z Mirosławem Dzielskim i Tadeuszem Syryjczykiem oraz gdańskim z Januszem Lewandowskim, Janem Krzysztofem Bieleckim i Donaldem Tuskiem - raz współpracowało a kiedy indziej rywalizowało w próbach wypracowania metra sewrskiego nowoczesnego liberalizmu gospodarczego w Polsce. Ten jednolity i powszechnie akceptowany nie powstał, ale też gdyby zdarzyło się to inaczej, byłoby to poniekąd sprzeczne z propagowaną ideą. Atutem Warszawy na rodzącej się liberalnej mapie stała się niewątpliwie spółdzielnia Unicum, odnosząca praktyczne sukcesy, pozwalające jej szefowi Andrzejowi Machalskiego zatrudniać zwalnianych z więzień i aresztów kolegów z opozycji, co zapewniało im godziwe utrzymanie. A że z biegiem lat zatrzymań i wyroków było już mniej a możliwości coraz więcej, z rozmaitych inicjatyw wyłoniło się Towarzystwo Gospodarcze, a w ostatnim miesiącu 1988

roku udało się powołać oficjalnie Akcję Gospodarczą. Zaś przed wyborami 4 czerwca 1989 r. właśnie Andrzej Machalski poprowadził zwycięską kampanię Komitetu Obywatelskiego Solidarność.

W trakcie rocznicowej debaty mniej mówiono jednak o historii, bez porównania więcej o czasie teraźniejszym i przyszłym. Głównym jej motywem, chociaż nie tak cel dyskusji określono, pozostawała odbudowa kreatywności gospodarczej i społecznej po ośmiu latach nie sprzyjających jej rządów PiS.

Dowodem bezstronności za jaką cenione pozostaje Centrum im. Adama Smitha jak również renomy, którą się ten ośrodek cieszy okazał się udział w debacie polityków ze środowisk wiele razy przez think tank krytykowanych: byłego premiera Waldemara Pawłaka, swego czasu skłaniającego się do etatyzmu i propagowania rodzimej wytwórczości (słynne korzystanie z poloneza) oraz Krzysztofa Kwiatkowskiego, byłego ministra sprawiedliwości w rządzie Donalda Tuska, którego ekipę think tank krytykował za brak determinacji w zmienianiu reguł gry w polityce i gospodarce. Wśród słuchaczy znaleźli się zarówno dawny sekretarz klubu parlamentarnego wprowadzającej cztery wielkie prospołeczne reformy Akcji Wyborczej Solidarność Andrzej Anusz jak niedawna kandydatka Konfederacji do parlamentu Krystyna Krzekotowska.

Temat debaty: „Trzecia polska transformacja” nawiązał do przekonania, że po przemianach rynkowych z przełomu lat 80 i 90 oraz późniejszym okrzepnięciu rozwiązań instytucjonalnych w tym ordynacji podatkowej niezbędna okazuje się kolejna przemiana. Jej parametry określa hasło konferencji: „Inwencja - Innowacja - Implementacja”.

- Bez trzeciej transformacji ugrzęźniemy w pułapce średniego rozwoju
- uzasadniał prezydent think tanku Andrzej Sadowski. Zwrócił uwagę na pewien paradoks: tak jak zacofanie Polski pozwoliło na dokonanie w latach 90. szybkich reform sektora bankowego, bo udało się przeskoczyć pewne etapy i uniknąć błędów, popełnionych w nowocześniejszych państwach, tak i teraz „renta zacofania” może zmiany ułatwić ale pod

warunkiem podjęcia decyzji politycznych co do wdrożenia innowacyjnych rozwiązań.

Na razie jednak codzienność określa najlepiej historia opowiedziana w dyskusji przez senatora Krzysztofa Kwiatkowskiego, który spytał urzędniczkę, czy może wniosek wysłać drogą mailową i uzyskać potwierdzenie, że oczywiście. Ale później musi przyjść do urzędu, żeby go potwierdzić odręcznym podpisem.

Przytaczano też alarmujące statystyki: od początku 2023 roku do połowy 2024 w Polsce zawiesiło lub wyrejestrowało działalność 880 tys firm. To masowy ich pomór. Odpowiedzialnością uczestnicy obarczyli m.in. Polski Ład rządu Mateusza Morawieckiego, uznany przez nich za najgorszy podobny program w całej Unii Europejskiej. Zaś w rankingach określających w jakim stopniu system podatkowy pozostaje przyjazny dla obywateli, Polska znajduje się wśród członków OECD, organizacji skupiającej najbardziej rozwinięte kraje świata, na miejscu przedostatnim.

Ekspert i były szef Centrum prof. Robert Gwiazdowski przytoczył opinię patrona ośrodka, twórcy ekonomii jako nauki Adama Smitha, że najlepsze podatki to takie, przy których się nie czuje, że się je płaci.

Wedle przytoczonych przy tej okazji danych - rozliczenie podatków zajmuje w Polsce 333 godziny, podczas gdy w Estonii 50 godzin. I nie wynika to z różnic co do liczby ludności i obszaru obu państw.

Najgorszą barierą w Polsce są złe regulacje - przyznał były premier i obecny senator Waldemar Pawlak.

Centrum im. Adama Smitha stale monitoruje praktyczną stronę gospodarki i życia społecznego w Polsce. Wylicza koszt wychowania dzieci: wedle cen obowiązujących w br. w wypadku jednego dziecka wynosi on 346 tys zł a dla dwojga 579 tys zł. Wyznacza także Dzień Wolności Podatkowej. Przypada on w tym dniu roku, w którym przestajemy pracować na rozliczne daniny na rzecz państwa a zaczynamy dla samych siebie. W 2024 r. był nim 28 czerwca.

UHONOROWANI

W dniu 26 września 2024 roku w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Królestwie Szwecji w Sztokholmie za działalność w Opozycji Antykomunistycznej odznaczeniami państwowymi zostali uhonorowane osoby zasłużone dla naszej niepodległości i wolności.

Z rekomendacji Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsińskiego odznaczeni zostali:

Zbigniew Andrzej Rybarkiewicz – Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP



UHONOROWANI

Zbigniew Rybarkiewicz – od 26 do 31 VIII 1980 członek Komisji Solidarności w zakładzie, emisariusz do gdańskiego MKS, skąd przekazał do Łodzi informację o podpisaniu porozumienia gdańskiego. Od IX 1980 w „Solidarności”; członek Komitetu Założycielskiego, następnie skarbnik KZ, 5 IX 1980 współzałożyciel MKZ w Łodzi, współorganizator struktur zakładowych „S” tamże. 1980–1981 współorganizator służb porządkowo-ochronnych przy MKZ/ZR Ziemi Łódzkiej. 29 IV 1981 współzałożyciel, od XI przewodniczący Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania w Łodzi. 25 VI 1981 – IV 1988 członek Konfederacji Polski Niepodległej, organizator jej łódzkich struktur, od VIII 1981 na czele Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN Okręgu III Łódź. X 1981 organizator wydawania niezależnego pisma „Wolna Polska”. 4 XII 1981 kierował 1,5-godziną akcją protestacyjną „Nie ma porozumienia przez kraty więzienia”, zorganizowaną przed Domem Handlowym Central w Łodzi.

14 XII 1981 Przewodniczący Komisji Solidarności w zakładzie a następnie w podziemiu.

26 XII zwolniony z pracy. 31 XII zatrzymany, 1 I 1982 aresztowany, osadzony w Areszcie Śledczym w Łodzi, 27 I 1982 skazany przez Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy na 1,5 roku pozbawienia wolności, osadzony w Zakładzie Karnym w Łodzi i Hrubieszowie (prowadził głódówki w sprawie statusu więźnia politycznego), 1 VII 1983 zwolniony. 1983 organizator poligrafii KPN w Łodzi. 1983–1986 uczestnik spotkań Duszpasterstwa Środowisk Twórczych w kościele NSJ (oo. jezuici) w Łodzi. 1983 inicjator wydania (z Pawłem Wielechowskim), pierwszej publikacji łódzkiego KPN – *Zagroda Matryony Aleksandra Solżenicyna*. 1984 dwukrotnie zatrzymany; inicjator wydania albumu z fotografiami *Kronika bezprawia. 1 maj 1984* oraz dwuczęściowego albumu fotograficznego *Katyń* (cz 1. VII 1984, cz. 2. IX 1984). VI 1984 organizator i uczestnik druku ulotek wzywających do uwolnienia więźniów politycznych. VIII 1984 na polecenie Leszka Moczulskiego twórca (z Pawłem Wielechowskim) zaplecza organizacyjnego dla druku w Łodzi podziemnego pisma „Droga”. 22 XII 1984 uczestnik II Kongresu KPN w Warszawie, członek Rady Politycznej KPN, szef Obszaru III. 9 III 1985 zatrzymany po wpadce drukarni „Drogi”, poddany rewizji, 12 III 1985 przesłuchiwany w KG MO w Warszawie w ramach śledztwa przeciwko kierownictwu KPN. Pod koniec

UHONOROWANI

1985 redaktor (z Aleksandrą Kozłowską) zbioru dowcipów politycznych *Kto prosił ruskie* (Wydawnictwo Polskie). Od 6 VIII 1986 na emigracji w Szwecji, gdzie współpracował z P. Wielechowskim, prowadzącym Biuro Zagraniczne KPN w Karlstad, Od X 2013 na emeryturze.

7 VIII – 15 IX 1981 rozpracowywany przez Wydz. IIIA KW MO w Łodzi w ramach SOS krypt. Marsz; 30 XII 1981 – 15 IV 1982 przez Wydz. V w ramach SOR krypt. Próba; 10 IX 1987 – 5 IX 1988 przez Wydz. III WUSW w ramach SOR krypt. Ekipa.

Krystyna Elżbieta Rydczak-Rybarkiewicz – Krzyżem Wolności i Solidarności

Krystyna Rydczak-Rybarkiewicz we wrześniu roku 1980 była jedną z inicjatorek powstania NSZZ Solidarność w Dziale Biletowym w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym w Łodzi. Następnie została wybrana na vice-przewodniczącą Komisji Wydziałowej oraz Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność w MPK w Łodzi. Wtedy też poznała swojego przyszłego męża Zbigniewa Rybarkiewicza, wówczas działacza Solidarności w MPK w Łodzi oraz w Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim w Łodzi, z którym zawarłam małżeństwo w grudniu 1984 roku.

Po wprowadzeniu stanu wojennego nie przerwała działalności, brała wielokrotnie udział w demonstracjach i manifestacjach organizowanych przez podziemną Solidarność czy KPN, kolportowała ulotki i prasę podziemną.

Jesienią 1983 roku Zbyszek Rybarkiewicz zaangażował ją do przepisania na matrycach białkowych. Dostarczył jej maszynę do pisania matryce białkowe oraz papier. Gotowe napisane matryce lub teksty przekazywała dalej łączniczce Pawła Wielechowskiego Dorocie Derek i szły one do druku w drugim obiegu.

W grudniu 1984 pobraliśmy się ze Zbyszkim Rybarkiewiczem.

Ponieważ Zbyszek był aktywnym działaczem Konfederacji Polski Niepodległej, nasze mieszkanie było czasami miejscem spotkań działaczy i kontaktów ale stało się też celem nękańcych ataków ze strony Służby Bezpieczeństwa. Kilkakrotnie przeprowadzano w mieszkaniu na Więckowskiego 80 w Łodzi rewizję, by następnie zabrać z domu ją i Zbyszka, przewieźć na Komendę Wojewódzką MO przy ul. Lutomierskiej, gdzie po kilku godzinach zatrzymania i przesłuchaniach zwalniano ją do domu. Podobnie zdarzało się również

UHONOROWANI

w mieszkaniu Zbyszka Rybarkiewicza na ul. Obrońców Stalingradu 25, gdzie SB kilkakrotnie przeprowadziła rewizję, przewiozła ją i Zbyszka na KWMO przy ul. Lutomierskiej by następnie po kilku godzinach zatrzymania i próbach przesłuchań zwolnić ją.

W sierpniu 1986 wyjechali z mężem Zbyszkiem Rybarkiewiczem i córką Katarzyną do Szwecji. Osiedlili się w Karlstad gdzie miało swą siedzibę Biuro Zagraniczne Konfederacji Polski Niepodległej prowadzone przez Pawła Wielechowskiego. Wraz z mężem włączyli się w pracę biura pomagając w wydrukach (między innymi - „*Gazeta Polska*”, „*Kto prosił ruskie*”) oraz wysyłkach do biur polonii w innych krajach świata zachodniego.

[Szczegółowe dane na temat pierwszych działań wydawniczych łódzkiej Konfederacji Polski Niepodległej oraz wsparcia ze Szwecji patrz: „*Łódzka KPN*”. Od PRL do Niepodległości, pod red. K. Chylak, M. Michalik, Łódź 2012 – artykuły: Z. Rybarkiewicz,

Wspomnienia; M. Michalik, Wydawnictwo Polskie 1983-1990, oraz zdjęcia 17, 25-26 oraz fotografie Konfederatów s. 351-352. Wszystkie materiały i opisy w wyżej wymienionej publikacji).

Dodatkowo na temat Krystyny Rybarkiewicz: K. Chylak, M. Michalik, „*Paweł Wielechowski 1953-2013, Opozycjonista, związkowiec, wydawca, emigrant*”, Warszawa 2017, ss. 99, 116].

Jolanta Ewa Wielechowska – Krzyżem Wolności i Solidarności

Jolanta Wielechowska od 1980 roku była związana z „Solidarnością” i chociaż nie była formalnie działaczem to ze względu na zaangażowanie męża Pawła Wielechowskiego, który był między innymi; Delegatem na I WZD Regionu Ziemia Łódzka, następnie Członkiem Prezydium Zarządu Regionu Łódzkiego (odpowiedzialnym za poligrafię i kolportaż) siłą rzeczy brała udział w działalności i życiu tego ruchu.

13 grudnia 1981 roku kiedy jej mąż jako uczestnik druku w siedzibie Zarządu Regionu ulotki sygnowanej przez Andrzeja Słowika i Jerzego Kropiwnickiego, wzywającej do strajku generalnego został zatrzymany a następnie internowany i przetrzymywany w Ośrodku Odosobnienia w Łęczycy i Łowiczu do marca 1982 roku, Jolanta była łącznikiem (przekazywała informacje i zalecenia) pomiędzy Pawłem a innymi działaczami Solidarności którzy się urywali.

UHONOROWANI

W latach 1982–1984 kiedy mąż był członkiem Tajnego Tymczasowego Zarządu Regionu pomagała mu organizując miejsca na spotkania, lokale kontaktowe przekazywała informacje i polecenia innym członkom struktury podziemia.

Od 1983 roku kiedy mąż związał się z Konfederacją Polski Niepodległej i zaczął organizować Wydawnictwo Polskie KPN pomagała mu przenosząc albo odbierając materiały poligraficzne (płótno sitodrukowe, diapozytywy, farbę itp.) oraz podziemne pisma (między innymi „Gazeta Polska KPN”, „Droga”) na lokale kontaktowe. Jednym z tych miejsc było mieszkanie Melanii Wielechowskiej (mama Pawła – odznaczona za działalność Krzyżem Wolności i Solidarności) na ulicę Gdańską. Wiedziała wówczas, że materiały trafiają do bezpośrednich wykonawców (drukarzy, fotografa i maszynistki przepisującej teksty) w tym do zastępcy Pawła - Marka Michalika, Wiesława Żyżniewskiego czy do Piotra Kluszczyńskiego. Po kolejnym aresztowaniu Pawła w marcu 1984 roku i osadzeniu go Areszcie Śledczym w Łodzi pełniła (tak jak podczas jego internowań) rolę łącznika z ludźmi struktury podziemnej którą zbudował.

W czerwcu 1985 roku całą rodziną zmuszeni byli (bilet w jedną stronę) do emigracji do Szwecji.

Nie zaprzestali z mężem pracy na rzecz wolej i niepodległej Polski. Paweł Wielechowski został organizatorem i kierownikiem Biura Zagranicznego Konfederacji Polski Niepodległej na Skandynawię które funkcjonowało w ich mieszkaniu w Karlstad aż do lat 90-tych. Organizował środki finansowe na działalność podziemną, przerzuty sprzętu poligraficznego do kraju, przedruki dokumentów programowych i wydawnictw KPN które rozsyłali do Polonii na świecie. Po latach (w 2009 roku) okazało się – według oceny Łódzkiego Oddziału IPN – że było to (poza przedstawicielstwami Solidarności) najbardziej prężnie działające biuro zagraniczne opozycji.



„ZRZUT CICHOCIEMNYCH – ZAPORA 2024”

28 września 2024 roku na łakach za miejscowością Łosinno k/Wyszkwa - po raz ósmy odbył się Piknik militarno-patriotyczny z widowiskiem historycznym „Zrzut Cichociemnych ZAPORA 2024”.



Słowo „militarno” jest trochę na wyrost, ponieważ pomimo starań nie otrzymaliśmy wsparcia ze strony MON. Głównym sponsorem był Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, który w I kwartale jeszcze pod kierownictwem Jana Józefa Kasprzyka wsparł nas finansowo sumą, do której chodząc z kapeluszem dozbieraliśmy do kwoty niezbędnej do wykonania głównej części pikniku – zrzutu cichociemnych. Wielkie podziękowania należą się Fundacji Defender, Nadleśnictwu Wyszków, Tartakowi Abramczyk,

Państwu Rucińskim z Zakładów Mięsnych „Somianka” i pozostałym uczestnikom dobrego serca – o których niżej.

Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego, Okręg Warszawa Wschód Światowego Związku Żołnierzy Armii

„ZRZUT CICHOCIEMNYCH – ZAPORA 2024”



Krajowej, Teatr MAKATA, Sołtys i Mieszkańcy Łosinna, zaprosili kolejny raz na upamiętnienie działań mjr Hieronima Dekutowskiego i członków AK podczas II wojny światowej.



W obchodach uczestniczyli, m.in.: Ks. Tadeusz Suchta - proboszcz parafii pw. św. Izydora w Woli Mystkowskiej, Grażyna CHOJECKA – krewna mjr/płka Hieronima DEKUTOWSKIEGO „ZAPORY”, Łukasz KUDLICKI - doradca Szefa BBN Kancelarii Prezydenta, Andrzej MELAK – prezes Komitetu Katyńskiego, radny Województwa Mazowieckiego,

Andrzej CHYŁEK – prezes Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego (IHOO), Michał JANISZEWSKI – sekretarz Instytutu Historycznego IHOO, Zbigniew ADAMCZYK - Zarząd

„ZRZUT CICHOCIEMNYCH – ZAPORA 2024”

IHOO, Zbigniew ŚNIADECKI – Zarząd IHOO, Piotr WÓJCIK – członek Rady Programowej IHOO, Marek GŁOWACKI – Grupy Oporu „Solidarni”, Artur LIS – dyrektor Domu Kultury w Łochowie, radny Powiatu Węgrowskiego, reżyser, aktor, Mirosław WIDLICKI – prezes Okręgu Warszawa-Wschód ŚZZAK, prezes FORMACJI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ, Władysław KOŁATORSKI – prezes Klubu Historycznego im. Armii Krajowej Ziemi Radzyńskiej, wiceprezes Okręgu Warszawa-Wschód ŚZZAK, Teresa CZAJKOWSKA – członek Prezydium Okręgu Warszawa-Wschód ŚZZAK, radna Powiatu Wyszowskiego, Andrzej BOGUSZEWSKI – członek Prezydium Okręgu Warszawa-Wschód ŚZZAK, Grażyna RUDNIK – prezes Okręgu „OPOCZNIK” ŚZZAK, Grzegorz NARZYMSKI – prezes Koła Armii Krajowej „Rajski Ptak” w Łochowie, Władysława DELUGA – prezes Koła Armii Krajowej „Rajski Ptak” w Wyszowie, Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznej 79 Pułku Piechoty Strzelców Słonimskich im. Hetmana Lwa Sapiehy na czele z prezesem Dariuszem KRAWCZYKIEM, radni Rady Powiatu Wyszowskiego: Mariusz Bryk, Krzysztof Wawrzyńczak,

Stanisław Żołyński, radni Rady Miejskiej w Wyszowie: Barbara Łapińska, Justyna Tchórzewska, Waldemar Karłowicz, uczniowie Szkoły Mundurowej „Feniks” w Wyszowie wraz z dyrektorką Joanną Wawrzeńczak.

Uroczystość rozpoczęto złożeniem kwiatów przez delegacje kombatanatów, samorządowców, organizatorów, młodzieży, gości - pod pamiątkowym kamieniem - pomnikiem przy szosie Wyszów – Pułtusk.



„ZRZUT CICHOCIEMNYCH – ZAPORA 2024”



Odśpiewano hymn polski. Ks. proboszcz poprowadził modlitwę za cichociemnych i za sierż. Mateusza Sitka zamordowanego na granicy wschodniej, absolwenta klasy mundurowej CEZiU „Kopernik” i uczestnika poprzednich edycji Zrzutów Cichociemnych ZAPORA.



W programie znalazł się koncert patriotyczny w wykonaniu młodzieży ze Szkoły Podstawowej im. Cichociemnych Spadochroniarzy Armii Krajowej w Łosinnie, konkursy dla dzieci prowadzone przez Szkołę Podstawową nr 5 im. Żołnierzy AK w Wyszkowie (Lucyna Wilczyńska) oraz pokaz sprawności

„ZRZUT CICHOCIEMNYCH – ZAPORA 2024”

kadetów Centrum Edukacji Zawodowej i Ustawicznej „Kopernik” w Wyszkowie.



„ZRRZUT CICHOCIEMNYCH – ZAPORA 2024”



Tradycyjnie głównym momentem była inscenizacja historyczna „Zrzut Cichociemnych Zaporą 2024”. Pogoda – silny wiatr, spowodowały pewne przesunięcie czasu przylotu samolotu i zrzutu spadochroniarzy. Na terenie zabudowań gospodarczych - scenografii, wokół ogniska rozstawiliśmy stoły i zaprosiliśmy oczekujących widzów na poczęstunek ufundowany przez ZM „Somianka”. Czas oczekiwania umilało śpiewanie pieśni patriotycznych przy akompaniamencie muzyki Koła Gospodyń Wiejskich z Łosinna. Wcześniej wydano również żołnierską grochówkę ufundowaną przez radną powiatową Teresę Czajkowską.



„ZRZUT CICHOCIEMNYCH – ZAPORA 2024”

Punktualnie o przesuniętej godzinie pojawił się An-2 i skoczkowie Grupy Spadochronowej „Cichociemni” wykonali pokaz sterowania spadochronami. Silny wiatr uniemożliwił wykonanie skoku na historycznych – okrągłych czaszach, ale ta zmieniona wersja także była bardzo atrakcyjna.



„ZRZUT CICHOCIEMNYCH – ZAPORA 2024”



W trakcie pikniku można było odwiedzić przygotowane stoiska z ofertą instytucji i szkół m.in. z profilem militarnym.

Przedstawicielami organizatorów na pikniku byli Mirosław Widlicki – prezes Okręgu Warszawa Wschód ŚZŻAK oraz Teresa Czajkowska – radna Rady Powiatu Wyszowskiego.

Mirosław Widlicki

OBCHODY 80. ROCZNICY ZAKOŃCZENIA WALK POWSTAŃCZYCH W WARSZAWIE PROWADZONYCH W RAMACH AKCJI „BURZA”

1 października 2024 roku odbyły się uroczyste obchody 80. rocznicy zakończenia walk powstańczych w Warszawie prowadzonych w ramach Akcji „Burza”, organizowane przez Instytut Pamięci Narodowej **w których udział wzięli** przedstawiciele władz rządowych i samorządowych, sił zbrojnych, kombatanckich, harcerzy i organizacji społecznych w tym reprezentacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego i Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.



OBCHODY 80. ROCZNICY ZAKOŃCZENIA WALK POWSTAŃCZYCH W WARSZAWIE...

Uroczystości rozpoczęły się przed historycznym gmachem Reduty Banku Polskiego przy ul. Bielańskiej 10, gdzie zebrani odśpiewali Hymn Rzeczypospolitej Polskiej.

– Piękne polskie tradycje niepodległościowe i insurekcyjne z wieku XIX stały się częścią polskiego genotypu już w wieku XX. Uświadomiły nam, że jesteśmy narodem, który wie, iż sensem i celem walki nie jest tylko zwycięstwo, ale także wartości, w imieniu których ta walka się odbywa. Dlatego właśnie Powstanie Warszawskie było arcy polskim powstaniem. Bowiem ciemiężony przez 5 lat przez niemieckie okrucieństwa lud Warszawy walczył o wartości, które nie mogły przyjść ze wschodu na bagnietach armii czerwonej. Walczył o wolność i o niepodległość – podkreślił prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Karol Nawrocki.



Podczas wydarzenia prezes IPN wręczył Medale Reipublicae Memoriae Meritum, osobom, które poświęciły się pracy na rzecz upowszechniania historii i budowania tożsamości narodowej.

Odznaczeniem wyróżnione zostały:

Drużna Hanna Szczepanowska, żołnierz Armii Krajowej, członek Szarych Szeregów, łączniczka podczas Powstania Warszawskiego. Po kapitulacji powstania więziona w niemieckich obozach jenieckich. Uwolniona 12 kwietnia 1945 roku przez żołnierzy 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Po wojnie przez lata była wiernym przyjacielem harcerstwa i wielu środowisk ZHR. Była

OBCHODY 80. ROCZNICY ZAKOŃCZENIA WALK POWSTAŃCZYCH W WARSZAWIE...

członkiem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Szare Szeregi. Od 2010 r. pełniła funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego Związku Piłsudczyków. Zmarła 9 października 2017 roku. Decyzją Ministra Obrony Narodowej pośmiertnie awansowana do stopnia majora. Medal odebrał syn Hanny Szczepanowskiej.

Agnieszka Łesiuk-Krajewska, dyrektor ds. projektów komunikacji w Fundacji Sensoria oraz prezes Fundacji Pokolenia Kolumbów. Jest pomysłodawczynią ogólnopolskich projektów edukacyjnych i społecznych, takich jak: BohaterON – włącz historię, czy Nagroda BohaterONy im. Powstańców Warszawskich. Głównym celem tych inicjatyw jest upamiętnienie i wsparcie żyjących uczestników Powstania Warszawskiego.



Obchody zakończyły się modlitwą ekumeniczną oraz złożeniem wieńców przed tablicą upamiętniającą obronę gmachu Reduty Banku Polskiego.

* * *

Po zakończeniu części oficjalnej obchodów spod Reduty Banku Polskiego wyruszył spacer historyczny śladami walk powstańczych z 1944 roku. Przewodnikiem był Leszek Kaźmierczak, znany jako Eldo – raper, były członek

OBCHODY 80. ROCZNICY ZAKOŃCZENIA WALK POWSTAŃCZYCH W WARSZAWIE...

zespołu Grammatik, dziennikarz radiowy i pasjonat Warszawy, który od lat angażuje się w przybliżanie historii powstańczej stolicy.



* * *

Akcja „Burza” to operacja polityczno-wojskowa Armii Krajowej wymierzona przeciwko Niemcom, trwająca od 4 stycznia 1944 r., kiedy Armia Czerwona przekroczyła przedwojenną granicę Polski, do stycznia 1945 r. Celem akcji „Burza” było również ujawnienie przedstawicieli legalnych władz polskich w roli gospodarza ziem polskich i zmanifestowanie suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej na Kresach Wschodnich wobec wkraczających wojsk sowieckich. Decyzję o rozpoczęciu akcji „Burza” podjął dowódca Armii Krajowej gen. bryg. Tadeusz Komorowski „Bór” w listopadzie 1943 r.

Plany powstania powszechnego przeciwko Niemcom zostały opracowane w latach 1940–1942. Zakładano, że wystąpienie AK zostanie wsparte przez regularne oddziały Polskich Sił Zbrojnych z Zachodu. Plany musiały być zmienione w 1943 r., kiedy stało się oczywiste, że zamiast zachodnich sojuszników pierwsza na ziemie polskie dotrze Armia Czerwona. Przygotowano wówczas

OBCHODY 80. ROCZNICY ZAKOŃCZENIA WALK POWSTAŃCZYCH W WARSZAWIE...

alternatywny plan działania: wzmożoną akcję dywersyjną, swego rodzaju strefowe powstanie powszechne pod kryptonimem „Burza”.

Złożona i trudna sytuacja polityczna, wynikająca z zerwanych przez Sowie-
tów stosunków dyplomatycznych po ujawnieniu zbrodni katyńskiej spowodowała, że wybrano rozwiązanie kompromisowe, które pozwalało zachować postawę lojalną wobec naszych sojuszników (Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych) oraz sojuszników naszych sojuszników (ZSRS). Nie rezygnowano z demonstracji suwerennych praw Rzeczypospolitej do całego terytorium państwa i jego pełnej niepodległości.

Terenowym dowódcą AK i przedstawicielem Delegatury Rządu na Kraj polecono ujawnianie się wobec wkraczającej Armii Czerwonej oraz przejmowanie władzy wojskowej i cywilnej na wyzwolonym terenie. Zdecydowano się zdobyć duże miasta, takie jak: Wilno, Lwów, Rzeszów oraz Lublin. Miały one zostać opanowane uderzeniem operujących w terenie oddziałów AK, wspartym powstańczymi działaniami garnizonów tych miast.

Jako pierwsze miasto miało zostać zdobyte Wilno. Operacji nadano kryptonim „Ostra Brama”. 7 lipca 1944 r. wieczorem 14800 żołnierzy AK miało przystąpić do akcji. Jednak ofensywa 3. Frontu Białoruskiego postępowała tak szybko, że dowództwo AK zdecydowało się przyspieszyć operację. „Ostra Brama” rozpoczęła się o świcie 7 lipca. Przyspieszenie uderzenia spowodowało, że zaledwie 30% przewidywanych sił dotarło na miejsce koncentracji i było w stanie wziąć udział w walkach o Wilno. Samodzielne zdobycie miasta przez jednostki AK okazało się niemożliwe. Po opanowaniu miasta czerwonoarmiści bardzo szybko pozrywali polskie flagi. Specjalne grupy NKWD aresztowały dowództwo i rozbrajały żołnierzy AK. Z raportu gen. Iwana Sierowa wynika, że rozbrojono wówczas ponad 6000 szeregowych oraz oficerów i wywieziono ich w głąb ZSRS.

W miarę przesuwania się frontu na zachód „Burzę” realizowały kolejne okręgi AK. Poszczególne Obwody występowały do walki w miarę zbliżania się Sowie-
tów. Do zbrojnego wystąpienia przeciwko Niemcom miało dojść również w Warszawie. Wieczorem, 31 lipca 1944 r., gen. Tadeusz Komorowski „Bór” wydał rozkaz wybuchu powstania 1 sierpnia o godzinie 17.00., tzw. godzinie „W”.

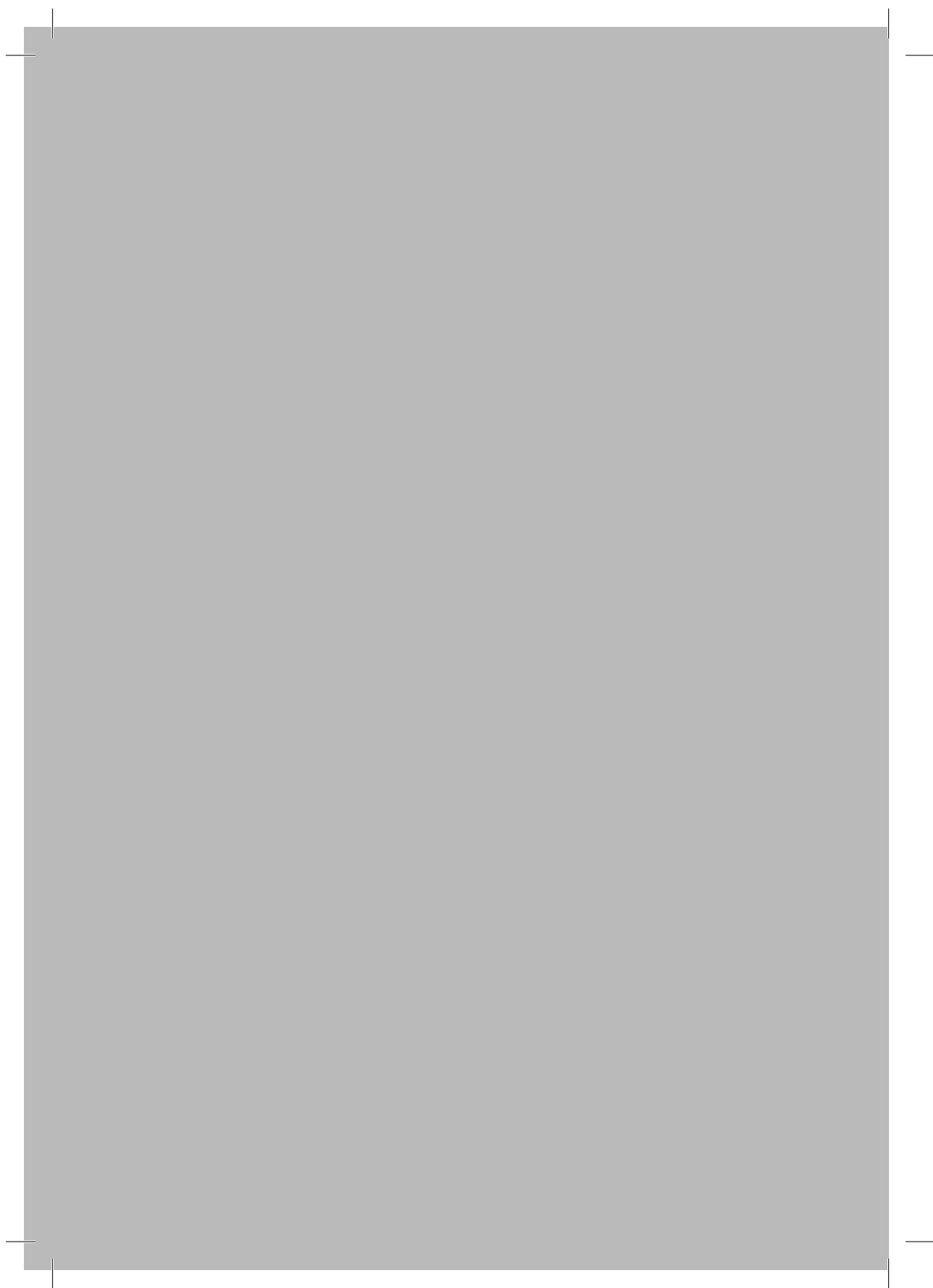
OBCHODY 80. ROCZNICY ZAKOŃCZENIA WALK POWSTAŃCZYCH W WARSZAWIE...

Powstanie Warszawskie pod względem militarnym było największą operacją bojową Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego, a zarazem największą operacją przeprowadzoną przez AK w czasie akcji „Burza”. Było to również największe tego rodzaju powstanie w całej okupowanej Europie. Po 63 dniach walki 2 października 1944 r. dowództwo AK podpisało „Układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie”. Bilans powstania był tragiczny. Zginęło od 16 tys. do 18 tys. jego uczestników, a około 25 tys. zostało wziętych do niewoli. Liczba cywilnych ofiar wyniosła od 150 tys. do 180 tys. osób. Po kapitulacji Warszawa została doszczętnie zniszczona przez Niemców. Ofensywa sowiecka na kierunku warszawskim została zatrzymana z przyczyn politycznych.

26 października 1944 ostatni dowódca AK gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” zdecydował o wstrzymaniu akcji „Burza”. Jej cel polityczny – utrzymanie niepodległości – nie został osiągnięty, wobec totalnej przewagi Sowietów i zgody Zachodu na podporządkowanie Polski Stalinowi. Akcja „Burza” wzmogła terror NKWD w stosunku do Polaków. Uczestnicy „Burzy” w heroiczny sposób dali wyraz woli walki o wolną i niepodległą Ojczyznę.



**POLSKA
WSPÓŁCZESNA**



DR WOJCIECH BŁASIAK

PATOLOGIZACJA PARTII POLITYCZNYCH W POLSCE

Posel PiS i były minister rolnictwa, Jan Krzysztof Ardanowski, podjął niedawno decyzję o wystąpieniu z partii i klubu parlamentarnego PiS (portal „Do Rzeczy”. 22.07.24). Uzasadnił to tym, że PiS nie jest już zdolny do powrotu do władzy, a głównym powodem jest prezes partii Jarosław Kaczyński, którego nazwał „głównym hamulcowym”.

Polityczne wodzostwo

W uzasadnieniu swej decyzji J. K. Ardanowski dość przejrzyście opisał sytuację wewnątrz klubu PiS, która powoduje jego strategiczny paraliż polityczny. Kluczem jest sprawowanie jednoosobowej władzy w klubie i partii przez jej prezesa J. Kaczyńskiego. „Od niego praktycznie każdy w partii był zależny - twierdzi J. K. Ardanowski - co powodowało, że wiele osób bało się i boi się mówić prawdę, ze strachu przed reakcją Jarosława Kaczyńskiego. Przez lata stworzono mit człowieka nieomylnego, niemalże guru polskiej prawicy, więc nie było głosów, które by to kwestionowały.” Mamy tu więc strukturę klubu i partii politycznej, w której decydującą władzę nad jej członkami sprawuje w sposób wodzowski jedna osoba.

Drugim decydującym elementem władzy według J. K. Ardanowskiego jest wąska oligarchia partyjna otaczająca osobę wodza, nazwana przez niego „dworem”. „Stworzono - opisuje J. K. Ardanowski - mechanizm dworu najbliższych współpracowników, którzy izolują go od reszty świata. Ten dwór ma się znakomicie, mają zapewnione świetne miejsca na listach, można powiedzieć, partyjny fundusz emerytalny.”

Mamy więc opis zasadniczej struktury klubu parlamentarnego i partii po-

litycznej PiS - wódz, dwór i cała reszta podporządkowanych i zastraszonych członków.

Od Jarosława Kaczyńskiego po Donalda Tuska

I nie jest to tylko opis struktury władzy w PiS, gdyż tę strukturę wewnętrzną miały i mają, choć w zróżnicowanych relacjach lider - oligarchia, wszystkich partii politycznych w III RP. Dokładnie taka właśnie strukturę ma choćby rządząca obecnie partia Donalda Tuska, czyli Platforma Obywatelska.

To dlatego premier D. Tusk posiadający pełnię władzy w swym klubie, a w konsekwencji w rządzie, może sobie pozwolić na jawne łamanie prawa, od Konstytucji poczynając. Pozwala sobie nawet na wprowadzanie praktyk miękkiego totalitaryzmu, z ostentacyjnymi próbami więzienia w aresztach śledczych swych politycznych przeciwników. Robi to, bo taką ma akurat indywidualną osobowość.

I robi to, bo może to robić. Może to robić, gdyż ma jednoosobową władzę polityczną i to nieograniczoną nawet przez partyjną oligarchię. Nikt z jego posłów i ministrów nie odważy się przeciwko temu zaprotestować. A jego 34 letnie doświadczenie z polityki w III RP, mówi mu, że jest i będzie bezkarny. I w przyszłości włos mu z głowy za to nie spadnie. Choć sądzę, iż tym razem może się pomylić, bo III RP zmierza do swego schyłku.

Jeśli jednak taka patologiczna (z punktu widzenia demokracji) strukturyzacja partii politycznych w III RP jest powszechna i długotrwała, to musi mieć swą stałą przyczynę. Ta patologizacja partii politycznych w Polsce jest bowiem samopowtarzalną prawidłowością społeczną.

Lider, oligarchia i podporządkowani posłowie

Po raz pierwszy to zjawisko takiej strukturyzacji władzy w polskich partiach opisał zmarły w 2012 roku założyciel i przywódca Ruchu Jednomandatowych Okręgów Wyborczych prof. Jerzy Przystawa.

J. Przystawa nazwał te struktury władzy „leninowskimi”. „Tworzą się partie wodzowskie - pisał J. Przystawa w 1999 roku - gdzie najważniejsze słowo należy do aktualnego lidera, który jest - jak długo szefuje partii - nieomylny. Tego lidera wspomaga biuro polityczne, które rządzi w oparciu o zasadę centrali-

zmu demokratycznego [zasada podporządkowania niższych szczebli partyjnych wyższym - WB].”

J. Przystawa jako pierwszy odkrył i wyjaśnił powód tworzenia partii leninowskich w III RP. Tym powodem jest proporcjonalny system wyborczy. „Dzieje się tak dlatego - wyjaśniał J. Przystawa - że dostanie się na partyjną listę wyborczą zależy od partyjnych układów, od decyzji lidera i biura politycznego.” Władza lidera (wodza) i jego oligarchii (biura politycznego) nad podporządkowanymi, a ubezwłasnowolnionymi politycznie członkami (posłami i senatorami), wynika z faktu, iż w systemie proporcjonalnym głosuje się na listy partyjne, na których umieszczani są kandydaci na posłów. Posłowie bali się i boją J. Kaczyńskiego, jak i D. Tuska, ponieważ to ostatecznie od ich decyzji zależy, czy mogą zostać posłami.

W ordynacji proporcjonalnej wybiera się posłów z list partyjnych zgłoszonych i zaakceptowanych przez kierownictwa partii politycznych. Nie można zostać posłem inaczej, gdyż nie można kandydować do Sejmu jako obywatel, tak jak choćby w Wielkiej Brytanii, USA czy Kandzie. Warunkiem więc wejścia w Polsce do polityki, jest umieszczenie swego nazwiska na partyjnej liście wyborczej. A o tym ostatecznie decyduje lider (i wąskie partyjne oligarchie). I stąd płynie jego władza i podporządkowanie posłów. Od jego palca z podpisem lub skreśleniem zależy ich los. Nikt nie zostanie posłem, a więc nikt nie zostanie w Polsce politykiem, kogo nie zaakceptują liderzy partyjni.

Partyjna oligarchia wyborcza zamiast demokracji

A lider w ostateczności decyduje o szansach wyborczych kandydatów umieszczonych na partyjnych listach. O tych szansach rozstrzyga bowiem kolejność kandydatów na listach. To dlatego J. K. Ardanowski mówi o „świetnych miejscach na listach”, jako gwarancji bycia posłem.

Te „świetne miejsca” to nade wszystko numer 1 oraz potem kilka, zwykle 2 do 3. miejsc następnych i numer ostatni. Wynika to z żelaznej logiki głosowania w ordynacji proporcjonalnej. Wyborcy mają bowiem wybór spośród zwykle ponad stu kandydatów z kilku list, które mają szanse przekroczenia 5. procentowego progu wyborczego. To nie jest wybór spośród kilku kandydatów, jak w ordynacji jednomandatowej, gdzie zna się wszystkich kandydatów dość

dobrze. Tu nie ma takiej możliwości. Kandydaci są więc z konieczności anonimowi. A w sytuacji indywidualnej anonimowości głosuje się na konkretną listę partyjną. O wyborze listy, ze względu na kilkusettyśieczną wielkość okręgu, decyduje medialne wizerunki partii i ich liderów. Dlatego zresztą w Polsce media są częścią systemu politycznego.

Ta żelazna logika głosowania polega na tym, że wyborca bierze do ręki listę z kilkunastoma zwykle nazwiskami kandydatów, o których z reguły nic lub niewiele wie. Czyta nazwisko numeru 1 i zwykle jeszcze kilka pierwszych nazwisk. Omiata wzrokiem całą listę i często zatrzymuje wzrok na ostatnim miejscu. Jeśli w ten sposób znajdzie nazwisko, które mu się pozytywnie kojarzy, dokona jego wyboru. Jeśli, tak jak to zwykle jest, nie znajdzie, zagłosuje na numer 1. I stąd owe „światne miejsca” prawie gwarantujące lub tylko dające szansę zostania posłem.

A to oznacza, iż w ordynacji proporcjonalnej kluczowego wyboru kandydatów i określaniu ich szans wyborczych decydują liderzy partyjni i wąskie oligarchie partyjne. Ponieważ nie ma wolności kandydowania obywateli mamy do czynienia z głosowaniem na kandydatów, którzy już zostali wybrani przez liderów i oligarchie partyjne. Polacy są więc pozbawieni biernego prawa wyborczego, a ich czynne prawo jest tylko fasadowe. Jest fasadowe, gdyż głosowanie nie jest faktycznym wolnym wyborem, a wyborem pozorowanym spośród już wybranych. Wybory są demokratyczną fasadą systemu oligarchicznego.

Mamy do czynienia z fasadową demokracją, która w swej politycznej treści jest partyjną oligarchią wyborczą. Jest to partyjna oligarchia, gdyż wąskie oligarchie partyjne rozstrzygają o wyborze posłów. Dlatego jest to oligarchia wyborcza, gdyż to powszechne wybory legitymizują te oligarchiczne rozstrzygnięcia.

Negatywna selekcja polskich polityków czyli bierni, mierni ale wierni

Wybór polityków w tej ordynacji poprzez listy partyjne zapewnia przede wszystkim powtarzalność i odtwarzalność istniejących sił i środowisk w Sejmie. Jest bardzo trudno usunąć czy tylko istotnie zmienić te siły i środowiska. Dlatego od ponad 30 lat mamy do czynienia nawet z tymi samymi politykami, jak J. Kaczyński czy D. Tusk.

Ta ordynacja jest swoistym politycznym wehikułem czasu, które co wybory przenosi nas do układu sił z początku lat 90. XX wieku, mimo zmienionych sztyldów partyjnych i składów personalnych. Ten układ sił został wyniesiony pierwotnie na scenę polityczną w ramach tzw. układu okrągłego stołu, zawartego między samotransformującą się władzą komunistyczną, a dobraną przez nią ugodową częścią opozycji. I ten samomodyfikujący się układ sił podlega nieustannej i zasadniczej reprodukcji.

Ale ta ordynacja nie tylko odtwarza to co zastaje, ale równocześnie stale pogarsza jakość selekcionowanych poprzez listy partyjne polskich polityków. Przede wszystkim jakość kandydatów nie ma wpływu na wynik wyborów, gdyż nie głosuje się na osoby tylko partie. Partie nie mają powodów, aby szukać w okręgach najlepszych i najzdolniejszych kandydatów. Jest gorzej. Ci, którzy dobierają i zatwierdzają listy kandydatów dbają bowiem o to, aby nie wyrosła im wyborcza i partyjna konkurencja. Wolą miernych i biernych, ale wiernych. To lojalność partyjna posłów wobec lidera i oligarchii jest kluczowa w tym sposobie sprawowania władzy czy bycia opozycją.

W konsekwencji mamy do czynienia z negatywną selekcją w polskiej polityce. Po ponad 30 latach takiej selekcji, widzimy to w obecnym Sejmie, a nade wszystko obecnym rządzie. Takiej skali i głębokości zwykłej głupoty i niekompetencji, ale i buty i pychy, aż po faszyzujące praktyki rządzenia, jeszcze w III RP nie było. I to się może niestety skończyć jakimś politycznym nieszczęściem. Tak jak pozornie niezbyt groźne „zabawy” z pomniejszaniem politycznej roli ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego, zakończyły się w 2010 roku krwawą jatką katastrofy smoleńskiej - największej w Europie i na świecie katastrofie w historii lotnictwa państwowego.

Liberum veto III Rzeczypospolitej

Tak więc w obecnej ordynacji wyborczej to liderzy partii i ich partyjne oligarchie decydują o tym, czy Polacy i którzy Polacy mogą kandydować do Sejmu i zostać politykami. Jest to zasadnicza przyczyna wszelkiego zła politycznego w Polsce. Jest to liberum veto III RP. Ustrojowa zasada liberum veto w I Rzeczypospolitej uniemożliwiała wszelkie reformy i naprawę funkcjonowania państwa, doprowadzając do rozbiorów i likwidacji polskiego państwa. Za-

DR WOJCIECH BŁASIAK

sada partyjnych list wyborczych w ordynacji proporcjonalnej pełni taką samą rolę współczesnego ustrojowego liberum veto III RP. Bez jej wyeliminowania wszelkie reformy i naprawa polskiego państwa jest niemożliwa.

To co jest dla mnie szczególnie bulwersujące, to zmowa milczenia o katastrofalnej roli obecnej ordynacji wyborczej w Polsce. Przez ponad 30 lat Ruch Jednomandatowych Okręgów Wyborczych, z którym byłem związany, wykonał olbrzymią pracę intelektualną ukazując pełnie zagrożeń politycznych, ale i społecznych oraz gospodarczych dla Polski, jakie niesie ordynacja proporcjonalna w wyborach do Sejmu. Ukazało się na ten temat kilka książek, głównie J. Przystawy i setki artykułów Ruchu JOW. A przez ponad 30 lat panuje pełna zmowa milczenia na ten temat w mediach, debatach publicznych, salach akademickich czy forach internetowych.

Nie mogę pojąć tego, jak to jest możliwe, że czołowi polscy publicyści i dziennikarze, redaktorzy naczelni głównych mediów czy znani naukowcy, praktycznie nigdy nie zabrali na ten temat publicznie głosu przez 30 z górą lat. Zajmując się zawodowo analizami politycznymi, przez 30 lat nie zabrali głosu na temat najważniejszego dla swojego kraju problemu ustrojowego!

Choć tego nie pojmuję, to rozumiem tego przyczyny. Myślę, że powodem jest swoista mieszanka zwykłego tchórzostwa cywilnego i intelektualnych ograniczeń. Boją się nade wszystko o swoje pozycje społeczne i dodatkowo nie strukturyzują myślowo problemu. Nie chcą ryzykować swojej pozycji podjęciem problemu i nie pojmują znaczenia tego problemu. Dlatego z coraz większym politowaniem i zażenowaniem przysłuchuję się dętym w patriotyczne tony publicznym debatom o sytuacji politycznej w Polsce - w „Do Rzeczy”, „Gazecie Polskiej”, „Sieci”, „Gazecie Warszawskiej”, TVP „Republika” itp. I myślę sobie, choć tylko po cichu - Jesteście śmieszni i idźcie do diabła.

23.07.2024.

ŁUKASZ PERZYNA

MOJE KONTAKTY Z KGB Z SEKSEM I ALKOHOLEM W TLE

Agent rosyjskiego wywiadu wojskowego (GRU) Paweł Rubcow, zanim został wymieniony na demokratów rosyjskich, poznał pełne materiały ze śledztwa przeciwko niemu z nazwiskami agentów kontrwywiadu w kraju i polskiego wywiadu w Rosji, przynajmniej wszystko na to wskazuje. To blamaż ekipy obecnie rządzącej. Poprzednia skompromitowała się tym, że życiowa i biznesowa partnerka Rubcowa, podająca się za dziennikarkę Magdalena Chodownik miała za rządów PiS swobodny wstęp do Kancelarii Premiera i gmachu Sejmu. Teraz, jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, postawiony jej już zarzut pomocnictwa zostanie rozszerzony na szpiegostwo same. Rzecz nie w tym, kto winien. Tylko kiedy poczujemy się bezpieczni.

Stąd bierze się ta opowieść, o zachęcającym mam nadzieję tytule. Zaczniemy jednak od wydarzeń ostatnich dni.

Prawo do obrony ma swoje prawa - ta tyleż tautologiczna, co znamionująca kompletną bezmyślność wypowiedź prokuratora krajowego Dariusza Korneluka w studiu zaprzyjaźnionej przecież stacji, określonej przez wielkiego Andrzeja Wajdę, kiedy występował nie jako reżyser, lecz członek komitetu wyborczego PO, mianem „naszej telewizji”, stanowi świadectwo bezradności aparatu państwa wobec następstw wcześniejszej niefrasobliwości w udostępnianiu kremłowskiemu szpiegowi akt sprawy. Nie od rzeczy przypomnieć, że rzeczniczką ministra sprawiedliwości Adama Bodnara pozostaje Karolina Wasilewska, do niedawna reporterka TVN, a jakże obiektywna i bezstronna. Nawet na własnym boisku, czyli w programie Moniki Olejnik, prokurator krajowy nie jest więc w stanie ukryć konfuzji po udostępnieniu przez podwładnych szpiegowi

Władimira Putina Pawłowi Rubcowowi wszystkich zgromadzonych materiałów śledztwa, który został objęty, zanim wymieniono go na więzionych w Rosji demokratów rosyjskich.

Szpiedzy mają doskonałą pamięć, więc Rubcow - podobnie jak jego kochanka podający się za dziennikarza, tyle, że hiszpańskiego, występował wtedy jako Pablo Gonzalez - ma w głowie dane określone przez służby mianem wrażliwych. Za to Polska nic nie ma z wypuszczenia go na wolność, bo tej ostatniej nie odzyskał w rewanżu przywódca naszych rodaków na Białorusi Andrzej Poczobut. Wyłącznymi beneficjentami transakcji okazali się Amerykanie. Rubcow przez Stambuł powrócił do ojczyzny. Poczobut siedzi nadal w białoruskim więzieniu.

Szczegóły tej jaskrawo nierównej wymiany ustalili w rozmowie telefonicznej prezydenci Andrzej Duda i Joe Biden.

Chociaż służby poprzedniej ekipy pozwalały fałszywej żurnalistce Magdalenie Chodownik - mieszkającej z Rubcowem i organizującej dla niego salon, w którym bywali aktywiści organizacji pozarządowych mieszkający na granicy białoruskiej w związku ze sterowanym przez dyktatora Aleksandra Łukaszenkę naporem „imigrantów” - na swobodny wstęp do Kancelarii Premiera i Sejmu, a wywodzący się z tej formacji Duda odpowiada za brak polskich profitów z wypuszczenia Rubcowa, wraz z wiedzą, jaką posiadał już po aresztowaniu, propagandyści PiS uznają, że najlepszą obronę stanowi atak. Przypuszczają go na dziennikarza, co do którego sugerują wręcz, że stał się współnikiem „redaktorki” Chodownik.

Czapka pośła Bochenka

Rzeczywiście nazwisko Patryka Michalskiego z Wirtualnej Polski pojawia się w publicznie dostępnych materiałach autorstwa Magdaleny Chodownik: jakieś przecież musiała przygotowywać, żeby się „zalegendować” jeśli już używamy języka świata, w którym się obracała. Chodownik zamieściła wypowiedź Michalskiego. Zaś w mediach społecznościowych - entuzjastyczny komentarz, że pozostaje on jej ulubionym dziennikarzem. Tyle, że po przeczytaniu tego ostatniego wpisu Patryk Michalski się od niego zdystansował, tyleż grzecznie, co stanowczo.

Podnosi to jego wiarygodność w tej sprawie. Za to bezinteresowność atakującego go Rafała Bochenka, posła PiS i b. rzecznika - podważa fakt, że wcześniej już wchodził z red. Michalskim w publicznie rezonujące konflikty. Wystarczy wpisać do wyszukiwarki internetowej nazwiska ich obu.

Patryk Michalski nie jest przy tym ulubieńcem obecnie rządzących - zwłaszcza Sejmem. Nie jest zapraszany na tajne łamane przez poufne spotkania organizowane przez rzeczniczkę marszałka Katarzynę Kerpę-Świderek oraz szefa kancelarii Jacka Cichockiego, gdzie aż gęsto od lizusów i potakiwaczy.

Atakując dziennikarzy za rzeczywiste lub domniemane powiązania z „ruską agenturą” pos. Bochenek postępuje w myśl zasady „na złodzieju czapka gore”. Przecież to w propisowskim tygodniku „Sieci”, utrzymywanym wówczas z reklam pozyskiwanych ze spółek Skarbu Państwa, wtedy przez PiS zdominowanych, ukazał się - w chwili, gdy kremłowskie czołgi ruszyły na Ukrainę - wywiad braci Karnowskich z ambasadorem Rosji Siergiejem Andriejewem gloryfikujący putinowską politykę agresji.

Z Rafała Bochenka jednak taki śledczy, jak z Magdaleny Chodownik dziennikarka. Czyż nie tak?

Sprawiedliwi z ręką w cudzej kieszeni

Prewencja to rzecz ważna. Podobnie jak - jeśli rzecz nazwać bardziej elegancko - profilaktyka.

Nie tylko rzecznik b. rządu Bochenek stara się skonfundować dziennikarzy sugerując ich „niebezpieczne związki” z rosyjską agenturą. Zresztą pozostające faktem, tyle, że raczej w propisowskim kręgu żurnalistów.

Także premier Donald Tusk wzmaga napięcie, gdy wzywa na razie własnych ministrów do spowiedzi powszechnej. Chociaż jak niezgodnie zresztą z prawdą pokpiwa przewodniczący klubu parlamentarnego Prawa i Sprawiedliwości Mariusz Błaszczak - premier jest niewierzący. Za to słusznie opozycja ponosi, że spowiedzi towarzyszyć powinny: skrucha i pragnienie poprawy. Zresztą jak ma być powszechna, to niebawem i dziennikarzy obejmie. A jak się nie podporządkują, nie zostaną rzecznikami jak gwiazdeczka TVN Karolina Wasilewska u profesora Bodnara. Tylko dalej będą przy sejmowym stoliku dziennikarskim lekceważeni przez Karpę-Świderek.

Zaczynam więc, skoro - jak zauważyła kiedyś wywodząca się z obecnie rządzącego obozu Elżbieta Bieńkowska - sorry, taki mamy klimat, kruczając moralną od samego siebie, dokonując wyprzedzającej autolustracji. I zgodnie z tytułem, mając nadzieję, że choć trochę szanownych Państwa zafrapował, swoje dotychczasowe kontakty z KGB rzetelnie zrelacjonuję.

W pierwszej z tych opowieści znajdzie się nawet historia miłosna, chociaż nie z moim udziałem i całe morze alkoholu, również nie przeze mnie wypitego, w drugiej seks już tylko, znów bez mojego udziału.

Kiedy montowałem w pierwszych latach przełomu ustrojowego nowy zespół w TVP, zadzwoniła do mnie zdesperowana koleżanka z podyplomowych studiów dziennikarskich. Potem została żoną niemieckiego dyplomaty, co nie ma znaczenia dla całej historii. Wtedy jednak, płacząc w słuchawkę, oznajmiła mi, że jej partner życiowy, wówczas jeszcze całkiem polski, właśnie stracił pracę w „Gazecie Wyborczej”. Za nic miałem wtedy protekcje i układy, przekonany szczerze jako 25-letni dziennikarz, podobnie jak młody Joe Biden, że „Sky is the limit”, wyłącznie niebo stanowi granicę naszych zamierzeń. Osobę, o której koleżanka mówiła, znałem jednak z wcześniejszej pracy w „Gazecie Wyborczej” jako doskonałego profesjonalistę. Pozostawał zarazem jednym z nielicznych tam dziennikarzy średniego pokolenia, życzliwie odnoszących się do młodszych od siebie. Nie było więc powodu, żebym go do zespołu nie włączył. Przez parę miesięcy przygotowywał telewizyjne serwisy i nieźle na tym zarabiał. Dobrze mi się z nim pracowało. Problem zaczął się w parę lat później. Wiedziałem, że mojego niedawnego protegowanego cechuje brak umiaru w kwestii wody ognistej, po prostu trochę się pogubił. Teraz on zadzwonił i oznajmił, że podał mój telefon zaprzyjaźnionemu rosyjskiemu dziennikarzowi, który właśnie objął placówkę w Polsce. Pewnie morze wódki już razem wypili. Później zatelefonował sam domniemany beneficjent tej nowej przyjaźni. Nawet nie udawał, że zależy mu na jakiś komentarzach. Rosyjski korespondent poprosił mnie od razu o domowe numery czołowych politycznych dziennikarzy w Polsce. Nie muszę dodawać, że nie podałem mu żadnego. A kontakty z dawnym kolegą z „Wyborczej” i TVP zredukowałem odtąd do zera. Jak dzwonił, udawałem, że nie słyszę, bo połączenie szwankuje i odkładałem słuchawkę. Zaś nazwisko jego

rosyjskiego kompana od kielicha znalazłem w wiele lat później wśród agentów rosyjskich służb wymienionych w książce Mariana Zacharskiego.

W trakcie pracy dla Wiadomości TVP byłem jedynym z czołówki tamtejszych dziennikarzy, który bez oporów zabierał na zdjęcia praktykantów. Nie przeszkadzali mi przecież a mogli się czegoś nauczyć. Nagle w gmachu dzienników przy pl. Powstańców Warszawy pojawiło się ich aż dwoje. Studentka podyplomowego dziennikarstwa z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Wiadomościach i rosyjski stypendysta w Pulsie Dnia. Pierwsze z nich jeździło na zdjęcia ze mną. Zaś kolega z Pulsu powiadomił mnie na korytarzu, że oni ze stypendysty zaraz zrezygnowali: podobno ukradkiem cudze papiery przeglądał w redakcyjnych pokojach. Przepustkę do gmachu jednak zachował. Prowadzał się na korytarzach z moją praktykantką i nie tylko za ręce się trzymali. Po kolejnych paru dniach dziewczyna z KUL-u oznajmiła mi, że dogadała się z Siergiejem - o którym mówiła już jak o bliskiej osobie, że teraz ona będzie ze mną jeździć na zdjęcia w dni nieparzyste, a jej rosyjski przyjaciel w pozostałe. Odpowiedziałem oczywiście, że to nie ona o tym decyduje, tylko ja. I nie muszę pewnie dodawać, że od tego momentu nigdy już nigdzie ze mną nie pojechała. Historia szpiegowska skończyła się równie nagle jak jej praktyka w Wiadomościach. Ich romans też. Siergiej powrócił niebawem do ojczyzny, teraz pewnie przygotowuje materiały o ukraińskich zbrodniach na cywilnej ludności Donbasu. U nas jednak nie został Jamesem Bondem ani nawet jego rosyjskim odpowiednikiem Jegorem Kremniowem ze znakomitego zresztą filmu „Niepokonany” („Niepobiedimy”) w reżyserii Olega Pogodina.

Pożartowaliśmy. Jeśli mamy znów rozmawiać serio, nie da się ukryć, że długo bezkarne panoszenie się w Polsce Rubcowa-Gonzaleza i wspierającej go rodzimej Maty Hari po przejściach stanowi problem służb specjalnych i wymiaru sprawiedliwości a nie środowiska dziennikarskiego. A także polityków, co te służby nadzorują, zaś wspomniany wymiar obsadzają swoimi od prokuratora krajowego po rzecznikzkę Bodnara. I ich podejrzenie w tej sprawie nieudolnych i bezradnych poprzedników. Nie da się odwracać uwagi od własnych błędów i zaniechań metodą praskich doliniarzy, co trzymając już cudzy portfel we własnej kieszeni, drą się na cały tramwaj: - Łapaj złodzieja.

ŁUKASZ PERZYNA

CZY DUDA ROZWIĄŻE PARLAMENT? CZAS NIESPODZIANEK. ANDRZEJ ANUSZ GOŚCIEM MAZOWIECKIEJ WSPÓLNOTY SAMORZĄDOWEJ

Już najbliższe dwa miesiące przyniosą wiele niespodzianek, sytuacji, o których jeszcze głośno się nie mówi - prognozował socjolog z Instytutu Piłsudskiego Andrzej Anusz w trakcie spotkania Klubu Gospodarczego zorganizowanego przez Mazowiecką Wspólnotę Samorządową. Zdaniem eksperta czeka nas wielka rozgrywka wokół przyspieszonych wyborów parlamentarnych.

Andrzej Duda, który jak wiadomo budżetu zawetować nie mógł, ponieważ Konstytucja nie daje prezydentowi takiej możliwości, kilka miesięcy temu posłał ustawę budżetową do Trybunału Konstytucyjnego. Uznał bowiem, że uchwalono ją z wadą prawną, bo skazanych za nadużycie władzy Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika nie dopuszczono do głosowania. Potem zostali europosłami.

W podobnym wypadku Trybunał Konstytucyjny zdominowany jak wiadomo przez nominatów PiS z tych samych powodów uznał, że Sejm ustawę o NCBiR przyjął z naruszeniem prawa.

Co ma Donald Trump do wyborów w Polsce

Wyrok TK pod prezesurą Julii Przyłębskiej ws. ustawy budżetowej może więc okazać się taki sam jak w tamtej sprawie. Zaś zapis Konstytucji jest jasny: gdy budżet nie został uchwalony w odpowiednim terminie, prezydent może rozwiązać parlament. A wszelkie „deadline’y” związane z harmonogramem budżetu... dawno minęły.

Co może oznaczać wybory w 45 dni od decyzji prezydenta. Rozmawia się już o tym na Nowogrodzkiej, gdzie swoją siedzibę ma PiS. Prezes Jarosław Ka-

CZY DUDA ROZWIĄŻE PARLAMENT? CZAS NIESPODZIANEK...

czyński chciałby, żeby wybory szybko się odbyły: w październiku spodziewać się można orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego. Same zaś wybory w Polsce miałyby miejsce po 5 listopada, czyli amerykańskich prezydenckich - co dla szans PiS pozostaje kluczowe, przy założeniu, że w Stanach Zjednoczonych wygra Donald Trump. Dla Polaków stanowiłoby to sygnał, że warto zagłosować na prawicę, bo ta z nowym prezydentem Ameryki łatwiej się dogada, zbuduje z nim dobre relacje w trudny wojenny czas za wschodnią granicą. Kwestie bezpieczeństwa kraju pozostają dla wyborców kluczowe. Zaś z punktu widzenia PiS za przyspieszeniem wyborów przemawia odebranie partii całej subwencji i 10 mln zł z dotacji decyzją Państwowej Komisji Wyborczej. Na razie pisowcy dysponują zaskórnikami, których jednak na długo nie wystarczy, jak mówi się w Warszawie.

Bomba tyka, czy wybuchnie...

Mamy tykającą bombę, pytanie czy wybuchnie - ocenił dr Andrzej Anusz. Tym bardziej, że druga strona nie dysponuje podobną możliwością mobilizacji wyborców jak pamiętnego 15 października 2023 r. Wprost przeciwnie, badania opinii pokazują, że według 60 proc Polaków nowa ekipa rządowa nie wypełnia przedwyborczych obietnic.

Drugi dalece łagodniejszy wariant zakłada, że Duda wprowadzie parlamentu nie rozwiąże, ale pod presją, że może to zrobić - doprowadzi do odwrócenia dotychczasowych sojuszy. W tym wypadku Polskie Stronnictwo Ludowe, które na wybory przed terminem nie może sobie pozwolić, a jego dalszy udział w sojuszu Trzeciej Drogi (z Polską 2050 Szymona Hołowni) po rozczarowujących wynikach do samorządów i europarlamentu rysuje się jako wątpliwy - zawarłoby koalicję z PiS oraz Konfederacją. Do rządzenia wystarczy. Ziści się tym samym wykpiwany po październiku 2023 r. pomysł Koalicji Polskich Spraw pod patronatem prezydenta.

W interesie PiS pozostaje zbliżenie terminów wyborów parlamentarnych i prezydenckich, skoro już dwa razy (w 2005 r. i 2015) przyniosło to partii Jarosława Kaczyńskiego podwójne zwycięstwo. Kandydatem Prawa i Sprawiedliwości na prezydenta w ocenie Andrzeja Anusza zostanie prawdopodobnie Mateusz Morawiecki. Dlaczego właśnie były premier? Za argument dr Anusz

uznaje tytuł i przesłanie własnego tekstu w „Opinii”: „Partia jest najważniejsza”. Dla Kaczyńskiego oczywiście. Osoba Morawieckiego, kojarzącego się z dobrymi dla niej czasami, gwarantuje, że ani PiS się nie rozpadnie ani elektorat nie rozproszy.

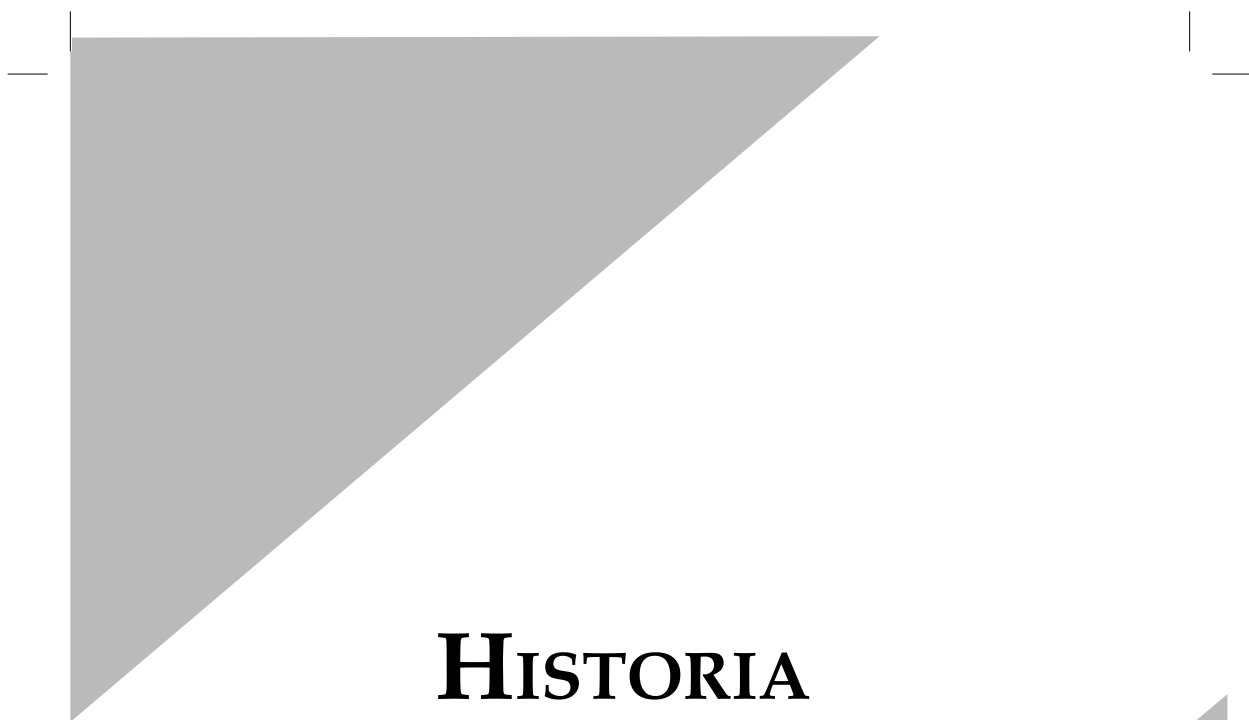
Podobnie jak Kaczyński namaści Morawieckiego, również Donald Tusk osobiście zdecyduje o tym, kto zostanie kandydatem Koalicji Obywatelskiej na prezydenta.

Kto będzie rządzić? Koalicjant PSL... czyli formuła Waldemara Pawlaka wciąż aktualna

Niewykluczony pozostaje wariant w którym Władysław Kosiniak-Kamysz - o ile oczywiście wraz z całym PSL nie skorzysta ze wspomnianej już oferty PiS - wskazany zostanie na nowego premiera, a sam Tusk powalczy o prezydenturę. Jeśli nie, kandydatem drugiego wyboru pozostaje wciąż Rafał Trzaskowski. Z kolei prezydenckie ambicje Szymona Hołowni Tusk może zneutralizować powierzeniem mu pełnienia funkcji marszałka Sejmu aż do końca kadencji. Wedle pierwotnych ustaleń koalicjantów miał w jej połowie ustąpić miejsca w tym fotelu przedstawicielowi Nowej Lewicy.

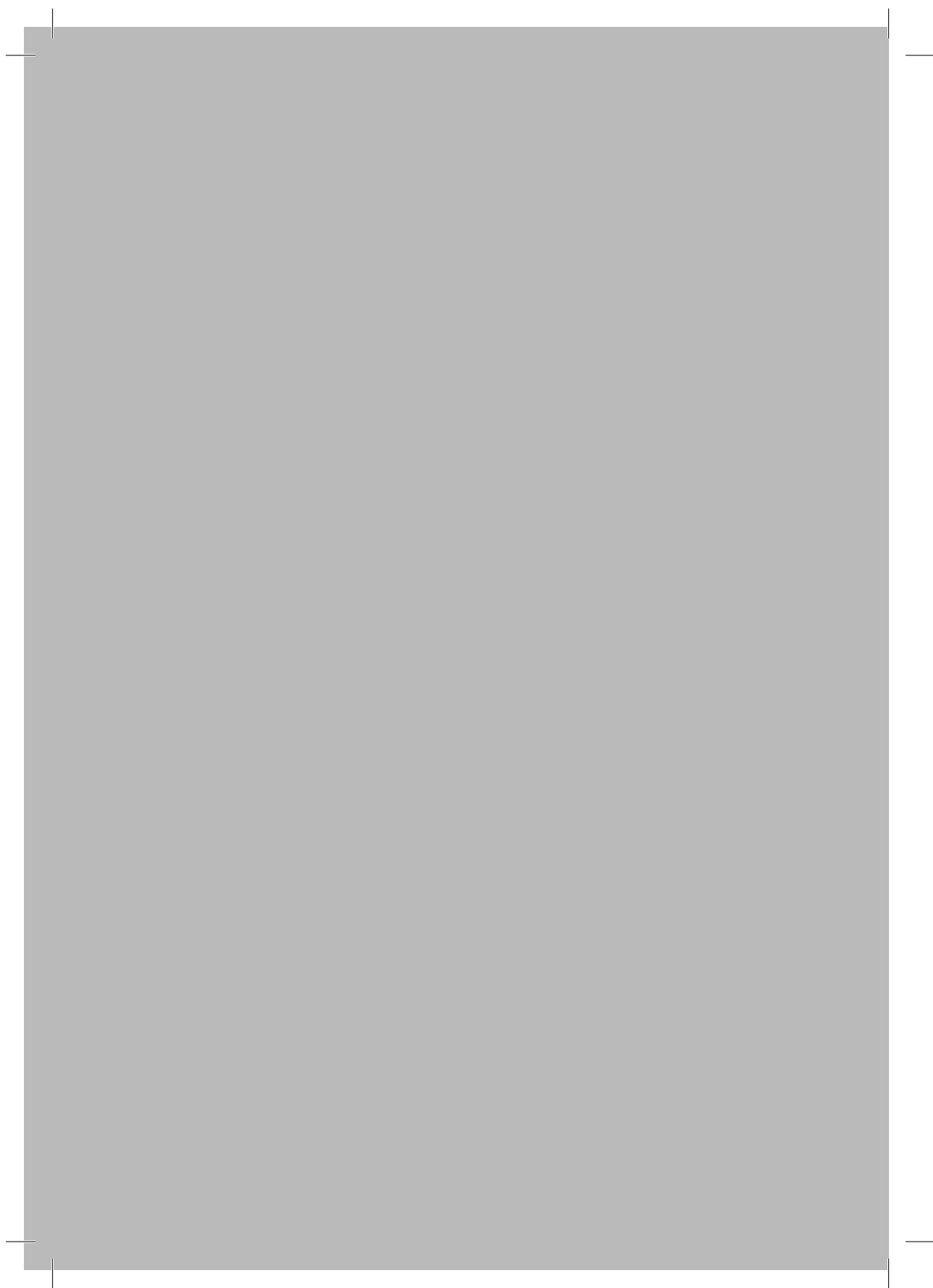
Wszystko to jednak gry polityków. Nie obejmują nigdy całości życia publicznego. Wiceprezes Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej Mariusz Ambroziak pytał o rację stanu w tym kontekście. Dr Anusz przypominał, że w dwóch kolejnych wyborach prezydenckich zaistnieli kandydaci niezależni wpływając sprawczo na kształt polskiej polityki. Rockman Paweł Kukiz przyczynił się do pierwszego zwycięstwa Dudy w 2015 r. Z kolei w 2020 r. Szymon Hołownia nie zamierzał w podobny sposób pomóc Trzaskowskiemu, co w KO do dziś mu się pamięta. Za to w trzy lata później jako współtwórca Trzeciej Drogi sprawił, że premierostwo Tuska po 15 października stało się możliwe.

Również w najbliższych wyborach, w ocenie gościa Wspólnoty, pojawić się mogą kandydaci, wokół których skutecznie skupią się środowiska niezależne. I w tym wariantcie więc słowo „niespodzianka” pozostanie kluczem do zrozumienia polskiej polityki.



HISTORIA





MIROŚLAW RESZEWICZ

JÓZEF MACKIEWICZ – PISARZ CZY POLITYK (NA
PRZYKŁADZIE „KARIEROWICZA” I „DROGI DONIKĄD”)
CZ. 2

Rok 1955 przyniósł środowisku londyńskiemu dwie powieści Józefa Mackiewicza – „Drogę donikąd” i „Karierowicza” (obie wydane przez „Orbis”; I część „Karierowicza” pt. „Przyjaciel Flor” drukowana była w „Kulturze” paryskiej). Wznowienie przyszło dopiero w 1989 r., już po śmierci pisarza, dzięki wydawnictwu „Kontra” Niny Karsow i Szymona Szechtera (Londyn). Ten sam rok przyniósł również pierwsze krajowe wydanie „apolitycznej powieści” przez warszawską Bazę (II obieg). Oczywiście nakłady niewielkie, niewielka ilość czytelników i artykułów krytycznych, recenzji i rozważań nad „Karierowiczem”. Maria Danielowiczowa, zestawiając tę powieść z „Drogą donikąd” wskazuje, że porządek napisania był odwrotny i książki zjawily się w niewłaściwej kolejności, z niewątpliwą, jak się wydaje, szkodą dla autora. „W przeciwieństwie do „Drogi donikąd”, której klimat, nie tylko fabuła były nie do pomyślenia bez doświadczeń minionych 16 lat, „Karierowicz” jest powieścią obracającą się w kręgu zagadnień należących do świata przedwczorajszego, przedwojennego i przykładającą do wydarzeń miarę ówczesną, dziś już nieco anachroniczną” (1). Danielowiczowa utożsamia świat przedstawiony ze światem realnym, co nie pomaga bynajmniej dotrzeć do ideologii utworu. Czymże w związku z tym może być dla współczesnego czytelnika ta „dziwna” powieść? Czy tylko opowieścią o „pokoleniu z ławy szkolnej wyrwanym do szeregów, uczącym się brutalnie życia od starszych kompanów w warunkach, które wykolejają” (2), opowieścią o karierze Leszka z powojennej rzeczywistości?

W porównaniu do innych powieści Mackiewicza, wydarzenia tworzące fabułę „Karierowicza” są niezwykle skromne. Główny bohater – Leszek, młody ułan z 1920 roku, trafia do szpitala w prowincjonalnym miasteczku. Zakochuje

się w pielęgniarkę Anastazji, co powoduje komplikacje w mikroświecie szpitala. Wśród pacjentów wyróżnia się Flor, z którym Leszek nawiązuje bliższy kontakt i pod namową którego decyduje się na ucieczkę ze szpitala do puszczy, a tym samym na rezygnację ze związku z Anastazją. Przygody głównego bohatera w trakcie wyprawy, a następnie otrzymana rana po powrocie do miasta, kończą część pierwszą. Na część drugą składają się retrospekcje bohatera żyjącego nie tylko przeszłością, ale uwikłanego również w teraźniejszość: pobyt w szpitalu, uwięzienie, oswobodzenie, przyznanie (przypadkowe) wysokiego odznaczenia bojowego, wizyta w domu, wreszcie przeniesienie akcji o sześć lat (w trakcie których Leszek zdobył wykształcenie leśnicze) kończące się wyjazdem na posadę w okolicę znanego już miasteczka. Ostatnia część przynosi perypetie Leszka związane z przeszłością i z bieżącą pracą: małżeństwo, kłopoty w pracy, choroba żony i wyjazd w nieznane. Banalne i stereotypowe są to wydarzenia, stereotypowo ukazani są także bohaterowie. Warto przyjrzeć się bliżej akcentowanej typowości, przyczynić się to może do nieco spojrzenia na „Karierowicza” od prezentowanego przez Marię Danielowiczową.

Konkretne są: czas (luty 1919 r., 2 marca 1919 r., minęło sześć lat) i miejsce akcji (określenie „około puszczy” wskazuje na któreś z miasteczek na Litwie). Jest jeszcze jeden fakt, o którym dowiadujemy się w dość nietypowy sposób. Dyrektor szpitala zmienia nazwisko w zależności od okupujących miasteczko wojsk. Przez to, czytelnik traktujący powieść realistycznie, może odnieść informacje do faktów historycznych. Prezentowane na początku powieści miasteczko, ze swoim pejzażem, instytucjami, historią, miasteczko, jak pisał Michał Sambor „które z takim niewzruszonym spokojem, z filozoficznym humorem znosiło zmienne koleje prototalnej wojny, wszystkie zdobycia, odbicia, wyzwolenie przez armie, tak nieważne i obojętne, że nie warto ich nawet nazywać, ani ich klęsk i przewag datować” (3), jest miasteczkiem jak wiele innych, jest miejscem, w którym żyją ludzie. Postacie pozbawione są w większości nazwisk, bliżej niescharakteryzowane, pozbawione głębszych analiz psychologicznych są typowe dla każdego, bliżej nieokreślonego miejsca. I nie tylko o losach Leszka, Flora, Anastazji jest to powieść. Jest to powieść o ludziach, o doli ludzkiej, po prostu o życiu. Spojrzenie przez pryzmat paraboli stwarza szansę odkrycia specyfiki mackiewiczowskiej refleksji

o świecie w nietypowym „Karierowiczu”, czy – jak określają historycy literatury – dzieła tego zawartość ideową.

Słownik terminów literackich zawiera następującą definicję paraboli: „Przypowieść – parabola – gatunek literatury moralistycznej: utwór narracyjny, w którym przedstawione postacie i zdarzenia nie są ważne ze względu na swe cechy jednostkowe, lecz jako przykłady uniwersalnych prawideł ludzkiej egzystencji, postaw wobec życia i kolei losu. Świat przedstawiony przypowieści stanowi zbiór sytuacyjnych wykładników jakiejś ogólnej prawdy moralnej, filozoficznej czy religijnej. Parabola zawiera niejednokrotnie rozwiniętą fabułę, jednakże jest ona z racji swego przykładowego charakteru silnie uschematyzowana i uboga w realia, które podlegają tu rygorystycznej selekcji ze względu na nadrzędny sens utworu” (4). Charakter powieści nie pozwala ściśle zakwalifikować jej do tego gatunku literatury, stwarza jednak ciekawe możliwości interpretacyjne.

Jedną z cech charakterystycznych dla stylu Józefa Mackiewicza jest jego odpowiedzialność za słowo. „Umie zawsze powiedzieć tylko tyle ile trzeba, lecz za to z niezawodną trafnością. Równocześnie jednak przy precyzji Mackiewicz zna wagę niedomówień, niedokończonych zdań, słów pozornie bez związku, wymownych westchnień, pomruków i półsłówek” (5). Przytoczona opinia Wita Tarnawskiego znalazła się nieprzypadkowo przy omawianiu „Karierowicza”. W tej „mikropowieści” (6) słowo stało się niezwykle pojemne semantycznie i wieloznaczne. Na przykład wypowiedziane często przez Flora i podświadomie zaakceptowane przez Leszka „Ech życie, życie” urasta do rangi refrenu i zmusza do postawienia pytania – jakie ono jest? Czy odpowiedź zawarta jest już w nakreślonym na początku powieści pejzażu miasta? Ruchome, na ogół szare chmury i regularne krakanie „dwa razy na dobę, po raz pierwszy o świecie” będąc elementem niepokoju, który nieodłącznie towarzyszy lekturze, nie zapowiada entuzjastycznej wizji życia (7).

Odkłamywanie rzeczywistości, nazywanie rzeczy po imieniu, dawanie świadectwa prawdzie – oto m.in. cele, które stawiają przed sobą twórcy wszelkich dzieł sztuki. Emigracyjny poeta, Stanisław Barańczak, w komentarzu do własnej twórczości napisał: „Bierze się ona cała z instynktownego przeświadczenia – tyle silnego, co w oczywisty sposób pozbawionego racjonalnych podstaw, że

większość z tego co nas spotyka, jest pogwałceniem jakiejś niepisanej umowy, której istnienie dano nam aluzyjnie do zrozumienia w momencie narodzin. Rzucani nieznaną ręką w świat, mamy przecież – zdawałoby się – prawo oczekiwać, że miejsce, w które nas się rzuca, jest przeznaczoną dla nas siedzibą, przestrzenią przychylną ludzkiemu życiu. Nikt z nas ,nigdy by nie przypuścił’, że od pierwszego momentu życia świat obejmie go uściskiem jednocześnie zachłannym i dławiącym, że rozciągnie go między biegunem rozkoszy i bólu” (8). U Mackiewicza owe skrajne bieguny zostały metaforycznie ujęte w wyodrębnionym w tekście napisie nad dźwignią służącą do włączenia ogrzewania wagonu kolejowego: „CIEPŁO – ZIMNO”. I jak w pociągu, zmiana położenia dźwigni zależy od przypadkowego pasażera, tak losami bohaterów „Karierowicza” kieruje przypadek. Występuje inna relacja niż w „Drodze donikąd”, gdzie wydarzenia wyraźnie ingerowały w życie bohaterów, którzy byli pionkami nieposiadającymi autonomii w planie historii. W „Karierowiczu” przypadek, lekkość myślenia i nieostrożność bohaterów, stanowi wyraźny determinant ich losów. Niedoświadczony Leszek, zaprzyjaźniając się z Florem, pozostaje w stosunku do niego w relacji uczeń – nauczyciel. Potęgujący się wpływ przebywania w obecności „mistrza”, który wprowadza bohatera w świat dorosły, doprowadził do podjęcia decyzji o ucieczce ze szpitala i dezercji z wojska. Umityczniona puszcza, do której wybierają się Leszek i Flor, urosła do rangi i niebiańskiego rajy i miejsca, w którym miała nastąpić życiowa próba młodego bohatera. Nauczyciel pozostawił ostatecznie ucznia na pastwę losu, wierny wypowiedzianej maksymie – „Do życia się spieszyć, to jak na własną zgubę. A w szpitalu – to urlop od wszystkiego” (9). Zarysował się kontrast pomiędzy tym, co miało czekać Leszka w szpitalu nabierającym cech jakiegoś skrótu życia, a tym, co przynieść mogła ucieczka, kontrast, który potwierdza zawieszenie życia między biegunami „CIEPŁA-ZIMNA”. Bohater zdecydował się przyspieszyć leniwy potok swojego istnienia i zrezygnować z „urlopu od wszystkiego”, bo nie bieda, lecz nuda zżera człowieka. W perfekcyjny sposób (poczynając od zaskakującego porównania zmian pór roku do wojennych walk po stwierdzenie, że ranego „odniesiono do szpitala a... nazajutrz rano, jak zwykle punktualnie przyszedł doktor Dawydow”) (10) ujął Mackiewicz peregrynacje bohatera, w trakcie których przechodzi kolejne życiowe próby – samotności, wytrwałości, zarad-

ności i... najogólniej mówiąc – człowieczeństwa. Spotkanie ze starcami o biblijnych imionach, niezwykle starannie nasycone filozoficzną głębią okazuje się jak gdyby punktem kulminacyjnym nie tylko wyprawy lecz powieści. Od tej pory bohater – człowiek zostaje stopniowo kompromitowany. Pogłębia się mizantropia Józefa Mackiewicza, zarysowana już w epizodzie targowania się o życie Józia. Świadczy o tym m.in. personifikacja natury, którą Mackiewicz obdarza prawem głosu i oceny człowieka. Człowieka, który stanowi jej część. „Czy słyszał kto kiedy, żeby wiatr litował się nad pojedynczym liściem zerwanym z drzewa? Takiego wypadku nie było, jeszcze w ciągu milionów lat. A czymże był Leszek w przestrzeni tego czasu, by się ponad liść wynosić?” (11). Nawet natura, z którą człowiek jest związany, kieruje się przeciw niemu. Wymarzona puszcza, w której podobno można się było skryć niczym igłą w stogu siana, jest nieprzychylna człowiekowi. Idący przez las Leszek nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest zauważony przez wszystkie drzewa i wytknięty palcem. Być może, gdyby droga odbywała się „za sprawą”, być może, gdyby była drogą do własnej chaty, natura sympatyczniej traktowałaby człowieka i sympatyczniejszy jej obraz kreśliłby pisarz. Nie było sprawy, nie było chaty, nie było mistrza i... pozostała bezsilna wściekłość za niesprawiedliwość losu, bezsens wszystkiego i desperacki strzał do bezbronnych. Zestawienie człowieka ze światem przyrody wypada na niekorzyść istoty ludzkiej. Nie umie ona pokierować swoim losem. Jest bierna. Natura została obdarzona przez Mackiewicza większym zaufaniem niż człowiek, co wynika być może z baczego przyglądania się, porównywania i zestawiania. W sposób niezwykle dynamiczny jest także komentarzem do przeżyć i nastrojów bohaterów. Spełnia tę funkcję nie tylko w „Karierowiczu”, lecz w zasadzie we wszystkich powieściach. Przykładem niech będzie fragment: „Poczucie bezmiaru bezradności przy łóżku chorej potęgowała jego rozpacz... Gdy wyszedł na ulicę wydało mu się, że tak właśnie powinno być, żeby latarnie stały spowite we mgle. To odpowiadało zamgleniu, jakie panowało w jego głowie. Jasnego słońca nie mógłby sobie chyba wyobrazić, stanowiłoby rzecz nie do zniesienia. Na szczęście wszystko wokół odpowiadało konsekwentnie temu nastrojowi” (12). Nie natura wymyśliła wojny, nienawiść i kłamstwo, Katyń, sprawę pułkownika Miasojedowa i mord Kozaków w Alpach. Świat jest dziełem człowieka. Wędrówka Leszka – motyw poszukiwania lepszego świata – zo-

stał groteskowo zakończony. Nie doświadczenie życiowe, nie wiedza wpływa na losy, lecz przypadek – w powieści hańbiąca, z punktu widzenia kodeksu żołnierskiego, rana. Życie bohatera uzależnione jest od owej rany. Tak już świat jest urządzony – mówi Mackiewicz. Brak w nim logiki. Leszek i jego kariera (za którą kryje się określenie – chyba ironiczne – życiowej drogi) jest taki sam jak inni, z tymi samymi skłonnościami, namiętnościami, dążeniami. Słusznie twierdził Michał Sambor: „W tym gorzka mądrość pozornie staroświeckiego tytułu, który jak gdyby zapowiadał studium o człowieku takim samym jak każdy z nas” (13). Autor „Buntu rojstów” perfekcyjnie ukazał jednostkę uwikłaną w społeczną, obyczajową i estetyczną dysharmonię świata, w którym triumfuje nuda, bezsilność, zło i zakłamanie (jest to również powieść o mechanizmie kłamstwa). „Parabola w porażającej grotesce uwydatnia bezsens historycznej struktury rzeczywistości, odwołuje się, jak zdegradowana spadkobierczyni, do wartości metafizycznych, których nie znajduje. Ale do systemu pojęć współczesnych, jak niegdyś moralitet i tragedia wnosi wyostrzony schemat problemu, niszczy konformizm łatwej opisowości” (14). Skromna fabuła zawiera wiele ważnych elementów, które służą do kompromitacji ogólnie przyjętych wartości: przyjaźni (Flor staje się szantażystą), małżeństwa (Helena nie z miłości wyszła za Dawidowskiego), rodziny (nie najlepsze układy w domu Anastazji), wiary (epizod przypadkowo zastrzelonego Żyda, czy wyróżniający się sposobem ujęcia monolog Flora o płaszczu). Warte podkreślenia są proste prawdy płynące z mistrzowsko prowadzonych dialogów i monologów. Można je podzielić na dwie kategorie: pesymistyczne (jak – „I wy mówicie, że pieniądze to nie wszystko, życie-pustka, głusz, las i las, życie nie zna honoru”) oraz optymistyczne, które wyrażają jak gdyby nadzieję w ogólnie pesymistycznej wizji świata i życia („Przyszłość to jest zmiana. Bo życie to jesteśmy my sami, jeszcze wszystko będzie dobrze”). Niektóre epizody, jak np. spotkanie ze starcami czy zakochiwanie się Leszka i Ani, mogą potwierdzić opinię cytowanego już Michała Sambora: „Jeśli jednak bezład, bezsens i szpetotę istnienia opisuje się nad podziw składnie, celowo i pięknie – alchemia słowa może zmienić ‚la tristesse de vivre’ w... radość życia, która potrafi buchnąć z najbardziej przygnębiającego utworu i wbrew woli autora odkupić jego świat, odkrywając w nim ład, znaczenie i piękno” (15). Wydaje się co prawda, że z radością życia autor

recenzji nieco przesadził, niemniej pozostawia Mackiewicz człowiekowi wiarę w pewne wartości. Być może chciał podkreślić, że tylko naturalne więzy między ludźmi mogą ocalić człowieka i jego świat od totalnego (a może totalitarnego?) rozkładu i apokalipsy. A wspomniany ład i piękno dotyczy raczej świata natury niż człowieka. Nieprzypadkowo człowiek ukazany jest przez pryzmat „dużych piersi, wystających sutek, brudnego, sterczącego pępka”, natomiast przyroda – nietypowo pięknie. Przyroda jest drugim bohaterem powieści. Sposób jej przedstawienia – pozbawiony w zasadzie mnogości epitetów, a polegający raczej na usytuowaniu jej elementów w przestrzeni i w czasie – jest sposobem oryginalnym. Pocieszające jest to, że Anastazję stać na posadzenie kwiatów i założenie ogródka, że na parapecie jej okna stoi alpejski fiołek, że Flor nieskrystalizowaną w uczuciu, namiętą tkliwością otaczał swoją oranżerię. I pocieszająca jest jeszcze jedna rzecz. Zarysowany przez Mackiewicza świat obrazuje ciągle zmiany.

Józef Mackiewicz jest pisarzem realistycznym. Przy czym biorąc pod uwagę dwa sformułowane przez Iana Watta zakresy pojęcia realizmu: pierwszy – realizm przedstawienia (zespół konwencji zmierzający do wywołania iluzji, że powieść stanowi pełną i autentyczną relację o doświadczeniu człowieka w czasie historycznym wymiernym, w przestrzeni geograficznie umiejscowionej, w otoczeniu szczegółowo scharakteryzowanym, postaciami ludzkimi wymagającymi indywidualizacji) i drugi – realizm oceny, wartościowania, interpretacji z obecną mądrą interpretacją życia, analizami skomplikowanych powiązań między świadomością indywidualną a społeczeństwem ludzkim będący uzupełnieniem realizmu przedstawienia można stwierdzić, że realizm Mackiewicza bliższy jest definicji drugiej (16). Rzeczywistość jest ukazana na chwilę, sportretowana. Narratorski komentarz o historii przyjmowanego przez dyrektora szpitala nazwiska oparty na częstych w czasach wojny zachowaniach nie stanowi jedynie opisu zjawiska, ale i jego podskórną ocenę. W świecie przedstawionym musiał, być może dlatego, doktor Dawidowski popełnić samobójstwo. Bezsens wojny i wszystkiego, co z nią związane skomentował Mackiewicz ironicznie – poczynając od ruiny grottgerowskiego motywu wyruszenia na wojnę, ukazania koszar, w których Leszek uświadomił sobie, do jakiego stopnia świat może być zamknięty, horyzonty ograniczone wolą wachmistrza, a szerokie drogi

zakazane już przy bramie, ośmieszenie działań wojennych, instytucji wojska (z deztertera zrobiono bohatera) aż do epizodu z ozdobną szablą. „Dostało się” i małomiasteczkowym układom w powojennej rzeczywistości – łącznie z państwową pracą na leśniczówce (krytyka łapówkarstwa, protekcji, nieuczciwości).

Józef Mackiewicz przejawiał skłonności do kompromitacji autorytetów i odrzucania stereotypów. W świecie Mackiewicza człowiek pozbawiony jest świadomości relatywizmu ocen i wartości. Obie płaszczyzny dzieła – realistyczna i paraboliczna uzupełniają się wzajemnie. Po reporterskim „Buncie rojstów”, książce o Katyniu, „Drodze donikąd” wydany został „Karierowicz”, paraboliczna książka o doli ludzkiej. Przypowieść nie rozwleka się, jej symboliczna forma pozwala skupić w wieloznacznym symbolu rozległe treści, a wymowność symbolicznego obrazu umożliwia przyswajanie tych treści w sposób bezpośredni i najbardziej sugestywny, bo drogą wyobraźni i uczucia. Józefowi Mackiewiczowi udało się dobrać istotę z mnogości zjawisk, ich sens i nastrój, i zawrzeć to wszystko w jednym przenikliwym zarysie.

PRZYPISY

- 1) Maria Danilewiczowa. Karierowicz Józefa Mackiewicza. „Wiadomości” Londyn 1956, nr 518.
- 2) ibidem.
- 3) Michał Sambor. Nad Karierowiczem. „Wiadomości” Londyn 1958, nr 16.
- 4) Słownik terminów literackich pod redakcją Janusza Sławińskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich 1988.
- 5) Wit Tarnawski. Od Gombrowicza do Mackiewicza. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1980, s. 73.
- 6) Takiego określenia użył Jerzy Malewski w szkicu „Zmarł Józef Mackiewicz” /w:/ Nieładnie, nieładnie panie Surdykowski. Zapewne dla podkreślenia nietypowości „Karierowicza” w porównaniu do pozostałych „monumentalnych” powieści Józefa Mackiewicza.
- 7) Józef Mackiewicz. Karierowicz. „Baza” Warszawa 1989, s. 5.
- 8) Stanisław Barańczak.
- 9) Mackiewicz, op.cit., s. 34.

JÓZEF MACKIEWICZ – PISARZ CZY POLITYK (NA PRZYKŁADZIE „KARIEROWICZA”...

- 10) ibidem, s. 78.
- 11) ibidem, s. 58.
- 12) ibidem, s. 92.
- 13) Sambor, op.cit.
- 14) Alina Brodzka. O pojęciu realizmu w powieści XX i XIX-wiecznej. /w:/
Problemy teorii literatury, tom I, Ossolineum, Warszawa 1987, s. 312.
- 15) Sambor, op. cit.
- 16) por. Alina Brodzka, op.cit., s. 298.

ŁUKASZ PERZYNA, PIOTR WÓJCIK

**„ZAPAMIĘTAJ: JEDEN NABÓJ, JEDEN NIEMIEC”
ROZMOWA Z POWSTAŃCEM WARSZAWSKIM
HENRYKIEM PIOTROWSKIM PS. EDEK ZE ZGRUPOWANIA
KRYSKA**

- Jak to się stało, że godzina „W” zastała Pana na Górnym Czerniakowie, jak wtedy mówiono, teraz ten teren nazywa się raczej Powiśle - skoro mieszkał Pan na Bielanach. Miał Pan wtedy 14 lat, a jednak zdążył Pan w Powstaniu Warszawskim wziąć udział?

- Nie znałem oczywiście terminu jego wybuchu. Pojechałem do ciotki na obiad i tam zaskoczyły mnie dalsze wydarzenia. Wtedy rzeczywiście byłem czternastolatkiem, ale wraz ze starszym bratem musieliśmy sobie od paru miesięcy radzić sami. Ojciec był wojskowym, jeszcze w 1918 r. rozbrajał Niemców w Warszawie. Zaś w 1920 r. został ciężko ranny w wojnie z bolszewikami. Kiedy w 1939 r. wyruszył na kolejną wojnę, żegnając się powiedział, że ma przeczucie, iż z niej nie wróci. Matkę w kwietniu 1944 r. Niemcy aresztowali z rąbanką, nielegalnie przewożonym mięsem. Została rozstrzelana w egzekucji ulicznej. Ciotka chciała wtedy mnie i brata wziąć do siebie. Jednak my powiedzieliśmy, że sobie poradzimy. Brat stał się już prawdziwym typem warszawskiego cwaniaka, razem handlowaliśmy papierosami. 1 sierpnia 1944 r. pojechałem do ciotki na obiad na Fabryczną. Bo niby jakoś sobie radziliśmy, ale ciotka podkarmiła mnie jak mogła. I tam mnie wybuch Powstania zastał. Zaczął się ostrzał od placu Trzech Krzyży. Potem budowałem wraz z ludźmi barykadę na Czerniakowskiej. Wskazywałem walczącym „gołębiarzy” czyli snajperów niemieckich, którzy siali spustoszenie wśród powstańców i cywilów. Widać nieźle mi to wychodziło, skoro zaproponowano mi, żebym został łącznikiem. Od połowy sierpnia byłem już po prostu w oddziale. Wtedy wszyscy rwaliśmy się do walki. Wychowanie też zrobiło swoje. Ojciec był starszym sierżantem. Pistolet miał w kaburze. Zapamiętałem na zawsze, chociaż wtedy

ROZMOWA Z POWSTAŃCEM WARSZAWSKIM HENRYKIEM PIOTROWSKIM...

miałem wtedy pięć lat zaledwie, jak ubrał się w galowy mundur, kiedy na Polu Mokotowskim, gdzie znajdowało się lotnisko, odbyło się pożegnanie Marszałka Józefa Piłsudskiego.

- Jak przedstawiała się sytuacja w Pana dzielnicy?

- Trwał ostrzał od ulicy Rozbrat. Szkoła na rogu, nazywała się handlówką, była wtedy twierdzą niemiecką. Podobnie jak gmach Liceum Batorego. Trwały walki na osi Fabrycznej. Gdy w bunkrze pełniłem dyżur, snajperzy tylko przez ten czas ranili dwóch żołnierzy. Patrzę, jeden z naszych, na imię miał Stasiak, mierzy przez otwór bunkra. Nagle karabin mu upada, lufą do piasku. Dopadam do rannego, pytam co się stało. Pokazuje mi, że cztery palce uciął mu pocisk. Dostał też w brodę i w szyję. To mógł być nabój dum-dum, Niemcy wtedy takich używali, a były zakazane przez konwencje międzynarodowe. Rozpryskiwały się po trafieniu w cel, w człowieka po prostu, co powodowało dodatkowe cierpienia. Chusteczkę przyłożyłem, tyle mogłem zrobić. Krew buchała z krtani. Trzeba było biec po ratunek. Znałem już przejścia w miarę bezpieczne, pomimo ostrzału. Ulicą przecież się nie biegło, za przejścia służyły nam dziury wyrębane w ścianach. Pędem dobiegłem i już u celu mówię: „Panie poruczniku, w bunkrze żołnierz ciężko ranny”. Od razu z powrotem do bunkra pobiegły ze mną pielęgniarki i jeden żołnierz. Na miejscu wziął od razu karabin tego rannego, z piasku oczyścił. Wziął do ręki lornetkę, żeby poznać pozycję Niemców, zanim wystrzeli. Zapewne błysk jej szkła stał się sygnałem dla snajpera. Widzę nagle, że ten kolejny żołnierz też się wali na ziemię. Trafili go w szyję i głowę, w okolicach oka. Znowu trzeba było pomoc dla ciężko rannego organizować. Jeden z żołnierzy wziął hełm tego rannego. Wystawił go na lufie karabinu. Cofnął po chwili. I zobaczyliśmy od razu w tym hełmie duże dziury. Oczywiście zabraniali mi, powtarzając to kilkakrotnie, po tym co się zdarzyło, podchodzić do okna. „Ani mi się waż” - usłyszałem od jednego z wyższych szarż.

- Jednym z niezwykle charyzmatycznych dowódców w walkach na Powiślu okazał się „Tur”, Zbigniew Edward Specylak-Skrzypecki?

- Zdażył w ostatniej chwili na Powstanie Warszawskie. Był zrzutkiem. Wyładował 31 sierpnia na łące pod Pruszkowem. Dostał się potem do Warszawy..

po prostu WKD, bo kolejka jeszcze jeździła. Zanim do niej wszedł, zwinął spadochron i do rolnika odniósł. Kazał mu go zniszczyć lub ukryć. Nakarmili go tam tylko, przebrał się i pojechał do stolicy. Adres kontaktowy miał podany na Kruczej. Na godzinę przed wybuchem Powstania zameldował się w punkcie kontaktowym. Dowódca batalionu „Tur”, w którym służyłem, to był sympatyczny, miły człowiek. Biła od niego kultura. Dobrze ludzi traktował, elegancko się do nich zwracał, nie robiło mu różnicy, czy rozmawia z łącznikiem czy żołnierzem. Jako inspektor przychodził na dyżury nocne, sprawdzał, czy warta śpi czy czuwa. Dwa razy byli z „Kryską”, Zygmuntem Netzerem, dowódcą zgrupowania, a raz z „Radosławem”, Janem Mazurkiewiczem. Kiedyś „Tur” osobiście dawał mi naboje do ręki, amunicji wtedy brakowało, bo to był już wrzesień. Z punktu obserwacyjnego mieliśmy podgląd na obie szkoły: Bato-rego i handlową. Patrzymy, a czołgi jadą w naszą stronę. Strzelali po domach. A żołnierz wtedy do mnie mówi: „Edek, ja mam tylko 10 kul”. Wiedziałem, co to oznacza. Biegłem wtedy tak, że po drodze drewniaki zdjąłem, żeby było szybciej. Kapitan „Tur” od razu, gdy do niego przyszedłem, zorientował się, o co chodzi. Nasze czerniakowskie dowództwo co dwa dni zmieniało lokum, kolejno znajdowali się na Przemysłowej, Wilanowskiej i Szarej. W sali paliły się cztery świece. Elektryczności przecież już nie było. Za długim stołem siedzieli „Radosław”, „Kryśka” i „Tur”. Temu ostatniemu powiedziałem, że dwa czołgi wjechały w naszą ulicę, a żołnierz nie ma już amunicji. „No to, czekaj” - mówi. I podszedł do regału. Na tym regale leżały ładownice, maski i amunicja starannie ułożona. Patrzę, a tu „Tur” daje mi magazynek. Jeden. A w nim pięć kul. „Tylko tyle” - rozczarowania nie potrafiłem ukryć. „A czym ja mam się bić?” - spytał mnie „Tur”. Dodał, żebyśmy się nie krzywił. Powiedział, że właśnie tyle dostanę. I jeszcze coś: „Zapamiętaj, jeden nabój, jeden Niemiec. Oszczędzaj”. Po wojnie kontaktowałem się z „Turem” tylko raz. Został aresztowany w 1949 r, przesiedział kilka lat, zmarł w latach 70.

- Jak wyglądał koniec Pana udziału w Powstaniu?

- Zgrupowanie „Kryśka” toczyło ciężkie walki w rejonie Zagórnej. Zaś 14 września rano, ale kiedy już było widno, zobaczyłem na Fabrycznej najpierw jeden, potem drugi czołg. A za tym drugim chmarę Niemców w mundu-

ROZMOWA Z POWSTAŃCEM WARSZAWSKIM HENRYKIEM PIOTROWSKIM...

rach SS. A ja już byłem ranny, po zasypaniu 12 września na Czerniakowskiej. Okazałem się jednak przydatny, bo żołnierz kazał mi zaraz biec z meldunkiem. „Szybko, bo nas zaleją”. Zameldowałem i wracam. Po drodze zatrzymuje mnie jeden z żołnierzy. Pyta, jak Niemcy. A przy okazji zdejmuje mi furazerkę i opaskę. Gdy pobiegłem dalej, przekonałem się, po co to zrobił. Usłyszałem: „Hande hoch!”. I kilka łuf naraz poczułem na żebrach. Oprócz Niemców byli tam wtedy Azjaci, kolaboranci rekrutowani spośród jeńców sowieckich. Zapędzili mnie na podwórko, wygarniali ludzi z mieszkań. Tych, co uznali za „Polnische Banditen” rozwalali na miejscu, więc okazało się, że ten żołnierz mi życie uratował. Jako czternastolatkowi udawanie cywila nie przyszło mi zbyt trudno. Na terenie ogrodów sejmowych odbywała się selekcja, przeprowadzali ją SS-mani i volksdeutsche. Zabrali z piętnaście, może osiemnaście osób na natychmiastowe rozstrzelanie z grupy łącznie dwustuosobowej. A resztę nas popędzili na Szucha. Siadać nie pozwalali, słyszeliśmy: „aufstehen”. Nie dawali nam też wody, chociaż się o nią dopominaliśmy. Dopiero po dłuższym czasie już na Rakowieckiej, dokąd trafiliśmy z Szucha zajechali wózkowi z kawą i razowym chlebem. Nasi mówili jeden do drugiego: nie bierz pełnego kubka, żeby i dla mnie wystarczyło. A kawałki razowca dosłownie się połykało. Potem na bocznicę kolejowej na Okęciu załadowano nas do pięciu wagonów. Od razu do Niemiec. To był już 16 września 1944 r. Wokół widać było wyładowane skrzynie, pościel, wszystko, co Niemcy wywozili z dopalającej się Warszawy.

- Często uczestniczy Pan w uroczystościach i spotkaniach. Cieszy się Pan, że może Pan dawać świadectwo, przywoływać pamięć poległych i zmarłych kolegów i dowódców?

- Młodzieży, dla której jest to czas odległy, warto przypominać, że kiedyś historia Powstania Warszawskiego była zapomniana lub zakazana i wypaczona. Trzeba wrócić do dobrej tradycji patriotycznej pracy państwowej.

HENRYK PIOTROWSKI

MOJE WSPOMNIENIA I DRAMATY MŁODZIEŃCZEGO ŻYCIA



*Tak wyglądałem przed powrotem do kraju –
do Ojczyzny. Hildesheim-Wald 1946 r.*

*Nie mam żadnych wcześniejszych pamiątek
osobistych ani rodzinnych.*

*Wojna i Niemcy zabrali mi wszystko. Uśmier-
cili rodziców i brata, zniszczyli dom rodzinny
i wszystkie pamiątki rodzinne.*

Ja niżej podpisany Henryk Edward Piotrowski, urodzony w Warszawie, 31 lipca 1930 roku, oświadczam: Jestem Kombatantem - Powstańcem Warszawskim Zgrupowania Armii Krajowej „Kryska”, batalionu „Tur”, o pseudonimie „Edek”. Jestem inwalidą wojennym, byłem więźniem trzech obozów hitlerowskich, w tym obozu koncentracyjnego Sachsenhausen w Berlinie - Zehlendorf.

Jak zaznaczyłem, urodziłem się w Warszawie, na Bielanach, przy ulicy Przybylszewskiego. Tu, w tej nowo powstającej dzielnicy przeżyłem szczęśliwe najmłodsze dzieciństwo. Tu chodziłem do przedszkola, mieszczącego się w sierocińcu pod nazwą „Nasz Dom” i Szkoły Powszechnej numer 21 przy ulicy Szymona Bogumiła Zuga (Cuga). Ale szczęśliwe dzieciństwo skończyło się z chwilą wybuchu Dru-
giej

Wojny Światowej. Ojciec mój uczestnik wojen i walko niepodległość Polski w la-

tach 1918, 1920, 1926 otrzymał również Kartę Mobilizacyjną w 1939 roku. Z tej wojny Ojciec już nie powrócił. Zginął śmiercią żołnierza. Z chwilą, gdy zabrakło Ojca w naszej rodzinie, cały ciężar związany z jej utrzymaniem spoczął na wysiłku i zaradności naszej Mamy. Mama uznała, że w zaistniałej okupacyjnej rzeczywistości, najkorzystniejszym sposobem dochodu może być tylko handel. Tak też czyniła, zajmując się drobnym handlem, przeważnie wymiennym, pomiędzy miastem a wsią. Latem Mama zmieniała sposób zarobkowania na sprzedaż owoców. W tej branży, to jest mój starszy brat i ja, musieliśmy już Mamie pomagać.

Towar, to znaczy owoce, kupowaliśmy od dostawców przy Dworcu Głównym w Warszawie w Alejach Jerozolimskich, jak też wyjeżdżaliśmy w teren, przeważnie do miejscowości Boża Wola, gdzie towar kupowaliśmy wprost od chłopów. Miejsce sprzedaży owoców zlokalizowała Mama na prowizorycznym straganie przy Placu Konfederacji i tu w sposób zmianowy prowadziliśmy handel. Ale pomimo nieustannej harówki naszej Mamy, dochody na utrzymanie rodziny, były wciąż niewystarczające. Tak też Mama, chcąc oszczędzić na ogólnych wydatkach związanych z utrzymaniem domu, postanowiła zrezygnować z przedwojennego dużego i wygodnego mieszkania, i przeprowadziliśmy się do skromniejszego oraz znacznie tańszego na ulicy Barcickiej 42, a po roku do jeszcze bardziej skromnego na ulicy Kleczewskiej.

W kwietniu 1942 roku dosięgła naszą rodzinę kolejna tragedia po stracie Ojca. Nasz najmłodszy braciszek Stefanek, po krótkotrwałej chorobie nagle zmarł. Zmarł na czerwonkę. Ale dramatów i ciosów od życia w naszej rodzinie nie był koniec. Rok 1944 był to czas nasilającego się terroru okupanta, w tym łapanek i egzekucji ulicznych. W dniu 11 kwietnia 1944 roku nasza Mama była w Śródmieściu Warszawy. Pech chciał, że znalazła się zasięgu łapanki, i to wystarczyło, aby stracić życie. Wieczorem Dzielnicy Bielańskiej Policji, powiadomił nas, że nasza Mama została zatrzymana w łapance i rozstrzelana w ulicznej egzekucji. Wiadomość o śmierci naszej Mamy sparaliżowała nas. Przez długą chwilę, brat i ja, staliśmy, jak dwa martwe posągi. Dopiero po pewnym czasie, oświadczyła nas rozpacz, załamanie i ból po stracie Mamy. Z naszej pięcioosobowej rodziny pozostało nas już tylko dwu braci. Z letargu spowodowanego rozpaczą wyrwała nas sąsiadka, nakazując nam, abyśmy natychmiast powiadomili rodzinę Mamy o zaistniałym wydarzeniu.

Nasza Mama miała ośmioro rodzeństwa i niemal wszyscy mieszkali w War-

szawie. Toteż z bratem, jak najszybciej powiadomiliśmy rodzinę o tragedii. Ja poszedłem do rodziny mieszkającej na Wawrzyszewie a mój starszy brat udał się do krewnych w Śródmieściu. Wiadomość o śmierci naszej Mamy rodzina przyjęła z wielkim bólem. Zadaliśmy jednocześnie sobie pytanie: Co się stanie z ciałem naszej Mamy? Warszawiacy dobrze wiedzieli, że Palmiry to jest miejsce, gdzie Niemcy grzebali we wspólnych dołach zwłoki więźniów politycznych, jak też rozstrzelanych w egzekucjach ulicznych. Powstał wielki problem a jednocześnie cel, żeby zdążyć i odzyskać ciało naszej Mamy. Policja polska jednoznacznie odpowiedziała: w tej sprawie decyduje tylko Urząd Bezpieczeństwa Trzeciej Rzeszy czyli Gestapo. Problem załatwienia sprawy narastał, bo ktoś z naszej rodziny odważy się udać do jaskini „Lwa”, to jest do tego urzędu, mieszczącego się przy Alei Szucha. Całą nadzieję i oczekiwanie w pomyślnie załatwienie sprawy wujkowie i ciocie skierowali w stronę wujka Teofila. Wujek Teofil, mąż ciotki Wiktorii, najstarszej siostry mojej Mamy, pracował w polskiej firmie stolarskiej, mieszczącej się na ulicy Kazimierzowskiej.

Firma ta niemal w całości wykonywała zamówienia i zlecenia Koszar SS „Schaufé Kaserne” znajdujących się na ulicy Rakowieckiej. Właściciel firmy p. Dzierła od wujka Teofila dowiedział się o naszej tragedii rodzinnej a chcąc nam pomóc w tej wyjątkowej sprawie, poprzez swe znajomości i dobre układy z Niemcami z ulicy Rakowieckiej, doprowadził do tego, że ciało naszej Mamy znalazło się w Zakładzie Medycyny Sądowej na ulicy Oczki. W kaplicy Zakładu Medycyny Sądowej żegnałem swoją Mamę i po raz ostatni Ją widziałem. Pogrzeb naszej Mamy odbył się na Cmentarzu Wawrzyszewskim. Po pogrzebie zrozpaczonego i całkiem załamanego, wprost z cmentarza zabrała mnie do siebie ciocia Wiktorina. Mieszkała ona ze swą rodziną na ul. Fabrycznej. Do zakończenia roku szkolnego jeździłem do szkoły z Czerniakowa na Bielany. Ale z chwilą nastania wakacji ciotka Wiktorina zażądała abym partycypował w utrzymaniu. Nie było innego wyjścia, wziąłem wzór z mojego starszego brata i rozpocząłem uprawiać handel uliczny papierosami. Ten sposób zarobkowania był w okupowanej Warszawie dość rozpowszechniony wśród dorastającej młodzieży męskiej. Mój rejon zarobkowania, to pętla tramwajowa na Bielanych, tramwaje i ulica Marszałkowska. Przy ulicy Marszałkowskiej, róg Nowogrodzkiej znajdował się ostatni przystanek kolej-

MOJE WSPOMNIENIA I DRAMATY MŁODZIEŃCZEGO ŻYCIA

ki WKD, tu był nieustanny ruch cały dzień i tu był najkorzystniejszy utarg. Lecz kochana i litościwa ciocia Wiktorcia chciała, abym nie tylko partyticipował w moim utrzymaniu, ale także chciała mieć kontrolę nad moimi dochodami. Tu spotkała się z moim twardym sprzeciwem. Oświadczyłem stanowczo: ...Ciociu, już pracuję na swoje utrzymanie, płacę Cioci wyznaczone tygodniówki, a reszta zarobku, to już moja własność.

Nadszedł dzień 1 sierpnia 1944 roku. Po obiedzie u ciotki chciałem udać się na codzienny sposób zarobkowania. Z ulicy Fabrycznej żeby dostać się do Śródmieścia miałem dwie drogi. Jedna z ulicy Czerniakowskiej, druga z Alei Ujazdowskich. Wybrałem aleje Ujazdowskie. Idąc ulicą Górnośląską, Piusa znalazłem się w Alejach. Długo, a nawet bardzo długo czekałem na tramwaj. W tym czasie mogłem obserwować i podziwiać „pedanterię” armii niemieckiej. Od placu Trzech Krzyży jechał nieustanny ciąg furmanek konnych z załadowanymi rozchełstanymi, niekompletnie ubranymi, brudnymi i zarośniętymi żołnierzami niemieckimi, uciekającymi z Frontu Wschodniego. Raptem na placu Trzech Krzyży rozległy się strzały, które z czasem mocno się nasiliły. Jadący na wozach żołnierze niemieccy, nie wiedząc, co się dzieje, również chwycili za broń i zaczęli strzelać na oślep. Znalazłem się w kłopotliwej sytuacji a jednocześnie groźnej, bo mogłem niechcący być poczęstowany serią z broni



Skrzyżowanie ulic Rozbrat z Górnośląską. Tu w tym miejscu, tuż przed godziną „W” mogłem być posiekany ogniem z broni maszynowej przez „żółtków” stacjonujących w tej widocznej szkole zwanej „Handlówką”.

maszynowej przez przejeżdżające żołdactwo niemieckie. Nie namyślając się długo, postanowiłem uciekać do domu.

Pobiegłem w dół, ulicą Piusa. Dopadłem schodków przy ulicy Górnośląskiej. Tu stacjonowała żandarmeria. Zapewne poruszeni odgłosami strzelaniny, spora grupa żandarmów z bronią gotową do strzału wyległa na schodki. Nie zwolniłem biegu i bez przeszkód przebiegłem obok nich. Skierowałem się ku ulicy Rozbrat. Zbliżyłem się do skrzyżowania ulic Górnośląskiej i Rozbrat. Tu w dawnej Szkole Handlowej stacjonowała duża jednostka wojsk SA. To znaczy „żółtków”. Tu przed wejściem do szkoły dreptało już około trzydziestu hitlerowców, każdy uzbrojony w broń długą i pistolety maszynowe. Mnie, biegnącego, wpuścili w swój okrąg, a z chwilą, gdy znalazłem się poza ich skupiskiem, otworzyli wówczas do mnie huraganowy ogień. Nie wiem jakie siły działały wtedy na moją psychikę i na moje siły fizyczne.

Pamiętam do dziś, że przewracałem się, i podrywałem. Pomimo upadków, huku wystrzałów i świstu kul nad moją głową, myślałem tylko o jednym - uciekać. Gdy już wbiegłem w ulicę Fabryczną a następnie do bramy naszego domu, zauważyłem, że wbiegłem do bramy na bosaka i bez walizeczki z papierosami. Nie wiem gdzie te rzeczy zgubiłem. Ale najważniejsze, że z takiego ostrzału wyszedłem cało, nawet ni okaleczony. Zbliżał się wieczór, odgłos wystrzałów

i pojedynczych wybuchów był wciąż słyszalny, i to nie tylko w oddali, ale nawet z bliskich odległości.

Nagle na podwórzu naszego domu wkroczył patrol oddziału powstańczego składający się z porucznika i dwu żołnierzy. Od razu widać było, że to żołnierze, pomimo że w cywilnych ubraniach. Ale hełmy na głowach, opaski biało czerwone na rękawach i karabiny na ramionach, to



Ulica Fabryczna. Na miejscu gdzie stał dom Fabryczna 16, w którym mieszkalem, obecnie stoi ten potężny budynek.

potwierdzały. Porucznik trochę się różnił, gdyż był w furazerce, z opaską na ramieniu i pistoletem w kaburze przy pasie. Na podwórzu kręciło się sporo mieszkańców naszego domu, tak też porucznik miał do kogo się odezwać. Porucznik w sposób zdecydowany oznajmił, że w Warszawie wybuchło Powstanie Warszawskie i że od dzisiaj mieszkańcy Warszawy podlegają pod prawa, rozkazy i polecenia Komendy Głównej Armii Krajowej i Dowództwu odcinka Czerniaków. Poza tym nakazał, aby natychmiast zabarykadować bramę, zaś mężczyźni zmianowo mają pełnić dyżury całodobowo. Rozkazu nie trzeba było przypominać. Z miejsca kilkunastu mężczyzn i oczywiście ja, wzięliśmy się do roboty. Z mieszkań zbędne meble, z piwnic niepotrzebne klamoty, kamienie wyrwane z posadzki podwórka, wszystko to posłużyło nam do zbudowania barykady w bramie.

Wiem, że tej nocy w ogóle nie spałem. Wokoło zapanowała dziwna i żywa atmosfera, tym bardziej, że strzelanina wokół nas wciąż się nasilała. Bardzo wczesnym rankiem już 2 sierpnia znalazłem się na ulicy Czerniakowskiej. Rejon ulicy Czerniakowskiej urzekał. Szczególnie tu na odcinku od ulicy Przemysłowej do Zagórnej. Ulica była wolna, wszędzie swobodny i radosny ruch, nigdzie żadnego Niemca, ludzie rozgadani i pogodni, okazujący entuzjazm na widok naszego żołnierza czy sanitariuszki, i co najbardziej podnosiło na duchu, to że w oknach powywieszano flagi białe czerwone. Nie mogę przemilczeć tak zauważalnego zapału i spontanicznej współpracy z wojskiem powstańczym ludności cywilnej. 2 sierpnia w godzinach porannych Niemcy odważyli się wjechać od ulicy Łazienkowskiej w Czerniakowską dwoma czołgami. Choć czołgi zostały zmuszone do wycofania się, ale skutek pozostał. Dowództwo wojsk powstańczych naszego odcinka zmobilizowało mieszkańców do współpracy i pomimo dziennego ostrzału ze strony Niemców, my budowaliśmy barykady i przekopy. Na pierwszy rzut zbudowano barykadę i wykop u wylotu ulicy Fabrycznej w Czerniakowską. Następna barykada stanęła na styku ulic Solec, Łazienkowskiej i Czerniakowskiej. Kolejne u wylotu ulicy Mącznej w ulicę Czerniakowską, jak też wylotu ulicy Zagórnej w ulicę Solec. Około południa wzięliśmy się być może za najpotężniejszą barykadę, którą zbudowaliśmy na ulicy Czerniakowskiej, pomiędzy ulicami Fabryczną a Górnośląską. Do budowy tej barykady wykorzystaliśmy dwa wagony tramwajo-

we, no i oczywiście najróżniejsze meble, kłamoty i wyrwane z jezdni kamulce oraz ziemię. Podczas tych prac przy budowie barykad i rowów przejściowych oraz zaporowych, dowiedziałem się, że dowódcą wszystkich znajdujących się na Czerniakowie oddziałów powstańczych jest porucznik „Siekiera” (Roman Rożałowski).

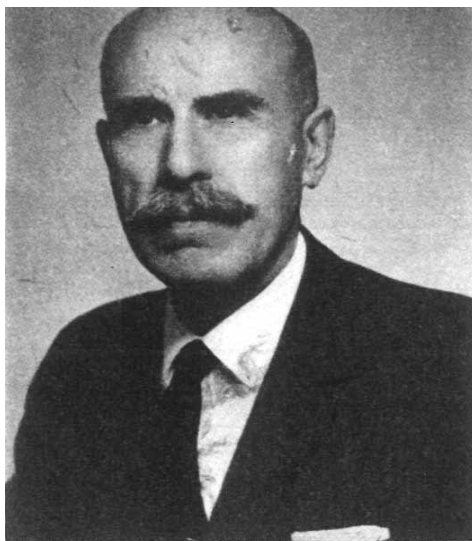
Poza tym dowiedziałem się, że na Godzinę „W” znajdujące się ugrupowania i oddziały powstańcze Czerniakowa miały wyznaczone obiekty wroga do zdobycia i opanowania. Tymi wyznaczonymi obiektami były: Sejm - kierunek natarcia od Alei na Skarpie i ulicy Frascati; Szkoła, to znaczy „Handlówka” - na rogu ulic Rozbrat i Górnośląskiej; Gimnazjum Batorego - na rogu ulic Rozbrat i Myśliwieckiej; oraz „twierdza”, jaką był Stadion Legii. Niestety, wszystkie ataki, wszystkich naszych oddziałów powstańczych, nie zdobyły żadnego wyznaczonego celu, ponosząc jednocześnie poważne straty w ludziach i tracąc znaczną ilość posiadanego tak skromnego uzbrojenia.

Po tych nieudanych atakach na bastiony wroga, Niemcy mieli już orientację z jakimi siłami przyjdzie im się mierzyć, aby zdobyć tak strategiczny teren. 2 sierpnia, to była tylko próba wdarcia się w nasz teren. 3 sierpnia szwaby pokazały swą siłę i mściwość. Od wczesnych już godzin rannych czołgi zaatakowały Czerniaków od wiaduktu mostu Poniatowskiego posuwając się w głąb ulicy Solec, jak też ulicą Czerniakowską od ulicy Książęcej i Ludnej. Artyleria ze stadionu Legii nie próżnowała, odezwały się moździerze, granatniki i krowy (wyrzutnie rakietowe zwane też szafami). Ale to jeszcze nie wszystko, po raz pierwszy bowiem, od wybuchu Powstania Warszawskiego, w tym dniu szwaby aż trzykrotnie dopuścili się bombardowania Czerniakowa. Sztukasy bombardujące i ostrzeliwujące z broni pokładowej, obrały sobie za cel ulicę Łazienkowską po przeciwnej stronie do stadionu Legii.

Jeśli chodzi o mnie, to mogę z pełną szczerością stwierdzić, że dzień 3 sierpnia 1944 roku był dla mnie dniem chrztu bojowego. Atak czołgów, ostrzał artylerii i granatników oraz bombardowania sztukasów spowodowały, że szereg domów zamieniło się w gruzowiska. Pomimo ostrzału ludzie biegli i odgruzowywali rumowiska, bo z wielu wydobywały się jęki i wołania o pomoc. Nie mogłem być obojętny, widząc co się dzieje wokoło. Niemal cały dzień bez wytchnienia pomagałem w odgruzowywaniu i wydobywaniu rannych, ale też

MOJE WSPOMNIENIA I DRAMATY MŁODZIEŃCZEGO ŻYCIA

i martwych ludzi. Jeśli ktoś był ranny od postrzału a mógł jeszcze chodzić wówczas pomagałem mu i odprowadzałem do szpitala. Były przypadki, że dwie pielęgniarki dźwigały rannego na noszach do szpitala. Wystarczyło spojrzeć, że niektóre, tak młode, piękne, delikatne dziewczyny dźwigają rannego, pomimo że same już słaniają się ze zmęczenia. Wtedy podbiegałem i zastępowałem przy noszach tę bardziej zmęczoną. Pierwszy powstańczy szpital zorganizowany w Domu Zarobkowym Starców przy ulicy Czerniakowskiej przyjął tylko w tym dniu kilkadziesiąt rannych. W południe, kiedy doprowadzałem rannych do szpitala, pacjenci przyjmowani byli i lokowani w piwnicach su terenach tego domu. Natomiast już pod wieczór, kiedy tam zachodziłem, wszystkie sale w piwnicach były już wypełnione rannymi i w dużej mierze na parterze. Tyle zła i kalectwa spowodowały szwaby tylko w jednym dniu,



Kapi

Kapitan „Kryśka” – Zygmunt Netzer



Kapitan Tur, Zbigniew Specylak-Skrzypecki, dowódca 1 batalionu zgrupowania Kryski

a ileż było ofiar śmiertelnych! Uważam, że powinienem wspomnieć o losie i życiu ciotki Wiktorii. Otóż Wujek Teofil, mąż ciotki Wiktorii, w dniu 1 sierpnia nie wrócił do domu na Fabryczną. Jak wspomniałem, wujek pracował na Mokotowie, na ulicy Kazimierzowskiej, zapewne Godzina „W” uniemożliwiła mu powrót.

Ciotka w pierwszych dniach Powstania rozpaczała z tego powodu. Później, to już żyła nadzieją, że może jednak mąż wróci. Ciotka z córką spać chodziły do piwnicy, bo tak robiła większość mieszkańców naszego domu. Natomiast ja byłem tylko gościem w domu. Uważałem, że na naszej ulicy jest dość spokojnie, to też nie schodziłem do piwnicy a spałem u ciotki w pokoju na miękkiej otomance.

Ciotka po wielokroć nalegała i prosiła, żebym nie włączył się poza domem. Ale ja na prośby i groźby ciotki nie reagowałem. Sprawy związane z Powstaniem ponosiły mnie, a nawet chęć zemsty za śmierć rodziców i brata. W dniu 4 sierpnia Niemcy nie zwolnili tempa w ostrzale artyleryjskim, nalotów lotniczych i coraz śmielszych ataków piechoty przy wsparciu potężnych tygrysów. Ulica Książęca, pomimo że była pod stałym ostrzałem, była to jednak jedyna droga, która łączyła Czerniaków ze Śródmieściem.

Z pewnością wtedy doszedł raport do Głównej Komendy Powstania Warszawskiego, że na Czerniakowie jest bardzo krucho z obroną, tak strategicznego terenu. Z tego względu z 4 na 5 sierpnia i z 5 na 6 sierpnia, tą drogą, nocami ze Śródmieścia na Czerniaków zesła ponad sześćset osobowa załoga Zgrupowania „Kryśka” pod dowództwem kapitana Zygmunta Netzera „Kryśki”. Z chwilą przejścia na Czerniaków Oddziałów Zgrupowania „Kryśka”, dotychczasowy dowódca sił powstańczych tej dzielnicy, porucznik „Siekiera” niezwłocznie przekazał podległe mu ugrupowania pod komendę wyższego stopniem kapitana „Kryśki”. Kapitan „Kryśka” przybył na Czerniaków w sile dobrze zorganizowanych i uzbrojonych dwóch batalionów. Były to:

1 batalion pod dowództwem kapitana „Tura” (Zbigniew Specylak - Skrzypecki);

2 batalion pod dowództwem kapitana „Tuma” (Teofil Budzanowski).

Kapitan „Kryśka” znał swoich oficerów, jak też wartość bojową swoich batalionów. Nie znał zaś miejscowego wojska, ani sztabu dowódczego. To też

MOJE WSPOMNIENIA I DRAMATY MŁODZIEŃCZEGO ŻYCIA

niezwłocznie zwołał naradę całego zespolonego sztabu wojskowego, celem wspólnego poznania się i ustalenia wspólnych działań. Po naradzie całego sztabu, kapitan „Kryśka” z udziałem wybranych oficerów dokonał przeglądu terenu i jednocześnie wyznaczył granice działań i obrony tego strategicznego dla Powstania przyczółka. Jak się okazało, ze względu na swoje położenie, Czerniaków stał się wydzielonym, objętym walkami powstańczymi obszarem wojskowym, rodzajem zamkniętego kotła, otoczonego ze wszystkich stron oraz zdominowanego przez obiekty i siły militarne wroga.

Od wschodu teren naszych działań ograniczała ulica Solec oraz Wisła. Od południa nasz teren znajdował się po parzystej stronie ulicy Łazienkowskiej, począwszy od ulicy Rozbrat aż do ulicy Czerniakowskiej i dalej aż do Wisły. Od zachodu granica naszego terenu przebiegała wzdłuż parzystej strony ulicy Rozbrat, począwszy od ulicy Łazienkowskiej aż do ulicy Książęcej. Od północy granicę naszego terenu działania wyznaczały tereny Gazowni Miejskiej i ulica Ludna aż do ulicy Wioślarskiej.

Jak już wspominałem, na terenach okalających nasz wydzielony objęty walkami powstańczymi obszar działania, Niemcy posiadali silnie ufortyfikowane obiekty w których stacjonowały dobrze uzbrojone jednostki niemieckie. Były to:

Od wschodu pływająca po Wiśle silnie uzbrojona kanonierka „Pionier”; od południa Stacja Pomp Rzecznych, Szkoła Powszechna - Czerniakowska 128 (potężny gmach), stadion Legii - znajdowały się tam liczne baterie armat, wyrzutni granatników i moździerzy, Dom Harcerza, a także w parku Agrykola wszelkiego rodzaju typy armat i wyrzutni; od zachodu Gimnazjum i Liceum imienia Stefana Batorego, Szkoła Handlowa (Handlówka), Dom Akademicki przy ulicy Górnośląskiej oraz Sejm i ogrody na Skarpie; od północy Szpital św. Łazarza oraz wiadukt mostu Poniatowskiego.

Wszystkie te obsadzone przez Niemców obiekty górowały nad pozycjami polskimi, dając wrogowi dobry wgląd w nasz teren. Ta niekorzystna dla Polaków sytuacja już w samym założeniu wroga stwarzała powstańcom olbrzymie trudności w ich zdobyciu.

Przegląd terenu pozwolił dowództwu wyznaczyć nowe zadania i nowe pozycje, celem zabezpieczenia niektórych miejsc, gdyż były niczyje. W tej sytuacji

dowódca Zgrupowania kpt. „Kryśka” wraz z zastępcą kpt. „Turem” przydzielił poszczególnym dowódcom odpowiednie odcinki, tak iż tworzyły one teraz pewien system zamknięty. Ugrupowanie jednostek bojowych o charakterze partyzanckim w pierwszej fazie Powstania, zostało teraz poddane scentralizowanemu dowództwu. Było to konieczne, ze względu na coraz bardziej aktywne działania Niemców.

Umacniamy nasz teren, urządzamy przekopy, które łączą odcięte domy. Życie przybiera pewne zorganizowane formy, ludzie czują się coraz pewniej, pomimo, że niektóre ulice są pod ostrzałem niemieckich cekaemów. Istną zmurą w naszej dzielnicy, były działania skrytobójczych zabójców. Na terenie bowiem Górnego Czerniakowa mieszkało dużo Niemców, ale też i zdrajców Narodu Polskiego - volksdeutsch'ów, nazywanych przez warszawiaków „foks-trotami”. Maskowali się oni, nie zdradzając swojej przynależności, a jako „foks-troci” posiadali broń, nawet karabiny z lunetą, które umożliwiały im zabijanie przechodniów, zarówno żołnierzy Powstania, jak również członków służb sanitarnych. Nasi dowódcy trafnie rozpoznali tę dokuczliwą formę dywersji i doprowadzili do stworzenia kilkusobowych grup do tropienia oraz likwidacji tych skrytobójczych zabójców, zwanych potocznie „gołębiarzami”. Do patroli tych zgłosiło się dość dużo chłopców, wśród nich i ja. Jak się później okazało, to właśnie my chłopcy, byliśmy najlepszymi tropicielami, dzięki miejscowym chłopcom, którzy znali dokładnie swój teren. Moja pięciosobowa grupa tropieli mogła się pochwalić aż sześcioma doprowadzonymi do żandarmerii powstańczej złapanymi „gołębiarzami”. Podczas tej mojej działalności tropiciela poznałem w dużej mierze tę dzielnicę Warszawy. Poznając tę dzielnicę, wykryłem, że znajdują się tu dwie piekarnie. Toteż kilka razy udało mi się bez kolejki zdobyć bocheneczek chleba, który zanośiłem do domu dla ciotki i jej córki, aby sobie przypomniały, jak smakuje chleb.

Poza tym dwukrotnie udało mi się dostać do olbrzymiego magazynu Społem Z artykułami spożywczymi, skąd wyniosłem znaczące ilości makaronów, mąki, cukru i przecieru pomidorowego. Magazyn ten znajdował się na ul. Wilanowskiej, róg Czerniakowskiej. W połowie sierpnia Niemcy obrzucili go zmasowanym ostrzałem granatników, z „Krów”, co doprowadziło do zniszczenia znajdującej się tam jeszcze dużej ilości artykułów żywnościowych.

MOJE WSPOMNIENIA I DRAMATY MŁODZIEŃCZEGO ŻYCIA

Chociaż oddałem się całkowicie sprawom związanym z działaniami wojska, myślałem też o rodzime, gdyż u ciotki zapasy artykułów do spożycia już się wyczerpały.

Było to siódmego sierpnia. Po całodzienniej służbie poświęconej wyszukiwaniu „gołębiarzy” w naszej dzielnicy, zmęczony i potwornie głodny, wracam do naszego domu. Ciotka jak zwykle zostawiła dla mnie jakąś część posiłku z tego co sporządziła w ciągu dnia dla siebie i dla córki. Zjadam podany posiłek, szykuje się do snu i odpoczynku. Ledwie co zdążyłem przysnąć, gdy raptem poderwał mnie na nogi potworny huk. Pobiegłem do okna, w uszach miałem nieustanną kanonadę artylerii przeciwlotniczej, a w oczach, w granatowej toni nieba, rozbłyskało tysiące świetlnych pocisków. Widowisko nawet piękne, ale i groźne. Byłem oszołomiony tym widokiem i czym prędzej wybiegłem na podwórze. Tu wśród zebranych i zaciekawionych mieszkańców naszego domu, poinformowano mnie, że to Niemcy w taki sposób „witają” alianckie samoloty nad Warszawą. Dopiero rano dowiedziałem się, że to rzeczywiście był pierwszy lot samolotów alianckich spieszących nam z pomocą. Tej nocy Czerniaków został obdarowany - jednym ogromnym pojemnikiem, który spadł bardzo blisko naszego domu. Spadł na placu, a właściwie działkach warzywnych między domami ulic Fabrycznej i Górnośląskiej. Wieść niesła, że zrzut był udany i bardzo przydatny, gdyż zawierał: granaty obronne, steny, amunicję, środki opatrunkowe i coś tam jeszcze słodkiego dla żołądka.

Mijały kolejne dni, w które samoloty nieprzyjacielskie bezkarnie latały na niedużych wysokościach, bombardując, paląc i zamieniając Warszawę w wielkie gruzowisko. Teraz wzięli sobie za cel budynki położone najbliżej ul. Rozbrat, na odcinku od ul. Łazienkowskiej do Górnośląskiej. Niemal każdego dnia brałem czynny udział w odgrzebywaniu i ratowaniu przywalonych i zasypanych ludzi w zbombardowanych domach. Rannych wciąż przybywało, jak też w zastraszającym tempie również przybywało prowizorycznych mogił w naszym rejonie. Szpital Powstańczy urządzony w Domu Zarobkowym Starców przy ul. Czerniakowskiej był już zapełniony rannymi do maksimum. Dowództwo Zgrupowania „Kryski” tramie przewidziało, że obrona i utrzymanie tego rejonu na pewno pochłonie wiele ofiar. Z tego względu w dniach 5-8 sierpnia został uruchomiony duży Szpital Powstańczy pod nazwą „Błaszanka”.

HENRYK PIOTROWSKI



Leszek Skrzetuski por. „Jelito”, z-ca d-cy batalionu

Urządzono go w Warszawskiej Fabryce Wyrobów Blaszanych „Tłocznia” przy ul. Przemysłowej 19. Stąd nazwa. Dowództwo zadbało również o obsadę personelu lekarskiego i pomocniczego. Lekarzy sprowadzono ze Śródmieścia. Między innymi: dra med. Janusza Toczewskiego, ps. Brodzik, dra med. Józefa Przyżyckiego (chirurg ortopeda), dra med. Eugeniusza Zarzyckiego, ps. Rysy (chirurg), kpt. dra med. Aleksandra Kamińskiego. Pierwszym Komendantem szpitala został kpt. dr med. Piotr Załęski, ps. Karolek. W szpitalu pełniło służbę 12 sanitariuszek. Studentka med. Maria Gutowska, ps. Mulka była w nim instrumentariuszką. Pozostały personel pomocniczy skompletowano z ochotniczek, mieszanek dzielnicy.

Jest już połowa sierpnia, spodziewana pomoc ze strony aliantów nie nadchodzi. Niemcy nie ustają i wciąż bezkarnie bombardują kolejne rejony Warszawy. Włączają do akcji tygrysy, goliaty, krowy a nawet ciężką broń berty (ciężkie działa kolejowe).

Ulice Łazienkowska i Rozbrat są już bardzo poważnie zniszczone i wypalone. Toteż piechota wroga coraz śmielej atakuje ulice Przemysłową i Fabryczną. Najbliższe do ul. Rozbrat dwa bloki bankowców są już prawie w ruinie. Nadśledź teraz czas i z kolei, systematycznie wzięli się za parzystą stronę ul. Fabrycz-

nej, Ponadto „żółtki” w murze ogrodzeniowym „Handlówki” wykuli otwór na wprost osi ul. Fabrycznej, skąd nieustannie ostrzeliwują ul. Fabryczną z broni maszynowej lub przez strzelców wyborowych.

Dowódca obrony tego rejonu kpt. Leszek Skrzetuski, ps. Jelito postanowił postawić zaporę przeciw zapędom Niemców. Sprowadził czterech żołnierzy, zebrał kilkunastu ochotników, w tym i mnie, i pod rozkazami, i nadzorem kpt. „Jelito” wzięliśmy się do roboty. Rozpoczęliśmy kopanie głębokiego rowu przejściowo-łącznikowego na drugą stronę ulicy, to jest z nr 16 do nr 5. Rów a jednocześnie nasyp miał być zaporą i przeszkodą przeciwczołgową, poza tym w rowie tym zbudowaliśmy bunkier z bali drewnianych, który obłożyliśmy płytami z chodnika obsypując całość ziemią. W bunkrze tym wykonano okienko obserwacyjno-strzeleckie w kierunku na ul. Rozbrat. Zauważyć należy, że prace te wykonywaliśmy w biały dzień, i pomimo częstych ostrzeliwań nas z ogrodu „Handlówki”, mieliśmy tylko dwóch rannych mężczyzn.

Po zakończeniu budowy bunkra kpt. „Jelito”, miłym uśmiechem i serdecznym słowem podziękował nam wszystkim za solidną współpracę, po czym zwrócił się do swoich żołnierzy:

- Panowie, przyszedł czas na obsadę tych nowych stanowisk a Wy Panowie, do nocnej zmiany zajmiecie te stanowiska, jeden w bunkrze a drugi tam na poddaszu tego domu. Na razie służby tu będziecie pełnić w pojedynkę, łączników dośle, jak tylkoznajdę wolnych.

Na te słowa kapitana od razu zareagowałem mówiąc:

- Panie Kapitanie, ja z chęcią mogę tu zostać łącznikiem.

Kapitan moje słowa skwitował: - Chłopcze jesteś za młody na tak niebezpieczną służbę, poza tym, czy się zgodzą twoi rodzice.

Na te słowa miałem błyskawiczną odpowiedź:

- Panie Kapitanie, jestem sierotą i sam decyduję o swoim życiu. Poza tym mam w tym domu rówieśnika, serdecznego kolegę, i z nim będziemy mogli obsługiwać tu, te oba stanowiska.

Kapitan chwile się zastanawiał, po czym powiedział:

- przedstaw mi tu tego twojego kolegę.

Wyskoczyłem z bunkra, i dawaj, szukać Zbyszka. Znalazłem go dość szyb-

ko i prowadzę do kapitana. Pan kapitan zlustrował nas obu i zadał nam kilka osobistych pytań, po czym oznajmił:

- W takim razie muszę przyjąć od was przysięgę, taką samą jaką składają żołnierze i wszystkie służby powstańcze.

Obaj ze Zbyszkciem Szymańskim wykrzyknęliśmy: - Jesteśmy gotowi!

Pan kapitan „Jelito” mówił tekst przysięgi a my z podniesionymi dwoma palcami powtarzaliśmy słowa przysięgi i służby dla wolnej Polski:

- W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej, przysięgam być wierny Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej. (...) Tak mi dopomóż Bóg.

Kapitan „Jelito” założył nam opaski białe czerwone na rękawy koszul, obiecując jeszcze furazerki, a na koniec uściśnął nam dłonie. Ściskając nam dłonie kapitan „Jelito”, oświadczył stanowczo, że:

- Od dziś podlegamy rozkazom dowódców Powstania i żołnierzom z którymi pełnicie służbę.

Tak więc stałem się zaprzysiężonym żołnierzem Powstania Warszawskiego.

Na rozkaz kpt. „Jelito”, jeden z żołnierzy i Zbyszek zostali w bunkrze a my, to jest kpt. „Jelito”, drugi żołnierz i ja poszliśmy na strych naszego domu. Tu kapitan pokazał nam wykute cztery otwory w ścianie szczytowej i oświadczył: - - przez te otwory macie wciąż obserwować przedpole, jak i każdy ruch nieprzyjaciela od strony ul. Rozbrat i szkół „Batorego” i „Handlówki”.

Kapitan „Jelito” spełnił swe zadanie i odszedł do siedziby lub do swoich oddziałów walczących w blokach „Bankowców”. Zostałem na strychu z żołnierzem i obaj oceniliśmy, że chcąc patrolować teren, musimy to robić w pozycji leżącej. Ale jak leżeć cały czas na betonie? Puściłem oko do żołnierza i powiedziałem:

- Zaraz wracam, tylko coś załatwię.

Po kilku minutach wróciłem, dźwigając dwie grube kołdry. Żołnierz poklepał mnie po plecach, mówiąc:

- Jesteś fajny chłopak!

Kołdry rozłożyliśmy przed wykutymi czterema otworami. Już po zmierzchu zjawił się żołnierz, aby zastąpić dziennego dyżurnego. Obaj żołnierze mu-

MOJE WSPOMNIENIA I DRAMATY MŁODZIEŃCZEGO ŻYCIA

sieli się dobrze znać a być może byli dobrymi przyjaciółmi, bo powitali się bardzo serdecznie. Na pożegnanie odchodzący żołnierz, podniesionym głosem wykrzyknął:

- Rekin, zostawiam ci nowego łącznika, opiekuj się nim, aby się nie zraził.
Cześć - czołem.

I odszedł.

Tak więc pierwszą nocną służbę sprawowałem z kapralem o pseudonimie „Rekin”. Następne służby na stanowiskach w bunkrze, jak i na poddaszu żołnierze pełnili w systemie zmianowym, jak też żołnierze z różnych ugrupowań. My, to jest Zbyszek Szymański i ja również zmienialiśmy stanowiska naszej służby. Jeżeli w dzień był względny spokój w naszym rejonie, otrzymywaliśmy wówczas czas na odpoczynek i krótki sen. Jeśli chodzi o służby na poddaszu, to trzeba zaliczyć je do bardziej niebezpiecznych. Jeden powód, w upalny dzień potworna duszność, drugi zaś, w razie bombardowania i ostrzału z broni maszynowej, jak i ostrzału artylerii czy też krów, sytuacja stawała się bez wyjścia. Pomimo tych zagrożeń wołałem jednak pełnić służbę na poddaszu. W razie potrzeby, szczególnie w dzień, pełniący z nami służbę żołnierz, wysyłał nas z jakimś zadaniem i do innych akcji pomocniczych. Bloki mieszkalne „Bankowców” przy ul. Fabrycznej nieustannie były atakowane. Nasze oddziały powstańcze, chcąc się tam utrzymać, ponosiły wielkie ofiary. Transport rannych do szpitala na ul. Zagórną mógł się odbywać i odbywał najkrótszą i najbezpieczniejszą drogą, właśnie przez wykonany przez nas przekop i nasz bunkier. Toteż wielokrotnie Zbyszek i ja odnosiliśmy lub odprowadzaliśmy rannych tędy do szpitala.

Należy również zaznaczyć, że na nasze stanowiska obserwacyjno-strzeleckie często zaglądali oficerowie inspekcyjni (nawet nocą) niejednokrotnie w towarzystwie dowódcy 1. Batalionu Zgrupowania „Kryśka” kpt. „Tura”. Raz kpt. „Tur” zaszczylił nas swą obecnością w towarzystwie płk „Radosława”.

Dzień 18 sierpnia, dostajemy alarmującą wiadomość. Pociski z krowy trafiły w najwyższy budynek na naszej ulicy, przy Fabrycznej 10. Najwyższe piętra budynku zawaliły się na przyległą oficynę, grzebiąc pod gruzami dziesiątki ludzi. Pobiegliśmy na ratunek. Pomimo zagrożenia ostrzałem ratujemy, bo spod gruzów słysząc jęki i wołania o pomoc. Rękoma odrzucamy belki, deski i gruz. Wreszcie ukazały się ciała zasypanych, ale niestety większość była już martwa.

Tym razem udało nam się odgrzebać sześć osób jeszcze żywych, niestety aż siedemnaście osób umarłych.

Jeżeli dobrze zapamiętałem był to dzień 21 lub 22 sierpnia. Z jednym żołnierzem pełnię służbę w bunkrze naszego przekopu. Żołnierz w ramach pełnionej służby; co kilka minut podchodzi do okienka i lustruje ulicę. Widocznie coś zauważył, gdyż powtórzył lustrację przy pomocy lornety. Po chwili podnosi karabin i mierzy przez okienko. Nie zdążył jeszcze oddać strzału, gdy spostrzegłem, że żołnierz osuwa się na ścianę a po chwili pada na ziemię. Byłem przerażony jego widokiem, odstawiłem karabin na stronę i pochyliłem się nad żołnierzem. Zobaczyłem jego wykrzywioną twarz, dziurę i wyciek krwi z brody, a także niemal urwane cztery palce u lewej dłoni. Choć mocno przerażony, wyskoczyłem, aby sprowadzić pomoc. Pobieglem naszym bezpiecznym przejściem w kierunku ul. Czerniakowskiej. Przy barykadzie u wylotu ul. Fabrycznej zastałem sanitariuszkę „Magdę” i jednego z poruczników. Którym zameldowałem o zaistniałym wydarzeniu w bunkrze. Porucznik bez zwłoki zdjął z obsady barykady jednego żołnierza i nakazał mu wraz ze mną wrócić na opuszczone stanowisko. Wracając, na podwórzu naszego domu zastaliśmy sanitariuszkę „Magdę” opatrującą rannego żołnierza. Niebawem pojawili się też sanitariusze z noszami, którzy zabrali rannego do szpitala.

Do bunkra wróciłem z przydzielonym nowym żołnierzem. Rozejrzał się on w nowym miejscu, gdzie miał sprawować służbę. Podeszedł do okienka obserwacyjnego, aby zlustrować przedpole. Dosłownie przez moment stał przy okienku, gdy raptem widzę, że żołnierz osuwa się na ścianę i pada na ziemię. Zdziwiony patrzyłem na leżącego żołnierza. Pytam go, co się stało, lecz on uchylił tylko usta i z przerażeniem dostrzegłem wyciek krwi z gardła. Nie zastanawiałem się, ponownie biegnę zameldować o dramatycznym wydarzeniu. Na szczęście przy barykadzie u wylotu ul. Fabrycznej zastałem tego samego porucznika. Choć byłem bardzo zdenerwowany, zdołałem jednak dokładnie zdać meldunek o następnym rannym żołnierzu.

Tym razem wyraźnie poruszony, wraz ze mną biegnie na miejsce zdarzenia. Razem wpadliśmy do bunkra. Porucznik obejrzał rannego i o coś go zapytał, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Odpiął mu więc hełm i zatknął go na lufę karabinu, by podsunąć do otworu okienka. Usłyszeliśmy, niemal w tym samym

momencie, brzęk blachy. Zobaczyliśmy otwór w hełmie. Porucznik oglądając przestrzelony hełm, wycedził przez zęby:

- Wstrzelił się sukinsyn! Następnie porucznik zajął się rannym, zorganizował pomoc oraz transport rannego do szpitala. Mnie zaś zabronił podchodzić do okienka. Powiedział do mnie:

- Edek, idź na górne stanowisko, odpręż się i odpocznij po dzisiejszych przeżyciach.

Myszę, że choć w wielkim skrócie, powinienem też odnieść się do warunków życia naszej społeczności. Pomimo mojej służby w charakterze „łącznika” na stanowiskach obserwacyjno-strzeleckich, utrzymywałem kontakt z moją rodziną i mieszkańcami naszego domu. Cóż, najbardziej był zauważalny głód. Piekarnie, nasze czerniakowskie, bowiem już około dziesiątego sierpnia zaprzestały wypiekać i rozdawać chleb. Wiadoma przyczyna - brak mąki. Magazyn Społem zniszczony i opróżniony przez mieszkańców Czerniakowa, jak też zaopatrzeniowców stołówek powstańczych. Nasze mieszkanki, gospodynie domowe wszystko co miały, co nadawało się do spożycia, już wyprzątnęły i spożyły. Pełniąc służbę na poddaszu, miałem czas i możliwość podglądać przedpole przed naszym domem i znajdujące się tam działki warzywne. Głód wszechobecny, w naszym najbliższym otoczeniu, a tuż za naszym domem taka obfitość ziemiopłodów. Często w ciągu dnia musiałem przechodzić przez nasze podwórze, i tu mogłem usłyszeć i dowiedzieć się o sytuacji, a także nastrojach mieszkańców. I tak dowiedziałem się o tragedii rodzinnej u pani Sołtysik. Mąż pani Sołtysik w dniu pierwszego sierpnia nie wrócił do domu. Pani Sołtysik została sama, mając do wykarmienia trzy córeczki, w tym jedną urodzoną tu w domu, w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. Jej położenie było wyjątkowo trudne. Jak i czym wykarmić swoje dzieci, szczególnie zaś to nowonarodzone maleństwo. Postanowiłem, że muszę pomóc tej rodzinie a przy okazji i mojej, a może choć trochę i innym mieszkańcom naszego domu.

Brałem pod uwagę, przy tym, nieszczęsne wydarzenie, kiedy to dwie panie z naszego domu, w sobotę piątego sierpnia odważyły się i wyskoczyły z motykami na działki, aby wygrzebać choć trochę kartofli. Niestety zostały zauważone przez szkopów i obie zginęły.

Jak postanowiłem, tak też z miejsca rozpocząłem działanie. Ze Zbyszkciem

nie miałem trudności. Kolega z wielkim zrozumieniem i aprobatą przyjął moją myśl a w dowód naszej przyjaźni powiedział: - Gdzie ty, tam ja!

Gorzej poszło z żołnierzami, z którymi pełniłem służbę. Gdy zdradziłem swój zamiar wyskoczenia na pobliskie działki, zostałem zganiony i poczęstowany niezbyt miłym stwierdzeniem, że tylko wariat może dobrowolnie wystawiać się na niechybną śmierć. Ale byłem uparty w swym postanowieniu i na nocnej zmianie urobiłem żołnierza -dostałem zgodę. Zrozumiał on moją intencję i udzielił mi jeszcze pouczenia, jak się zachowywać w otwartej przestrzeni. Poza tym poradził, żeby wypad zrobić tylko skoro świt, że szwabcy są jeszcze zaspiani i to daje dużo większą szansę uniknięcia bycia zauważonym a tym samym postrzelenia. Zbyszek przy moim wsparciu też uzyskał zgodę - raniutko boczną furtką wyskoczyliśmy na działki. Zgodnie z radą, wyskoczyłem z furtki, padnięcie na brzuch, i doczołgałem się zagonki, gdzie rosły ziemniaki. Pod osłoną wysokich łącin kartofli, palcami wygrzebywałem ziemniaki i warzywa.

Gdy już koszyk był niemal pełny kartofli, na wierzch dorzuciłem marchew, pietruszkę, cebulkę, pomidorki i fasolkę. Z tymi skarbami - droga powrotna, wolniutko przesuwany koszyk, czołganie aż do furtki. Czas jednak nie stał w miejscu i już robiło się całkowicie widno. Gdy znaleźliśmy się na podwórzu, powitał nas gromki okrzyk radości, jak też duże zainteresowanie, co przynieśliśmy. Osobiście nie chciałem zajmować się rozdziałem mojego plonu. Oddałem koszyk mojej cioci z zaleceniem, aby przy podziale darów z działki, przede wszystkim uwzględniła panią Sołtysik. Porwałem z koszyka dwie marchewki i dwa pomidorki i popędziłem na swoje stanowisko na poddasze.

Oczywiście pomidorkami i marchewkami podzieliłem się ze swoim żołnierzem. Po trzech, a może czterech naszych kolejnych wyprawach na działki, zapragnęły dołączyć do nas dwie dziewczyny z naszego domu. Ze względów bezpieczeństwa otrzymały od nas kategoryczną odmowę. Musiałem użyć niegrzecznych słów, tłumacząc im, że my chłopcy potrafimy dostosować się do tak niebezpiecznych zadań. Poza tym czteroosobowy wypad na działki może zostać z łatwością wypatrzony przez szwabów a wtedy wszyscy możemy zostać martwi na działkach. Kategorycznie, co podkreślam, odmówiłem dziewczynom wspólnego wypadu na działki. Minęło nie więcej niż dwa dni od naszej rozmowy z dziewczynami, jak poprzednio bez rozgłosu, Zbyszek i ja robimy

wyskok na działki. Każdy zajęty jest swoim zadaniem, aby jak najszybciej nappełnić koszyk. Nagle usłyszeliśmy paraliżujący nas przeraźliwy krzyk, płacz i głosy dwóch dziewczyn wołających o pomoc i ratunek. Poznałem ich głosy, należały do dziewczyn, które wcześniej deklarowały udział w wyprawach na działki. Pod wrażeniem głosów wołających dziewczyn o pomoc, musiałem prawdopodobnie wykonać jakieś nie kontrolowane ruchy, które w mig zostały zauważone przez Niemców. W moją stronę został bowiem, skierowany solidny, prawie celny ostrzał z broni maszynowej. Kule pruły ziemię tuż przed moją głową, że aż ziemia strumieniem mi ją zasypała. Znieruchomiałem na dłuższą chwilę, owładnął mnie strach. Dziewczyny wciąż krzyczały i płakały. Musiałem sprawdzić, co się dokładnie stało. Podczołgałem się więc, do tylnej ściany zabudowań ul. Górnośląskiej. Tu już mogłem wstać i zrobić przegląd działek. Szybko zorientowałem się, gdzie leżą zranione dziewczyny, gdyż w cierpieniu nie panowały nad kamuflażem. Rozmyślałem w jaki sposób dziewczynom pomóc. Wtem nie wierząc własnym oczom, widzę mężczyznę biegnącego w kierunku rannej dziewczyny. Podnosi ją na ręce i biegnie z nią do: furtki. Nie mogłem wyjść z podziwu, wykazał się wielką odwagą a nawet bohaterstwem. Po tym, jak ów mężczyzna zabrał z poletka jedną dziewczynę, (na działce zrobiło się zupełnie cicho. Na początku słyszałem głosy rozpaczliwych dwu dziewczyn. Dlaczego ta druga milczy? Musiałem sprawdzić. Doczołgałem się do niej. Rozpoznałem ją była to Irenka, szesnastoletnia blondyneczka z warkoczem. Wołam po imieniu:

- Irenka! Irenka!

Nie mam odpowiedzi. Dotykam więc jej ciała - również nie ma żadnej reakcji. Widząc jej szarpaną ranę w okolicy miednicy, uznałem, że już skończyła. Wołam na Zbyszka. On na szczęście odzywa się. Ustalamy, spokojne wycofywanie się z poletka. W skoczyliśmy na podwórze a tu wita nas radosny okrzyk:

- Ach Boże! żyją! Wrócili!

Mnie jednak, przede wszystkim uderzyli zainteresował widok leżącej na posadzce podwórza ciężko, rannej dziewczyny, po którą pobiegł i przyniósł ją tutaj, ten tajemniczy dla nas mężczyzna. Była to Alinka, leżała teraz na kocu przykryta prześcieradłem. Jakaś kobieta klęcząc przy niej, robiła ucisk tamujący krew. Rana była okropna prawie udo powyżej kolana rozszarpane łącznie z ko-

ścią. Szczerze jej współczułem, bo widziałem, że bardzo cierpi, ale wewnątrz targała mną złość, że pomimo moich zastrzeżeń zakazów, dziewczyny mnie nie posłuchały i doprowadziły do tej tragedii. Wkrótce dotarła ekipa sanitarna. Sanitariuszki zrobiły pierwszy opatrunek i ranną Alinkę zabrano do szpitala „Błaszanka”. Czwartego dnia od postrzału, pomimo amputacji nogi, Alinka zmarła. Pochowano ją na naszym podwórzu. Wracając do tego feralnego dnia, ciało zabitej Irenki zabrano z działek dopiero wieczorem a pogrzeb odprawiono już następnego dnia. Na naszym podwórzu przybyły dwie nowe mogiły. Dwa dni po tak tragicznych wydarzeniach - pauzowaliśmy. Tak Zbyszek, jak i ja nie mogliśmy się pozbierać, po prostu opuścił nas animusz. Ale głód robił swoje i płacz dzieci wołających:

- Mamo ! Daj jeść!. Wróciliśmy do naszych praktyk i robiliśmy to niemal do końca.

Mógłbym przytoczyć jeszcze wiele ważnych wydarzeń, tak z moich osobistych przeżyć, jak i moich współtowarzyszy, bo każdy dzień i każda noc nam tych przeżyć i wydarzeń nie szczędziła. Tymczasem zbrodnicza armia Niemiec dokonywała zaplanowanego dzieła - burzenia i likwidacji Warszawy. Wymordowali dziesiątki tysięcy ludności cywilnej na Woli. Zdobyli już Wilanów, Okęcie, Ochotę i Bielany. 30 sierpnia 1944 r. padła zburzona i spalona Starówka. Wykrwawione na Starówce oddziały płk „Radosława” przedarły się do Śródmieścia. Od początku września do 23 tego miesiąca Niemcy przystąpili do generalnego i bezlitosnego natarcia na Czerniaków. Codzienne i nocne bombardowania lotnictwa niemieckiego, gwałtowne ostrzały z dział szturmowych, moździerzy granatników, ciężkich dział kolejowych berta (kaliber 600 mm), goliaty i czołgi. Poza tym do stacjonujących wojsk niemieckich w Warszawie, dowodzący nimi gen. Von dem Bach dostał do Warszawy i na Czerniaków dwie dywizje wojsk pancernych SS pod dowództwem gen. Dirlewangera i gen. Reinefartha, kryminalistów oraz kolaborantów ukraińskich, azerbejdżańskich i rosyjskich. Oddziały te wykazywały się wyjątkową brutalnością zarówno w stosunku do żołnierzy AK, jak też do ludności cywilnej, a nawet dzieci (Po zdobyciu Czerniakowa - Przyczółka Czerniakowskiego to jest po 23 września, hordy esesmańskie wymordowały niemal wszystkich rannych i chorych leżących w szpitalach powstańczych).

MOJE WSPOMNIENIA I DRAMATY MŁODZIEŃCZEGO ŻYCIA

Jak już wcześniej zaznaczyłem, wrzesień dla Czerniakowa stał się piekłem na ziemi. Jest noc z 5 na 6 września 1944, pełnię służbę na poddaszu domu Fabryczna 16 i z przerażeniem z wysokości naszych stanowisk obserwujemy zacięte walki w obrębie bloków „Bankowców”. Nagle wpada do nas łącznik z oddziałów broniących tych bloków z ostrzegawczym meldunkiem:

- Niemcy u nas robią zmasowany szturm na nasze stanowiska. Nie wiemy, czy się utrzymamy. W razie zagrożenia macie się wycofać. Cześć! Trzymajcie się! Po chwili zadumy, nagle mój żołnierz głośno przeklął i powiedział:

- Patrz Edek! Jeśli Niemcy będą podchodzić pod nasz dom, a ja mam tylko dziesięć naboí. Zasuway do dowódcy - niech da więcej naboí.

Podał mi hasło i odzew. Brzmiały tej nocy: Drewnica - Derkacz. Pobiegłem znaną mi bezpieczną drogą do budynku Fabryczna 1, w którym tej nocy stacjonowało dowództwo naszego rejonu (w garażu przy ul. Fabrycznej la była czynna wytwórnia granatów ręcznych). Przed budynkiem wartownicy sprawdzili mnie a następnie doprowadzili do właściwych drzwi. Wszedłem i zameldowałem się. W pokoju przy dużym stole, oświetlonym tylko świecami, zastałem pięciu oficerów, w tym płk „Radosława” i naszego dowódcę 1. bat. Zgrupowania „Kryśka” kpt. Tura. Kapitan „Tur” domyślił się, że do niego mam sprawę, podniósł się i podeszedł do mnie. Wypytał mnie o wszystko a na prośbę o naboje podał mi jeden magazynek tj. pięć naboí i skwitował:

- Oszczędzajcie! Tylko tyle!

Wracam z tym co dostałem. Jestem na powrót na ul. Czerniakowskiej, gdy raptem coś mnie szarpnęło w lewą nogę. Nie wiem, czy to z bólu, czy z wrażenia, ale usiadłem na bruku. Macam rękaw miejscu bólu i czuję, że ręka się lepi. Miałem jednak szczęście! Nasze sanitariuszki, wracały właśnie, na swoje kwatery na ul. Mączną, a widząc mnie siedzącego na bruku, szybko się mną zaopiekowały i zaprowadziły na ul. Zagórnądo szpitala. Ponieważ był to postrzał, więc niezwłocznie zajęły się mną pielęgniarki. Młoda lekarka obejrzała ranę i bez znieczulenia wyłuskała mi kulę z nogi. Pielęgniarki zrobiły opatrunek i kazano mi zmykać. Po zabiegu oddano mi kulę, która była mocno zdefasonowana. Zdziwiłem się i spytałem wprost, dlaczego ta kula jest taka zdefasonowana. I dopiero usłyszałem doniosłą wiadomość. Pielęgniarka obdarzając mnie miłym uśmiechem, powiedziała:

- Chłopcze, ty masz wielkie szczęście, że to był tylko rykoszet. Gdyby ta kula bezpośrednio trafiła w twoją nogę, na pewno twoja kość by się rozsypała, a tak najpierw rąbnęła w brukowiec, odbiła się i dopiero wylądowała tak płytko w twojej nodze.

Na swoje stanowisko na poddasze wróciłem z dużym opóźnieniem, toteż żołnierz powitał mnie niezbyt sympatycznie i krzyknął:

- Gdzie ty do cholery podziewałeś się tak długo?

Nie odpowiadając na pytanie, wystawiłem obandażowaną nogę. Co to jest? - pytał nadal żołnierz podniesionym głosem.

- Oberwałem panie kapralu i byłem w szpitalu. Żołnierz wyciszył się i pytał o szczegóły, a następnie przeprosił mnie, że tak niesłusznie mnie obrugał (obskoczył).

Walki na naszej ulicy trwały całą noc, szczególnie w obrębie bloków „Bankowców” i Komisariatu Policji Polskiej „Granatowej”. Pomimo walk niemal o każdą izbę czy korytarz, nasi chłopcy nie wpuścili szkopów w głąb ul. Fabrycznej. Zanim przejdę do opisu dalszych losów i przeżyć moich osobistych, przedstawię najpierw stan i działania naszych oddziałów na tym tak zdruzgotanym i umęczonym terenie.

Jak już wcześniej wspominałem 30 sierpnia 1944 r. Starówka została zdobyta przez Niemców. Wykrwawione na Starówce oddziały płk „Radosława” przedarły się do

Śródmieścia, gdzie po krótkim odpoczynku przeszły nocą 6 września na Czerniaków. Dowódcą Górnego Czerniakowa od 7 września został płk „Radosław”. Nasz dowódca kpt. „Kryśka” został mu podporządkowany.

9 września dopiero pokazały się nad Warszawą radzieckie samoloty, ale tylko jako lot patrolowy.

10 września został ciężko ranny kpt. „Kryśka” i kpt. „Tur”.

12 września Niemcy zbombardowali kościół Matki Boskiej Częstochowskiej na ul. Łazienkowskiej. Tego samego dnia zginął por. „Jelito”.

13 września Niemcy wysadzili w powietrze most Poniatowskiego.

17 września zginął por. Jan Żuchowski, ps. Trojan.

Czerniaków wciąż jeszcze walczy, ponosząc szczególnie teraz olbrzymie ofiary w ludziach. Niemcy z całą determinacją i wściekłością nie ustawiali w cią-

głych atakach na nasze placówki i domy.

Był 12 września, jestem na ul. Czerniakowskiej, wtem zawyła krowa. Z doświadczenia wiedzieliśmy, że za chwilę gdzieś blisko rąbnie. Odruchowo każdy gdzieś ucieka, aby się skryć. Ja też wpadłem do najbliższej bramy. Ale pech chciał, że pociski z krowy uderzyły właśnie w ten dom. Zostałem zasypany gruzem, belkami i różnymi deskami. Zostałem unieruchomiony, przez co zasypany gruzem, wapnem i wszelkim pyłem, nie mogłem oddychać. Przy chęci wzięcia oddechu, wdychałem niemal sam pył, co powodowało zamulenie jamy ustnej i krtani. Dosłownie się dusiłem i rodziła się myśl, że to już koniec mojego żywota. Ale z czasem kurz i pył opadł - oddech stawał się swobodniejszy. Po chwili udało mi się skrócić głowę, potrząsnąć i odważyłem się otworzyć oczy. Otworzyłem oczy i udało mi się dojrzeć mały prześwit przez który docierało do mnie światło dzienne. Byłem świadomy i uznałem, że jestem płytko przysypany, że istnieje szansa, że mnie odgrzebią z tego gruzowiska. Bardzo możliwe, że z bólu jęczałem lub bezwiednie wołałem o pomoc, bo niebawem usłyszałem głosy męskie i rumor odwalanych belek, desek i gruzu. Zostałem odgrzebany, delikatnie odkurzony i ułożony na noszach. Musiałem kiepsko wyglądać, bo sanitariuszki otarły mi tylko twarz, obmyły ranę na głowie i rozkazującym głosem wydały polecenie sanitariuszom:

- Nieście go do szpitala!

Znalazłem się w szpitalu na ul. Zagórnej. Pierwsze przystąpiły do działania pielęgniarki, które musiały mnie rozebrać z poszarpanych ciuchów, obmyć całe moje poranione i posiniaczone ciało. Następnie zajął się mną lekarz, który nałożył mój staw kolanowy i usztywnił nadgarstek lewej ręki. Z kolei, już dwaj młodzi lekarze zainteresowali się moją raną na głowie. Jakiś czas coś tam grzebali, po czym zwracając się do pielęgniarek, oświadczyli:

- My tu nie mamy warunków ani możliwości, by go tu operować. Jeżeli uszkodzenie czaszki jest powierzchowne, to przeżyje ten uraz. Zróbcie Panie opatrunki a sińce same zginą.

Jak się okazało, w gruzowisku doznałem kilku ran i wielu otarć. Miałem też wiele sińców, ale najbardziej ucierpiała głowa. Jakaś belka lub cegła wbiła się w moją czaszkę, powodując pęknięcie i wklęśnięcie czaszki.

Przeżyłem to wydarzenie i do dzisiaj noszę jego ślad. bo na czaszce mam

szramę i uskok kostny. Po zabiegu w szpitalu sanitariusz pomógł mi dojść do naszego domu. Gdy ciotka zobaczyła mnie tak okaleczonego i obandażowanego, chciała mnie ułożyć w piwnicy. Aleja odmówiłem, wolałem wrócić na stanowisko na poddaszu. Tam też mogłem leżeć a jednocześnie robić podgląd w teren. Mógłbym przytoczyć i opisać jeszcze inne wydarzenia, które działy się tu u nas, ale i w naszym najbliższym terenie walk i obrony. Tym bardziej, tak to można uznać, Niemcy we wrześniu 1944 r. wydali na Czerniaków wyrok śmierci i całkowitej zagłady, używając wszystkich sił bojowych i frontowych.

14 września o świcie, z przerażeniem dostrzegamy z wysokości naszych okienek obserwacyjnych zażarty bój o blok „Bankowców” pod nr 7. żołnierz z którym to obserwujemy, pomimo że wie w jakim jestem stanie, daje mi rozkaz: - Edek, postaraj się i dotrzyj pod 14 i 10. Ostrzeż ich, że Niemcy lada moment mogą nas zająć.

Powierzone mi zadanie spełniłem, wracam do naszego domu. Wchodzę w otwór muru dzielącego podwórza ul. Fabrycznej 14 z 16, a tuż po jego przekroczeniu nagle usłyszałem - Hande hoch!

Kilku uzbrojonych po zęby Esesmanów uderzając mnie po żebrach lufami pistoletów maszynowych zagrodziło mi drogę. Coś do mnie gadali, ale ja nic nie rozumiałem i nic im nie odpowiadałem. Widząc mnie tak obandażowanego, mogłem im się wydać podejrzanym. Popchnęli mnie do grupki oddzielonych młodych mężczyzn. Gdy tak staliśmy jako oddzielna grupa, dowiedziałem się, że zanim Niemcy wdarli się do naszego domu, obrzucili granatami przekop uliczny, bunkier i piwnice, robiąc wiele zniszczeń i powodując ofiary wśród mieszkańców. Nie mogłem już wrócić na poddasze. Nie wiem, co się stało z żołnierzem, z którym pełniłem służbę przez ostatnią noc. Pocieszałem się tylko, że pewnie zdążył się ewakuować i wtopić w ogół mieszkańców. Podwórze już się bardzo zaludniło, gdyż esesmani wszystkich mieszkańców wypędzali z piwnic i mieszkań. Wśród nich wypatrzyłem ciotkę Wiktorię i jej córkę Halinę. Dopatrzyłem się również mojego serdecznego kolegę Zbyszka Szymańskiego. Byliśmy rozdzieleni i tylko wyrazem twarzy oraz życzliwym uśmiechem mogliśmy się powitać a wkrótce i pożegnać. Długo staliśmy na podwórzu, bo Niemcy wciąż wyszukiwali w mieszkaniach ludzi i wypędzali na podwórze.

Ale były przypadki, że co jakiś czas słyszał było pojedynczy wystrzał, a na-

wet krótkie serie. Wreszcie przy obstawie Esesmanów zaczęto furtką wypędzać naszych mieszkańców na zewnątrz. Ja i około dwudziestu młodych mężczyzn staliśmy pod ścianą oficyny i żegnaliśmy wychodzących bladym uśmiechem, machnięciem ręki. Gdy wychodziła moja ciotka z córką obydwie płakały, gdyż Niemcy nie pozwolili nam się połączyć, a nawet pożegnać.

Za ogółem mieszkańców naszego domu, po kilkunastu minutach, wypędzono i naszą wydzieloną grupkę mężczyzn. W tym momencie muszę zaznaczyć, że z wypędzanych, każdy trzymał w garści lub na plecach jakieś zawiniątko, walizczkę, czy zwykły tobołek. Tylko mnie, schwytanemu w przejściu podwórzowym, nie dane było, bym cokolwiek mógł wziąć z domu. Szedłem tak jak stałem, w krótkich spodenkach i koszuli. Przeszliśmy przez działki warzywne, te, na które tak często robiłem wypad i gdzie postrzelono śmiertelnie dwie nasze dziewczyny. Wchodząc na bruk naszej ulicy, zwróciłem twarz w kierunku naszego domu. W miejscu gdzie znajdował się nasz bunkier obserwacyjno strzelecki ujrzałem przerażający obraz, potwierdzający, że Niemcy wkraczając do naszego domu, obrzucili wpierrw granatami przekop, bunkier i piwnice. Ale nie było czasu, ani możliwości, żeby rozpamiętywać przeżycia, gdyż esesmani wulgarnie popędzali nas w kierunku ul. Rozbrat. Dochodzimy do ul. Rozbrat, a tu zatrzymują nas. Z wielkim zdziwieniem widzimy, że cała ul. Rozbrat wypełniona jest wielotysięcznym tłumem ludności cywilnej. Esesmani donośnymi okrzykami i szturchaniem luf karabinowych segregują i ustawiają ludzi. Jednych kierują w kierunku skrzyżowania ulic Rozbrat - Łazienkowskiej z Myśliwiecką, a innych ustawiają na chodniku wzdłuż ogrodzenia szkół Batorego i Handlówki. Po dłuższym czasie ulica Rozbrat opróżniła się nieco i dopiero wtedy nas wpędzono, a następnie złączono z dużą grupą jeszcze pozostałych. Podczas tego całego manewru, mieliśmy czas, ujrzeć i ocenić zniszczenia domów z najbliższego sąsiedztwa. Dowiedzieliśmy się ponadto, dlaczego tak dużo ludzi znalazło się właśnie w tym miejscu.

Z 13 na 14 września całą noc Niemcy frontalnie szturmowali nasz rejon. Nasze oddziały umęczone i wykrwawione, musiały ustąpić przed machiną hitlerowską, co spowodowało, że ul. Łazienkowską, Przemysławą, Fabryczną i ul. Górnośląską opanowali Niemcy. Gdy ustawiono nas już w kolumnę, popędzono nas w kierunku ul. Łazienkowskiej. Cała ogromna kolumna ludności cywilnej

dobrze widoczna, szła ul. Myśliwiecką w kierunku Agrykoli, natomiast naszą grupę skierowano w ul. Myśliwiecką, ale pod górę. Wpędzono nas do Sejmu. Na dziedzińcu Sejmu, podobnie jak w wojsku, ustawili nas w długich rzędach, w odstępach około Im., by dokonać lustracji. Przegląd przeprowadzało dwóch gestapowców oraz jeden Volksdeutsch – „fokstrot”. Przegląd każdego z nas polegał na lustracji wzrokowej, rewizji osobistej poprzez obmacanie, czy więzień nie posiada broni, i co bardzo istotne, opinia „fokstrota”, czy ten więzień był banditen Warschau. Oczywiście „fokstrot” wykazał się swoją służalczością i wskazał na około dwunastu mężczyzn – ten był Banditen Warschau. Wskazanych mężczyzn przez „fokstrota” od razu wyprowadzono z szeregu i zaprowadzono do budynku sejmowego. Jaki spotkał ich los, tego nie wiem. A my pozostali, w ilości 150 – 200 mężczyzn i kobiet, musieliśmy podchodzić do prowizorycznych stanowisk, gdzie gestapowcy robili dość szczegółowy spis personalny-osobowy. Po skończonym spisie osobowym, potwornie zmęczeni, głodni i spragnieni, zostaliśmy wypędzeni z Sejmu i zapędzeni w al. Szucha. W al. Szucha nastąpił ponowny przegląd osobowy i lustracja każdego więźnia. Dwaj wysokiej rangi gestapowcy przy czynnym udziale jednego „fokstrota” z ul. Przemysławskiej (rozpoznanego przez innych jeńców) chodzili wśród nas i wyszukiwali osoby podejrzane lub wskazane przez wspomnianego „fokstrota”. Oczywiście i tu wyszukali kilka osób, które zabrali do budynku Urzędu Bezpieczeństwa III Rzeszy.

Było już dobrze popołudniu, gdy na rozkaz gestapowców, kazano nam iść dalej w kierunku placu Unii Lubelskiej. Minęliśmy pl. Unii Lubelskiej a dalej szliśmy Puławską do Rakowieckiej. Na Rakowieckiej po przejściu około 200 m. skręt do koszar SS. Zatrzymano nas na dużym placu koszarowym w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Tutaj jednak nasza wytrzymałość i siły nas opuściły – wszyscy jak na komendę usiedliśmy. Niektórzy nawet padli jak kłody. Czas upływał, słońce grzało a my wszyscy wyczerpani fizycznie, głodni, ale przede wszystkim spragnieni. Zaczęliśmy wołać: – Dajcie wody! Pić! Pić!

Zrozumiwały to szwaby i przyniosły nam dwa kociołki zimnej wody oraz dwa kubki aluminiowe. Wypiliśmy ją błyskawicznie i ponowiliśmy wołanie o więcej wody. Przynieśli nam ponownie dwa kociołki wody i dopiero wtedy zaspokoiliśmy pragnienie. Następnie, podobnie jak w Sejmie odbył się dokładny spis osobowy i powrót na plac koszarowy, na którym, na betonie, pod

gołym niebem przenocowaliśmy. Przenocowaliśmy bez żadnego przedtem posiłku, za to pod liczną eskortą.

Rano, już 15 września, wpędzono na plac nową grupę warszawiaków, którą z miejsca zapisywano na liście. Dopiero wtedy każdy z listy podchodzili dostawał kromkę czarnego chleba. Można było też dostać kubek czarnej, ale ciepłej kawy. Po posiłku, ponaglanych, załadowano nas na samochody i przewieziono na Okęcie. Na bocznicę kolejowej stał już bardzo długi skład pociągu towarowego. Nas więźniów załadowano do sześciu wagonów towarowych, natomiast pozostałe wagony wypełnione były łupami z opuszczonych już mieszkań wypędzonych warszawiaków. Przed załadowaniem nas do wagonów, otrzymaliśmy skromne racje żywnościowe na podróż. Wydawanie ich trwało dość długo, mogliśmy więc w tym czasie zauważyć, jak wciąż do pociągu podjeżdżały samochody ciężarowe, z których przenoszono do wagonów skrzynie wyładowane kolejnymi łupami z burzonej Warszawy. Gdy załadunek dobiegł końca, nasze wagony zamknięto od zewnątrz, i ruszyliśmy na zachód. Słońce było już bardzo nisko, gdy byliśmy już za Łowiczem. Raptem pociąg się zatrzymał. Konwojenci w mundurach SS z bronią gotową do strzału otworzyli nam drzwi od wagonów i kazali iść się załadować na pobliskiej rozległej łące. W takich przymusowych warunkach nie było co się wstydzić. Z sześciu upchanych ludźmi wagonów, wyległo na łąkę około 500 osób. Jedni obok drugich robili swoje, co musieli. Raptem poderwały nas serie wystrzałów z broni maszynowej. Jak się okazało jeden młodzienc chciał wykorzystać sytuację i uciec. Ale Niemcy „zabawili” się, pruli do niego z pistoletów maszynowych jak do słupa. Chłopak z pewnością posiekany jak sito, został na łące. Nam kazano zakończyć nasze potrzeby, wsiadać do wagonów. Pojechaliśmy dalej na zachód. Następny postój zrobiły nam szwaby w Zbąszynku. Tu pozwolili nam na trochę większy relaks i higienę osobistą. Wyżywienie tradycyjnie raz dziennie pajdka razowego chleba, ale tu już z dokładką kostki margaryny i czarna kawa zbożowa. Po około 2 godzinach głośnie:

- Achtung”!

i nakaz:

- wsiadać do wagonów”!

Przekroczyliśmy już dawną granicę Polski z Niemcami - znaleźliśmy się na ziemi wroga. (...).

RYSZARD CZARNECKI

PODZIEMNY NZS. CO NAM ZOSTAŁO Z TAMTYCH LAT?

„Gdzie się podziały tamte prywatki /
Gdzie te dziewczyny, gdzie tamten świat /
Gdzie się podziały tamte wspomnienia/
Tamtych szalonych wspaniałych lat...”

Jakoś nikt nie napisał tekstu o NZS-ie , jak Marek Gaszyński o tamtych prywatkach (poznałem go zresztą lata potem) nikt nie skomponował muzyki jak Ryszard Poznakowski do piosenki śpiewanej przez Wojciecha Gąssowskiego. Mogliśmy sobie najwyżej w tamtym czasie podśpiewywać „przy powielaczu wesoło płynie czas/ przy powielaczu wpaść może każdy z nas”. Nikt z nas nie wiedział wówczas kto te słowa napisał i do dzisiaj tego nie wiem, choć starałem się znaleźć informacje o tym podziemnym, trochę zawadiackim przeboju. Niby wszystko jest w internecie - ale tego jakoś nie ma. Ba, Mr Google tłumaczy , co to w ogóle jest... powielacz ! O tempora, o mores!

Już całkiem na poważnie: co nam zostało z tamtych „podziemnych» lat 1980-ch? Jak zaważyły na życiu gości, którzy dziś w najlepszym wypadku dobiegają sześćdziesiątki, najczęściej ją już przekroczyli, a niektórzy pukają do drzwi z napisem «70 lat» ?

Dla części z nas – mówiło mi o tym szereg osób - to był najważniejszy czas w życiu. Tak, wiem, normalny u Starszych Państwa sentyment do czasów młodości chmurnej, a może i durnej ,ale jednak niepowtarzalnej. A jednak to było coś więcej niż tylko sentyment. To był dla wielu ludzi NZS-u czas totalnego braku jakichkolwiek kompromisów. Bezkompromisowość była zaletą, ba, w naszym środowisku w jakiejś mierze nawet normą. Późniejsze, „dorosłe” ży-

PODZIEMNY NZS. CO NAM ZOSTAŁO Z TAMTYCH LAT?

cie tych kompromisów, lepszych i gorszych, dobrych moralnie i mniej dobrych nas w końcu (?) nauczyło ale wielu z tych, którzy na takie kompromisy szli to po dekadzie, a nawet po dwóch czy trzech po podziemiu tęskniło za czasem gdy zginaliśmy rękę w łokciu nie tylko wobec komunistów, ale także piewców „okrągłego stołu” i którzy uważali, że geopolityka wymaga aby się z «Nimi» jakoś poukładać.

Podziemny NZS to był czas patosu, poczucia służby, ale też nieraz zwykłego osamotnienia, gdy okazywało się, że brać studencka wcale nie chce specjalnie „studenckiego życia los” składać na „ołtarzu Ojczyzny” (proszę wybaczyć strawestowanie „Legionów”).

Czasem tamten patos dodaje skrzydeł i dziś.

Nie chcę się wypowiadać za całe pokolenie, za całe podziemie, za całe środowisko NZS, ale mnie czas „konspiracy” nauczył po prostu ciężkiej i systematycznej pracy. Potem w życiu bardzo mi się to przydało.

Dla mnie NZS był też świetną szkołą samoorganizacji i zarządzania własnym czasem. Dziś za wykłady o tym różni „coache” biorą nieźle pieniądze, ale wtedy braliśmy tę lekcję od (podziemnego) życia nie płacąc za to złotych, choć płacąc własnym czasem, nierzadko, a raczej często przedłużaniem studiów, porażkami w życiu osobistym, czasem także poczuciem jakiejś tam alienacji.

Osobiście: mnie podziemie nauczyło samoorganizacji, ale też kierowania ludźmi. Dziś „headhunterzy”, specjaliści od HR gadaliby pewnie o „zasobach ludzkich”. Wtedy jednak takie trochę bezduszne pojęcie było nam nieznane. Na szczęście.

NZS to wreszcie była długa, bo kilkuletnia nauka jak się „robi” politykę. To czas kiedy uczyłem się, uczyliśmy się rzeczy, skrajnie, jak nam się wydawało, trudnej czyli połączenia pierwotnego idealizmu z późniejszą koniecznością uprawiania polityki w skomplikowanym świecie podziemia, gdzie trzeba było uważać, aby nie dać się traktować instrumentalnie przez liderów i doradców „Solidarności” z których część była tak bardzo pragmatyczna, że aż cyniczna.

Zostały też przyjaźnie. Przyjaźń – duże słowo. Nie szafuje nim, ale są pojedyncze osoby(żadne tam tłumy), o których wiem, że pomogą mi w każdych

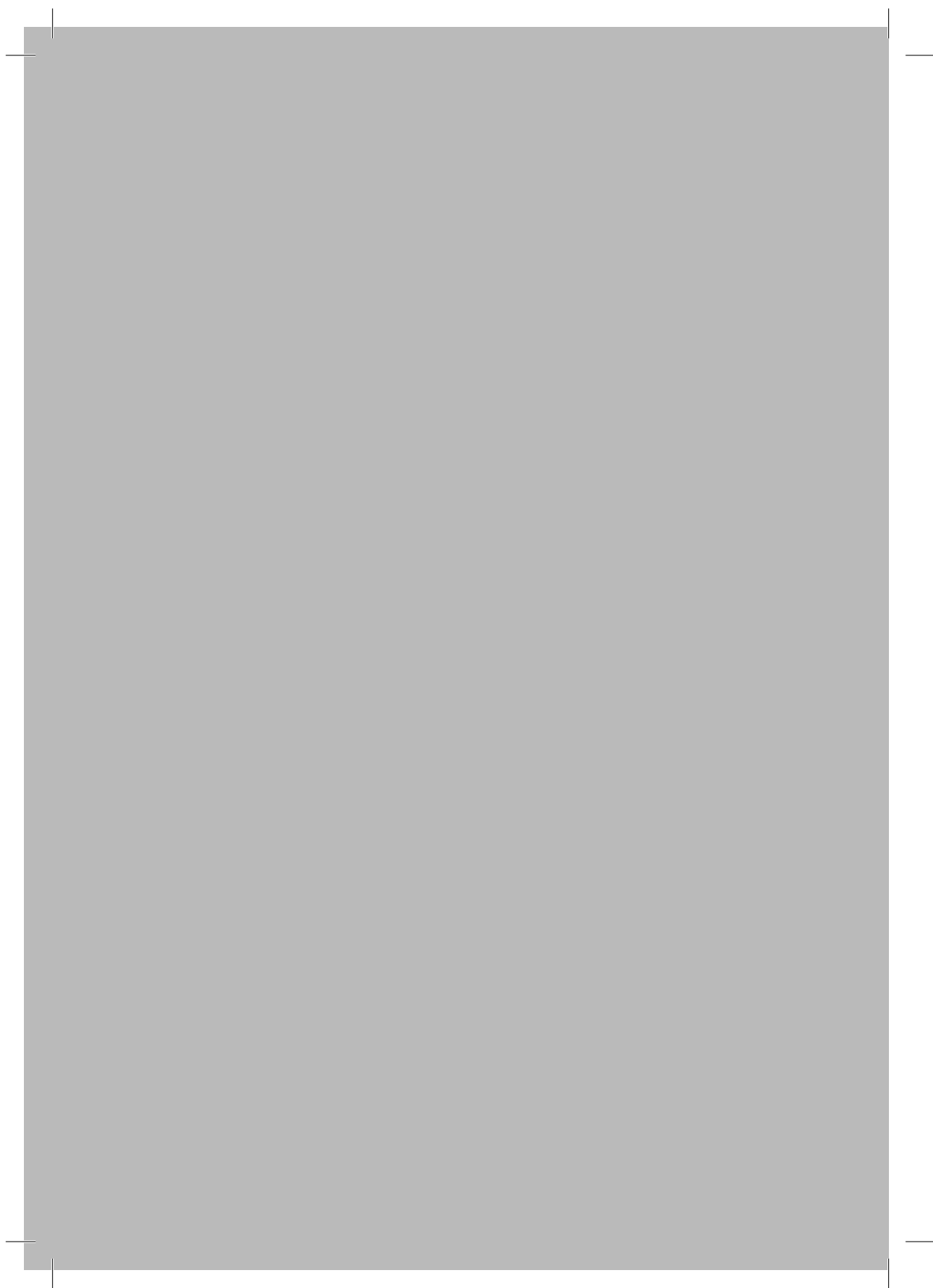
RYSZARD CZARNECKI

okolicznościach. I one wiedzą, że ja pomogę im. W ostatnim czasie – dla mnie niełatwym – miałem okazję się o tym przekonać.

Zostały też wspomnienia o ludziach NZS, którzy już odeszli. Wielu tym ceniom niezapomnianych kolegów będę się zawsze nisko kłaniał i zawsze o nich dobrze mówił, choć mieli swoje przywary, słabości, wady, śmieszności.

Zostało też – i tego nikt mi i nam nie zabierze – poczucie sensu tego czasu, tej roboty, tej konspiracyj, tej walki.





ŁUKASZ PERZYNA

KADEN, OFICER I BRYGADY

Jego los zawiera w sobie wzlot i klęskę Polski dwudziestolecia, rozpiętej między dwiema wojnami światowymi. Pierwsza z nich uczyniła z niego pisarza i autorytet obozu legionowego: sam Juliusz Kaden-Bandrowski był w I Brygadzie oficerem werbunkowym i prasowym. Druga - pozbawiła życia jego i najbliższych.

Major Juliusz Kaden-Bandrowski zmarł przed osiemdziesięciu laty z ran, odniesionych na Ochocie w Powstaniu Warszawskim. W walce z Niemcami zginęli również kolejno obaj jego synowie, których dzieciństwo opisał w tomie pogodnych opowiadań „Aciaki z I a”, bliźniacy: podporucznik Armii Krajowej Andrzej w trakcie strzelaniny na placu Napoleona w 1943 r. oraz porucznik AK Paweł, odznaczony wcześniej Krzyżem Walecznych, we wrześniu 1944 r. przy ulicy Okrąg. Pisarz we wrześniu 1939 r. nie skorzystał z propozycji opuszczenia kraju i w obronie Warszawy oddał jako szef biura prasowego swój talent do dyspozycji jej cywilnego prezydenta Stefana Starzyńskiego.

Zasłynął jako trzydziestolatek, kiedy wydał pisanych w okopach „Piłsudczyków” (1915 r.), nie tylko dokumentujących ale literacko przetwarzających legionowe doświadczenie. Dziś odbieramy ich jako opowieść o budowaniu wspólnoty. Zaś fakt, że powstawała pod kulami dodaje jej wiarygodności. Już po paru latach Polski niepodległej ogłosił „Generała Barcza” (1923), powieść porównywalną z „Przedwiośniem” Stefana Żeromskiego, chociaż nieco od niej wcześniejszą. Oddał w niej nie bez krytycyzmu fenomen odbudowy państwa i rywalizację jego Naczelnika o decydujący na nie wpływ z Narodową Demo-

kracją. W postaci Barcza powszechnie widziano Józefa Piłsudskiego. Jednak w mniejszym stopniu o Komendancie ta historia traktuje, dużo więcej mówi o jego podwładnych.

Zimno, ciepło... czyli legionowe sentymenty

W Krakowie, po czterech latach trwania kończącej się właśnie wojny światowej, nazwanej później pierwszą, brakuje węgla. A jesień 1918 r. okaże się chłodna, meteorologowie na użytek przyszłych historyków odnotują pierwszy śnieg już 14 listopada. Więc niedługo przed tą datą bohater Juliusza Kadena-Bandrowskiego musi się udać - jak mawiają burokraci - tam, gdzie trzeba.

„Teraz po prośbie za tym węglem do samego pana burmistrza (..).

Burmistrz - „nie był w stanie” (..)” [1].

Bohater Kadena, stanowiący zarazem jego powieściowe alter ego redaktor Rasiński, nie rezygnuje jednak i dalej sprawę załatwia.

„Więc znów na lirycznym przydechu wygłosił, kim jest.

Tym bardziej, że gładko zaczesany rozdawca, za balaskami, miał taki sam żelazny krzyż w kłapie surduta.

Krzyż bojów, uporów, wariactw i spisków Pierwszej Brygady polskiej.

- Jestem Rasiński (..)

Urzędnik puknął ołówkiem w grubą księgę.

- Pan Rasiński. No tośmy razem gdzieś chyba musieli?...

Obmacali się oczyma, w których, niby ciemne pasma, mijały długie wspomnienia, rozrzucone na przestrzeni tylu pozorów, zniszczeń, gruzów i niedoli.

- Pan pod Barczem - westchnął urzędnik - bliżej samego ołtarza... Ale ja też...

Wymienił z namaszczeniem jakąś jednostkę bojową.

- Barcz, panie Rasiński, to był wódz, jakby się kto pytał, co?

- Może jest jeszcze?...

Zespoleni poczuciem wspólnego kultu, radośnie spojrzeli na siebie. W końcu urzędnik, rozwarłszy grubą księgę, zaczął szukać (..)

(..) Nareszcie udało się Rasińskiemu zwyciężyć.

Obiegając czujnym wzrokiem każdą zmarszczkę czarnorudej toni zamknię-

tej brzegami wózka, kroczył lekko chodnikiem, podczas gdy „jego ludzie” pchali garbaty skarb środkiem ulicy.

W domu wielka radość z tego triumfu (..).

- Zdawałoby się, że już nic nie znaczymy, że już nas nie ma - opowiadał żonie przy obiedzie - a tymczasem nieprawda... [2]

Jeśli chodzi o szczyty możliwości polskiej powieści politycznej, tę scenę z „Generała Barcza” zestawień można z najcelniejszymi epizodami z „Przedwiośnia”, którego stulecie ukończenia i publikacji właśnie obchodzimy. Jak z tym, gdy Stefan Żeromski opisuje demonstrantów, zbierających się do marszu na Belweder bądź innym, kiedy to Cezary Baryka przekracza granicę nowego państwa i rozgląda się po pierwszym polskim miasteczku.

Pełna sarkazmu scena wyszła spod pióra kronikarza obozu legionowego, prominenta nawet, jeśli użyć późniejszego o pół wieku w powszechnym użyciu słowa, celebryty wreszcie, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli - co dodaje jej powagi i znaczenia.

Jak z uznaniem stwierdza Andrzej Chruszczyński („U schyłku międzywojnia”) również w latach 30. „Kaden-Bandrowski ad extremum doprowadza swoją technikę aluzyjnej powieści politycznej, śmiało i brawurowo prowadzi rozpoczęty w „Generale Barczu” eksperyment w zakresie ekspresjonizmu narracji a przy tym podnosi przecież w „Mateuszu Bigdzie” treści, których publiczna dyskusja w okresie bezpośrednio po procesie Centrolewu musi być uznana za świadectwo znacznej odwagi cywilnej bez względu na to, czy kierunek politycznego myślenia autora zaakceptujemy czy odrzucimy” [3].

Piłsudczyk krytyczny wobec nieudanych następców Marszałka

Kaden-Bandrowski odmówił podpisu pod listem protestacyjnym przeciw sprawie brzeskiej. Jednak tuż przed wojną jako sekretarz Polskiej Akademii Literatury skłonił tę instytucję, by nie poparła założonego w 1937 r. przez sanację Obozu Zjednoczenia Narodowego. Słał też listy do notabli z żądaniem lepszego finansowania przez władze literatury i teatru. „Adresatami byli dawni

towarzysze broni - premier Felicjan Sławoj-Składkowski i marszałek Edward Rydz-Śmigły (nb. Kaden nie podzielał propagowanej przez marszałka koncepcji nowego zjednoczenia obozu legionowego (...). W listach nie brak dosadnych tonów leguńskiej szczerości (...)" - charakteryzuje Michał Sprusiński [4].

„Juliusz Kaden-Bandrowski (1885-1944) to postać bardzo wyrazista, śmiało zarysowana, czyniąca wiele gwaru, stale na świeczniku" - tak opisuje go z kolei Piotr Kuncewicz, trochę niczym jego własnego bohatera literackiego: „(...) wychowanek konserwatorium w Brukseli, kawaler (jeszcze przed pierwszą wojną) orderu Leopolda II za zasługi dla kultury belgijskiej, działacz niepodległościowy (w kole Lelewela, tam gdzie i Dąbrowska), adiutant Piłsudskiego, redaktor, zarządca teatrów, prezes Związku Literatów, sekretarz generalny PAL - miał jeszcze wiele innych funkcji. Był oficjalnym rzecznikiem obozu legionowego i stale z kimś wojował (...). Bezspornie jedno z najświeższych piór literatury polskiej dwudziestego wieku, głęboki, przenikliwy intelekt sięgający sedna rzeczy. Pisarz polityczny tak dobry, że równego mu nie mieliśmy do dzisiaj, a jednak nie poprzestający na tym tylko horyzoncie ludzkich działań. Za mało jak dotąd pisano o Kadena-Bandrowskiego horyzoncie moralnym (...). Kaden-Bandrowski nie ma złudzeń - wie, że motyw moralny ludzkich działań jest słabiusieńki, że nawet najszczytniejsze cele oparte są na ludzkiej krzywdzie, czasem i przystaje na to - lecz nie pozwala czytelnikowi nigdy zapomnieć, nie kłamie, nie lukruje niczego - a przede wszystkim działań własnych przyjaciół politycznych" [5]. Nie pozostaje bez znaczenia, że pochwały te wyszły spod pióra autora nie tylko mocno osadzonego w intelektualnej elicie (stryj Piotra Kuncewicza był mężem znakomitej pisarki, Marii) ale konsekwentnie sympatyzującego z lewicą wieloletniego szefa postkomunistycznego związku literatów.

Na przeciwnym biegunie również Jerzy Giedroyc, którego pewnie nazywać można ostatnim publicystą II Rzeczypospolitej, nie ukrywał swojej admiracji dla autora „Piłsudczyków”: „(...) co się tyczy Kadena, to bardzo go ceniłem, przede wszystkim za „Generała Barcza”. Przeczytałem tę książkę z wielką uwagą. Ale lubiłem również jego późniejsze powieści; byłem jednym z niewielu chyba czytelników, który miał dobrą opinię o „Mateuszu Bigdzie” czy „Czarnych skrzydłach”. Problematyka tych powieści bardzo mnie interesowała a ich

podejście do niej wydawało mi się uczciwe. Kiedy mówię o pięknoduchostwie „Wiadomości Literackich”, mam na myśli właśnie unikanie problematyki politycznej, a jeszcze bardziej - socjologii, która mnie bardzo frapowała; wychowałem się przecież na Żeromskim” [6]. Co więcej, Giedroyc nie tylko podziwiał rzetelność Kadena, ale musiał być przekonany o eksportowych walorach jego prozy, skoro zaraz po wojnie wydał we Włoszech w tamtejszym przekładzie dwie tylko polskie książki: „Miasto mojej matki” Juliusza Kadena-Bandrowskiego oraz „Dziennik podróży do Austrii i Niemiec” Pawła Hostowca [7]. Zysku jednak nie przyniosły.

Bohater przełomu epok

Juliusz Kaden-Bandrowski przyszedł na świat 24 lutego 1885 r. w Rzeszowie, skąd, kiedy miał trzynaście lat przenieśli się do Krakowa rodzice: Juliusz Marian, lekarz ale i dyrektor teatru oraz Helena Kaden - śpiewaczka i pianistka. Potem sam kształcił się w konserwatoriach we Lwowie i Warszawie. Starszy o dwa lata brat Jerzy Bandrowski stał się w latach 1917-18 jednym z głównych organizatorów Dywizji Syberyjskiej, walczącej przeciw bolszewikom. Też pisał powieści i nowele, tłumaczył Jacka Londona i R. Kiplinga. Podobnie jak bratu i obu jego synom, również Jerzemu nie dane było przeżyć II wony światowej.

Zaś Juliusz najpierw miał zostać pianistą, jednak karierę wirtuoza udaremniły jakoby następstwa dwóch złamań ręki, odniesionych jeszcze w dzieciństwie. Zresztą Kaden na zawsze pozostał duchem niespokojnym.

Niczym Cezary Baryka z „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego, również Juliusz Kaden-Bandrowski rewolucję przeżył na Kaukazie, tyle, że tę z 1905 roku a nie późniejszą bolszewicką i w Gruzji a nie azerskim Baku. Rzuciły go tam namiętności, ale rywalizację o względy koleżanki z konserwatorium przegrał z jej brutalnym gruzińskim mężem. Kaukaska przygoda miłosna znajdzie potem odbicie w jego drugiej powieści „Proch” z 1913 r, gdzie napotykamy także jego kolejne życiowe doświadczenia.

Bez porównania lepiej poszło mu bowiem w Brukseli, gdzie stał się jednym z animatorów środowiska młodych, studiujących tam Polaków, pozostających pod wpływem Polskiej Partii Socjalistycznej. Tam zetknął się m.in.

z Marią Szumską, później Dąbrowską, filozofem Edwardem Abramowskim, który temu kręgowi patronował oraz późniejszymi ministrami II RP: Juliuszem Poniatowskim, Medardem Downarowiczem i Norbertem Barlickim. Kaden wygłaszał w Belgii odczyty m.in. o ks. Józefie Poniatowskim i o Powstaniu Listopadowym. To w Brukseli wstąpił w 1910 r. do tamtejszego Związku Strzeleckiego. Muzyk idzie do Strzelców, bezcenne, chciałoby się skomentować współcześnie, a o zdominowaniu formacji przyszłych wyzwoliceli Polski przez inteligencję twórczą będzie tu jeszcze mowa.

Parał się już literaturą, ale z tej pasji nie powstały jeszcze wówczas wielkie dzieła. Poniekąd symboliczna okazuje się zmiana tytułu debiutanckiej powieści „Tęsknota” na... „Nieżguła”, co nawet po ponad stuleciu wciąż skłania do żartów, chociaż rzecz spotkała się z korzystnymi recenzjami. Wyszła we Lwowie, podobnie jak tom nowel „Zawody”. Ten niewiele lepszy tytuł obrazował, jak autora pasjonowała wówczas praca fizyczna i walka o byt, w zgodzie z PPS-owskimi inspiracjami.

Gdy Kaden-Bandrowski powróci do Krakowa, pisze do założonego przez Ignacego Daszyńskiego dziennika „Naprzód”. Właśnie tam zamieści w dniu mobilizacji Legionów 2 sierpnia 1914 r. poetycką prozę z pamiętnymi słowami: „Rzuć wszystko, co by nie było szczerą prostotą Szeregu” [8].

Kaden zostaje oficerem sztabowym i werbunkowym I Brygady. W pierwszych dwóch latach wojny zdąży wydać pięć książek czy broszur. Oprócz „Piłsudczyków” z lipca 1915 r. są to: wcześniejsze od nich „Iskry” oraz późniejsze już: „Bitwa pod Konarami”, „Mogiły” i „Spotkanie”. Przedostatnia z nich pokazuje, że wciąż nie ma szczęścia do tytułów. Rekompensują to w pełni i z nawiązką „Piłsudczycy”, skoro upowszechnią nazwę legionowej formacji w szerokim obiegu i potocznej polskiej świadomości zbiorowej.

Biograf jego towarzysza broni, Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, postaci równie co Kaden wzniosłej i tragicznej, podkreśla, że „(..) skład osobowy tej „najinteligentniejszej armii świata”, czyli Legionów, a zwłaszcza I Brygady, był wybitnie inteligencki” [9]. Nacisk na to kładzie również niemal w tych samych słowach najwybitniejszy z liczного grona biografów samego Komendanta Wacław Jędrzejewicz: „Skład brygady był silnie inteligencki. Prócz młodzieży uniwersyteckiej zaciągnęli się do niej wybitni pisarze (W. Sieroszewski,

A. Strug, G. Daniłowski, J. Żuławski, J. Kaden-Bandrowski), artyści plastycy (W. Jastrzębowski, Konieczny, Ryszkiewicz, L. Gottlieb), naukowcy z dziedziny nauk ścisłych i inni. Wszyscy oni nadawali specyficzny charakter temu wojsku. Żywili pogardę dla „trepów” austriackich, zaledwie tolerowali ich oficerów, których salutowali dwoma palcami, a nie pełną dłonią, jak to było przepisane w armii austriackiej (...). Lecz ten bałagan pierwszobrygadowy był tylko na tyłach lub w czasie zastoju w operacjach wojennych. Natomiast żołnierz Piłsudskiego w bitwie wykazywał nieustraszoną odwagę, rozkazy spełniał najakuratniej, zapatrzony w swego komendanta, który dzielił z nimi «trudy i znoje», z których miała powstać Polska «by żyć» - jak głosiła piosenka» [10].

Potwierdza to Wojciech Giełżyński w „Budowaniu Niepodległej”: „Z trzech brygad legionowych - Pierwsza była się najlepiej, miała najniższy procent „zagnionych” oraz wziętych do niewoli” [11]. Zastrzega zarazem: „Strzelcy, którzy formowali się w Oleandrach we frontowe kompanie (tylko pierwsza kadrowa dostała nowoczesne manlichery, kupione przez Polski Skarb Wojskowy, następne zbrojono w jednostrzałowe werndle) nie mieli pojęcia, jakimi drogami potoczy się sprawa polska. Stanowili gromadkę nieprzejeżdżanych, którzy „na stos rzucili życia los” (...). Straceńcy-legioniści, którzy w niewiele lat później stali się samowładną elitą. Kim byli, gdy wychodzili z Oleandrów? (...) Na 11.480 legionistów, będących w ewidencji, robotników było 2.128, rzemieślników 2.642, rolników 825, inteligentów różnego typu - 5.885. Jeszcze wyższa była „inteligencckość” I Brygady” [12]. Paradoksalnie wyliczenia te znakomity autor opozycyjny z lat 80. Giełżyński podaje za rzetelnymi całkiem ustaleniami historyka Henryka Jabłońskiego, który jako współtwórca a nie badacz historii zapisał się w niej bez porównania gorzej - w roli przewodniczącego Rady Państwa wprowadzającej 12/13 grudnia 1981 r. stan wojenny. Czegoś jednak dowodzi fakt, że czołowy notabl komunistyczny właśnie I Brygadę obrał za szczegółowy przedmiot własnych badań naukowych. Pokazuje to, jak szeroko promieniował jej mit.

Jednak wyłącznie Juliusz Kaden-Bandrowski zasłużył sobie na miano jej kronikarza. Najmocniej przyczynili się do tego ogłoszeni w 1915 r. „Piłsudczycy”.

Chociaż... zawieśmy na chwilę zdanie, jak czynił to w swoim niedoścignio-

nym i rozpoznawalnym stylu sam Kaden. Po to, ażeby fragment tej właśnie książki przytoczyć:

„Nie wiem zupełnie, coście pisali i nie wiem, co piszecie i co piszą nasi młodzi - mówił mi porucznik Grudziński - od lat już nie czytuję nic prócz Słowackiego i taktyki” [13].

Oddaje to bezbłędnie charakter ówczesnego doświadczenia. Jak zauważa bowiem Maciej Kozłowski („Krajobrazy przed bitwą”): „Ci, którzy wyruszyli z Oleandrów, którzy później walczyli w Legionach nie odegrali roli zasadniczej w wojennych zmaganiach, ale przecież zgodnie z doktryną Piłsudskiego nie była to armia, lecz kadra, z której dopiero, gdy nadejdzie odpowiedni moment, miała się armia rozwinąć. I kadra ta przeszła znakomitą szkołę ze swym Komendantem na czele. Wszak właśnie poprzez czyn zbrojny samouk wojskowy Piłsudski wyrośnie na jednego z najwybitniejszych dowódców swoich czasów. Podobnie wybitnymi dowódcami będą jego żołnierze. W chwilach prób okaże się, że praca owych „ołowianych żołnierzyków” nie poszła na marne” [14].

Przyczyniła się do tego wyprzedzająca wojnę trafna prognoza Komendanta co do jej zakończenia ale też charakteru i czasu trwania (długa i na wyniszczenie, żadnych Blitzkriegów) o której zaświadcza przywódca socjalistów-rewolucjonistów rosyjskich Wiktor M. Czernow, co jej wysłuchał osobiście. W Paryżu Piłsudski, wygłaszając tam odczyt na początku 1914 roku - jak opisuje Maciej Kozłowski: „mówił więc w swym referacie, że jego zdaniem (..) w pierwszej fazie wojny Rosja pobita zostanie przez Austrię i Niemcy a te z kolei pobite będą przez siły anglo-francuskie lub anglo-francusko-amerykańskie, przewidział on bowiem, że w pewnym momencie do wojny przystąpi także Ameryka” [15].

Radość z odzyskanego śmietnika - ta powszechnie znana formuła okaże się nie tylko najlepszym z bon motów błyskotliwie inteligentnego Kadena ale leitmotivem jego powstających już po zakończeniu I wojny światowej dzieł.

Podobnie ważkie co wspomniana radość okazuje się wprowadzone w „Generale Barczu” pojęcie świętej nieprawdy - propagandy i ideologii rodzącego się państwa, materii, którą formuje bohater Rasiński. Domenę jego działania nazwalibyśmy dzisiaj marketingiem politycznym. A pracuje

**w krakowskich i warszawskich kawiarniach, jak obecni eksperci od wznie-
cania emocji zbiorowych.**

Jak przyznaje w szkicu „Niepodległość bez złudzeń” Tomasz Merta, mój kolega z KPN-owskich redakcji „Orła Białego” (1988-89) i tygodnika „Opinia” (1990 r.), który później jako wiceminister kultury w rządzie Donalda Tuska nie wrócił z delegacji do Smoleńska: „Nie można powiedzieć, żeby fabuła „Generała Barcza” była szczególnie skomplikowana czy wyrafinowana. Oto z wojennego chaosu wyłania się II Rzeczpospolita, jeszcze magmowata, nieokreślona, niekompletna. Nie jest jasne, kto nada jej formę, a tym bardziej, jaka to będzie forma. Walczący przeciwko sobie bohaterowie powieści Kadena-Bandrowskiego spierają się bowiem nie tylko o wysokość ceny, jaką należy płacić za polityczną skuteczność, ale także o kształt Niepodległej: generał Dąbrowa marzy o społecznej rewolucji, generał Krywult o narodowym zaścianku. Barcz (..) nad marzenia przedkłada działanie, nic więc dziwnego, że zdoła wywikłać się w końcu - z pomocą majora Pycia - z intryg i zamachów swoich przeciwników. Nie tylko wywikłać, ale i uczynić z nich mniej lub bardziej posłusznych wykonawców swoich poleceń. W końcu zaś przeprowadzi własną intrygę: sprowokuje politycznych przeciwników, by zarzucili jego współpracownikowi, Rasińskiemu, nadużycia. Ogłoszenie niewinności Rasińskiego ostatecznie pograży oskarżycieli, jedynym zwycięzcą czyniąc Barcza. Pozostanie mu tylko przekonać Rasińskiego, że utrata dobrego imienia nie jest ceną zbyt wysoką za zwycięstwo w wielkiej politycznej grze (..). Nietrudno odgadnąć, że Rasiński to alter ego autora, którego w 1920 roku oskarżono o dokonanie nadużyc w Biurze Prasowym Naczelnego Dowództwa” [16].

„Generał...” sam w sobie, niezależnie od politycznych konotacji, okazuje się powieścią znakomitą, choć mniej przystępną od późniejszego o rok (1924) „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego, acz podobnie jak ono niezbyt zrozumianą przez współczesnych. Przyczynia się do tego paradoksalnie nowatorski i niepowtarzalny styl Kadena, misterna ale i dobitna kadencja jego zdań, ich zaskakujące i ekspresjonistyczne inwersje, sprawiające, że autora nie sposób z nikim innym pomylić. Niezwykła to polszczyzna, dopracowana w każdym szczególe, oddająca dramatyzm tak ludzkich dylematów, jak historycznej chwi-

li. Jeśli ktoś przejął się, jak polonistka w szkole poucza, że polskiego zdania od słówka „więc” zaczynać nie wolno - niech przekona się, z jakim wdziękiem i finezją czyni to w „...Barczu” właśnie Juliusz Kaden-Bandrowski. Chyba, że woli prostotę Wandy Wasilewskiej, też autorki z międzywojnia. Próżno jednak u niej szukać podobnego bogactwa osobowości, składających się na nową rzeczywistość.

Najlepiej czyta się „Generała Barcza” bez próby identyfikacji bohaterów, jako autonomiczną - chociaż angażującą i zaangażowaną - opowieść. „Przedwiośnia” Żeromskiego też ta prawidłowość dotyczy.

Współcześni reagowali jednak inaczej. Oburzał się odmawiający Kadenowi wszelkiego talentu i w jego popularności dostrzegający przejaw zepsucia smaku Stanisław Cat-Mackiewicz: „Powieść jest opisem armii polskiej, a raczej centrali sztabowej tej armii od r. 1918 począwszy, przy czym centrala ta jest opisana jako jeden duży dom publiczny” [17]. Jeszcze, gdy „...Barcza” drukowano w odcinkach w „Kurierze Polskim” (od września 1922 r.) Adolf Nowaczyński nawet z zajawką cyklu, zapewne autorstwa samego Kadena, rozprawiał się przepełnionymi grandilokwencją słowami: „(..) tak bezecnej, trywialnej, arizonowsko-jerychońskiej, semicko-napastliwej, jarmarcznie brutalnej reklamy w polskim języku nie czytaliśmy tu jeszcze nigdy i nigdzie” [18]. Da się więc uznać, że Bandrowskiego zwalczano w sposób podobnie zajadły, co jego mentora i patrona Piłsudskiego.

Za to Maria Dąbrowska w innej zupełnie, bo wyrafinowanej i dopracowanej polszczyźnie, wykazywała, że „„Generał Barcz” jest odgadnieniem (..) postaw rzeczywistości, której żadnym innym sposobem poznać, odczuć i zobaczyć nie byłoby można» [19].

Jeszcze przed „Generałem Barczem” (1923) pojawił się „Łuk” (1919 r.) nawet ekranizowany już w 80. latach - jako „Łuk Erosa” w reżyserii Jerzego Domaradzkiego (1987), zwykle interpretowany jako satyra na dulszczyznę. Rozgłosu, jaki go otacza, nie da się jednak zestawić z towarzyszącym „powieści o Piłsudskim” jak powszechnie ją odbierano. Nieważne, że u tytułowego bohatera da się odnaleźć także składniki biogramu Kazimierza Sosnkowskiego. Podobnie

późniejsza opowieść o Mateuszu Bigdzie nie jest tylko satyrą na Wincentego Witosa. Ani zdemaskowanie egoizmu kapitału zagranicznego zwielokrotniającego zyski w Polsce - jedynym celem napisania «Czarnych skrzydeł» (1928-29). Tworzył zresztą Kaden również książki wspomnieniowe i sentymentalne jak «Miasto mojej matki» (1925) i «W cieniu zapomnianej olszyny (1926)», które najsłabiej oparły się próbie czasu.

Zgodność jak u Żeromskiego

Znakomita poetka, a w międzywojniu sekretarka Józefa Piłsudskiego w Ministerstwie Spraw Wojskowych Kazimiera Hłakowiczówna napisała o nim książkę pod jakże znaczącym tytułem: „Ścieżka obok drogi”. Na tym tle „Piłsudczycy” Juliusza Kadena-Bandrowskiego stanowią kamień milowy jeszcze u tej właśnie drogi początku. Pisani w okopach, o czym już była mowa, przynależą do literatury faktu i wytrzymują porównanie z późniejszymi najwybitniejszymi osiągnięciami polskich korespondentów wojennych: „Na probostwie w Wyszkowie” Stefana Żeromskiego o wojnie z bolszewikami, „W czerwonej Hiszpanii” Ksawerego Pruszyńskiego o tamtejszej wojnie domowej i wreszcie - last but not least - z „Monte Cassino” Melchiora Wańkowicza. Budując zasłużony pomnik legionistom, autor „Piłsudczyków” nie unika oddawania okropności wojny, jak we fragmencie poświęconym wojskowym lekarzom czy w opisie bitwy pod Łowczówkiem. Znajdziemy u Kadena prawdę o tym, co działo się w okopach na froncie wschodnim wojny światowej później nazwanej pierwszą, podobnie jak zdarzenia na linii walk francusko-niemieckich utrwalił Henri Barbusse w „Ogniu” czy Erich Maria Remarque w „Na zachodzie bez zmian” czy wreszcie wraz z bezkonkurencyjnie filozoficznym uogólnieniem w dwóch ostatnich tomach „Rodziny Thibault” Roger Martin du Gard.

Docenił Kadena jako wyrastającego ponad przeciętność obozu legionowego a później belwederskiego wybitny znawca tego środowiska Andrzej Micewski („W cieniu marszałka Piłsudskiego”), dając taką charakterystykę: „(..) chciałbym wymienić jeszcze kilka nazwisk wybitnych piłsudczyków, których jednak nie można uznać za ludzi miarodajnych w tym obozie. Będą to zresztą bardzo

różne indywidualności (...). Spośród literatów i ludzi kultury trzeba koniecznie wymienić pisarzy Sieroszewskiego i Kadena” [20].

Nie zepsuła na pewno Bandrowskiego ani nie pozbawiła krytycyzmu przynależność do międzywojennej elity. Chociaż przesował w latach 1923-26 Związkowi Zawodowemu Literatów Polskich a od 1929 r. redagował rządową „Gazetę Polską” a ściślej jej dodatek kulturalny - okazał się wolny od koniunkturalizmu. Wyjątkiem wcale nie pozostaje „Mateusz Bigda” (1933) nawet jeśli uznać, że główny cel powieści stanowi atak na Wincentego Witosa, a przed interpretacjami tak dosłownymi rozległej twórczości Kadena można tylko przestrzegać. Na pewno Bandrowski przeprowadził tam atak na parlamentaryzm II Rzeczypospolitej, dzieląc nastroje społeczne: nie bez przyczyny przecież w trakcie przewrotu majowego (1926 r.) kolejarzy masowo zatrzymywali transporty broni, przeznaczone dla wojsk rządowych. Dzięki temu zresztą udało się rozlew krwi ograniczyć. Jeśli zaś o Witosa chodzi, to pamiętać warto, że współtowarzysz drogi życiowej Piłsudskiego i twórca kluczowego dla myśli politycznej jego obozu pojęcia imponderabiliów, Antoni Anusz, znany z tak wielkiej osobistej uczciwości, że zdemoralizowana już mocno sanacja nie chciała zrobić go prezesem Najwyższej Izby Kontroli, chociaż pozostawał najlepszym kandydatem - wystawia Witosowi jeszcze bardziej krytyczną ocenę w swoich pismach, chociaż przedtem go chwalił. Nie dlatego przecież, żeby zmienić przekonania na rzecz tych, co znaleźli się u władzy lub właśnie do niej nieuchronnie zmierzali, bo pierwszy atak Anusza na szefa ludowców pochodzi jeszcze z 1925 r. W odczuciu ich obu - Bandrowskiego i Anusza, zmieniła się raczej sytuacja i chłopski przywódca, w 1920 r. wraz z Marszałkiem jako premier ratujący państwo, stał się zawadą w jego dalekosiężnych planach, co obaj przypisują małości lidera ludowców. Zresztą nie da się uznać za demagogię takiej charakterystyki autorstwa Antoniego Anusza: „Witos nie czuł potrzeby nawiązania kontaktu z przedstawicielami świata nauki i kultury polskiej, nie czuł potrzeby i dlatego nie wykorzystał nadarzających się możliwości (...). Sferę jego zainteresowań stanowiły raporty i informacje o przebiegu wieców, a otoczenie jego stanowili niemal wyłącznie agitatorzy partyjni i różnego rodzaju spryciarze, którzy się niejednokrotnie okazywali pospolitymi aferzystami” [21]. Surowe to wprowadzie słowa, ale ich prawdziwości dowodzi niezbiecie przecież sprawa

zakładów Inniarskich w Żyrardowie, które za zgodą Władysława Kucharskiego, ministra skarbu u Witosa, francuska spółka przejęła za cenę niższą niż koszty powojennej odbudowy kombinatu, na czym niezbyt wtedy zasobny Skarb Państwa stracił pół miliona dolarów. Anusowi ani Kadenowi nie da się zarzucić, że „kadzili sanacji” jak redaktor z „Popiołu i diamentu” Jerzego Andrzejewskiego, napisanego już po kolejnej wojnie.

Także sam Jerzy Giedroyc, młodszy o pokolenie od Kadena piłsudczyk, po latach przyznawał, że pozostawał w przekonaniu, że politycy Centrolewu szykowali zamach stanu, więc za ich aresztowaniem stały również moralne racje, chociaż nie ukrywał obrzydzenia dla tego, co działo się w twierdzy brzeskiej i później w Berezie Kartuskiej.

Historyk literatury Andrzej Chruszczyński („U schyłku międzywojnia”) nazywa Juliusza Kadena-Bandrowskiego i Andrzeja Struga najwierniejszymi uczniami Stefana Żeromskiego, z czym zapewne... wyjątkowo trudno się nie zgodzić [22].

Pozostał Kaden luminarzem polskiego życia kulturalnego, podobnie jak mieszkający na Zamku Królewskim Żeromski, ale też ich obu cechuje imponująca zgodność życia i dzieła, bliska niemal jedności. Biogramy obu dowodzą, że przynigdy nie sprzeniewierzyli się zasadom w swojej prozie i publicystyce promowanym konsekwentnie.

Jeszcze 6 sierpnia 1939 r. Juliusz Kaden-Bandrowski przemawiał w Krakowie na zjeździe na 25-lecie wymarszu Kadrówki. Ale jego dotychczasowy świat miał się już ku końcowi. Dokładnie w pięć lat później pisarza, podczas okupacji prowadzącego tajne nauczanie w zakresie literatury polskiej i udzielającego lekcji muzyki, zrani przy ul. Kaliskiej na Ochocie odłamek granatu. W dwa dni później stanie się to przyczyną jego odejścia na zawsze w wieku 59 lat i w pełni twórczych możliwości. Do końca wierny sobie i temu, co w swoich pismach głosił, zrezygnował w dramatycznych dniach Września '39 z ewakuacji szosą na Zaleszczyki a tym samym szansy pouczenia Polaków na odległość. Świadomość dokonanego przez Kadena wyboru i wszelkich jego konsekwencji zwielokrotnia powagę, z jaką wypada jego świadectwo potraktować.

- [1] Juliusz Kaden-Bandrowski. *Generał Barcz*. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo, Wrocław 1984, s. 4
- [2] Juliusz Kaden-Bandrowski. *Generał Barcz*, op. cit, s. 5-7
- [3] Andrzej Chruszczyński. *U schyłku międzywojnia. Autentyzm literatury polskiej lat 1933-1939*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987, s. 13-14
- [4] Michał Sprusiński. Wstęp do: Kaden-Bandrowski. *Generał Barcz*, op. cit. s. XXXVII-XXXVIII
- [5] Piotr Kuncewicz. *Agonia i nadzieja. Literatura polska od 1918*. Polska Oficyna Wydawnicza BGW Warszawa 1993 t. 184-185
- [6] Jerzy Giedroyc. *Autobiografia na cztery ręce*. Opracował Krzysztof Pomian. Czytelnik, Warszawa 1994, s. 166
- [7] por. ibidem, s. 125
- [8] Juliusz Kaden-Bandrowski. *Godzina*. „Naprzód”, 2 sierpnia 1914
- [9] Witold Dworzyński. *Wieniawa. Poeta, żołnierz, dyplomata*. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1993, s. 38
- [10] Wacław Jędrzejewicz. *Józef Piłsudski 1867-1935. Życiorys*. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1986, s. 46
- [11] Wojciech Giełżyński. *Budowanie Niepodległej*. Instytut Literacki, Paryż 1985, s. 258
- [12] ibidem, s. 257-258
- [13] Juliusz Kaden-Bandrowski. *Piłsudczycy*. Biblioteka Drogi, Wydawnictwo Polskie, Warszawa 1987. Przedruk za: I wydanie, Oświęcim 1915, Naczelny Komitet Narodowy, s. 25
- [14] Maciej Kozłowski. *Krajobrazy przed bitwą*. Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1985, s. 192
- [15] Maciej Kozłowski. *Krajobrazy...* Op. cit, s. 183
- [16] Tomasz Merta. *Niepodległość bez złudzeń [w:] Nieodzowność konserwatyzmu. Teologia Polityczna, Muzeum Historii Polski*, Warszawa 2011, s. 265-266
- [17] Cat [Stanisław Mackiewicz]. *Generał Szeptycki*. „Słowo”, Wilno 1923, nr 128
- [18] Adolf Nowaczyński. „Generał Barszcz”. „Mysł Narodowa” 1922 nr 37

KADEN, OFICER I BRYGADY

[19] Maria Dąbrowska. „General Barcz” Juliusza Kadena-Bandrowskiego. „Bluszcz” 1923 nr 28

[20] Andrzej Micewski. W cieniu marszałka Piłsudskiego. Szkice z dziejów myśli politycznej II Rzeczypospolitej. Czytelnik, Warszawa 1969, s. 353

[21] Antoni Anusz. O Wincentym Witosie. Nakładem miesięcznika „Droga”, Warszawa 1925, s. 30; por. też. „Opinia” nr 133, zima 2019. s. 94

[22] por. Andrzej Chruszczyński. U schyłku międzywojnia... op. cit, s. 182

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

PIŁSUDCZYCY

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

PIŁSUDCZYCY



O Ś W I Ę C I M • 1 9 1 5

NAKŁADEM NACZELN. KOMITETU NARODOWEGO

PIĘSUDCZYCY

**ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ
W KRAKOWIE • W LIPCU 1915 ROKU**

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



PIŁSUDCZYCY

*Szefowi Sztabu I. Brygady
Podpułkownikowi Kazimierzowi
Sosnkowskiemu*

poświęca

Autor

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



JÓZEF PIŁSUDSKI.

Orzeł — w lochu piwnicznym, na poddaszu i na ulicy.... Ptak herbu świetnego — wyrzucony z tła pysznych amarantów na podwórze....

Tyle srogości w tem, ile grozy w łomocie skrzydeł pośród ciasnych mroków.... Tyle w tem bujnego gwałtu, ile rozpędu niezbytých lotów w zimnej klatce poddasza.... Tyle w tem wściekłości i zemsty, ile może być w sercu człowieka, którego drogę przemieniono — w koryto hańby....

Bo czemuż innem uczyniono ulice miast Królestwa?! Jeśli więc kto chce rozumieć Piłsudskiego z czasów wcześniejszych, niech stara się widzieć orła w piwnicy, na poddaszu, orła wśród żelaznych szkieletów fabryki.... Orła — z pokrwawionemi skrzydłami, który na skrzydła te ołowiany trud tysięcy podnieść chce i trudowi zwrócić kradzioną godność, trudowi temu dać Imię i Cześć.

I wszystek gniew, który towarzyszy wielkościom Imienia i wszystkIE surowe glorie, które muszą towarzyszyć Czcii Narodu...

Trudowi temu zwrócić kradzioną godność, dać imię i cześć.... Właściwie w tym jednym zdaniu możnaby uchwycić całą podwalinę działalności Piłsudskiego z tego okresu.... Budować narodowość w kolisku pracy najcięższej, by z niej najtwardszą cześć wydobyć....

Było to rzeczą niełatwą, jeśli się przypomni, że to, co gdzieindziej przekwitało już w formach gospodarki ludów (te czy inne formy państwowe), to u nas było jeszcze niedościgłym marzeniem.... Przekwit ten stwarzał ideologię niecierpliwą, ogromną i nieubłaganą, która wedle pewnych postulatów nowej nauki wcześniej czy później miała zatryumfować....

Na mocy tej ideologii ludy Europy dokonałyby wspaniałego, dobrowolnego przewyciężenia *różnic* wzajemnych — do którego mybyśmy przystąpili — nic nie przewyciężywszy....

Socjalizm był ową falą sprawiedliwości, któraby nas z innymi zdrowymi narodami w wieczność rozwoju poniosła — jako kaleki.... Więc, aby Polskość nie stała się znakiem opóźnienia, trzeba było odrazu i szczerze przyjąć socjalizm i jak chlebem obdzielać nim rzesze. Ale, by socjalizm nie był w Polsce kalectwem, trzeba było w dojrzałych jego poglądach zastrzedz miejsce świeżej młodości, miejsce, w którym dojrzałaby prawomocna *polskość* trudu....

Rzecz to prosta, choć może w trudnej wyrażona formie... Rzecz niesłychanie trudna do przeprowadzenia w Polsce i w Europie i na całym świecie....

Rozumiał Piłsudski jak mało kto w Polsce, że hasła, to tylko pewne formy postępowania, że żaden z ich kowali świętości ich nie uznaje. Rozumiał, duszę mając ponad wszelki wyraz przytomną — zbrodnię ślepoty haseł i honoru pozorów....

Rozumiał zwłaszcza tę manię honoru w Polsce, który pozwala zrzucić z bark najcięższy obowiązek. Rozumiejąc to wszystko, zaczął poprostu stwarzać tę ideologię Ojczyzny, która z potrzeby i praw pracy wyrasta — i rozpętał przeciw sobie to wszystko, co było pod czarem panującej ślepoty, czy zaciętrzewienia, czy przesądu.... Swoi wyrzucali mu, że jest kosmopolitą, obcy, że narodowcem, patryoci, że socyalistą, socyaliści, że patryotą.... Zarzucali mu właściwie wszyscy wszystko o tyle słusznie, że czuli w Piłsudskim, jako w ogromnej potencji, która wszystko, co polskie w sobie вмieszcza — niebezpieczeństwo prawdy....

Jego socjalizm nie zawsze wygadzał socyalistom, jego narodowość zbyt się wymagającą widziała narodowcom, i rzecz można, wszystkie hasła grały w tym wielkim człowieku, stopione w jedno rozumienie Polski....

Tu sięgamy najgłębszej tajemnicy Brygadyera, której nie da się wyjaśnić ani rodowodami, ani pochodzeniem ze starej szlacheckiej rodziny, ani odblaskiem wspomnień z 63 r., ani żadnymi wpływami. Jak się ma talent słowa, myśli, muzyki, barwy — tak się ma i ten najsłodszy talent, jaki wydestylować się może z soków ziemi i oddechu niebiosów — talent rozumienia Ojczyzny.... Talent ów, gdy Polska jest jego treścią, wymaga cnót osobliwych. Należy mieć upór i cierpliwość przerażającą.... Należy być ustawicznym faki-rem Rzeczywistości i w splocie jej najcodzienniejszym nie widzieć jej, nie pamiętać, nie znać — tak, jak to umie Piłsudski — to znów najcodzienniejszymi szczegółami mającą się stać rzeczywistość uprzedzać i istotę jej wywoływać z nicości.... Powiedziałem wyżej — niebezpieczeństwo prawdy....

Widać je było już dobitnie u Piłsudskiego-mówcy....

Pamiętam go, gdy kiedyś na zjeździe młodzieży forsował sprawę tajności posiedzeń wojskowych. Doprawdy, człowiek ten sprawiał wówczas wrażenie znakomitego szermierza, walczącego z bańkami mydłanemi.... Ze ślicznymi bańkami, których cały rój wypuścili błyskotliwi mówcy.... Jakąż kolosalną cierpliwość wykazał wtedy, jaki upór w wierze w zdrowy rozum słuchaczy.... Nie można powiedzieć, iż zwalczał argumenty. One same nikły przed nim, jak śnieg topnieje w słońcu.... Piłsudski, jako mówca, ma jeden wielki dar — sama jego obecność krępuje komedyantów.... Widziałem go, jak przemawiał na kongresie partii robotniczej w Krakowie. Szumne, gwałtowne brawo zgasło nagle, gdy się ukazał.... Był wtedy żywym wyrzutem pokoju Polski — bo człowiek ten miał tragiczne szczęście być srogim wyrzutem pokoju Ojczyzny — i czuło się w sali obawę.... Obawę tłumu przed kimś, kto w imię najwyższego prawa kiedyś rozkaże....

Niebezpieczeństwo prawdy.... I po raz trzeci, gdyśmy się zebrali, jakbyśmy wczoraj wrócili z dziadów dalekiego po-

stoju — wycieńczeni, skrwawieni po Łowczówku, po którym każdemu kto przetrwał, kilka lat życia przybyło.... Czy w nas było znać w Lipnicy, gdyśmy tam stali w ten nijaki, siwy dzień w opuszczonej szkole zebrani na zgromadzenie oficerskie — jakąś butę, czy było znać zaśmiałe poczucie zasługi, czy Komendant uprzedzał jakiś nasz dorobek zbyt głośnej sławy — dość, że się wdarł w serca nasze kilku słowy tak, — iżeśmy w jednej chwili pojęli.... Łowczówki mogą być dniem codziennym i to jest nic, jeśli Sprawa żąda więcej.... Mówił wtedy do nas gorzkie słowa człowiek, który wielką skalą swych czynów tak często musiał cierpieć.... — „My żołnierze.... Choćby to miało kosztować hekatombę....“ Ileż to słowo ma wagi w ustach Dowódcy czulego na życie ludzkie, jak najwyrachowańszy skąpiec na złoto.... W ustach człowieka, który tak czule i nieustannie kocha życie.... czule, nieustannie, niecierpliwie....

Piłsudski nie znosi pustki w koło siebie, mimo, że jak mało kto, umie być sam, — nie znosi chwili, w którejby nie wydawał miłych i drogich skarbów swej natury....

Jego sposób bycia jest kusicielski. — Gra w szachy z wytężoną uwagą — to nic, — zdąży jeszcze położyć rękę na kolanie obok siedzącego oficera, choć wie, że każda chwila tej łaskawej familjarności jest tak wysoko ceniona.... Siedzi na kwaterze, po której łązi jakiś stary totumfacki. Tak go jakoś weźmie Komendant, że totumfacki wyjść z pokoju nie może, a gada, opowiada, sypie historyami, jak z dziurawego worka.

Nieporównany jest Brygadyer, gdy zasięga wiadomości od chłopów. W chwilach tych ustanawia się zawsze związek groteskowej poprostu serdeczności między nim a nimi.

Chłopi się zrazu boczą, a potem nagadać się nie mogą.... Poodał kolumna piechoty jak wierny wąż spiżowy, wlokąca się za wodzem, czeka cierpliwie, — kasztanka komendanta się nudzi, on zaś sam spełnia pozornie rzecz niepotrzebną.... Więc powiadacie, że nie obrodziło?

Chłopy, aż się czochrają na znak, jak nie obrodziło....
Ale!....

I bydła nic nie macie?

Zostało dwie sztuki u Walentego Boczka.

A czemuż temu Boczkowi bydła nie zabrali?

Czemu nie zabrali?

No właśnie, powiadacie....

I tak od jakiegoś błahego słowa do słowa, tymczasem z tych drobiazgów zacznie komendant miarkować coś ważniejszego, a chłopci stoją, przypochleбно kasztankę za uźdę przytrzymują, radzi, że taka rozmowa idzie szczerą....

Bo tak jest w istocie. Haubice drżą od ognia, wichur ludźmi trzęsie na drodze, cała Brygada stoi na rozdrożu, Komendant czuwa, oczyma dalekie okolice przenika, — ale nie może równocześnie nie cieszyć się tym małym, zdrowym kłopotem chłopskim.

Dzięki tej głębokiej radości z wszelkiej rzeczy, którą spotyka, nie czuje się przy nim grozy wojennej. W tym składzie rzeczy staje się ona a priori rzeczą łatwą, czemś, co komendant prowadzi, jakby w międzyczasie.

Stały rozmach wyższości nad wrogiem, to cecha wszystkich jego planów. Ta wyższość prowadzi do pięknych rozstrzygnięć i prawdziwie rycerskich wyżyn....

Będziemy „ich“ wieszać komendancie, jeśli oni nas wieszają....

Komendant podniósł brwi, a potem szczerze jasno się roześmiał: Zastanówcież się człowieku, za cóż ja go powieszę? Za to, że walczy? Że jest żołnierzem?....

Ale oni naszych wieszają....

Bo dzicz! Dzicz... cóż ja na to mogę poradzić?....

Tak walczy prawdziwa wartość i nie przejmie nigdy w walce metody wroga....

Takim politykiem też jest ów wyjątkowy polityk, nie mający w jednym ręku złota, a w drugim giętkiego wpływu....
Polityka prosta — w rozchwiany naród miecz postawić, naradę, jak w sierpniu — nagłym odlotem trzystu orłów

zamknąć i nową zrodzić... Kartę przewrócić, na księdze miecz położyć — zrzucić z tej księgi miecz, zrzucić — czy możecie?....

Musicie za Wodzem iść wszędzie drogami marszów, polami bitew i na wieczorną pogwarkę przy świecach przylepionych do stołu, musicie kochać tę zbrojną kompanię, która Mu towarzyszy.... A żebyście widzieli, jak wraca zimą z dalekiej drogi!....

W ogromnej siwej szubie, niby w szron i w lód, czy w niedostępne odziany dostojęństwo, obcy i najbliższy z ostrem obliczem, jakie się w Polsce pięćset lat temu malowało, przed wyprawą Batorego na Moskwę... — Zobaczylibyście, że to prawdziwy Gość z kresu, co wszystkie kresy łamie i łączy, a szedłby — a prowadziłby naprzód i dalej w bezkres rozmachu, powagi — i zwycięskiego śmiechu....

Bo komendant śmieje się z *niebezpieczeństwa prawdy*....

PIŁSUDCZYCY.

Ludzi tych wzięła już na ogromne swe skrzydła Historya i nikt jeszcze nie wie, na wyżynę jakiej zasługi ich poniesie. Teraz stoją w kurzu i w dymie, w trasku, w zgiełku walki, we wszystkich wspaniałościach i w całej grozie wojny.... Mogą powiedzieć, iż spełnili wielkie przeznaczenie, co więcej, że przeznaczenie to odkryli krótkowzrocznym oczom ogółu. Mogą powiedzieć, że towarzyszyło im od zarania poczętego dzieła to wszystko, co towarzyszy trudom bohaterów. Jeślibyśmy żyli w czasie legend, to legenda potężna owionęłaby głowy tych żołnierzy już za ich życia, bowiem istotnie legendarne jest, czego dokonali.

Idą w huraganach walki, szeregiem, który co raz śmierć rozrywa, niepomni śmierci, a tak pewni powołania swego, jak ludzie, którzy wieczną jakowąś tajemnicę i prawdę posiadli.

Tą prostą tajemnicą ich i słuszną prawdą jest, — że w boju jedynie, w przelewie krwi, w doznaniu śmierci, żywy Naród ma prawo sięgać po sprawiedliwość....

Otóż tę prawdę głęboką i zacną uczynił Piłsudski podwaliną młodego militaryzmu polskiego, wokoło niej z jemu właściwą prostotą i czarem umiając zgromadzić podobnych sobie żołnierzy.

Wojnę prowadził Brygadyer i jego oficerowie i jego żołnierze, nim jeszcze wojna wybuchła.... Wojnę z niedość skorem do czynu społeczeństwem, z obojętnością i ze śmiechem i z drwinami, wojnę z brakiem środków materialnych na prowadzenie organizacyi, wreszcie skrytą, straszliwą wojnę z ustrojem państwa rosyjskiego, na którego przestrzeniach wiązał ustawicznie sieć bojowego pogotowia Polski.

Tę sieć nieraz udawało się wrogowi rozerwać.... Wówczas ginęły jednostki i trzeba było mieć olbrzymią moc ducha, ogromny hart serca, by pracy nie poniechać w obawie dalszych ofiar.

Siła rozumu, hart serca, cierpliwość planu i ręczość w jego wykonaniu, to zasadnicze cechy charakteru Piłsudskiego.

Kto Go chce widzieć w momencie, w którym komendant niczego ukryć nie zdoła, niech patrzy na niego podczas bitwy. Wtedy, gdy cała praca Brygadiera, gdy wysiłki całego jego życia, gdy idea wszystkich jego idei — gdy I Brygada I Legionu — idzie w ogień....

Tylko człowiek nadzwyczajny, wódz urodzony, może z takim humorem, z taką radością i nieopisanie subtelną pychą słać najdroższych sobie ludzi do walki.

Najdroższych, bo przecie wszystkich ich zna oddawna, pracował nad nimi, gdy jeszcze na ławie szkolnej siedzieli, potężną dłoń wślaczał ich w swe karby, gdy byli na uniwersytecie.

Trudno powiedzieć, że Piłsudski wydaje rozkazy.... Nie tak się to odbywa, a jakoś się dzieje poprostu, poufnie, w dziwną słodyczą. Ta słodycz wynika z pewności, którą ma Brygadier, że każdy Jego rozkaz bezwzględnie zostanie spełniony.

Bitwa już rozpoczęta.... Piłsudski stoi przed kwaterą (śnieżne zbocza gór widnieją dokoła), jedną ręką na płocie wsparty, drugą głaska lekko po ramieniu wyprężonego, jak struna, dowódcę batalionu.

Batalion już gotów, czeka za chałupami, żołnierze, oparci na karabinach, dopalają „ostatniego“ papierosa.

Brygadier, — jakby o wiele starszy brat najmłodszemu bratu dawał serdeczne rady, — mówi swe rozkazy.

Armaty ryczą ustawicznie, palba karabinowa nieustannym kłopotem tłucze się po śniegu, to tu, to tam rozlega się przeraźliwy pytel karabinu maszynowego. W tej chwili Piłsudski, w szarem swem futerku, z twarzą myśliciela

PIŁSUDCZYCY



i drapieżnika, zadumany, romantyczny w spokoju swym i pogodzie — niezapomniane sprawia wrażenie.... Jakby tu przyjechał z daleka, dostojny, dystygowany opiekun, czy zaufany przyjaciel wielkiej sprawy.

Rozmawia z oficerami, z wdzięcznym humorem przyjmuje meldunki, idzie patrzeć jak biją granaty (biją one o 50 kroków od kwatery) i śmieje się, że takie ogromne dziury wyrwywają w ziemi. Właściwie zupełnie nie znać, że człowiek ten równocześnie prowadzi bitwę. Nie znać dlatego, że czyni to z ogromną łatwością i z fenomenalną intuicją. Dopiero, gdy nieprzyjacielowi przybywają znaczne posiłki, gdy Komendant czuje, że Jego szeregi walczą z przeważającą znacznie siłą — zmienia się.

Poczyna wówczas chodzić przed kwaterą tam i napowrót i coraz dalej w stronę walki, jak gdyby wleczony przemożną żądzą niesienia bezpośredniej pomocy swym oddziałom.

Widziałem Go, jak szedł tak prosto na strzały ku kochanej piechocie swej, wpisany w syczącą parabolę biegu granatów, z fruującymi nad głową obłokami szrapneli, szedł z góry, w słońcu, po śnieżnej drodze, rycerskiem zaiste jaśniejący obliczem.

Zsunięte nad oczami oszronione brwi, nieruchome były jak bruzda. Oczy niebieskie, bystre, straciły w tej chwili tę złotą iskrę dobrotliwości i humoru, która zazwyczaj z nich wybłyska. Okrutna twardość i najszanowniejsza troska biła z owych tak romantycznie niebieskich źrenic. Pochylony naprzód, z czołem tak bajecznie sklepieniem, iż wyklucza ono wszelką pomyłkę planu, szedł, jakby musiał iść ojciec na pomoc, gdyby tam przed nim dzieci jego walczyły.

Największą jego zaletą, prócz wszystkich cnót obywatela i żołnierza jest zasadnicza cecha wodza: umie wybrać ludzi, zaś wybrawszy, bez trudu i zachodu przepaja swą ideą.

Ten czarujący talent sprawia, że Brygada Piłsudskiego stanowi zwartą całość odrębną i (ponieważ Komendant formali-

styką nikogo nie krępuje) tak wielką bujność charakterów przedstawia.

Innym, na pozór zgoła innym od Brygadyera, jest nieociekony jego zastępca, podpułkownik Sosnkowski.

Któżby przypuścił, że ten surowy, wysoki, pysznie zbudowany oficer, pamiętający w przeciągu długiego czasu każdą minutę wydanego rozkazu, nazwę każdej miejscowości, rozmieszczenie każdego plutonu w czasie walki, że ten tak surowy szef sztabu jest zamięłowanym wielbicielem sztuk pięknych. Kocha muzykę, lubi szarówką dopaść fortepianu na jakiejś kwaterze i grać Schumana, Szopena, obchodzą go jak najżywiej nowe szkoły malarskie, a literaturę rozumie, jakby się miłości słowa uczył we Francji.

Podpułkownik Sosnkowski jest świetnym typem inteligenta polskiego. Talent do sztuk pięknych, zamięłowanie do klasycznego kierunku myśli, estetyzm, znajomość wielu zagadnień filozofii współczesnej, chęć radości życia w najgłębszym sensie tego słowa — wszystko to wtapia Sosnkowski w swą twórczość wojskową. On to w eleganckiem a pewnem ręku trzyma całe sznurowanie władz i dyspozycji, On wprowadza młodzież polską w godność i ład szeregu.

W czasie bitwy pamięć podpułkownika Sosnkowskiego i oryentacja, jak gdyby się pomnażały jeszcze. Jest wielką radością śledzić, jak poniekąd uprzedza on sprawozdania ordynansów, odgadując sytuację frontu. Zaś dumnym może być, kto podczas długiej bitwy dotrzymał Szefowi sztabu placu we współpracy. Nie zna On wówczas ani odpoczynku ani wytchnienia.

Wojnę odczuwa głęboko i czule jak tragedję, lecz widzi cel, który przyświeca wojnie i to każe mu wszystko dla niej przewartościować. Ze względu na ów pierwiastek walki duchowej i nieodwołalnych przewyciężeń, jest Sosnkowski postacią nader wdzięczną i dramatyczną w najgłębszej pełni tego wyrazu.

Kto go widział, jak po długim, upartym boju idzie na czele I-go Legionu daleką drogą, smukły i strojny, spokojny i podniosły, ten może powiedzieć, iż widział, jakie szczęście daje spełnienie obowiązku i jak silnem ono echem gra w szeregach....

A teraz wy panowie oficerowie piechoty, obywatele kompanijni, obywatele plutonowi, wpleceni w kolumnę, wy, których światem jest batalion, domem kompania, lub całą rodziną pluton! Spełniacie trud olbrzymi, mało promieni sławy dający, a straszną pracę.... Jesteście solą rozprawy wojennej, kamieniem węgielnym wszelkiego oporu i pierwszym, nieodżałowanym celem śmiałego szturmu!

Wy, oficerowie piechoty, najtragiczniejsza i najgłębsza poezjo wojny, nie wielcy sławą, a wielcy zasługą!

Oto wraca z bitwy kapitan Berbecki.... Przez kilka godzin z jednym plutonem zasłaniał przemarsz swego batalionu. Gryzł się z Moskalami ząb za ząb, piędź o piędź, w kurzu, w prochu, w trzasku broni i wrzasku „hurra“ coraz szedł na bagnety, ostrym grzebieniem stali rozczesując ciżbę atakujących. Wraca, niosąc cztery karabiny i kilka rewolwerów.... Taki jest skrzętny, że w czasie śmiertelnej walki zdąży popodnosić karabiny, pozbierać rewolwery, bo broń ceni jak chleb i nie ścierpi, by leżała na ziemi.

Może chcecie wiedzieć, gdzie się tak bić nauczył?... Dziad jego w 1831 r. służył w Strzelcach Zielonych pod Kozietulskim, ojciec w 1863 r. w partyi Kruka. Kapitan Berbecki, sztabskapitan rosyjskiej piechoty, został pięcioma orderami odznaczony za męstwo w wojnie rosyjsko-japońskiej....

Czemużecie tak dzielnie walczyli dla Rosyan? — spytacie kapitana.

Bo nam mówiono — odpowie — że wszystko popsują ci na „cki i na ski“ (t. zn. Polacy), a zresztą, gdy wasza kompania, gdy 200 par oczu patrzy na was z ufnością, trudno coś nieładnego zrobić.

Wraca kapitan Berbecki przez las dymiący ze swym bata-

lionem. Rozkaz do odwrotu dał dopiero, gdy zoczył, że już jest otoczony. A chociaż otoczony, dotąd rozkazu nie dawał, bo go nie doszło nic w tej mierze z komendy głównodowodzącej.

Nie doniosły rozkazu patrole, chłodem śmierci stygnące na martwym polu....

Idzie tedy, tnąc się z wrogiem, na główną kwaterę, choć wie, że nikogo tam nie zastanie i zastać nie może....

Tam pustka, — w sieni się kręci wiatr, a w kątach pożar już tli.

Dopiero, gdy kapitan posłuszeństwu i najdroższym jego pozorom oddał wszystko należne, cofa się z czterema karabinami i z pękiem pozbieranych rewolwerów.

Taki jest kapitan Berbecki.

Myślicie, że on jeden ?

Kapitan Ryłski, naczelnik „Sokoła“ amerykańskiego, z komfortem idący do bitwy, gdy granat wyrzynał w chałupę, wędruje ze stołem do pisania meldunków tuż obok na pole — nie może przecie pisać na kolanie... W czasie marszu kłóci się ze wszystkimi, w czasie boju nic go nie odezwie od walki. Gotów wysunąć swój front naprzód z całości frontu, gdy nie napotyka „dość silnego“ oporu wroga. Jest ciągle niezadowolony, bo nigdy nie ma dosyć jedzenia dla swych ludzi. Gdyby mógł, dałby im cały świat pożreć, aby całemu światu czoło stawić mogli.

Jego miękka, zezłoszczona twarz idzie wzdłuż rowów strzeleckich, w burzy kul karabinu maszynowego, który na szczęście góruje i w burzy słów.... Bo kapitanowi mało, że jego ludzie doskonale się biją. Trzeba jeszcze, aby to paradnie wyglądało. Więc urąga swym plutonom, a trudno mu coś odpowiedzieć. Wszak stary to praktyk. Przeszedł całą wojnę burską po stronie Boerów przeciw Anglikom, wie, jak wygląda najdzielniejsza wojna w najtrudniejszych warunkach.

A przecież obraz tego ładu, porządku i szyku w najtrud-

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



niejszych warunkach, w bitwie najmężniejszej, jest już w Brygadzie. Był on od dawna w III. batalionie majora Śmigłego. Trzeci batalion stanowi jak gdyby gwardię I. Legionu. Tam, gdzie uderza Śmigły, tam musi być wynik dodatni, tam, gdzie on gospodaruje, ład. Major Śmigły należy do rzędu tych twardych oficerów piechoty, na których nigdy nie znać zmęczenia, którzy nigdy nie są niespokojni, a walkę prowadzą poprostu, jak wykład treściwy. Po kilku dowodach nieprzyjaciół rzuca potrójne okopy i rozumie naukę — na długo.

Potem ci — którzy są żywą pieśnią polskiego oręża, nie-milkącym wspomnieniem serca, źródłem najlepszych marzeń, laurem kwitnym i wiecznie młodem tętnem polskiego boju — Ułani!

Ułani, których — jak się sam wyraża rotmistrz Belina — kleił w ogniu po jednym, po dwóch, aż do obecnego splendoru dwóch szwadronów. Dziś jest to stary, doświadczony oddział. Żołnierze ci nie wiedzą, co to znaczy czegoś nie znaleźć, lub nie znać jakiejś drogi, lub nie trafić, lub wogóle czegoś nie móc.

Furya i spryt cechuje każde poruszenie się tej kawalerii. I to wszystko koń w konia, chłop w chłop, oficer w oficera! Belina jedzie przodem zwięzły, zwarty w sobie, rzekłbyś, wcielenie energii i szybkości. Srogimi oczyma patrzy przed siebie drapieźnie, niczem żbik.

Lisowczyk, jakże go nazwać inaczej, Lisowczyk!

Za nim ogromny porucznik Dreszer, z piersią pod pancierz urodzoną, mąż twardy, gwałtowny, honorny, istny smok, gdy rusza do ataku. Albo podporucznik Lewandowski z tym szelmowskim, kochanym uśmiechem w najgwałtowniejszym ogniu. Albo wielki podporucznik Wieniawa, tyleż mężny co dowcipny, — zaś dowcipem całą brygadę do śmiechu skłonić potrafi. Albo młody, uroczy, piękny porucznik Grzmot, jeżdżący wśród kul jak na garden-party, elegancki a nieustępliwy — za nic.

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

Albo... ci wszyscy, których wymienić już niepodobna, ci bezimienni. Stwarzają wzniosłość szeregu, a nikt o nich nie wie, stanowią, iż nieprzemierzony jest skarb zasługi i nieprzebraną miarą zasługi.

Ci wszyscy od krańca oddziału po kraniec, którzy sprawiają, iż szczytna дума, jak gwiazda, płonie nad szeregami, a sława ojców opuszcza słynne oddale i czynem zwołana wraca żywa między synów mężną gromadę.

PIŁSUDCZYCY



SŁAWEK — KAP. ŚNIADOWSKI KAP. BRZOZA.

Ktoś z tych ludzi, dla których wojna będzie już tylko łatwym aktem, uroczystością nieomal zewnętrzną w stosunku do pracy i roboty, jaką położyć należało dla powstania uroczystości — dla przygotowania wojny.

Wielkie słowo narzeczeństwa a ślub, czyn — a giest.... Jeden z tych ludzi, co powstał z uporu i cierpliwości Piłsudskiego, — kwiaty żelazne....

Niema strachu, niema męki, niema braku, niema nastrojów.... Bieżące hasła są wodą bieżącą, geometrycznie ścisła ekonomia — żelatyną, niema zbytku czy rozkoszy, któraby mogła na drodze stanąć....

Przypatrując się robocie Sławka, pochodowi tej duszy zawartej w jasności i w zwykłości chciałoby się krzyknąć: Odpocznij, zatrzymaj się!

Lecz nie i nie, w tem nie mogło być zatrzymania.... Te kwiaty żelazne, rozrastając się zwyciężają wszystko, tak jakby nareszcie ich kielich twardy a potężny miał wmieścić w siebie wszystek wonny błękit nieba Ojczyzny....

Jest to kwiat kuty w ogniu, hartowany żarem niepokoju, studzony przeraźliwie i raptownie w wodach śmierci, bity obuchem szalonego marzenia tłumów....

Wola stalowa, wyrastająca z rozpaczyny niewolnego piasku....

Kwiaty, — niechże się spełnia porównanie, — dziergane tokiem życia, strzępione, och strzępione!... Człowiek poszarpany ogniem na strzępy, zaś we wnętrzach tego poranienia — roziskrzony duch....

Lecz przecie niema cierpień, zaś upadek nieznany tu jest, obcy. Nie przeto tedy zrasta się ciało, iżby spocząć, lecz

aby świadectwo dać, że niema i nie może być żadnego ciosu i żadnego kalectwa przeciw woli....

Po ogromnym okresie walk rewolucyjnych jest Sławek głównym pracownikiem w Skarbie Wojskowym. Zebrać wiele pieniędzy na broń, na ogień i znów iść po nowe rany, a jeśli chwila nie nawinie się sposobna, wydać życie z tymi pieniędzmi.... Oszczędności, skąpstwu ludzi leniwych tłómaczyć rzecz wspaniałą skromnie i trzeźwo w płaszczu z krwi i bólu, łyskając twarzą surową, od blizn błyszczącą jak pocisk wzniosłego gniewu. Z wyraźnym godłem walki w ryśach tać za kordonami to, co wypisane jest na zawsze chwalebną szramą na obliczu.

Więc nie dziwota, — żołnierze, — że nasz mundur nosi Sławek jak żaden z nas nosić go nie potrafi. Mundur, który dla nas jest strojem walki, jest dla niego szatą godową, bo walka, którą wiem teraz, jest weselem w porównaniu z tą, jakiej przed nami Sławek był pierwszym żołnierzem.

Nie widzicie go na czele batalionu, a widać go i tu i tam, jest wszędzie.... Zjawia się, znika, jest wszędzie czuwający, iżby się rozrastał na niezaradnej polskiej krainie kwiat kuty w ogniu, hartowany żarem niepokoju, iżby z słabości niewolnego piachu wyrosła korona prosta... godna, jak szczęście strzału, jak cios odparty, jak po walce ręka na bijącym złożona sercu — jak to, co się opowiedzieć nie da — jak Ojczyzna.

Zdaje się czasem, że Ojczyzna to tylko przewyciężenie własnej słabości. Przewyciężenie największej polskiej słabości — sporu, waśni partyjnej....

A gdy się to zdarzy w dojrzały letni dzień, gdy się to odbywa wśród ludzi dzielnych i czynnych w obowiązującym czasie wojny, ile wzruszeń, ile starych grzechów — odrobionych....

Tak właśnie potoczyła się sprawa między nami a kapitanem Śniadowskim.

Główna kwatery stała w Miechowie, poszczególne oddziały parły naprzód. Wtem na rynek, na ten stary miechowski

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



rynek, który kiedyś szturmowali powstańcy, wjechał oddział modny i strojny w bogatym ordynku i szamerunku. Oddział, na widok którego nam chudym wilkom, ubogim oberwańcom w głowie się mogło było zawrócić....

Jechali znużeni — kawalerya — jakby po zażartej bitwie, pośnięci na siodłach, ale rzemyk w rzemyk, spinka w spinkę, guzik w guzik błyszczące w słońcu, — jedno pieścidło wojenne.

Na niebieskich czaprakach, wyciętych w stary szpic granatowe litery — czegoż to były inicjały?....

Jechali, jak po zażartej bitwie, a tacy dostatni i zamożni, doprawdy z nieznanego dla nas świata.

Sokoli przyjechali. Zbuntowani Sokoli.....

Parło do nas to bractwo gorącą forszą trzy dni i trzy noce. Ażeby już raz za sobą zostawić ten ul huczącej i opieszalej narady, ważki z uncją i z łutem różnych kamyczków obraży....

Panicze — bo to wszystko wyglądało jak panicze — zlązszy z koni posnęli na schodach, we framugach, na bruku, — jakby przez otwarte we śnie usta ogromną prawdą tchnący....
A czoła w słońcu.

Kapitan Śniadowski, — bo on ich tu przyprowadził, w pełnym rynsztunku wszedł do kwatery głównej, wyróżnął w ostrogi przed komendantem, który go przyjął, jakby się dopiero co rozstali. Na popielatej od kurzu twarzy Śniadowskiego czerwieniły się bezsenne krwawe oczy. Stał w izbie pod słońce, obwiedziony srebrną lamą blasku, ciężki i zamaszysty w rajtarskich rękawicach.

Piłsudski przyjął niespodziany meldunek spokojnie, nad falą wielkiej radości nie raczył ni sekundy zabawić, wyznaczył czas odpoczynku, miejsce na kwatery dla oddziału i rozciął wszystko przeszłe i całą przepaść spał jednym ostrym rzutem ręki, oddającej ukłon za ukłon posłuszeństwa....

Kapitan Śniadowski stał jeszcze chwilę na baczność, pyszny i groźny w nowym swym posłuszeństwie, jakby twardy

goniec ze świata herbu i inicjału, który stare rozgadane tradycje oddaje w powołane mocniejsze ręce.

Choć zresztą, gdzie się kończą dziś tradycje tej ziemi, gdzie rwa, a gdzie zaczynają?... Zostało w nas, w nas, czy w tym kruszcu, któryby Polskę zwać można, tyle różnych drogich kamieni — wtopionych, jak w dzwon.... Komu polska tradycja, nasz kruszec najcenniejszy obcym być może, jeśli ów ktoś kocha słuszną walkę?

Jeśli wadliwie nawet mówi po polsku, — tego mi komendant Brzoza za złe nie weźmie, — to znajdzie inną wymowę, mocniejszą niż słowo, — znajdzie wymowę ognia.... Komendant Brzoza nie wypowie czterech wierszy, byście w nich cudzoziemskiego nie słyszeli akcentu, lecz posłuchajcie jego polskiej, jakże polskiej retoryki, gdy wam wytoczy armaty na otwartą pozycję i zacznie bić!

Jakież to donośne, jakież świetne deklamacje!

Armatki były stare i złe, jak złe stare psy. Armatki prochem dymnym strzelające każdym strzałem zdradzały swą pozycję. Strzelać z nich znaczyło tyle, co wątpliwą śmierć zadając, skrzydłami dymu pewnej śmierci drogę ku sobie pokazywać. Wozić je i taszczyć znaczyło tyle, co toczyć kamień Syzyfa. Narychtować tę zbieraninę w obliczu nowych, świetnie zbudowanych znaczyło tyle, co na kucykach iść w zawody z końmi pełnej krwi.

Więc nie iść w zawody?

Iść tak, jak idzie Brzoza z jakąś cierpliwością muru.

Już doszedł. Wali z tych armat tak komicznych, że nikt nie wie, skąd to i co i jak to jest możliwe. Wali tak blisko nieprzyjaciela, iż ten bierze chmury dymu za wybuch własnych szrapneli. Stare psy warczą, świszczą, nieznosnie kichają tym ogniem i żelazem. A Brzoza twardy, nierozumiejący niebezpieczeństwa śmierci, a śmierć siejący, chodzi wśród tego gospodarstwa i mówi pysznym, pysznym akcentem dział, w którym słyszać stare, świetne pogłosy wymowy Bema....

SIEROSZEWSKI—DR ROUPPERT— JUR.

Sieroszewskiego widziałem pierwszy raz w kochanych Oleandrach. Kuchtą wtedy był przy szkolnej kompanii (tak właśnie kolej dyżurów szła). Widziałem, jak uwijał się po podwórzu z ogromnym jakimś baniakiem, czy kotłem i szorował jego zamorusane wnętrze, drobny, mały, jakby lada chwila cały miał się w tym kotle schować.

Jacyś znajomi wołali do niego coś przez parkan, on zaś wesoło im odkrzykiwał, schylony we dwoje, z nabiegniętymi żyłami na skroniach.

Rozprostował się nareszcie. Wtedy uderzył mnie blask jego oczu. Te oczy wychylają się ponad bezikle — bo darujcie, ale na nosie Sieroszewskiego każde szkło staje się beziklami, — i mierzą to, na co patrzą i wyrażać się zdają zawsze: Myślałem, że to coś trudniejszego, tymczasem to nic, zaraz się da zrobić....

Stał utyłany w piachu, w poplamionym mundurze, spocony. Nie będę mówił, że przez ten żołnierski strój przebijało świetne powołanie wielkiego pisarza. Toby była nieprawda.... Nic nie przebijało.

Stał nad garem warzy żołnierskiej stary, prosty wiarus, — do pioruna — tensam, który co pokolenie wraca do młodego pokolenia i namawia i wzywa i rozkazuje: Rzucaj książkę, ruszaj w pole! Marsz! — bo trzeba się bić....

Drugi raz miałem okazję widzieć Sieroszewskiego w dzień, w którym zerwano most na Granicy. Tłumy wówczas biegały po Rynku krakowskim, snując się pod staremi bramami, tłumy bezradne, choć wzburzone.... Słońce świeciło

wspaniale, dzień był tak piękny, jak tylko może być na Rynku, gdy złotą lamą kontury wież obwiedzie.

Sieroszewski szedł ulicą Sławkowską ku Rynkowi, uśmiechnięty i gadał do samego siebie. Szedł tupiąc mocno po bruku ze szklami i z czapką na bakier. Jedną ręką wymachiwał zamazyście, a na ramieniu niósł tylko co kupiony karabin Manlichera.

Tak musieli wyglądać starzy żołnierze Wielkiej Rewolucji, tak musiał wyglądać szaraczek szlacheć brat, gdy z garłaczem walił do Kościuszki.

Wiem, — choć dziś ci sami powiedzą, że to nieprawda, — wiem, że się z niego opodał stojący ludzie śmiali. A on se szedł z polską, zamazyście, łabatym krokiem (na fortepianie Szopena zowie się to — tempo *rubato*), oczyma wszystkich witający: Myślałem, że to coś trudniejszego, tymczasem to nic....

Potem go pamiętam, jak latał z posyłkami, jako dyżurny ordynans na komendzie Placu w Parku krakowskim. Tam przyszło nam razem pisać odezwę, na gwałt, raz dwa, w ogrodzie za kantyną. Siedliśmy na beczkach, czy pakach, a Sieroszewski zabierał się do pisania, jak chłop do jedzenia z westchnieniami, utyskiwaniem i śpiewnie się wypraszał: Dosyć już pisałem, nie umię teraz pisać, mam ręce do karabinu, nie do pióra.

Zaś jeszcze później spotkaliśmy się na wiecu, gdzie przemawiał do ludzi, nad którymi pracował od wielu, wielu lat.... Do ludzi, którym wiele razy życie poświęcał i więcej od życia, bo całą swą pracę i najserdeczniejszą myśl....

Rzecz się działa w miejskim ogrodzie. Sieroszewski stał na ławie, wówczas już w mundurze kawalerzysty i dziwnie jasnym głosem, w którym tętni dał długiego wygnania i taka prostota, taka świeżość, wyjaśniał zebranym dokoła ludziom, czym jest dla Polaków państwo rosyjskie.

Czyż chcecie być niewolnikami? zakonkludował.

Prawda, że to było jeszcze wtedy, gdy najsprzeczniesze

PIŁSUDCZYCY



sądy ścierały się u tylko co rozwartych progów wojny.
Dość — że mu ludzie nie odrzekli.

Czyż chcecie być niewolnikami?! — powtórzył.

Milczenie....

Wówczas ujrzałem, że na błysk sekundy życie zamarło w Sieroszewskim. Zachwiał się na ławie. Twarz jego zbladła śmiertelnie, oczy zgasły. I miały opaść ręce.... Lecz w biegu tym miał opuścić się, grube i twarde palce ruchem żołnierskim bluzę tylko obciągnęły. Mała postać po strasznej tej obeldze wyprostowała się znów i głos pełen wielkiej dali wygnania znów płynął nad rzeszą i znów żywa iskra żrenicy wyrażać się zdawała: Myślałem, że to coś trudniejszego, lecz to nic....

Bo on se idzie zamasyście łabatym krokiem, stary prosty wiarus i do każdego zdąży pokolenia i niema już dali, któraby dlań była daleką, — wszystkie przemierzył, — i idzie, póki nie dojdzie....

Wydaje się, że to rzeczy będą luźne, a przecie nie. Coś z tego samego uporu i stałości jest w naczelnym doktorze I. brygady, doktorze Stanisławie Rouppercie.

Nie bójmy się prawdy.... Zmartwiłby się dr Rouppert boleśnie, gdyby wiedział, że jest na niego ułożona śpiewka bardzo zła i że niejeden warczy, gdy widzi ogromną sylwetę doktora, przemijającą w marszu.

Łapiduch — psia krew!!

Ależ tak, tak, tak! Nie jednego ducha udało się Rouppertowi złapać.... Ale na to trzeba walki ducha i na to czasem trzeba mieć serce kamienne dla *człowieka*, gdy ma być czułe dla *Sprawy*....

Lecz skąd o duchu mowa, gdy mowa o gospodarstwie ciała? Cóż bowiem innego może zdziałać doktor na wojnie?....

Otóż może.... Może maruderom, którzy wypadają z kolumny powiedzieć, łamiąc ich słabość i litość własną zwalczysz: — Musicie iść.... Możecie....

Może, gdy się ktoś waha, gdy się czyjś duch i hart z sła-

bnącym ciałem zмага, może doktor powiedzieć: — Jesteście zdrowi, wracajcie do ognia!

Gdy wódz prowadzi walkę z wrogiem zewnętrznym, cały ciężar walki z nieprzyjacielem wewnętrznym spada na barki doktora. Gdy tamten na krosnach Sławy haftuje dowód męstwa i mocy, ten przy lewej stronie tej roboty czuwa, związując węzły i supły, o których nigdy nie napisze historia, a które, by zdzierżyć — wielkiego trzeba poświęcenia....

Ja muszę być zły. Obowiązkiem moim — wymagać przecież od ludzi — nie od żołnierzy, od ludzi — zawsze więcej, niż od siebie wymagają....

I znów, jakby się rzeczy wiązały związać się nie dające. Bo szef żandarmeryi polowej Jur, gdyby mógł, wymagałby od ludzi mniej, niż oni sami od siebie.

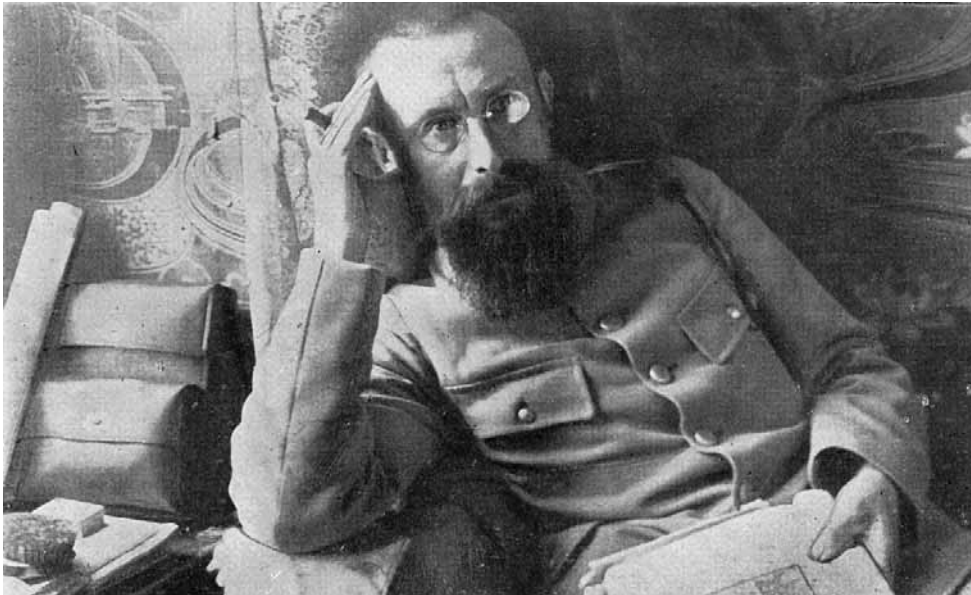
To sprawia, że go tak wszyscy lubią, cenią na tym srogim posterunku żandarmskim.

Jur dobrze wie, co to są żandarmi! Przecież pewnej nocy jako żandarm wywoził z Pawiaka dziesięciu towarzyszy — on, baron Budberg!

Zbroiłś człowieku Bóg wie co. Niepokój cię ogarnia.... Nareszcie przychodzi wyzwolenie: Szef żandarmeryi cię wzywa. Będzie burza, z której ty wyjdiesz jako pokrzywdzony nader wielką surowością, czyli, że ostatecznie sprawiedliwość będzie przy winnym....

Stałeś przed obywatelem Jurem. Tymczasem on z winą twą jakby nie może sobie poradzić. Kiwa nad nią głową — jakby wyczesać chciał tę winę z swej brody, patrzy na ciebie przez okulary dobrymi oczyma wuja fundatora czy brata starszego i sprawia ci tem najcięższą, ale też najsłabszą z kar: — Zawstydzę cię....

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



DR KUKIEL-GRUDZIŃSKI-FLESZAR.

Po tylu, tylu, tylu wiecach, po tylu, tylu, tylu przemowach, po tylu zjazdach, konwentyklach, dyskusjach, sporach, rozłamach, zerwanych mityngach, — czyż może nadejść spełnienie?....

Dr Kukiel czuwał, aby nadeszło, mówił, czytał, pisał, ile się tylko dało.... Mówił, złośliwie tnąc ostrzem swego kostycznego humoru i dobitnie, krągło toczonymi słowami uśmierzając przeciwników. A potem, jakby w nadziei, że obcowaniem z bronią przeszłości przywoła broń teraźniejszości, — zagłębił się w historię oręża i broni polskiej z przed stu lat....

Było zapewne rzeczą trudną oglądać, widzieć, jak przed stu laty marnowało się bogactwo, gdy dziś ubóstwo pod tym względem za zbytek się uważało.... Boć przecie od ubóstwa — do nędzy....

Aż przewrócił się czas tych wszystkich przygotowań — szabla się stała rzeczą codzienną, śmierć zwykłą, rana — pospolitą....

Tem niemniej jeszcze się szczęście nie raczyło uśmiechnąć.... Kukiel nie poszedł na linię, a został na etapie, jako plac-komendant. Wiem, że go gryzło to oficerstwo urzędnicze....

Hałasował po biurach, wystawiał papiery, kwitki, przepustki, całe to szare papierowe ciasto wojskowe etapu w miarę wyczyniał, z pewnością zazdroszcząc pierwszemu lepszemu szeregowcowi I. Brygady, który wraca z linii.

Toby się powinno napisać atłasowemi literami: „z linii“.... Tyle w tem dумы i prostej satysfakcyi.... Może sobie na nią pozwolić byle kto... Może sobie pozwolić, że idzie wśród

czyściutko ubranych, najedzonych funkcjonariuszów etapu oberwany, utyłłany w błocie, głodny, znużony, dymem i potem cuchnący, a przecie pan! Bogacz, któremu za całe bogactwo starczy kartka komendanta batalionu, gdzieś w polu na kolanie pisana.

Bogacz, pan, szeregowiec szary, — szary powszedni dzień czasu walki....

A Kukiel, który polskich bojów nauczył się tak znakomicie, ma teraz żywe i świeże boje za linią pieczętować atramentem?....

Nareszcie uśmiechnęło mu się szczęście, — został przeniesiony do szeregu. I to jest nadzwyczaj piękne, że w nim i z nim wtapia się głęboka świadomość ubiegłych walk w walki bieżące. Suchą jak pergamin twarz historyka osmala wiatr świszczący w okopach a nie gnębi tęsknota z kart wiejąca. Bystre oczy nie kartę badają, lecz teren. Tkliwość i wzruszenie jak gdyby drugiego stopnia poznania ogarnia Kukieła, gdy spadają nań te wszystkie uciążliwe kłopoty gospodarki kompanijnej i wszystkie wytyczne komendy i wszystkie podziały wojskowego pożytku.

Kukiel smakuje w tej rzeczywistości za wszystkie bezorężne lata polskie, cieszy się za cały żmudny czas słów i mów — a nie czynów. Czuje się jakby dzieckiem, młokosem wobec młodziutkich, a starych doświadczeniem żołnierzy i to jest piękne.... I możnaby powiedzieć, że mądrość ksiąg i ścisłość teorii i giętkość nauki czuje się w osobie doktora Kukieła dzieckiem, — wobec bojowego doświadczenia ludzi, którzy umieją szturm zawsze wykonać, a nie potrafiliby go nigdy opisać....

Mądrość ksiąg i ksiąg marzenie, i łuna kart, gdy się w oczach zachwyty jak skrzydła rozwijają i z ksiąg zmyślane postacie, nazwiska, wartości....

Ożyły wtórnem życiem te nazwiska w pseudonimach młodych pierwszych strzelców, a pseudonimy te to były puklerze, godła, czy w jednym typie zawarte wyznania wiary...

PIŁSUDCZYCY



Były to godła z tej rewolucyi słowa polskiego, które poprzedzało czyn.

Więc jest w Brygadzie oficer, — nie powiem przepasany tęczą — lecz oficer, który z marzeniem broni przebywał w najlepszej łunie ducha polskiego lata całe, którego broń prosta i mocna spoczywa niejako na rozwartej księdze poezyi, jak we wrotach wyniosłych.

Nie wiem zupełnie, coście pisali i nie wiem, co piszecie i co piszą nasi młodzi — mówił mi porucznik Grudziński — od lat już nie czytuję nic prócz Słowackiego i taktyki....

Zachwyciłem się, gdym to usłyszał, bo cóż jest na świecie piękniejszego od tej poezyi, upajającej jak ogień szalony, i od ognia silnego, jak ta poezya wiązana mocą i czystością....

Nie poznacie w Grudzińskim jego lektury, wierszy i uniesień. Jest silny, zwięzły — a twarz ptaka północy z jakąś ascezą wysokości, — na wąskich zaciśniętych ustach cisza i rygor, — tylko w oczach głębia gorąca.

A jeśli chcecie zobaczyć typ poważnego oficera piechoty polskiej — chodźmy do okopów.

Oto na jednym skrócie tego kretowiska, czy labiryntu, we frontowym rowie, przed który niemasz dostępu, jak poprzez krew i śmierć, zjawia się człowiek prosty, jakby z kamienia wykuty, barczysty i spokojny, o twarzy dziwnej, powiedziałbym nieodgadnionej, jak ziemia.... Komentant VI. batalionu — Satyr Fleszar.

Trudno było o stosowniejszy pseudonim. Czoło ogromne, równo ucięte, nasuwające się na oczy, w dużych ciężkich zwałach i dwa guzy na czole tak widoczne, że aż niepokojące. Pod jasnym, szerokim kłosem brwi, oczy daleko od siebie rozstawione i skośne, zielone a zimne o nagłych blaskach białej iskry....

W całej twarzy równo i grubo wyciętej, w ustach dużych i twardych jak klamra bronzu, — jakaś logika architekuralna.

Takby wyglądał Faun, gdyby był filozofem. Takby mógł wyglądać człowiek wiecznego protestu, gdyby nie barwa tego oblicza, zwiewna, tkliwych odcieni pełna — cera dziecięca nieomal....

Jest jakaś budująca poprostu niemożliwość w przecięciu tego, co Fleszar, uczony geolog, wie o ziemi — z tem, co teraz tu czyni i doświadcza. Pojęcie o tych milionach tysięcy lat, których przebiegu może się umiejętnie domyślać, których kształt i moc rozpoznawać może z fal terenu — krzyżuje się przecie z tem maleńkiem pasemkiem przemijania, jakim jest ta wojna i ta czarna fala śmierci, kipiącej dokoła.

A niby przeczy temu wszystkiemu głos wysoki, świeży, nadmiernie młody, głos zdrowy i tak ostry!...

W rozerwanym, gliniastym okopie zwarta i ciemna jego twarz sprawia wrażenie bezwzględnej łączności z istotą tej gleby... Zdaje się, — że ten oficer, mający już poza sobą pierwszorzędną kartę bojowej zasługi — nie oficerem jest, a radcą tej ziemi, że powstał z niej, jak zlepek gleby i kamienia.... Że to sama ziemia, bez udziału wszelkiej ludzkiej woli stworzyła ten twór mocny, który gdzie pójdzie, tam okop wyrośnie, gdzie spojrzy, tam ostre się wyszczerzą zasieki....

Takby mogła wyglądać samoobrona ziemi....

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



DOKTORZY I. BRYGADY.

Nasi doktorzy... Któż ściągnął na siebie tyle przekleństw i tyle błogosławieństw, co oni!... Ten sam lekarz jest dobroczyńcą i katem, człkiem bez serca i serdecznym druhem, bezwzględny oprawcą i czułym opiekunem...

Doktorzy są, że się tak wyrażę poza racjonalnością wszelkiego sądu. Sądzi się ich wedle choroby lub rany, na którą się cierpi. Zresztą w ręku swym ważą zdolności do linji, „lekką służbę“, odpoczynek, urlop, wszystkie ulgi i obciążenia. Rozdawcy chorób — sami nie mogą chorować, szafarze odpoczynków — sami nie mogą odpoczywać....

Doktorzy na wojnie muszą mieć cechy istot nadzwyczajnych, wyższych, niczem wiecznych. Powinniby być bogami czułymi na wszystko, a niczemu nie dostępnymi. Energia ich nie może ustać ani na chwilę. Widzą najgłębszą istotę wojny, są ciągle u jej źródła, wysłuchując czujnie serce człowieka.... Człowiek w mundurze, czyli nie człowiek, lecz żołnierz, przed nimi jedynie może jeszcze być człowiekiem nagim.... Zaś oni winni godzić w wyroku swym prawo żołnierskie z prawem natury. To właśnie sprawia, że doktorzy stali się — sceptycznymi filozofami.... Łączą w sobie smutek i wesołość, uśmiech pogodny i brwi zmarszczenie, żart nieomal trefnisia z grymasem najsmutniejszego pobażania.

To, co wiedzą o człowieku, jest teraz tak dalekie od tego, co ów człowiek czyni.... To, co mogą czynić, jest tak dalekie od tego, co wiedzą....

Zdaje mi się, że każdy z nich wolałby nie być teraz doktorem.... Czyżby nasz doktor Piestrzyński, na swym ciężkim dromedarze, z harapem w garści, z lunetą przy oczach, długi jak don Kichot, nie wolał pełnić służby wojennej

od humanitarnej?! Jeśli tylko może, wymyka się ze szpitala, drapie się na wieżę kościelną i obserwuje ruchy nieprzyjaciela. To znów komunikuje swe spostrzeżenia komendantowi artylerii, czuwa nad celowaniem dział, albo zachwycą się krwawą robotą karabinu maszynowego.

Chorych swych, — to biedne ciało ludzkie, które przełamało już ducha i żebrze naprawy, — traktuje sumiennie, lecz bez wszelkiego liryzmu.

Nie tak doktor Jakowicki.

Jakowicki wstydy się swych chorych. Wstydy się tych wszystkich ran, cierpień, boleści, przyczajonych epidemii, całej tej jatki wojennej. Rzekłbyś ów cios krwawy i kolosalny, jaki się zadaje ciału ludzkiemu od Taurogów po Karpaty, odczuwa na własnej skórze....

Zakładając opatrunek sprawia wrażenie, jakby już dawno wiedział, że dany żołnierz będzie ranny i to tak a nie inaczej. Wobec tej sprawy dawno wiadomej zaś teraz doświadczanej, serdecznością, z jaką zakłada bandaż, usprawiedliwia się. Zasób tej serdeczności poważnej i tkliwej zda się być niewyczerpanym.

Ujrzenie ją na twarzy doktora Jakowickiego w subtelnym rumieńcu, który towarzyszy jego pracy w kątach ust, w których drga słodki, nieledwie dziecinny uśmiech i w oczach tak bardzo znużonych i przychylonych.

Jak sobie radzi doktor naszej kawalerii Maszadro w twardej ręku Beliny, jaki repertuar chorób uznany jest przez Dywizyon, na które tam choroby można wogóle chorować, od ilu stopni zaczyna się gorączka kawalerzysty — nie wiem....

Nie tak łatwo Belina rozstanie się ze swym żołnierzem, — chorego będzie wiozł za sobą na wozie, będzie kląć i będzie go niańczyć wierząc, że opieką swą sprawi więcej, niż wszyscy medycy świata.

Doktor piechoty Paczesny nie należy do ludzi, którzyby posiadali jakąś wybitną charakterystyczną cechę. Pracuje równo, spokojnie, starannie i cicho.

Któż nie zna brunatnego futra doktora wdzianego włosem na wierzch z przepaską czerwonego krzyża spadającą na mankiet. Któż nie zna jego bródki koloru tego futra i małych zacnych oczu niebieskich. Zrazu zdaje się, że to wszystko nieporozumieniem jest, że szofer udaje doktora, czy brunatny niedźwiadek szofera....

Obserwowałem doktora Paczesnego w ciężki dzień bitwy pod Marcinkowicami. Stał ze swym sanitaryatem w małej chałupie przy drodze. Dzień był jasny, słońce się szkliło na gościńcu. Drogą tą, niby sine strzępy, gnane leniwym podmuchem, wracali ranni.

W chacie na noszach leżał nasz żołnierz śmiertelnie ugodzony w brzuch i jęczał. Paczesny opatrywał drugiego lekko rannego w łydkę.

Pierwszy skazany był na śmierć. Z chwili na chwilę twarz jego żółkła, oczy gasły w twardych nie przeźroczystych połyskach. Głowa na osłabłej szyi chwiała się, jak na wątlej łodydze owoc zbyt ciężki....

Ranny dopominał się ustawicznie o plecak i czapkę.

Drugi, lekko ranny po wielkim wysiłku w boju, jakby wracał do życia z szaloną furją radości, dumny, że tak mu się udało okpić kulę. Ręce mu drżały, mówił głośno, coraz rubaszniej i zaciągnął się dymem papierosa z nieopisaną rozkoszą.

Doktor Paczesny z równą starannością opatrywał tych, którzy za kilka godzin w ziemi legną, jak i tych, którzy za kilka już dni do szeregu wrócą. Potem wychodził przed izbę czekając nowych zakrwawionych gości.

I czy ta rzecz była w blasku słońca czy w szarych bryzgach rozpęku szrapneli, w perłowym tle nieba, czy na tej drodze, po której się włóczył ból żołnierski, dość, że mi się zwidział wtedy doktor Paczesny jak skromny cierpliwy gospodarz żniwa, którego nie chciał siać, lecz które zbierać będzie, nie rachując swego, a pilnie licząc cudze życie....

Lecz typ! Typ doktora I-go Legionu, typ polaka-medyka wojskowego, zawadyaki i pocieszyciela stanowi dr Składkowski. Czułość jakaś rodzicielska miesza się w jego duszy z temperamentem wiarusa, a temperament z niemiłosierną kpina, a kpina z wiedzą, a wiedza z serdecznością i tak w koło....

Dźwięk gitary, brzęk kuli....

Dźwięk gitary, na której doktor gra ze śmiechem, a śmiech pomieszany z wielką powagą surowego obowiązku.

Dźwięk gitary, świst kuli i pęd!... Pęd szeroki.... Niechby w ranach i we krwi, ale z honorem iść, iść dalej.... Przez błoto i kule z płaszczem na ramionach, z nożami w pugilaresie, z browniegiem u boku; z dowcipem niewyczerpanym po przez chroniczny katar krtani.

Ale iść — przez wszystkie nosza krwią zbluzgane, przez wszystkie białe amarantowe zmoczone pasma opatrunków, przez morze żalu, śmierci i krwi, niebieskimi oczyma patrząc w ogień morderczy — iść do Polski....

KOLUMNA.

Ujrysz z daleka szarą lawinę, sunącą zwolna po gościńcu. Zwidzi ci się we mgle, że to olbrzymi wąż, czy potwór jakowys stunogi w ciemnościach nieśmiałego poranku, pełznący uparcie ku tajemniczym krańcom horyzontu.... Ku tym straszliwym krańcom, gdzie wśród gwiazd się włączają ceglaste wypieki łuny pożarów a niebo drży, niby w westchnieniach jasności, w rytmicznych wyblyskach salw armatnich.

Maszerować!

Komenda ta jest nadzwyczaj prosta. W praktyce długich marszów zostało w niej właśnie już tylko to jedno, najważniejsze, zasadnicze: Nie pluton, nie kompania, bataljon, czy pułk, a tylko „maszerować“, bez wymienienia tych, do których się to odnosi, bo przecie sami już wiedzą.

Maszerować — rzeczona bywa rozmaicie. Młody oficer dziarsko zgrzytnie komenderując, jakby zdrowymi swymi zębami kruszki krzemienia gryzł. Starszy, niczem dobry gospodarz, wymawiając komendę ogania nią i ogarnia swe szeregi.

Na drodze czernieją kompanie, niby ciemne bloki zwałonej z wysoka olbrzymiej kolumny....

Maszerować!

Ruszyli i widzisz, jak masa głów faluje w rzadkim roztworze mgieł.

Ludzie idą naprzód poddani, tem osobliwem pochyleniem jakie nadaje postaci plecak. Wygląda, jakby im spieszo było, zaraz biegiem popędzą.... Tymczasem, choć do biegu gotowi, idą wolno. Głowy (bo karki sztywnieją od ciężaru) wzniesione ponad miarę normalnie idącego człowieka, rzekłbyś głowy natchnione....

Tak, że jest w tem naraz i ciężki, twardy trud i lotność wielka i wyższe jakieś powołanie....

Kolumna maszeruje.... Słyszać brzęk karabinów i miarowy rytm nóg piechura, nóg, których nauczył się używać ze znużeniem....

I słyszać głos cierpliwie deptanej ziemi.

Jaka będzie pogoda od rana do wieczora, jakie było wczoraj i jakie jutro nastanie, — rzecz obojętna. Czy przyjdzie na zmarszczkach świeżej grudy wykręcać kostki, czy mięsić stopą rozlazłe błoto gościńca, czy ślepnąć przed pałą słońca, lecącego po niebie, czy mogiłki świeże tratować i iść jak w zwojach całunu, we mgle dręczącej?... Czy śnieg uśpi rozległe pole, czy wiatr niespokojnym pospiechem przestwór napełni, czy przyjdzie tu wrócić kiedykolwiek, czy nigdy już nigdzie nie wracać — wszystko jedno...

Kolumna maszeruje....

W tyle za nią strzępią się niby włókna i kłaczki wielkiej tkaniny, grupki maruderów, których skwapliwa władza wciąż zagania do szeregu. Są to swoiste Falstafy czy Zagłoby kolumny, chytre dowcipnisie, dla natręctwa wobec ludności, miaukaczami zwane. Są to żołnierze całkiem dzielni, ale którzy z zasady od początku wojny „trzy dni nic nie jedli i cztery doby nie spali“.

Maszerować!

Wiatr poły płaszców odrzuca, słowa rozmowy zganiania z ust precz. Kolumna milczy i sunie, bacząc jak gdzieś na przodzie słyszać zgrzyt skrzynek amunicji artyleryjskiej, wiezionych na jucznych zwierzętach.

Te lśniące gładkie butle (bo czyż nie do butli podobne są naboje granatów lub szrapneli), te zimne cacka zdają się pischceć i kwilić w puzdrach.

To znów mija kolumnę chrapliwa wataha taborów. Więc jedna z drugą, płótnem oszyte budy, podobne zdaleka do kruszek brudnego sera, który ciągną mrówki.

To znów łamie kolumnę żmudny przejazd baterii. Niby

PIŁSUDCZYCY



niesamowite kościste potwory toczą się po szklistej gołoliedzi od jednego brzegu do drugiego. Słońce się w sztychach brązu promieniami pręży, a armaty jak gdyby nie chcą iść.... Jest w tem coś okropnego.... Po czterech kanonierów trzyma za każde koło, rzekłbyś ręce swe wplekli we szprychy. Starszy liną przez zamek uwiązaną powoduje, a straszliwa maszyna, niby złoty kościsty bies ociąga się, wzdraga, iść nie chce, zewsząd ciałem ludzkim oblepiona.... Minęli. Jeszcze przebiegł konny ordynans, dziwnie samotny i ważny na pustej drodze.

Kolumna wciąż maszeruje prosto na ten tajemniczy kraniec horyzontu, gdzie między gwiazdy się wdała krwawa rana pożaru....

Aż w mroku wieczora, — nito czad jakowys uroczy, nito rzecz najmilsza, czy zjawa sztandarów niesionych ongiś tutaj (a które nigdy nie staną, póki nie dojdą), czy wdziek, którego najsrozsza śmierć nie zwichnie — wypływa nad szeregi pieśń żołnierska:

O mój rozmarynie, rozwijaj się!
O mój rozmarynie, rozwijaj się!
Pójdę do dziewczyny, do mojej jedynej,
Pokłonię się! Pokłonię się!

Kiedyż się rozmaryn rozwinie, do dziewczyny jedynej czy zdążysz?....

Kolumna się już w mrok wszyła, nie widać już butnych rogów czapek Legionu, siwe płaszcze opłynął cień, — więc jakby nie oni, a sama ziemia śpiewała i drzew gałęzie....

Pójdziemy z okopów na bagnety!
Pójdziemy z okopów na bagnety....
Śmierć mnie ucałuje, śmierć mnie ucałuje
Ale nie ty! — Ale nie ty....

Jeszcze sto kroków, — przedkłada sobie ktoś, — jeszcze sto kroków, potem już wyjdę z szeregu. Jeszcze sto kroków, by być razem z wszystkimi, gdy wchodzić będziemy do wsi, a baby z pod krzyża wrzasną: To nasi idą!!!

PIŁSUDCZYCY

— Jak się macie matko!?!

— Wy się lepiej macie, bośmy was zobaczyli...

Jeszcze sto kroków, by stanąć w piorunach tej radości, że się lepiej od nich mamy, bo one nas zobaczyły....

Zakwitają w śpiewie tęcze wspomnień z przeróżnych stron, bo przecie ten jest z Krakowa, tamten z Nowego Targu, ów z Kielc, ów z Częstochowy. Brata się też pod szarym zaszczytem piechurskiego płaszcza fach najrozmaitszy i brata się ziemia rozdarła... Doktor medycyny łokieć o łokieć maszeruje z bednarzem, filozof z szewcem, a matematyk z chłopem.

Zaś ty, najmłodszy!

Oczy cię pieką, jak kule ogniste, a na ramionach od pasów płomienie czujesz dwa.... — Na grzbiecie, niczem żarno ogromne cięży ci plecak, a karabin zjeżdża z obojczyka, jakby ci ramię gweru łojem wysmarowano.

Zmieniasz przerozmaicie twój marsz, to kantem stopy krocząc, to na piętach, młody obywatelu-żołnierzu, coś na wieść pierwszą biegł w rozchełstanej kapocie z Warszawy do Krakowa, albo z parą butów wykradzionych z komory i z dużym białym serem stawaleś do szeregu w Jędrzejowie.... Niesforny w oddawaniu ukłonów, ty co się „samemu Piłsudskiemu nie kłaniasz“, lecz by celniej razić przed okop wypełniesz.... Ty żołnierzu i chłopcze, złoty gzysik od karnisza noszący w plecaku, lub w ogniu wyczyniający sitko z okrywki szrapnela. Ty, którego żaden alarm nie wytrąci z pogardliwej równowagi, żołnierzu o młodych, chłopięcym puchem obrośniętych rękach....

Maszerować!

Idzie cała kolumna, nie myśląc czy w czarną śmierć czy w zwycięstwo, jak chodzili hoplici, jak zapewne szli Japończycy, z tą jedną myślą — aby się mężnie bić.

Idą, wszyscy pochyleni naprzód, rzekłbyś wprzągnięci do olbrzymiego rydwanu, na którym ciągną — ku krańcowi horyzontu, drżącemu w błyskawicach — sławę Narodu.

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



KAWALERYA I. LEGIONU.

Stary, polski dwór głęboko zasiadł w ziemi, tak, że iskrzący się śnieg leży tuż pod oknami. A dalej sterczą wiązki suchych gałęzi, chudość kościstej zimy, a dalej świat odęty wiatrem, daleki, senny, przepastny, nasz polski świat zimowy....

Okna patrzą na ogród, raczej na zarys jego nieśmiały.... Kurzawa śnieżna, rzekłbyś, pył samego zapomnienia buja po ścieżkach. Przesłaniać się zdaje i tak dość już krótkie i tak dość już pogmatwane drożyny....

We dworze sufity niskie, a podłogi skrzeczące, meble zużyte. Cierpliwe jakieś oblicza dziadów i ojców pendzlem olejnym umarynowane — i cisza.... Dwór grzybieje powoli, daleko od traktu, po którym płynie krew i ogień, dwór zaszył się w śnieg i o niczem, o niczem wiedzieć nie chce....

Zaś gdyby dwory.... Gdyby więcej miał głosu stary zgrzybiały dach i żłób wyszczerbiony i wrota i zamki rdzewiejące, niż niejedno serce leniwe....

Dwór grzybieje powoli, a daleko na trakcie, zstąpiwszy z dawnego obrazu, opuściwszy kadzidła marzeń i snów, zerwała się pyszna jawa polska!...

Czyście widzieli ich jesienią, czyście witali, czyście żegnali, czyście gościli ich w zimie?...

Jadą konno zbrojno, na obraz i podobieństwo krakusów Madalińskiego, ułanów księcia, na obraz i podobieństwo tego rycerskiego czynu, który krwią okwitł i nigdy już — zdawało się — nie wskrześnie....

I czy wiecie, że nie pieśń o ułanie puka do chłopskiej chaty, a ułan żywy, zziajany jak wilk, gorący jak ogień!... Ułan

polski konia przed chałupą za pysk trzyma, zmarzniętą pięścią tłucze po szybach — otwórzcie!

Nie pieśń woła, a ciało, krew i broń żywa.... Czyście witali?...

Jadą dwójkami przez wieś, przez miasto, przy słońcu i przy księżycu, każdy potakując postacią całą rzeczy oddawna ustalonej i pewnej.... Nie otaczajcież ich uwielbieniem! Nie jest to żadna wizya, a rzeczywistość najprostsza. Tak właśnie prosta, że aż się wszystkim daleką zdała.... Czyście żegnali ich poprostu chlebem, masłem i poczęstunkiem, jak żegna się syna, gdy idzie na robotę?...

Trzeba było mieć wielką zasługę bojową i wielką pewność pokładać należało w swoich ludziach, trzeba było mieć wielką cnotę rycerską, by ważyć się na podjęcie zerwanej nici i wrócić życiu nie tylko w czynie, lecz i w formie dawny i sławny rodzaj broni.

Tego dokonała kawaleria Beliny.

Ułani polscy, honor, splendor, zaszczyt i cała radość, jaką ten termin w sobie mieści, są znowu.... I cały gniew, impet i złość burzliwa.... I zaczepka w jednego na dziesięciu i najpiękniejsza rzecz w świecie, świst strasznej szarży, od której ludziom oczy zbieleją!

Nie wzięli się ani z płótna, ani z wiersza, a z walki, z życia, z zasługi bojowej. Ich mundur dzisiejszy i ten wielki, srogi kask, te sznury dawne, zawiesiste, są widomym symbolem łączności z przeszłością.

Składa się na to nie tylko męstwo zupełne, nie wahające się nigdy, lecz wszystkie łączne z niem cnoty i zalety. Fakt walczenia w jednym szeregu za wspólną sprawę czyni wszystkich żołnierzy dywizyonu i wszystkich jego oficerów braćmi. To rodzinne poczucie się, dla niewojennych ludzi dziwaczne, wojakom tak bliskie, na drugi plan usuwa z serca to wszystko, co krępuje żołnierza w jego furii, pasy rycerskiej i rozpędzie. Kto czeka na tych ułanów poza frontem walki w starej zagrodzie, domu, we wsi, czy w mie-

PIŁSUDCZYCY



ście, czy to jest czuła narzeczona (kwiaty mroźne na szybie ustąpią świeżym, polnym), czy siostra, matka, czy ojciec, niech wie i niech zazdrosnym będzie: Nową, szaloną rodzinę znalazł ułan, ma dwie — : tam w domu czułą serca rodzinę, tu w polu buńczuczną familię broni....

Dzięki temu prawie niemożliwym jest w tym szeregu żadne wykroczenie — odrazu cały szereg ono obraża.... Lecz również każdy czyn chlubny nie idzie na karb jednostek, a przypisuje się honorowi całego oddziału....

Kto tak rozkładał zasługę i kto na tej podwalinie fundował wojenny tryb tego oddziału? Rzecz szła z góry od Beliny i jego oficerów. Wedle jego pojęcia służba wojenna nie zna poszczególnych zasług — winna być jedną nieustającą zasługą. Oficer, który do wczoraj był pierwszym oficerem, może tu jutro już stać się szeregowcem, wystarczy na to jednego dnia, jeśli ten dzień nie jest w szeregu innych pierwszorzędnych.

Dzięki temu ułani dywizyonu są wzajem tak siebie pewni. Mogą zawsze za siebie ręczyć, mogą zawsze ręczyć za sprawę, której się podejmują. To stwarza ową odwagę cywilną, ów spokój rycerski, z którym mógł Belina wziąć stary model z muzeum, żołnierską ręką wyszarpnąć z zakurzonej framugi dawne kawalerzyckie godła i rozdać je swemu oddziałowi. Mógł urzeczywistnić dawno w pyłach dewocyj drzemiące marzenia i to, co stylem już tylko było, uczynić życiem obowiązującym....

Godność i prostota przeniknęła również gospodarce pierwszego dywizyonu. Niema tu fircyków, gogusiów, niema sobków — jest towarzystwo wojenne. I miłość koni! — A koń — to ziarno, a ziarno — to wieś, a wieś — to chłop.... Warto widzieć, warto słyszeć, jak się dawne zacne echa w pierścieniu tym kołaczą.... Jak ułan-inżynier, czy ułan-filozof chodzi koło konia, obrabia go, a chłop znawczem okiem poziera na te zabiegi i zaraz się odnajdują we wspólnej miłości.

PIŁSUDCZYCY

Długa, pracowita gospodarka — pozbierajno pan te wszystkie frenzle, gurdy, rzemienie, łańcuszki z siedmiu koni — na kilka szwadronów i dorób się pan ze sznurka — ułańskiego ordynku. A potem jednym mocnym i szybkim ruchem, ruchem Beliny — wszystko na jedną kartę!...

W starym polskim dworze okna patrzą na ogród, słońce zachodzi, aż mróz i szron się rumienia. Jak krew świeci blask na różgach suchych gałęzi....

Niema stu lat niewoli, gdy ci, co sto lat temu zginęli, dziś żywi weszli do starego przedsionka.... Słysząc zewsząd dzwonenie ostróg, jak kropli tających dźwięk na kamieniu. Wielki trakt pewnej, starej sławy ogniem i krwią płynący wjechał do dworu i dawne godło na mężnych czołach i młody rozkaz w obrotnem, stalowem ręku.

W polskim dworze.... W cichym ogrodzie kurzawa śnieżna się kłębi i różowi, szuka oddali na krótkich ścieżkach — w jeden węzeł ściąga pogmatwane drożyny....

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



PRZED WYMARSZEM.

Nic nikogo nie może obchodzić data, ani nikt nie może wiedzieć kiedy.... Wszystko musi być w pogotowiu, jakby to się stać miało jutro i jakby wszyscy wiedzieli, że jadą — wszędzie.... Bo gdy nie wiemy dokąd, przygotowani być musimy, że pojedziem — wszędzie....

Potem zjawia się rozkaz. Trudno odgadnąć, w jaki sposób udaje się żołnierzom przeczuć rozkaz wymarszu. Dość, że przeczuwają zawsze. Poprzedza go, niby grom, chmura, — omroka przeróżnych domysłów. Idziemy tam, idziemy ówdzie.... Jedziemy, idziemy, wozami, — nieprawda, kolejną.

Ale, co ty mówisz, marszem idziemy!

A dokąd? Wszędzie. Żołnierz przypuszcza wszystkie możliwości i to powiększa tylko jego beztroskę. Godziny spotkań serdecznych nabierają coraz większej ścisłości i nie trudno usłyszeć mijając framugę kościelnego muru:

Pamiętaj, pamiętaj kochana, jutro wieczorem o siódmej piętnaście!

Nareszcie zjawia się rozkaz. W kwaterze głównej przywitany on jest zupełnie spokojnie i tak, jakby się go spodziewano od dawna. Zmusza on do ponownego przeglądnięcia całej mimikry wojny i najcięższemu brzemieniu spada na barki: Litwinowicza, doktorów brygady, wszelakich taborytów (tren), zbrojmistrzów i naturalnie odpowiedzialnych kierowników oddziałów.

— Porucznik Litwinowicz — głosi dyspozycya — wyda, obliczy, zwinie (warsztaty), rozdzieli (resztę wozów) tak, ażeby bezwzględnie jutro....

— Podług rozkazu — odpowiada z brzękiem ostróg, zaś brzmi to jakby się stalowe, rozkazem spłoszone cyfry zde-
rżyły w jego głosie.

— Doktorzy, — dalej podług słów dyspozycji — pracować będą cały dzień. Oddzielić wszystkich maruderów. Od pojutra już żadnych maruderów się nie uwzględnia.

Wozy....

To słowo wyrywa, wytłacza, czy wyciska mimowolny jęk z piersi wszystkich.

— Ile macie wozów, Śmigły?

Zaczyna się liczenie tych tak cennych, a tak nieznosnych sprzętów wojennych, dalej kombinowanie (bo to zawsze trzeba aż — kombinować) koni do tych wozów, dalej uprzęży.

Po wielu sztrychach ołówkiem wprzód i wtył, gdy już brygadierowi powieki na oczy opadają ze wstrzymywanej złości, a szef Sosnkowski rwie niecierpliwie prawego wąsa, — liczba wozów i ich definitywna przynależność jest ustalona. Ostatecznej prawdy nikt tym wozom tu nie objawi, lecz zrobi to „taboryta“ na drodze pojutra, gdy mu się mutra zgubi.

— Żeby cię chcholerrra ścisnęła, ty wozie zatracony — powie wówczas taboryta.

Odprawa skończona. Komendanci przyjęli rozkaz z całym spokojem i posłuszeństwem, a teraz jadą z tym pasztetem na swoje lokalne odprawy.

Od „jutra“ od wczesnego świtu skrzeczą wszystkie telefony, łączące poszczególne oddziały, skrzeczą, miauczą i pieją niecierpliwie.

Fury pędzą tam i z powrotem wszystkimi drogami. Litwinowicz to gubi się, to się znów zwycięski wyłania z powodzi kwitów niezliczonych, srogi komendant placu Grudziński jak gdyby zelżał, bo urząd jego kończy się wraz z opuszczeniem miejsca. Kancelarya sztabowa, niby dobro jakieś bezcenne, przelicza i sortuje maruderów. Kończą już swą pracę chytry zbrojmistrze, sprawdzając cyfry i właścicieli karabinów.

Żegnaj, pocziwa, przytulna chałupo, do widzenia wam

PIŁSUDCZYCY

baby pocziwe, daj rękę wyświechtaną i mocną kudłaty,
nieogolony gospodarzu!

Trzymaj się, trzymaj się dalej tak poważnie i wdzięcznie
stary, opuszczony pałacu. Radosne zdziwienie lekkim łukiem
uniesionych arkad twych nie ujrzy nas znów tak prędko
i nie prędko niebieskie lekkie sylwety Legionu w pośpiechu
biegnąć będą pod mlecznym cieniem tych sklepień!

Bądź zdrowa drogo prosta i radź sobie jak możesz małe,
gościnne miasteczko... Droga przed nami prosta jest wszę-
dzie, droga jedyna... Ty zaś miasteczko, miej pamięć o nas
i gdy minie miesiąc, a nas niema — mów, że już miesiąc,
a gdy miną dwa, że już dwa, a gdy trzy — mów, żeśmy
daleko naprzód poszli, żeśmy bitni i prędcy...

Kolumna się już wyciągnęła na drodze, czekajcie — idziemy
naprzód, — czekajcie teraz, aż z łomotu bojów przedrze
się ku wam jakaś wieść o nas, czekajcie, bo wkrótce dumą
wzbiorą drogie wasze serca...

GOSPODARKA I. BRYGADY I. LEGIONU.

Tak, jak na przestrzelonym łachmanie sztandaru mienia się wszystkie barwy ojczyzny i nie ciasno im i nie wąsko i nikt się nie dziwi, że jeden strzép streszcza w sobie wody, ziemię, góry i całą duszę kraju, tak nie może być dziwnem, że gospodarstwo wielkiego oddziału i jego idee samorządne i plany i wykonanie ich zamykać się może w niewielkiej skrzyneczce. Że odbywać się może wśród huku wystrzałów, ataku, czy cofania się, czy marszu....

Gospodarstwo to, niby mała i najprostsza arka przy-
mierza — bo przecie są w niem myśli pokoju i sprawiedliwości — tłucze się za oddziałem na wozie. Chronić je trzeba, by się nie potoczyło do rowu, by go deszcz nie zmoczył i nie zamazał, by obcy ludzie nie roznieśli, — aż znów gdzieś przygodnie w chałupie rozkłada się...

Nie może ono polegać na ścisłym obliczeniu czasu tych, którzy gospodarują, ani tych, którzy są „gospodarowani“. Jakże obliczać czas, gdy śmierć i cierpienie pośród niego ugania?.... Nie może ono polegać na rozłożeniu się planowem wśród miejsca jakiegoś i nigdzie tu kratki żadne stanąć nie mogą a tem mniej ręka z napisem — „do etc“.

Cały bank, wszystkie jego piętra i biura leżą rozłożone na stole. Wszystkie zapasy w pieniądzach papierowych, jak niebieskie tomiki jakiejś popularnej biblioteczki w przepaskach — i w skrzynce.... Zaś akta tego „banku“, mimo kilku maszyn do pisania, które gdzie mogą, tam coś dopiszą, — to atramentowym ołówkiem posiane na żółty papier gryzmoły. Pierwsza brygada I. Legionu mogła była jednak mówić

PIŁSUDCZYCY



już o statecznej gospodarce, gdy udało się jej mieć na tyle spokoju, czasu i miejsca, by te gryzmoły atramentowego ołówka wykorzystać.

Początkowe czasy jej trudów i bojów były tak nieprzerwane i wysiłające, że istotnie całej sprawy finansowej niepodobna było drobiazgowo wyczerpać.... Załatwił ją w najkardynalniejszym zarysie wynik referendum oficerskiego, mocą którego w myśl starych, czy wiecznie młodych zasad świeżych armij, oficerowie zrzekli się swych poborów na rzecz żołnierzy.

Wypada tu podchwycić dokładny sens tego referendum. Były w tej enuncjacji oficerów-obywateli, która przyszła naturalnie i spontanicznie, — te właśnie tradycje, jakie towarzyszą zawsze armiom improwizowanym we wielką godzinę przełomu czasów i losów. Owo referendum stwierdzało wspaniale brak jakiegokolwiek różnicy stanu obywateli wobec sprawy ogólnej.

Możnaby zarzucić, że później sprawy inaczej poszły. Zarzut taki jednak nie byłby słuszny. Nie o to bowiem idzie, że pewne zastyganie formacji wojskowych musi sprowadzać pewne modyfikacje w postanowieniach pierwszych, lecz o to, że modyfikacje te będą zawsze pochodniami danego postanowienia i na zawsze ślad wielkich marzeń na nich się odcisnie....

Tak też się stało i z założeniem gospodarczem I. brygady. Gdy po uciążliwych bojach i niesłuchanie forsownych marszach przyszła ona do Galicyi, znalazł się jej korpus oficerski w obliczu dwóch faktów, które skłoniły go do rozważenia typu gospodarki. Spokojniejsze stosunkowo warunki bytu umożliwiały głębszą naradę. Wyczerpanie się z zasobów materialnych dyktowało — jej konieczność. W życiu oficerskiem, które pociąga za sobą pewną reprezentację, ukazały się braki w wyekwipowaniu. Wielkie oddalenie, czasem odcięcie zupełne od rodzin i domów usuwało wszelką możliwość pomocy na drodze prywatnej.

Otóż wszystkie te bolączki miało rozstrzygnąć zgromadzenie oficerskie, zwołane w Lipnicy Murowanej na 2 stycznia b. r. Przebieg jego i chwila, w której się odbywało, były nadzwyczaj charakterystyczne. Działo się to przecież w kilka dni po wspaniałej bitwie pod Łowczówkiem, gdzie razem z rannymi padło 35 oficerów brygady, gdy cała, że się wyrażę przenośnie, ociekała jeszcze krwią....

Działo się to w chwili, gdy podjęcie idei gospodarczych było widowym znakiem nawrotu do życia i głębokiej jego afirmacji.

Zdania się rozstrzeliły w pierwszej chwili. Ostatecznie, kapitałną większością zdecydowano, że wszyscy oficerowie I. Legionu, posiadający mianowania c. i k. armii, kwitują pobór pełnych pensyi, które bezpośrednio przechodzą do wspólnej kasy. Oficerowie, wszyscy bez względu na stopień i jakość mianowania, pobierają po 100 K miesięcznie, żołnierze, bez względu na stopień, po 10 K miesięcznie.

Komenda brygady zrzekła się w tej sprawie ingerencji.

Decyzja i rządu kapitałem, administrowanym korporatywnie, oddaną została w ręce delegacji, wybranej przez ciała oficerskie poszczególnych batalionów i oddziałów. Między innymi skład jej stanowią kapitan Piskor, porucznicy Dreszer, Wojsznar, Sarmat, komendant batalionu Olszyna-Wilczyński.

Z wydatków, najpoważniejsze rubryki stanowią ekwipunek, wypłaty dla rannych, — chory i ranny pobiera automatycznie 150 K, które są doręczane przez sanitaryat z funduszu na ten cel specjalnie przekazanego.

Do czasu, w którym formalnie rozwinięto I pułk w brygadę pobierało pensję 200 oficerów brygady (po 100 K), podczas gdy z kasy rządowej 40 zaledwie mianowanych przez c. i k. armię. Po rozwinięciu I. pułku w brygadę pobiera pensję 246 jej oficerów, podczas gdy na zatwierdzonym etacie rządowym figuruje stu dwudziestu.

Nie ulega kwestyi, że koncepcja korporatywnej gospodarki

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



postronnych zadziwia, drugich, zwłaszcza niepoinformowanych dokładnie, co do stanu rzeczy napęnia niepokojem. Sprawy te jednak, o ile ma się traktować, należy przede wszystkim znać, wiedzieć, że listy ze spisem oficerów przesłane do wszystkich instytucji, mających do czynienia z ruchem i pobytem oficerów, — uniemożliwiają wszelkie nadużycia etc.

Rzecz prosta, że przy takim rządzeniu pieniędzmi utworzy się ich zapas, z czasem może nawet dość wydatny. Użycie jego będzie zależało jedynie i li tylko od postanowień korpusu oficerów.

W całości tej gospodarki musi się rzucać na plan pierwszy ścisła zasada koleżeństwa wzajemnego, która wyznaczając równą „gażę“, wytwarza mniej więcej równy stan. Zasada ta mocą swych finansowych zarządzeń przyczynia się do poczucia solidarności, braterstwa wśród oficerów. Obiera ona z najłżejszych cieni dążenie do odznaczenia się i wyższej rangi. W tym składzie rzeczy wyższa ranga — może być tylko szerszym zakresem działania i absolutnie niczem więcej. I również, w tym składzie rzeczy ów fundusz tworzący się i narastający automatycznie łączy poniekąd oficerów wszystkich więzią jakiegoś przyszłego pożytku, który sami kiedyś za najlepszy uznać zechcą....

Nie tylko więc sławę i męstwo obnosi I. brygada Legionu po polach, górach polskich i nizinach, nie tylko wplata swą krew w nigdy niezapomniany obraz Ojczyzny, — wiezie również ze sobą w obtłuczonej skrzyneczce myśl bratniej równej gospodarki, myśl pełną serdecznej miłości i głębokiego marzenia.

KWATERY.

Nie wiecie skąd idziemy, ani dokąd! Idziemy w rygorach wojennego rozkazu, niosąc na pola srogość śmierci, podstęp do lasu i ogień we wieś....

Nie wiemy, coście dotąd za życie pletli, które was żarło zmartwienie i jakie łączy pokrewieństwo, a tylko was i nas brata wspólny wróg.

Wy ludność i my żołnierze!

Bezbronni gospodarze zbrojnych gości, niema dla was podzięki, tylko skoczny humor postoj, uczta, kawalerskie ostróg dzwonienie, błahy a czarujący uśmiech żołnierza. Póki w ten wywczas nie trzaśnie nagle, jak piorun — rozkaz wymarszu.

Przytuleni do ciepłych okien waszych domów patrzycie, jak na ulice wylęga żołnierz, ślecie mu giesty i spojrzenia pożegnalne — lecz was nie zapamięta. Wy, wasze domy, twarze, jedzenie, potrawy, bety, poduszki, wszystko to wpletło się w wir szybkich wspomnień wojaka....

Najsłodszy jest pobyt wśród was, gdy się nań zapracowało szturmem, śmiercią i krwią. Czuje się was już podczas bitwy w zajętem przez wroga mieście. Mury jego i kościołów wieże poniesie, jak szczęście niedościgłe, ten, kto się w szeregu, śmiercią uderzony, wywrócił.... Mury waszego miasta i kościołów wieże tańczyć będą na śniegu przed oczyma rannych....

Hałasem strzałów krzyczy ku nam wróg z za murów tych, lecz my wiemy, że wy tam, biedacy, ciszę zachowujecie śmiertelną i najdroższą....

Chłopaki wasze włączą się po szkarpach miejskich, widzą nas z daleka, wszytych w ziemię, widzą ogniste pręgi naszych salw, widzą nas, małych ludków, w czapkach roga-

PIŁSUDCZYCY



tych, jak hycamy po śniegu. Drapią sobie ręce do krwi, gdy się któryś z nas wali na ziemię i jak małe goryle tłuką się z radości pięściami po piersiach, gdy wali się Rosyanin....

Potem lecą z powrotem jakąś cudowną drogą chłopięcej przebiegłości, wracają do domów i tu cicho szeptem mówią o starszych swych braciach: oni się niczego nie boją, mamusiu, tak biją! Widziałem ich. Ja ich widziałem.... Widziałem Strzelców....

Słychać, jak się po polach zamiejskich sypie czarny groch śmierci, ulicami miasta jedzie krwawa nasza robota, — wozy z rannymi, jedzie srogi nasz gniew — wozy ostatnie płachtą ponuro nakryte....

Przychodzimy do was nazajutrz na kwatery.... Kręciliście się cały dzień, na ratuszu wrzało od rady i uroczystości, biegniecie naprzód na drogę. A na tej drodze wieczorem.... Już idą....

Zamarło wam serce w piersiach i witać nie możecie zrazu.... Jedzie Piłsudski w szarym kubraku na pocziwej złotej kasztance, jadą jego oficerowie zdrożeni, sunie potem kolumna....

Wchodzić do zapracowanego krwią i śmiercią miasta polskiego, mijać ludzi objętych wielką ciszą wdzięczności, iść ziemią, drogą, z której wyгнаło się wroga i usłyszeć, gdy się ludzie już w sobie zbiorą, ów krzyk wzdłuż drogi wiochrem biegnący, owo niesłychanego szczęścia pełne: Niech żyje Piłsudski! Niech żyją Strzelcy! Niech żyją Legiony!

Oddziały wchodzi w ulice miasta, na chodnikach tłum macha rękami, płacze i krzyczy.... Jakaś czarno ubrana kobieta, matka zapewne, odnalazła w szeregu swego chłopaka, leci za oddziałem po błocie, przez łzy się śmieje i woła nieustannie: Zygmus! Zygmus.... Zygmus....

A Zygmus spart się w sobie, raz tylko machnął ręką ku niej i idzie dalej, jeno mu karabin na ramieniu dygoce, wstrząsany słodkim płaczem.

To ci kwatery!

Ze wszystkich stron, z nieba, z pod ziemi, z murów, z kamieni, zewsząd zjawiają się poduszki. W każdym domu kuchnia aż trzeszczy i grąży się w niebieskim dymie smarzeń wybrednych. W każdym domu zasiada do stołu po kilka niebieskich mundurów.

Wojaki głaskają zalotnie śnieżny brzeg obrusa, kopią się pod stołem na widok wnoszonych smakołyków i świadczą paniom naiwne komplementy.

To ci kwatery!!

Na drugi dzień u fryzyerów procesya i ścisk — wilcze łby, chropawe gęby obrabia zdolny żydek. Oto prosty rozdział trysnął na boczku wypomadowanych jak posadzka włosów, oto lekki puder sładzi marsowe oblicze.

Do cukierni! Do prawdziwej cukierni, gdzie się napijemy żywej, nie „konserwowej“ kawy, za pieniądze.... W cukierni już od 11 rano niema ani jednego ciastka. Tam pije się kawę, a wzruszony cukiernik chodzi z albumem i prosi o autografy, podczas gdy tubylcy robią polowanie na gości obiadowych.

Zwierzyna jest roztropna i wytrawna.... Daje się zabić dwa, trzy razy.... Zaproszenia przyjmować należy uważnie, by nie pomylić.... O godz. 12^{1/2} na własnej kwaterze, o drugiej u doktora, o trzeciej można jeszcze zdążyć do aptekarza....

A teraz podpisać się w albumie wzruszonego cukiernika. Zamach się do tego bierze piekielny i szast, aż pióro bryźnie. Wyższy oficer podpisze się statecznie, równo, doktor niezrozumiale, a kawalerzysta wściekłym galopem.

Drogi albumie cukiernika, księgo skromna — ileż z twych podpisów świętą się już stało pamiątką!....

O wieczorze nie mówmy... Mars i Amor pogodzeni sprawują swe obrzędy. Mars prowadzi apel na kwaterach, a potem gdzie?.... Nie wiem gdzie, wszędzie, prowadzi swe apele Amor rozkoszny....

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



Jeszcze weselsze od tych są kwatery na terenie spędzonej nagle kawaleryi nieprzyjaciela. Wyjechał se taki oddział bezpiecznie na naszą drogę, aby pogospodarzyć.... Wycisnął plebanie, wycisnął dwór, oskubał chłopów i powiada, zapasy będę robić....

Powiada — zwieźcie mi tu owies, tam krupę — powiada — rządę, to muszę mieć! Regularnie to musi być i porządnie.... Nawet papier na to ma.

Więc wójt, więc władza, gmina, rada.... Podzielili ciężar między sobą, wszyscy się wzajem obełgali, bo każdy ma jeszcze resztę zakopaną w ziemi i robią temu piekielnikowi — ziemię obiecaną. Klną jak cholery, plują przez zęby, z sykiem jak żmije, ale ziemię obiecaną, siedm krów tłustych, muszą zrobić.

Tu mi — powiada — złożysz owies — i miarę do tego ma i mierzy.... Tu mi zwał siano....

Niosą chłopcy w workach te złote ziarenka końskiego zdrowia, każde ziarenko owsa — kropla potu.

Zwożą siano i aż się samym jeść zachciewa z tej żalości. Baby kurę warzą w chałupie — psia krew jeść — powiada — chcę dobrze.

We dworze zasiadł, rozparł się, papierosy pali — „da, da“ — powiada, a pani domu kotleciki rychtuje i cnoty chrześcijańskie przepowiada, by bliźniemu nagłej a niespodziewanej śmierci nie życzyć.

Zaś na plebanii — Polak był — księdza proboszcza oficer na bok odciąga i serce mu otwiera — obaj płaczą....

Aż nagle obok na górze psuć się zaczęło, w lesie kurz, trzask.... Zaś od tamtej strony wraca kupa ludzi i koni pomięta.

Strzały huczą śmiechem okrutnym — ho, ho! ha, ha! — coraz bliżej, coraz głośniej podstępują. I z drugiej strony stanął i z drugiej strony ogniem się śmieje, ho! ho! ha, ha! — i ołowiem....

Ci uciekają, a tamci za nimi pędzą, smoki najdroższe, dzieci

słodziutkie, chłopcy straszliwe w kaskach sławnej Legendy
narodu na głowach i honor wszystkich polskich kawalerij
w ich pędzie furczy....

To ci kwatery!!!

Ten owies, co go se złodziej narychtował, żuje twój głodny koń, aż śliny ci pełno w gębie, gdy słyszysz, jak twój koń żre.... Tę kurę, — co sobie warzył, — zasiądziesz i chłopskie dzieci przypuściwszy do twego garnka, chrupać będziesz, po udach się bijąc ze śmiechu. Te konserwy, które sobie ciura „jego“ podgrzewał, bierzesz do rąk, odczytujesz na nich napis i wzruszasz ramionami.

We dworze właściciele aż miękcy ze wzruszenia.... Na łóżkach, na kanapach siedzą oficerowie, każdy jak kwoka ogarnia ramionami swój dobytek, troczki, pled czy koc, nie wiedzą jeszcze, że tu każdy dostanie swoje spanie i że gospodarz — nie świadom wojny obyczajów — pożycza czyste chustki do nosa, częstuje papierosami (Wersalczyk!), wreszcie ręczy, że w jego domu nic nie ginie.....

— Niechże szanowny pan powie, że dotąd nic nie ginęło — zauważy któryś z bezwstydných oficerów.

Jakże miło, rozkosznie spoczywać na jeszcze ciepłych śladach wygnanego wroga!

Zaś kiedyindziej — nie słychać pieśni.... Cofamy się.

Idziemy w tym deszczu i mgłę, jakbyśmy się cofać mieli na koniec świata. Żal odwrócić się i spojrzeć poza siebie na kolumnę.

Ludzie idą spracowani w poczuciu, że nie przyniosła pożytku ich wielka, krwawa robota.

Wicher zabiega nam drogę i szarpie nas.

Niechże przestanie!

Przeglądać się nam teraz łącno w błyszczącej między brzdami wodzie gościńca. Patrzymy tylko przed się, by nie widzieć naszych dawnych przyjaciół.... Leżą rozparci, ze szklanymi oczyma, w szarugę nieba zapatrzeni — nasze zmęczone, zastrzelone konie.

Goni nas srogi, nieobjęty duch wojny, kurząc za nami dymem i dziwowiska płatając okrutne na horyzoncie. Tam na granicy widzenia, jakby u granic wszelkiego czucia, rozgrywa się codzienne przysłowie wojny.... W pomarańczowym blasku rozsypują się na proch brunatne chałupki. Widać ludzi jak czarne malutkie pionki, poruszających się leniwie.... Zaś wysoko, niczem złote kudły czy kłaki, błyskają jasne strzały armatnie.

Przed nami ciąg karaluchów, przed nami, obok nas — bo my jedni jesteśmy prawdziwymi ludźmi, bo mundur nas obciska, bośmy w formie walki — przed nami i obok nas drepcze tłum rozbitków, wygnańców, uciekinierów.

Tylko my jedni idziemy — gdyż krokiem naszym rządzi wspólny rozkaz — tamci kroczą, niosąc coś w rękach, na plecach, na piersiach, w zębach....

Zaś pewien człowiek okrywa ramionami małą białą trumienkę dzieciątka i tuli ją do piersi uciekając, cała rodzina za nim — niepotrzebni, straszni, sentymentalni!....

To ludność....

Biegnie po polach, bo byśmy ją rozdeptali na gościńcu, gdzieś gubi się po drodze i bezpowrotnie wrasta w noc.... Żal nam opuszczać krwawiący horyzont. Byliśmy tam, leżeliśmy tam, niczem rozprazona sztaba żelazna....

Teraz mamy iść odpocząć.

Zgaśliśmy i jak poćwiartowane kawały potwora to się zrastamy, to rozlatujemy w mrocznym marszu.

Słyszę, że komendant wywołuje głośno moje nazwisko.

Urodziło się ono naprawdę dopiero w czasie wojny... Teraz dopiero żyje ono.... Słyszac je, zamieniam się w prężność, w odpowiedzialność, w stanowczość.

Wzywa mnie ono i obowiązuje nieodwołalnie.

Mam wziąć z sobą kwatermistrzów i pędzić do miasta, znaleźć kwatery dla oddziału, który pociągnie tam za dwie godziny.

Żaden rozkaz nie wzrusza, nie krępuje i nie niepokoi tak,

jak ten.... Jest w nim możność uczynienia dobrze, jest w nim możność szczypty ukoju i słodczy dla tylu tak straszliwie znużonych.... Rozkaz ten całą bezdomność ludzi wojennych wali na barki kwatermistrza. Przemienia się człek, póki kwater nie znajdzie, w jedno zabłąkane, niepokojne bezmiejsce.... Zaś gdy przypomnisz sobie, że i dla koni muszą być kwatery!.... Dla tych zwierząt, które są tak potrzebne i równocześnie tak niezaradne, że o jakąś celową głupotę, czy symulację się je podejrzewa?....

Ruszyliśmy z kopyta, zostawiając za sobą, niby niezliczonych ust wilgne szeptanie, — grzęznący cicho w błocie marsz piechoty.

Jedzie się godzinę, dwie, szuka się choćby jednego znaku życia w opustoszałej okolicy. Nic — tylko czarna noc, wichher sztywny, a w krzakach, w gałęziach, w zamarzłym wzroście przyszłej wiosny, — której czy dożyje, nie wie nikt — żal jęczący.

Dopiero przy polnej drodze, niby złotą igłą, wykluwa się nikłe światełko chałupy. Zajeżdżamy na chwilę. Konie się pod wiatr przy płocie stawia i puka się....

Takby się pukało do braterskiego serca....

Otwiera się drzwi skrzypiące.

Takbyś otwierał drzwi odzyskanego skarbcza....

I nie wie, co to szczęście, i nie wie, co to radość, kto w mundurze żołnierza polskiego, przemarznięty na kość, nie wszedł do chłopskiej chaty.... Ognisko płonie, baba nad garnuszkiem mleka czuwa, a chłopaki patrzą na ciebie z zapiecka, patrzą, jak żadne kochanie nie patrzyło — prostem chłopskim marzeniem całego wieku....

To jest prawda....

Serce ci bije klusem, galopem, boś jest żywy obraz żołnierza polskiego, co zbłądził pod te strzechy przeklęte niewolą wroga, i gdy pijesz owo mleko bielutkie w glinianym chropawym garnuszku, — jakbyś spełniał bezcenny puhar Zdrowia Narodu....

Już czas, czas, czas!

Cóż dopiero, gdy, owiany mroźną smugą na podwórku, po którym srebro księżycy płynie, widzisz, że najmłodszy synek w porteczkach parcianych wyrzekł się twego widoku, ofiarował go sprawie dobrej i czuwa nad twymi końmi i głaszcze je po nogach maleńką ręką....

Dojechaliśmy do miasta. Szukamy wójta, sołtysa, stróża, kogokolwiek, kto ma bodaj najluźniejszy związek z rządem tego miasteczka.... Ulice puste, domy zamknięte, bramy zawarte, tylko wiatr pędzi bez tchu środkiem gościńca i dygocą jakieś żelaziwa....

Zwiduje ci się gromada braci twych i to, że wszyscy są spokojni o kwatery, boś ty wyjechał naprzód.... Zwidują się jakieś chwile dzieciństwa. Ciepłe, małe łóżeczka i ten uśmiech twardy, iż na to nas wtedy grzano, chowano, na tę dumną, waleczną poniewierkę....

Więc szturm od domu do domu. Szturm bezwzględny. Zajeżdżam pod okna, walę gardą w okiennice.

Dwaj inni walą od tyłu we drzwi.

Otwierać!!!

Nikt i nic.... Kładzie się człek na siodle, wypuszcza zdręt-wiałe stopy ze strzemion. Dłużą się nasze cienie na gościńcu obce i zabłąkane.

Nareszcie drgać coś poczyną w ciemnym wnętrzu szyb....

Uśmiechamy się złośliwie.

No, wstał już łajdak (każdy człowiek w domu spoczywający jest w danym momencie dla kwatermistrza łajdakiem).

Szara twarz majaczy za szybą.

Wyłazić tam, wyłazić!!!

Staje we drzwiach jakby wcielenie snu małego miasteczka, ktoś szary ze sznurków, z waty i z starej wełny uwity, ochrypły i drżący.

Ile macie miejsca?.... Ile pokoi? Otwierać stajniel

Gospodarz jęczy. Bieży mu na pomoc głos żony....

— Gdzie tu jeszcze można kwaterować?

— Nigdzie.

— Nic mnie to nie obchodzi. Tu u was będzie kwatery. Musi być!

Ochrypłym, jadowitym głosem powtarzam: Musi być i musi być świeża słoma dla sześćdziesięciu ludzi.

Wiem, że wzniecam czarną intrygę. Gospodarz zdradza swych najbliższych, byle samemu sobie ulżyć doli. Okazuje się, że tam jest dobre mieszkanie i ówdzie i jeszcze gdzieś indziej.

W przeciągu pół godziny kazaliśmy miasteczku ożyć — i nie-szczęśne ożyło. Wójt, jak zbrodniarz szedł przed nami wszędzie, a stał się praworządnym, odkąd i jego dom zajęliśmy na kwatery.

Miasteczko było żydowskie, fantastyczne. Zrywali się starcy, niby siwe Abrahamy, Ben Akiby. Snuć się zaczęli po trzeszczących schodach, ze świecami w ręku szli wzdłuż czarnych okien kiwać białymi brodami na progach krzywych domostw.

Jakaś stara, atłasowa Jerozolima.... Żale za czymś, co wszyscy już zapomnieli i brak radości z tego, co wszystkich cieszyć powinno. I skąpa oszczędność, przygnieciona mosiężnym lichtarzem Obrządku....

W izbach, z piętrowych betów, jak głównie płomieniste wychylały się czupryny rudych dzieci, a w uchylonych tajemniczo drzwiach, albo w oborze spotkać było łatwo młodziutkie dziewczęta, biblijne, pełne wdzięku i nieustraszonej kłótności.

Tryumf mój był zupełny. Na rynku cudną koroną złotych czerwonych palm płonęły ogniska, oświetlone domy nabrały ciepła, gościnności, powszedy słyhać było szelesty siana.

Nie zawsze jednak tak bywa. Bywa, że stanąć wypada w miejscowości umarłej....

Napróżno wówczas kwatermistrz ciska się konno od domu do domu. Jechać będzie ścieżką wśród zastygłego sadu,

sine gałęzie w twarz mu dadzą mściwie, stanie przed chałupą i huknie: Jest tam kto?... A tylko mu ściany od-rzekną echem, — jak w starym poemacie, — kto?....

Bo chałupa pusta, sztywna i opuszczona — jak trup.
Zawróci w bok, ciśnie się na łzę światła w oknie. Wycho-
dzi naprzeciw to, co chodzi tu od tygodnia (od tygodnia
czy cały wiek), co błądzi drogami dokoła — zgroza strasz-
liwa, zjawisko polskie: stara baba, o rękach harpii, oczach
nieszczęścia przez łyzy wyżartych, a ustach....

Panocku, panocku — jękniesz.... — Ty się cofniesz, a jeszcze
jęk za tobą pobiegnie.

Tu będą żołnierze spać po trzydziestu w jednej chałupie,
a nad nimi, w łóżku jedynem siedmioro dzieci, niby aniel-
ski chór w czółnie prostaczem.... Tu w szarej karczmie
zlepi się w jedną bryłę wilgotną pół batalionu, a mroźny
wiatr grupę z niego wyrzeźbi sztywną i bolesną. Tu w po-
palonej szkole staną konie, a zaś kwatermistrz wyszykuje
dla reszty oddziału dwór.

Sale się puste grążą w świetle księżyca, echo kroków ujada
w korytarzu. Wściekłość ogarnia kwatermistrza, bo w sa-
lach tych niema literalnie nic. Tylko na którejś ścianie wy-
gląda z ram twarzyczka młodego dziewczątka, opasana
dokoła, niby kłosami bujności niesłychanej, kłosami z tam-
tego świata — wielkim warkoczem złotych, przed trumną
uciętych włosów....

Nic więcej niema we dworze, tylko za szkłem, jak za wodą
przedziwną, ta jedna blada twarz, ten jeden uśmiech spło-
szony, to jedno wytarte spojrzenie.... Tylko ten jeden ży-
cia wieniec pośmiertny i mróz....

BITWA POD ŁOWCZÓWKIEM.

Wyszykowały się na rynku Nowego Sącza wszystkie bataliony I pułku równym, poważnym frontem.

Pada komenda.... Sino-niebieski pluton za plutonem na zakręcie placu wyłamuje się z frontu. W kilku chwilach wielka kolumna czwórkowa gotowa już jest do wymarszu. Wymarsz smutny i radośny, konieczny, a przecież z takim zakłopotaniem przyjęty przez miasto. Chciało mieć Legion u siebie na wili.... Mieszkańcy drzewko żołnierzom wyprawiać mieli....

Widać w oczach ludności, zalegającej chodniki myśl szczerą, delikatną i jakby pewne zawstydzenie, że gdy oni tu w mieście wilię będą obchodzić, my tam gdzieś w polu... w okopach, w szturmie, lub już ranni....

Orkiestra gra „Hej strzelcy wraz!” Szeregi, rzekłbyś, jeszcze silniej same w sobie okrzepły.

Na czoło kolumny wjeżdża podpułkownik Kazimierz Sosnkowski z kilkoma oficerami. Jakaś pani wrywa się z tłumu, podaje białe chryzantemy, chce coś powiedzieć, ale ucieka. Dalej występuje z grupy szanowny siwowłósy delegat, odkrywa głowę, ma przemówić.

Cisza się rozpościera nad rynkiem. Sędziwy delegat patrzy przez załzawione okulary, chryzantemy się bielą na siwym mundurze dowódcy, aż w ciszy tej i powadze rozstania stary jegomość zaczyna: W imieniu tych....

Wiemy, z tak dawna wiemy.... W imieniu tych wszystkich, którzy tak długo czekali, póki nie zaczną „nasi bić w tarabany“.

Słońce zachodziło, tchnąc na twarze tkliwą jakąś łunę i krwawiąc w listkach ofiarowanego kwiatu.

PIŁSUDCZYCY



Ruszyliśmy drogą do Zbyszyc na Paleśnicę. Drogą, jakiej nie streści żaden poemat i nie zawrze w sobie najlapidarniejsze słowo. Drogą i krajem, gdzie bili się ludzie.

W rowach przydrożnych leżą nieszczęsne, pocharatane konie, w dolinach wyświechtane łysiny ze słomy postojów. Na gościńcu, na polach puste blaszanki konserw, wdeptane w błoto naboje, to znów przez górę wyrznięta szara pręga okopów. Drzewa poranione, gałęzie ostro złamane wystrzałami, ówdzie dom z rozwalonym przez granat oknem. Pod nogami kałuże krwi rzniętego bydła, kości, stare czapki żołnierskie i błoto.

22 grudnia 1914 r. ponure wietrzne południe zastało I pułk w okolicy Brzezia, skąd widać było lesiste piękne góry. Żołnierze szli wesoło, prawiąc wciąż o Bożem Narodzeniu, a na gwerze jednego z nich tkwiło drzewko, chyba najpiękniejsze. jakie w tym roku ujrzyć można było w Polsce. W lufę karabinu zatknął sobie żołnierz gałązkę choiny, uwiesił na niej dwie kartki, które niedawno z domu był otrzymał, zaś gałązki, niby włosem anielskim, opasał źdźbłem słomy, najwierniejszej towarzyski losów żołnierskich.

Teren, leżący przed nami, objęty był walką. Pewne jego przestrzenie zalegała podejrzana cisza, z innych rwał ogień karabinowy, niczem nieustanne trzaskanie suchych biczów, biegnące ze świstem, aż ku nam.

Mieliśmy wyprzeć nieprzyjaciela z pozycji, które rano przeważającą siłą odebrał, opanować Msznę Szlachecką i wzgórze, odnośną na karcie znaczone cyfrą.

Jakże innych barw nabiera krajobraz, gdy walczyć wśród niego wypada, w jak zagadkową moc przyoblekają się cyfry wzgórz, gdy mają się stać miejscem zwycięstwa lub śmierci!

W las, który wziąć należało, prały już szrapnele naszej artylerii.

W bujnej toni wzgórz łyssały się krótkie blaski wybuchów armatnich, pociski nieprzyjacielskie zaciężyć chciały nad mrowiskiem do boju idącej naszej piechoty.

Atak prowadzony przez majora Rydza obciskać jął wzgórza. W szczegółach wykonywali zadanie K. Drewniak i Bukacki.

Pierwszy sunął wolno swą linię tyralierską naprzód, pod ogniem karabinów i karabinów maszynowych, drugi pod wzgórze zachodzi z boku.

Nieprzyjaciół naciskany z dwóch stron, tu przewagą ognia, tam uwikłany sznurem naszej tyraliery, nie wytrzymał szturm, prócz strat dając nam przeszło czterystu jeńców. Nasz oddział atakujący tak się rozochocił, że patrolami sięgał w nocy daleko poza własne pozycje. Wtedy z siedmioma ludźmi podoficer Świdorski wziął do niewoli wyższych oficerów Benderskiego pułku z pułkownikiem na czele, ogarniając ich w budce drożnika, przy stacji telefonicznej, już na stronie rosyjskiej. Prócz pułkownika wzięto także dwóch kapitanów, dwóch poruczników, trzech podporuczników i dwudziestuosmiu ludzi.

Noc już była zupełna, gdy ściągać się jęły rozgłośnie tętna walki ku jej ośrodkowi, źródłu, t. j. na odprawę do kwatery podpułkownika Sosnkowskiego.

Ściągano tam wśród gęstej wilgotnej nocy, wśród ciągle nowych oddziałków z jeńcami, między rannymi, których niesiono „do doktora R.“ — gdyż każdy chce, by go dr R. opatrzył.

Nasza prawdziwa polska bitwa: Na froncie gwałtowna kaponada, siedemnastoletni strzelcy we dwóch, we trzech odprowadzają po dwudziestu, trzydziestu jeńców rosyjskich, chłopów, jak tury. Tu wyklinanie, tam ktoś woła „A to ci wesołe święta“, tam znów „Kazik żyjesz?“ „Żyję.“ „Nieprawda.“ I w odpowiedzi radosne „Jak Boga kocham“.

U podpułkownika Sosnkowskiego zgorszenie wśród oficerów, że się dowódca z karabinem między żołnierzy wdał i szedł do szturm.

Na podwórzu tłumi się i wciska w stodołę dyżurny pluton kawalerii. W sieni nieomal jeden na drugim stoją ordy-

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



nansi batalionów, każdy się z męstwa swego baonu spowiada. W izbie maleńkiej chałupy przy trzaskającym kominiem — zgromadzenie, jakiego tyle lat nie znała Polska.... W półmroku, półświatle, gęsto półkolem stoją oficerowie, zdają relację i biorą na jutro tę rzecz wśród sumiennych żołnierzy polskich niezawodną i nigdy niezawodzącą: Rozkaz. Do snu kładł się już podpułkownik, gdy wprowadzono jeńców-oficerów rosyjskich. Weszły tedy grube rosyjskie płaszcze i te tak dobrze znane, na bakier zarzucone czapki. Nienawiść na śmierć i życie weszła do izby....

Wywiązała się rozmowa między naszym zwycięskim komendantem i tamtym, któremu dziś rozbito dwa bataliony, pokonanym. Dowódca rosyjski widocznie nie mógł się pogodzić z tą myślą, że walczy z Polakami.

„Poddani tego samego państwa“....

A dotkliwa prawda, że u tych poddanych siedzi na łaskawie użyczonym zydelku w niewoli, odbierała mu właściwie wszelką możliwość porozumienia się.

Dwudziestego trzeciego grudnia strzelanina na rozwijającym froncie poczęła jeszcze wzrastać. Dnia tego ostatecznie rozprężyć się miała żmija naszego ognia i przyjąć, wstrzymać jej wypadło masę rosyjskiego naporu. Front wyciągnął się tak dalece, że pchnięto weń wszystkie rezerwy.

Poszli trzymać wąwozy, by się w nie, niby napór ziemi, nie wcisnęły szare kolumny rosyjskie, na lewo komendanci Olszyna, Fleszar, Grudziński; na prawo jeszcze dalej się posunął komendant Ryłski. Około godziny jedynastej rano brakowało już amunicji. Szeregi nasze strzelały z karabinów rosyjskich, których podczas walki poprzedniej zabrano bardzo wiele.

Walczące strony zbliżały się do siebie, gryząc i szarpiąc coraz zajadlej. Zwłaszcza na lewym skrzydle gwałt akcji nieprzyjacielskiej powiększał się. Dochodziło tu do szesnastu ataków na bagnety.

Ogień artyleryi, rzecz prosta, opuścił walczące z tak bliska

fronty i szukał rezerw. Straszniemi wyrwami ziemi rzucał po zaroślach, słupem rozdartej gleby pędził po stoku, to znów zaciął się wałąc tuż obok chałupy, w której całą arcytrudną rozprawą kierował podpułkownik Sosnkowski.

Kierownictwo mozolne, ciężkie przy wyciągniętym froncie i bez rezerw, gdy nieprzyjaciół, mimo niezmiernej straty pcha się naprzód i zmieniać może swe siły.

Chałupa drży od wystrzałów, otacza ją zewsząd jak strun zrywanych brzęczenie, syk kul karabinowych. Przed dowodzącym, kupka pomiętych świstków — to meldunki z linii ognia. Pod ręką blok do pisania rozkazów.

Ordynans, który tylko co wrócił od swego oddziału, drży jeszcze z gorącego podniecenia walką. Utyłłany w glinie, za paznokciami pełno ziemi. Nie paznokcie to są już, lecz pazury.

A usta spękane, granatowe.

Są już w ogniu dwie doby i jeszcze nic nie jedli.

Nic prawie niepodobna dowieść. Wozy się w nocy pną pod górę (z daleka w dole jak sznury złote drżą światła Tarnowa), sierżanci prowiantowi pochrypli od krzyku, z koni dech ostatni wypierają, lecz przemożne błoto wsysa całą tę żmudę bezpowrotnie.

Ordynans wraca „na linię“ z karteluszką w garści. Jest on jednym z tych węzłów małych, a ważnych, przez które myśl i zdolność dowódcy dobiega frontu, by tu ogniem wybłysnąć.

Ataki nieprzyjaciela na nasze lewe skrzydło, jego chytre przebiegłości wśród wawozów, cała jego praca dzisiejsza zostaje udaremniona. Bataliony Satyra, Olszyny, Grudzińskiego stoją twardo, jak ich dowódcy i nie uradzi im wyborowa dywizja piechoty, specjalnie na sforsowanie odcinka, przez nasz Legion zajmowanego, przysłana.

Wrogie linie już dwie doby leżące naprzeciw siebie, poczynają wśród strzałów rozmawiać ze sobą, dzieli je bowiem przestrzeń trzydziestu do czterdziestu kroków.

PIŁSUDCZYCY



„Poddajcie się“ — woła nasz. „Sybirskie strzelki nie poddajut sia“. Inna rzecz, że w boju na bagnety te sybirskie strzelki nie mogły wytrzymać odwagi i siły ducha naszych żołnierzy. Ogromny drab padał na kolana przed małym strzelcem, wołając: Nie zabijaj panoczku.

Po całej linii z ust do ust idą wśród ognia „ostatnie wiadomości“. Ten padając krzyknął: „Niech żyje Polska! Legioniści naprzód!“ Tamten się dziwi: Żebyś wiedział, jak bagnet miękko wchodzi w ciało.... Inni ubolewają, że Belina został ranny na progu kwatery podpułkownika Sosnkowskiego, gdy szedł ze skargą, iż jego kawalerya w tym boju współpracować nie może.

W ogniu i huku dział zapada czarna noc.

Dnia 24 grudnia 1914, słodkiego dnia wili, bój nie zelżał ani na chwilę.

Do kwatery dowódcy coraz przybywali oficerowie „po sytuacji“, dzielnie spokojni. Trudno inaczej powiedzieć jak tylko, że czar polskiego uporu i wytrzymałości, że najwyższa cnota wojenna spełniała się tego dnia, zwłaszcza, gdy na centrum pozycji przypuścili Rosyane szturm, przygotowany piekielnym ogniem artylerii walącej w okopy.

Tam właśnie, mając obok siebie rannych i zabitych w okopach śmierci i bohaterstwa bronili się nasi żołnierze, póki pysznym atakiem na bagnety nie zgarnął Rosyan ze wzgórza komendant Kuba-Bojarski, biorąc do niewoli kilkudziesięciu jeńców.

Kuba-Bojarski tegoż dnia, ugodzony śmiertelnie kulami karabinu maszynowego, był typem oficera polskiej piechoty.

Przecacny w stosunku do żołnierzy, niestrudzony w marszu, twardy dla wroga, stanowić będzie wzór, z linii tych samych, co to lat temu z górą sto, drogą na Egipt do Polski maszerowali.

Wieczór wigilijny zastał nas w boju na posterunkach. Jakoś między jednym meldunkiem a drugim, skorzystał z chwili porucznik kawaleryi Orlicz (było to na kwaterze

podpułkownika Sosnkowskiego), oznajmiając, że ma ze sobą opłatek.

Oficerowie zmieszali się, podporucznik Dzieduszycki piszący rozkaz pochylił się nagle nad stołem, drgający uśmiech owi-
nął usta wszystkich. Mimo ryku ustawicznych salw, łamanie
opłatka słychać było tak cicho i wyraźnie, jakby słyszeć
można było samo szczęście, gdyby widomem i namacalnym
dzielić się mogli ludzie między sobą z ręki do ręki.

I znów bezsenna noc trzecia. Przychodzi rozkaz dywizji,
że cofać się mamy z zajmowanych dotąd stanowisk. Powoli
wywlekają się z okopów pojedyncze sekcje i plutony.

W lesie śmierdzi prochem i cikliwą wonią trupów.

Powoli ostyga straszliwa linia. Kilka oddziałów ściągnęło
już na drogę. Sanitariusze unoszą rannych, bolejąc nad
śmiercią męznego kolegi Koloszka (Buława), który zginął
na posterunku.

Ranni I-go pułku prawie nie jęczą. Żołnierze mówią o po-
zostałych tam na tej linii, na zawsze.... Olbrzymia wiara
w życie prześwieca w hartownym umieraniu naszych żoł-
nierzy i w pamięci, jaka o nich zostaje wśród żywych.

Śmierć w szeregu polskim nie jest żadnym dylematem. Jest
czemś, bez porównania mniej ważnym od zwycięstwa.

Drugi rozkaz dywizji każe znów objąć opuszczone po-
zycje.

Wróciliśmy na nie w nocy, wyrzucając nowych gospodarzy
naszej placówki bagnetem.

Wyborowa dywizja rosyjska, specjalnie, jak to jeńcy ze-
znawali, na przełamanie tego frontu sprowadzona znów,
wśród trzasku karabinów leżała całą noc przed cienką linią
I Legionu bezsilna.

Nazajutrz 25 grudnia, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia,
przycichło.

Gęsta mgła nie pozwalała na walkę artylerii, a ogień ka-
rabinowy osłabł. Koło dziesiątej rano przyszedł rozkaz z dy-
wizji, iż będziemy zmienieni przez nowe siły, a przy tej

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



PIŁSUDCZYCY

okazyi generał „Dowódcy, oficerom i całemu polskiemu Legionowi za jego nadzwyczaj mężny bój, z jakim Legion c. i k. wojska, oraz c. k. Obronę krajową wspomagał, wyraża w imieniu Najwyższej Służby najgłębsze uznanie i podziękowanie“.

Oddziały nasze zeszyły z pozycyi, zostawiając przed sobą stosy nieprzyjacielskich trupów (w pułku rosyjskim Bender-skim po tych czterech dniach kompanie jego liczą dwudziestu do trzydziestu ludzi), u wroga sławę „atczajannych polskich achotników“, podziw wśród szeregów współwalczącej armii i najcenniejsze tak dawno, żołnierskim trybem, między sercem polskiem a ziemią nie wiązane ogniwo: z rany niesionego żołnierza, w świcie kul, w łomocie armat, na grudy spływającą krew.

Więź tymi rubinami nizana jest wieczna....

LISTA STRAT....

Złoty las przetkany czarną śmiercią, — kawalek papieru usiany drobnym czarnym drukiem, a między pierwszym i drugim Sprawa, Bój, Śmierć lub zwycięstwo....

Lista strat.... Tyle śmierci na małym, błahym świstku, tyle bólu, ran, krwi.... Chcielibyście dotknąć ręką tych mchów, w które wsiąkła. Obejść wszystkie miejsca, wstąpić do wszystkich rowów i wiedzieć, jak to było do tej chwili ostatniej, wiedzieć wszystko....

Tyle śmierci na małym kawałku papieru, wszystkie już sobie podobne.... Imiona, nazwiska, jak ziarnka klepsydry płyną i sypią się cichutko....

Skąd wracają? Dokąd idą i kto je odprowadzi na ostateczny spoczynek, bo żaden Charon nie powiezie ich na łodzi kołyszącej, ani stronom świata roześle znak Krzyża....

Przeżyć się musi i przeżyje się wszystko, lecz jak przecierpieć? I to, że wam zwrócą list, który już nie doszedł, że wróci do was paczka, którą z uśmiechem najserdeczniejszej pamięci wypełniliście wszelką rzeczą drobną a kochaną, miłą i cenną.

Jak przecierpieć, że myśl tego nie zrozumie i bluźni bogom, ludziom, sprawom, bojom....

Tą śmiercią, ciemnym jej blaskiem, my żołnierze pijem sławę, wznosim zdrowie Ojczyzny!... Ogromna i codzienna, wzniosła a dostępna nie opuszczajże nas właściwa ceno zwycięstw!

Złoty las przetkany czarną śmiercią — świstek biały usiany czarnym drukiem.... Lista strat.... Tyle śmierci.... Imiona, nazwiska — skąd idą?

Młody porucznik Słomka miał lat dwadzieściadwa, a już dostał kompanię. Był silny, zdrowy, rosły i tęgi. Miał duże

PIŁSUDCZYCY



zielonkawe oczy, twarz różową, usta szerokie i głośnie i duże mocne ręce. Dowodził kompanią, odgrażał się, że mu się batalion należy, tymczasem kompanię jego ktoś starszy dostał i wysunęła mu się z tych mocnych, prostych rąk.

To nie martwiło — to żarło Słomkę.

Wnet potem stanęła I brygada I Legionu, niczem klamra nieugięta w górach pod Łowczówkiem.

Tu nastał raj dla Słomki.

Bił się i pracował w tej bitwie, on bezdomny komendant, za dwóch, za trzech. Mówi się, że ktoś pięknie idzie w bitwie. Jakże pięknie szedł, łapiąc w locie każdą robotę, wyjazd, meldunek i rozkaz. Walił mocnymi łydami konia i gnał wzdłuż linii ognia, rozbuchany, gwałtowny, sam ogniem buchający, — co mu tam ogień!...

Potem wracał do szefa sztabu i meldował, jak jest, co i gdzie. Żar walił od postaci Słomki, biło od niego srogością i szczęściem i pospiechem zajadłym.

Trzeciego dnia padł komendant batalionu.

Padł i nie powstanie, batalion musi mieć dowódcę, śpisz już kolego, więc nie przeszkadzaj, salwę ci jutro skomenderuję — a dziś...

Tą śmiercią, ciemnym jej blaskiem, my żołnierze pijem sławę, wznosim zdrowie Ojczyzny....

A dziś komendantem tego batalionu został Słomka....

Mówił przecie kolegom, że mu się batalion należy, coś mu kompania, za szeroką ma garść na kompanię — sprawdziło się...

Wracał tedy komendant Słomka z głównej kwatery do swego batalionu, a że był nie jadł od trzech dni, a że mu się gdzieś orzechy nadarzyły — bo szczęście miał tego dnia — więc wracał wolno śnieżną drogą między pasmami złotego lasu i pogryzał. Śnieg mu pod prężną stopą chrząścił jak perły miażdżone, niebo nad głową gnało potargane, w chmurach, w łachmanach, dziadowskie, jak na tę radość szaloną....

Bo w samym Słomce rozrzewnienie, miód najmłodszej pychy i dumy, kwilenie, kolenda, śmiech.... Co mu tam, że kule świszczą koło uszu, co mu tam ogień, sam ogniem buchający.... Niósł tedy w czapce te orzechy (szczęście miał tego dnia) i gryzł, pojadał, rozplómięną głowę na wicherze studząc.... Młody Zygfryd — że dorwał się nareszcie szczytu....

Zaś właśnie wtedy.... orzechy z czapki wypadły, czapka się w bok potoczyła, a młody komendant pozostał na tym śniegu, na tych perłach zmiażdżonych pod złotymi strzępami lasu, z wilgłym rubinem na czole....

Złoty las przetkany czarną śmiercią.... Chcielibyście dotknąć tych mchów.... I wiedzieć, jak to było do tej chwili ostatniej.

Lista strat, lista rannych....

Skąd idą?...

Wraca z patrolu bojowego, z przed linii tyralierskiej komendant Herwin. Idzie ich dwóch, on i żołnierz, który go podtrzymuje — a jakby cała procesja szła, czy jakaś uroczystość.... Idą mozolnie i trudno nie słyszeć, gdy się patrzy na komendanta i na tę fatygę okrutną, z jaką się pnie pod górę, na żołnierza podtrzymującego dowódcę, na uścisk, który ich łączy, trudno nie słyszeć, że już idą jak w pieśni „borem lasem“ wieczni Legioniści w niedostępnej pogodzie bohaterstwa....

Szef sztabu, podpułkownik Sosnkowski i ja spotykamy ich na skrócie ścieżki.

— Cóż to znaczy Herwin — pyta szef — jesteście ranni?

Herwin patrzy z góry na martwe swe ramię, jego niebieskie oczy powleka cień pobłażliwej nudy....

— Ach, tak — odpowie.

Ach tak — brzmi, niby dwa lekkie uderzenia wahadła, niby przypomnienie czegoś, o czym myśleć nie warto, jakby to rękaw rozerwała kula, nie ramię....

— Ach, tak — jestem ranny.

— Czemuż was nie odniosą sanitaryusze? — pyta szef sztabu.

— Komendant i w piersi jest ranny! — wtrąca zapobiegliwie żołnierz.

A komendant Herwin, myśląc wciąż o boju, który tam pozostawić musiał, błądzi niebieskimi oczyma po uwiedłym lesie.

— Ach tak — przypomina sobie — i w piersi, lecz to głupstwo.

Ach tak — brzmi, niby lekkie uderzenie wahadła i tyle w tem jest pańskiego szyku, łaskawości, tyle siły i wdzięku, że się widzi, jak błahą drobnostką jest ramię strzaskane i rozerwana pierś — wobec walki....

Potem poszli na miejsce opatrunkowe, tu znów Herwin oświadczył pobłaźliwie — ach tak, to głupstwo, — przecekał aż innych opatrzą i przeraził doktora.... Bowiem się okazało, że ma część piersi zdartą i cała opłucna jest na wierzchu....

Ach tak — to głupstwo....

Idą do was te nazwiska z rowów, z lasów, ze śniegów i z pól uciążliwych. Na białej kartce pisze się długi bezwzględny list, który wam śle Sprawa Ojczyzny....

Myślicie, że to wojna krwawą pięścią wali do drzwi?

Broń Boże! Na progach domostw staje chwila błogiej sielanki — dlatego serca wasze tak się szarpią i biją — zjawia się cudny w Polsce czas, gdy niema czasu na nekrologi.

Więc w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Lwowie, na pięttrze i w suterynie, na falistej wstędze drogi kieleckiej, w krzywej chacie i obrośniętym dworze, jakby go jeszcze Andriolli śnił — wszędzie gdzie was dojdzie ta lista, ten list Ojczyzny świętny i bezwzględny, czytając go.... Czytając nasze nazwiska i moje, wnet czy kiedyś w ów sznur wplecione, czytajcie, jakbyście słowa potoczne czytali z owym gościem łaskawości, szyku i wdzięku.

PIŁSUDCZYCY

Zaś skończywszy, powiedzcie, jak Herwin krwią broczący,
iżby to szło, niczem uderzenia wahadła — : Ach — tak....
Bowiem uderzenia wahadła przybliżają spiżowy dźwięk
Wielkiej Godziny, a wszystkie drgnienia bólu, których od-
mówicie sobie, przedzierzgną się dalej gdzieś, wyżej, ry-
sami się stając godności i powagi silnego Narodu wa-
lecznych....

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



OKOPY.

Jedzie się do nas, idzie się do nas drogą nijaką, której niema.... Wyjeżdżają ją cichaczem, o zmroku, koła wozów to w prawo, to w lewo, że się czarnym wachlarzem różnych kolei w śniegu rozbiega.... To znów wachlarz się skręca i kolej prowadzi prosta, głęboko w bruzdę wryta. To znów droga się rwie i nie ma nic — prócz lasu, skrzypu drzew owisłych, sennych.... Prócz nieba, co nabrzmiałą chmurą wiosenną przetacza się na wzniesionych dalekościach.... Prócz wiatru, co pędzi gdzieś i żenie cały ten świat i spędzić go nie może.... Prócz ciszy szumnej, pełnej głośnych i srogich tajemnic ognia....

Gdyby człek rzeczy nieświadom spojrział na drogę, ku nam prowadzącą, lub raczej spojrział na bezdroża, za którymi jesteśmy, nie widziałby więcej, — jak ciągle przeciąganie się nieba, jak ziemi rozmokłość przepaścistą, — jak przegon i wydmuch polskiej, znużonej i zmordowanej roli....

Jest tu wszystko, jak wszędzie u nas w Polsce.... Bezdroże, poryw wichru gwałtowny a sprzeczny, wybuchały a nieprzytomny.... Są mostki połupane, zdradliwe.... Są chaty, zbite tam i sam w gromadę, jak ule, wreszcie koło chat ule, ule w pniach, czepcem słomy nakryte, ule, z jakich chyba Piast jeszcze miód podbierał — ule, jak pochylone grzyby złote. Jest tu wszystko, jak wszędzie u nas i jedna tylko rzecz maleńka, znikoma świadczy, że coś tu się innego dzieje, niż zawsze.... Że tu myśl celowa krąży w pustce, w ciszy i opuszczeniu bezradnem....

Oto na polach i nad niemi, między chałupami i wedle płotów, krytych oksydowaniem srebrem najszanowniejszej pajęczyny, przeciąga się, przebiega.... W lasku swej drogi nie

gubi i nad moczarem wywinąć się potrafi — popielato-złoty, sztywny włos, przedziwo niewinne, a strasznymi skutkami rządzące....

Włos ten, tu zabłąkany, a wszędobylski, otacza szczególna piecza i szacunek.... Gdy padnie na drogę, stronić będą od niego zgrzytliwe koła ciężkich wozów. Nawet bezceremonialna zazwyczaj w pochodzie swym, wszystkich i wszystko rubasznie szturchająca kuchnia polowa, gdy go spotka, zatrzyma się, westchnie raz, drugi kłębem dymu, ziewnie ogniem i snując wątek smakowitych zapachów, wykręci w bok.

Włos ten, gdy padnie na pole — podniosą go i ustawią na tyczkach — takich wygod doświadcza!.... We dnie kłania mu się nisko kawalerzysta, w nocy osadza gwałtownie konia i słyszysz, jak przestraszony woła koledze:

— Drut! Drut!

Ten cienki drut telefonu, niby widome włókienko, niby nerw niespożyty, obudzić może w jednej chwili gniewne gromy armat i trzeszczący bełkot karabinów maszynowych. Rozwinie wstęgę powietrza z sykiem nawijającego się na granat, rozpruje biały dzień przeraźliwymi salwami piechoty.... On również sprawi, że nagle z krzykiem pójda ludzie na bagnety....

Coraz bardziej pusto. Nie miejscowość, a jakieś — nigdzie.... Tylko widać na rozfalowaniu ziemi, między grudą a błotem, w nadąsanej szarości wiosennych ciągów nieba i wzgórz i wody, jakby dwie naprzeciw siebie spoczywające blizny szaro-białe. Na razie trudno je rozpoznać, potem wszakże widać całkiem dokładnie. Nie blizny to są, a jakoby rzęsy zamknięte....

Drut uczeplił się chaty, która z kilkoma innymi otacza mały, rozkopany plac. W jednym jego rogu stoją w potężnych kaskach na bakier, ułani nasi dwaj. Z którychś drzwi wybiega piechur i gwiżdżąc wesoło, gdzieś dąży. Niesie w czerwonej chustce chleb i masło.

PIŁSUDCZYCY



— Wejść! — odpowiada na pukanie komendant batalionu. W izbie — jak w izbie, gdzie mieszka wojsko. Małe dzieci ogromnemi oczyma patrzą z kątów. Za stołem siedzi kilku oficerów i obgryza kości koguta. Ktoś wyciągnął łyżkę z za cholewy i zabiera się do zupy. Adjutant Suszkowski grzebie w kupie listów, kart. „Było tu coś do was, obywatelu, nie bójcie się — pamiętam“. Kapelan w jednej ręce trzyma czyjś mundur, w drugiej rozwarty brewiarz. Doktor melduje coś komendantowi batalionu. Dwaj podporucznicy, siedzący okragiem na ławie, grają we „frygę“. Mała kostka przechodzi z ręki jednego do drugiego, warcząc złowrogo. Baba łamie chrust przy piecu. Chłop jakiś kłania się o przepustkę. Konie tupią za ścianą i słysząc głębokie no-o! ordynansów. Sierżant rozdaje paczki, a adjutant siedzi na polowym łóżku i gra na mandolinie.

Głosy się płaczą, sprawy się spotykają i wyrównują — gitara drży, jakby z niej żyły płynęły, nie dźwięki.

Nagle huk zatrzęsł szybami, konie się cisnęły w popłochu.... Słysząc wstęgę niewidzialną, jak pędzi po niebie i z sykiem jedwabnym rozwija się....

— Nasza bateria zaczyna, chodźmy zobaczyć.

Idzie się zwartą ziemią, nagle rozpoczyna się rowek nieznaczny, coraz głębszy, aż wreszcie mogący zmieścić i zakryć chyłkiem idących ludzi.

Przewody, wykręty, zakręty i zgięcia, ustrój jakiś, organizm cały wijący się po ziemi. Nareszcie wszystkie drogi sprowadzają do jednej, głównej, krytej miejscami naprzód zsuniętym daszkiem. Widać stąd bardzo dobrze okopy wroga. Unosi się nad niemi sinawą taśmą dym z kryjówek. Jakby długa, biaława gaśienica leżała tam naprzeciwko.... Złota iskra wyblęśla na jej kadłubie! Prysnał z niego słup ziemi....

Celnie bije nasza artyleria.

Jeszcze nie rozpełzł się w powietrzu szary łachman dymu, gdy z jęczącego nieba pada jedna ogromna iskra i druga,

trzecia i czwarta.... Cztery słupy ziemi skruszonej buchają z okopu, a nie ujrzysz ani jednego człowieka.... Kto padł, ten leży, komu krew z ran uchodzi, tego odejdzie, lecz aż do zmroku nie drgnie tam nic, aby gniewu jeszcze większego ognia nie rozpasać.

Co krok, pod przykryciem w stojakach rzędy karabinów, co krok w szarym płaszczu, czapce rogatej piechur Piłsudskiego. Ni to wzgardliwy, ni to ciągle czemuś pobłażający, patrzy w stronę wroga z nudą i ziewaniem drapieżnika. Czeką cierpliwie, kiedy się te dwa okopy, niby usta wąskie i potworne rozewrą w ogniu i kiedy znów on, spokojnie i lekko jak kot — zacznie bić....

Wiatr dmie, maleńkie słupki piachu kręcą się pod nogami — strzelec stoi w żółtym okopie, jak szary szczur — jak kret sunie z miejsca na miejsce — ujrzał cel....

Patrzcie, bo to jest najpiękniejsza dziś w Polsce rzecz....

Jak zwinny Piłsudczyk, broń o strzelnicę wsparłszy, celuje.... Powieki drżą, niby maleńki motylek usiadł przy brwi. Za skrzętem mięśni na plecach tężą się fałdy szorstkiego płaszcza. Palec na cynglu. Powieka już ani drgnie, skrzy pod nią ostre dojrzenie, — cel schwycony....

A inni?

Część na okopach, druga zaś odpoczywa w okopowych mieszkaniach. Nie są to bowiem kryjówki, nory i lepianki — a „mieszkania i kwatery“, często opatrzone numerem domu, szyldem i nazwą. Tu na małych drzwiach, w jamę wstawionych, przeczytasz: „Pierwsza strzelecka fabryka żywych wędlin“. Tam dalej przybite na nieprzemakalnej szmacie, która zakrywa wejście: „Hawelka — Handel delikatesów“. Tam znów „Pod Palmą“. Bywają i bardziej groteskowe napisy — „Pod upieczoną wszą“ — i jeszcze inne.

Niech nikt nie myśli, że ustało tam życie towarzyskie. Przy wszystkich okazjach, z racji Święconego napewno odbywać się tam będą wizyty, jak w najnormalniejszym towa-

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



rzystwie. Żołnierz-gość odchyli szmat nieprzemakalnego płótna, czy odeprze przymarzniałe drzwi i posuwając się na czworakach wetknie głowę:

— Cześć wam obywatele — zawoła, nie widząc na razie nic w mrocznej przestrzeni, pełnej dymu i zapachu sośniny.

— Co jest, do cholery! drzwi zamykać! — huknie głos z wewnątrz.

— To ja!

— A-a-a! Prosimy! Włazcie.

Wówczas gość wtaczać się pocznie na czworakach, ostrożnie omijając co krok nogę czyjaś, but, koc, czy manierkę. Podsunie się do maleńkiego piecyka, przyjmie pewną stałą pozycję, naturalnie z uwzględnieniem wszystkich obcych ciał, ułożonych kunsztownie, a które uszanować należy i przyłączy się do zabawy.

Polega ona tu na gotowaniu herbaty, grzaniu wina, tam znów znajdzie się anegdociarz, który wspaniałe kawały opowiada, że kominkiem na okop śmiech leci z podziemia, jakby tam wszyscy dyabli rechotali. Ówdzie obmyśla się sposób na złapanie nieprzyjacielskiego patrolu. Tam grają w karty, tu pracuje „redakcja“ dziennika okopowego. Jeszcze gdzieindziej ktoś wprawnie gra na okarinie, a drobniutki głos instrumentu kluczy z pod słomy, jak małe świeże źródółko....

Nadchodzi uroczysta chwila zmroku, gdy pod okopy zajeżdżają „feldkichy“ (Feldküchen — kuchnie polowe).

Jak to smakuje! Tak smakuje, że jedząc, oczy się szeroko otwiera, jakby się wielką jakąś prawdę połykało. To tak smakuje, jak tylko może smakować jedzenie komuś, kto w ziemię wkopany, wolą i męstwem swem na tej ziemi trwa, czuwa i pilnuje jej zrębów drogocennych. Trwa dzień i noc, choć humor tej ziemi — pogoda — choć życie jej, budzące się zwolna pod siew, wyciąga z pilnującego wszystkich sok jego sił i nuży i wytrawia i wycieńcza.

Nastaje noc ogromna. Ciemność grozą potężną spływa na

obszary. W ciemności tej, minawszy sieci drutów koleczastych, zsuwają się w dół patrole. Jest to robota drażliwa i niebezpieczna.... Niech tu nie dźwięknie broń i niech się głos nie odezwie i niech się oddech nie zdradzi. Zaś oczy muszą widzieć jak kocie, a uszy muszą słyszeć wszystko w zimnym szepcie zamarzającej ziemi.

Nie wolno strzelać — żywcem brać....

Nie wolno strzelać, bo jeśli się ogień przebudzi — i dzieła się nie dopnie i nikt stąd cało nie ujdzie. Ze wszystkiego na wielkiej linii jeno śmiech ognia pozostanie.

Brać ich tak, by nie zdążyli pisnąć.... Podejść tuż i brać, bagnet do piersi przystawiwszy.... Ach, bagnet — biały, cichy język piechura....

Lub paść, bo oto wyszedł na niebo polip straszliwy — przeraźliwa, sino-niebieska ośmiornica....

I szepnąć, leżąc w bruzdzie: Re—fle—ktor....

Szuka płaskiem, wyprężonem ramieniem światła, szuka, a czego się tknie — to bieleje.... Szarością trupią okrywa się krzak, węzowiska srebrne zaigrały w kałużach.... Zsi-
niała nagle chata....

Szuka tu, szuka tam źrenicą oślepiającą, że zda się przebieg wiatru widać w tem świetle, a stare, zeszłoroczne liście, jak czarne strzępy na drzewach dygocą....

Niesłyszalnie łązi ten polip po niebie, wywija sztywnymi ramionami, jakby chciał wroga złapać w uścisk nieludzki aż tam — na czarnych wysokościach nocy....

I inne światła gonią się wzajem, rzekłbyś z linii na linię ciskane kwiaty zatrute.... Rozpękają nad okopami białe, jasno zielone i lecą w dół cudniejsze i zdradliwsze, niż złuda....

Póki nie wszędzie młodsze dziś o sto lat w Polsce słońce! Słońce, które zastaje na ziemi, w rowie upartym, młode, silne oko czuwającego Strzelca... W bystrym jego wzroku ostrą przegląda się iskrą....

PIŁSUDCZYCY



TRZEJ SIERŻANCI.

Minęły już te pierwsze świeże dnie, gdy nazwiska rannych i zabitych naszych rzadkością były bezcenną i bolesną. Dziś Polacy, jak wolny naród, w czasie wojny otwarli szczerze tamę krwi i szeroko mogą wiązać wstęgi swej nowej sławy.

Gdy nazwiska rannych i zabitych naszych rzadkością były....

Cenę za śmierć i cierpienie rozda polom i lasom i ludziom i rodzinom wdzięczna Ojczyzna. Nazwiska rannych i zabitych, jak poczet górny wioną nad szeregami żywych. Nie rzadkością są bolesną, lecz świętym chlebem codziennym. Minęły już te pierwsze młode dnie, gdy każdy manewr nasz na polu walki i odgłos drobnej utarczki zgromadzał u naszej poczty, czy naszej komendy etapowej, żalosne zgromadzenie niespokojnych.... Boje nadeszły lute, śmierć wśród szeregów gości, rana szeregi rwie — zaś zgromadzenie niespokojnych znikło bezpowrotnie. Nauczyliśmy się tracić i cierpieć, by zyskać. Stało się, że ojciec, matka, krewny, czy znajomy, nie, jak dawniej, na pół z gniewem, lub z buntem, pyta, gdzie jest mój brat, mój syn, nie wiedząc, w jakiej kompanii, ni w którym służy batalionie, lecz tylko — „tu gdzieś w tem waszem wojsku....“ Stało się, że ojciec, matka poniechali już tej troskliwości, która takim gniewem napawała żołnierzy. Zjawiają się dziś wszelacy krewni, spokojnie i rozumnie, jak po orzeczenie słusznego losu, zjawiają się w promieniach Piękna duszy, która się zżyła ze srogą łaską wojny.

A jak już dobrze wniknęli w organizację tego wojska, które dawniej było dla nich tylko ogólnikowem jakimś

zbiorowiskiem. Pluton, kompania, batalion, pułk — na pamięć to umieją i nie pomylą się....

Minęły już te pierwsze dni tkliwości, a to, co dawniej za ofiarę uważano, pojęto wreszcie, jako obowiązek.

Możemy już dziś dla zbudowania żywych mówić o śmierci po prostu. Żołnierska dola nauczyła nas rozumieć ją mężnie, skromnie, w granicach Celu i Sprawy. Melduję posłusznie — rzeknie szybko gdzieś w polu ordynans — że komendant naszej kompanii zginął....

Tak się dziś wypowiada — ustąpienie z szeregu....

Nauczyliśmy się umierać przykładnie, że aż wiedza i szczęście w tem kwitnie ogromne.

Taką właśnie prostą śmiercią, poufnie skłonom ziemi oddaną, zginęli w boju 22 grudnia 1914 roku trzech żołnierze I-szej kadrowej kompanii, sierżanci I Legionu, Kazimierz Kamiński (Luboń), Kazimierz Strzelecki (Kazik) i Henryk Dobrowolski (Sęk).

Wyszli razem 6 sierpnia z Krakowa, w tej pierwszej kadrowej kompanii, która niosła do Królestwa bicie wszystkich gorących serc Polski i gniew najszlachetniejszej zemsty. Radość ta należała się Kamińskiemu. Zapracował na nią jeszcze jako student Instytutu elektrotechnicznego, organizując Związki Strzeleckie w Rosyi i Petersburgu. On, który tak dobrze umiał oblecieć wszystkie kąty studenckiej polityki, tak dobrze wszystkie koteryjki zamazać, a całość roboty trzymać w garści.... On, który dobrym szlakiem dziadów, pradziadów, Padlewskich, Schwarzów i wszystkich tamtych kuł zemstę w gnieździe wroga.... Na radość tę zasłużył Strzelecki, cichy pracownik, jeden z tych nieustrudzonych dobrodziejów plutonu, którzy warzą jedzenie dla innych, gdy inni się po długim marszu walą z nóg, którzy znajdują kwatery, gdy inni się już ruszyć nie są w stanie. I zasłużył sobie trzeci z nich młodzieńcy Dobrowolski, członek Strzelca warszawskiego, by był między pierwszymi, którzy wejrzeniem żołnierza witać będą zabrany drogi kraj.

Wszyscy trzej zginęli w bitwie dnia 22 grudnia. Strzelecki skończył tak samo jak żył, skromnie i cicho, od rany w serce, — w randze sierżanta. Zginął Dobrowolski tak właśnie ślicznie dotrzymując przyjaźni, jak pięknie szedł do boju. I trzeci sierżant Luboń....

Do ataku biegł pierwszy. Rażony kulą klęknął, przytulił się do drzewa. Lecz nie wypoczywał zbyt długo. Spostrzegłszy, iż krwi zatamować nie zdoła, ściągnął dłonią kurtkę na skrwawionej piersi i skoczył naprzód.

Słyszeli wszyscy jego wołanie: Niech żyje Polska, Legioniści naprzód!!

Runął trafiony w czoło.

Po bitwie przyniesiono tę resztę ziemskiego pożytku, której współ z sierżantem nie zakopano w pamiętliwej ziemi rodzinnej. Cała sława, wszystko żołnierskie sprawowanie, cała konduita sierżanta zawarta w dwóch małych notesach, wysuswalonych, wygniecionych....

Na tych wąziutkich stronicach zaczął pisać sierżant Luboń: „6/8 1914 czwartek. Alarm o drugiej rano. Zbiórka przed trzecią. Wymarsz z Krakowa pierwszej kadrowej kompanii wojsk polskich“.

Należał do pierwszej załogi w Słomnikach, tu, jak głosi wytarta stronica: „Pierwszy raz mówiłem do chłopów.... Po stu latach przychodzimy wojsko polskie za wolność i lud. Sam ledwom się nie rozpłakał“.

I później, o wiele później po różnych losach, po ciężkich tarapatach: „Wlecemy się do Lasków. Zapewne zaraz pójdziemy w bój. Trzeba z pogardą śmierci śmiało, wesoło, z pogodną twarzą iść w bój.... By moi najdrożsi wiedzieli, że walczyłem i ginęłem mężnie za sprawę, o której tyle lat marzyłem, dla której rozdmuchania wyęczałem swój zapal młodzieńczy. Skończyła się gadanina“....

W dwóch małych notesach, przez godziny zbiorów, racye otrzymanych sucharów, gotowania kawy i te niewyczerpane „idziemy dalej“, i te rozmaite „budzą o piątej“, przez

PIŁSUDCZYCY

chwile postoję i walki, kroczy prosta chwała piechura,
klasyczna dzielność sierżanta.... Aż oto schodzi z kartek
dziennika, pochyla się nad drzewem, do którego się tulił
ranny Luboń.... Kwitnie wielka, ogromna, tam, gdzie padł,
rażony w czoło kulą śmierci, a wraz dotknięty pocałunkiem
nieśmiertelności.

Razem wyszli, razem zginęli trzej sierżanci, społem leżą
pod grządką świeżo usypanej ziemi, a szeregi, które już
naprzód bez nich poszły i idą, niosą radosne wezwanie
Lubonia: „Niech żyje Polska, Legioniści naprzód!!....“

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



NASZE LISTY.

Pisze się to na pudełku, na gazecie, na paczce, na kolanie, między garnuszkiem musztardy, talerzem, kompasami, szturkając łokciem zwiędły koniuszek cytryny, w cieniu czapki, pośród raportów i brauningów. Pisze się to gdzie bądź i byle jak, o naglej porze, czy też w godzinę zapracowaną, upolowaną....

Tego — „gdzie bądź i byle jak“ nie potrafię wam opowiedzieć, bo to się nie da, jak nie da się opisać żadna wielka tęsknota....

Zstępuje ona na wszystkich, wieczorem, we dnie, rano, czy w południe — i oto siedzi żołnierz skulony nad białym świstkiem, marszczy brwi, pisze i w małych znaczkach zawartą, posyła gdzieś tam w świat szczupłą, skromną odrobinę wielkiego swego losu....

Mijając konno wieś, przejęty mrozem i tą czarnością świata nocy zimowej, widzę, jak za szybą drobnych okienek chałupy, niby za przesłoną naiwnej bajki, czuwa strzelec i w blasku świecy pisze list... zaś tyle skupienia i tyle dążeń jest w pochyleniu głowy i tyle serdecznej pilności w oczach, że myślę: żółty, płonący kwiat płonie mu nad głową (nie świeca) i kręgi zatacza głębokie.

Zaś koń mój wolno idzie po grudach, mróz mnie chwycił za palce, wiatr dmie w twarz, samotność moja smutna kłania mi się nisko od czarnego nieba aż do stóp....

Tamten we dnie usiadł na progu chałupy, — nieśmiała wiosna w kroplach najśłodszej tajania brylantowym różańcem tańczy po strzesze i spływa na stare, wydeptane kamienie.

Zasiadł strzelec u czarnego proga chałupy, — patrzy w niebo

błękitne, czyste, jak oczy dziecka.... Słucha czyichś głosów, które błędzą w radościach słońca (jakie to głosy błędzą po ziemi odmarzającej, a trafić nie mogą) i pisze, choć tego słońca, co mu na karcie błyszczy, w kopertę nie zamknie i nie odeśle....

A ja idę prędko po grudzie chwiejnej, dmie ku mnie dech wiosenny powitalnie i marzę, marzę.... Póki ma trzeźwość nie zegnę mi karku przed kosmatym murem cmentarnym — za wsią — i starości mej młodej, póki mi nie wypomni....

Ten znowu, kawalerzysta, w groźnym kasku z przed stu lat, stoi u studni przy żłobie.... Przy żłobie w pniu wydłubanym — co go jak kawał kołacza grudy białego miodu — oblepia lód, i myśli jakieś słowo rzewnego ukochania, a tak jest głębokie i jedyne, że nigdy go nie wypowie.

Gdzież jest — smęci się młody oficer, gdy już wszystkie sprawy oddziału załatwił i patrzy poza okop w dal surową.... Gwiazdy pozrzucałby teraz chciał, na dłoń zsytać i na podołek ci rzucić stąd, ty piękna.... Stąd z daleka, z kraju nagłego ognia i szybko płynącej krwi....

Śpisz jeszcze, — dłuży się dyżur młodemu oficerowi, — podczas gdy słońce z nad pustych zrębów horyzontu wstaje i splecione, wyciągnięte ręce młodzika spaja tkliwą słodyczą....

Wrócę do ciebie, wrócę — roi sobie, zrywający się z rezerw żołnierz, gdy szyby się trzęsą od huku armat.... Więc pisze w liście: Nie wiem kiedy wrócę, bo teraz się bijemy i czasu nie mam o tobie myśleć....

Zaś ja nie będę zsypywać gwiazd i wracać nie chcę....

„Donieście mi, gdzie jest mój brat, wyszedł z Krakowa pięć dni po nas i odtąd wcale nie wiem, gdzie się obraca? Napiszcie bracie sam, jeśli jesteście....“

A brat po stromej drodze pędzi gdzieś w gwiździe kul, obcy w stronach dalekich, zdziwiony, i myśli tą myślą nagłą, w której jest wszystko ostatnie do najpierw-

PIŁSUDCZYCY



szych chwil: gdzie jest mój brat, wyszedł pięć dni przedemną....

List dojdzie, lub nie zastanie, lub wstęga amarantowa popłynie ze skroni....

„Korzystam z tej okazji, kochani rodzice, aby donieść, że dzieje mi się dobrze. Gdy się wszystko ułoży i dobrze pójdzie, wrócę do domu.... — No!! Dziś na kwaterze córeczka we dworze, gdzie stoimy, wpadła do jadalni podczas obiadu, niosąc przytulonego do piersi zajączka z pola. Ten szary miękki kłaczek strachu, ciepła i szybkości — to malutkie stworzenie drżało, gdym je brał, jakbym najświeższą spłoszoną wiosnę w garści trzymał.... Czy dojdzie wasten list?“...

Zaś ordynans umył sobie do pisania ręce, leży na słomie, w stajni, w błogim zapachu koni, w cieple i pod rytmem chrupanego owsa, rachując stopę wiersza wedle miękkich końskich z nogi na nogę przestępowań, — układa:

Niech będzie pochwalony Chrystus i Maryja,
Niech się imię twoje po świecie rozwija....
Nie mogę pisać co robimy,
Ani też w którym mieście stoimy.
Teraz proszę przyjąć to powinszowanie,
Bo nie za nas nastało i nie za nas przestanie....
Pozdrawiam cię Marysiu przez koliczek w płocie,
Bo cię mam na myśli przy każdej robocie.
Teraz cię pozdrawiam — zielone pnie —
Bo mi się bardzo bez ciebie cnie....
Pozdrawiam cię przez koniuszek igły,
Żebyś się na mnie nie gniewała nigdy.
W dniu twojego imienia
Na same wspomnienia
Brak mi wysławienia.
Przyleciał słowiczek, siadł mi na ramieniu
Tak mi pięknie śpiewał o twoim imieniu,
Żebyś szedł najprędzej powinszować do serduszka twego
Tak pięknie wyśpiewał do ucha mojego....

Wbiegła dziewczynka, niosąc przytulonego do piersi zajączka. Ten szary, miękki kłaczek ciepła, strachu i szyb-

PIĘSUDCZYCY

kości, maluchne to stworzenie drżało, gdym je wziął, jak-
bym najmłodszą wiosnę w garści trzymał.... Czy dojdzie
was ten list?

Ale ja nie będę zsypywać gwiazd, ty piękna, mróz chwycił
mnie za palce, zimno całuje w usta, nie chcę łączyć uści-
sku i wracać nie chcę....

List dojdzie, lub nie zastanie, lub wstęga amarantowa skro-
nią popłynie....

Bo to nie za nas nastało i nie za nas przestanie....

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



IMIENINY KOMENDANTA.

Zamieciono wielką salę opuszczonego dworu.... Zapowiedziano, by nikt nie rzucał niedopałków na podłogę.... Przy schodach ukryliśmy orkiestrę.... Obsadziliśmy czujnie telefon, by dano nam natychmiast znać, gdy komendant wyjedzie z obrębu baterii.... Obsadziliśmy drogę, prowadzącą do dworu, by zawczasu widzieć, kiedy się zacznie zbliżać. W sali zbierają się oficerowie, ubrani odświętnie, — jeśli można mówić o paradzie tu, w polu. Polega ona na tem, że się nie rzuca niedopałków na podłogę, że się ma oczyszczone buty i minę paradną. Schodzą się więc uroczyście i ceremonialnie.

Już jest ogromny, zupełnie do Scipiona Afrykańskiego podobny, komendant karabinów maszynowych, Słonecki. Chodzi między oficerami i opowiada jakąś niesłychanie krwawą i niebezpieczną wyprawę.... Już jest ponury i twardy komendant saperów Dąbkowski. Najpocziwszy szef żandarmeryi polowej Jur odznacza się dostojnie swą zacną brodą i słyhać go w grupie, jak wywodzi rzewnie: Bracie kochany!

Mistrz ceremonii, podporucznik Sulistrowski, przyjmuje wszystkich, wzorem będąc wojskowego wykwintu i słodczy. Właśnie mruży oczy subtelnie i ściska rękę kapitanowi Berbeckiemu.

Stopniowo zjawiają się: komendant batalionu kapitan Fle-szar, kapitan Scaevola, major Śmigły, kapitan artylerii Śniadowski, komendant artylerii Brzezina i wogóle wyższe szarże, witane twardym wojskowym ukłonem. Przedostają się powoli przez ciżbę młodszych oficerów, raz wraz podając rękę. W sali już niebiesko od mundurów, trzask

szabel mięsza się z tonem rozmowy i uroczystym szurganiem butów.

Gdzieś w kącie huczy głośno nieporównany podporucznik Dzieduszycki, ciągnąc za sznur księdza kapucyna Kosmę, zaś porucznik Litwinowicz dogaduje, wyzierając dobrotliwie z poza okularów, dziwnie krępy i zwięzły, obok wysokiego kapitana Wyrwy. Wchodzą, zawsze śpieszni kawalerzyści w ogromnych czakach, Belina, Orlicz i Wieniawa. Równocześnie za drzwiami, w drugim pokoju, wre praca gorączkowa. Tu, opuściwszy ceremonię powitań, króluje Sulistrowski, układając nakrycie stołu z czystych poszewek i prześcieradeł, kombinując ilość talerzy i kieliszków, by wystarczyło dla wszystkich.

Komendant jedzie!

Wszyscy rzucają się do okien i wypatrują przez zataraszony klomb na drogę, po której pędzi młody wiosenny wiatr i suche zimno jeszcze nieprzebudzonej wiosny. Daleko na szarych polach długie pasma śniegu i różgi drzew i — rzekłbyś dym — szare wieńce zmarzniętych krzaków.

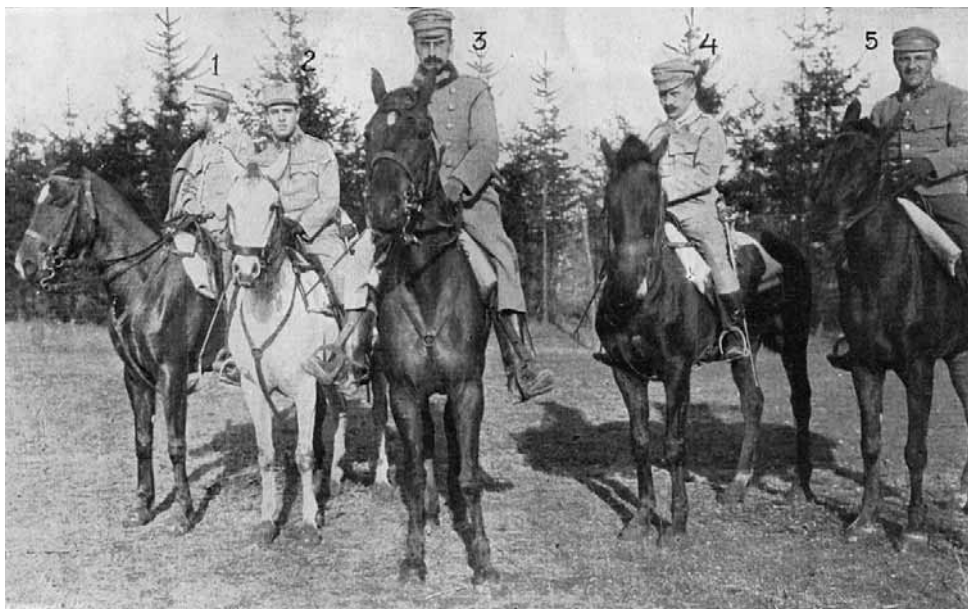
Jedzie komendant! Teraz na pewno....

Orkiestra rżnie marsza. Przed klomb zajeżdża w szarej świtce Piłsudski, za nim major Trojanowski, dr Rouppert, kapitan Kasprzycki i inni.

W sali gromadzi się wszystko. Gdy komendant wszedł, staliśmy jakby półkolem w podkowę. Runął jeden dźwięk ostróg, siwe mundury sprężyły się, służbista gotowość zaciężyła na twarzach. Zaś jeśli podkowa jest znakiem pomysłowości, to ta, żywa i szara, w której kształcie staliśmy, najwierniejszą jest, jaką Komendant w swem życiu spotkał....

Wystąpił major Śmigły, przemawiając uroczyście, — jako żeśmy ufali naszemu Dowódcy oddawna, lecz boje, do których nas prowadził, ufność naszą i oddanie się — ustokrotniły. I że nie masz dla nas zadania dość trudnego, gdy z jego płynie komendy i, — byśmy te imieniny za rok obchodzili w wolnej Warszawie....

PIŁSUDCZYCY



Cisza i przysięgła jakowaś bladość twarzy i oczy w do-
wódcę wpatrzone głębokiem wzruszeniem błyszczące. Major
Śmigły wręczył dar od korpusu oficerów brygady I. Le-
gionu. Komendant podziękował krótko, salutując. Następ-
nie winszowano od poszczególnych oddziałów. Trzeci ba-
talion I. pułku wręczył album, szwadrony karty z podpi-
sami. I znów życzenia i znów ten krótki, dziarski ukłon
Komendanta.

Potem nasz uroczysty obiad! Nasza ucztą! Nasz bal kolo-
salny, pyszny, olbrzymi, w zimnej sali — ale to nic, po-
myśl, gdy będzie tu kilkadziesiąt osób, nie będzie zimno....
Nasza agapa fenomenalna z dętą orkiestrą za drzwiami,
grzmącą w czterech ścianach potężnie, jak na błoniach
rewji — na stołach różnej wysokości, niby plastyczny te-
ren bitwy!

Ryba w majonezie, rzekłbyś groźny zapas śrutu — kawior
w puszkach blaszanych i sardynki i czerwone szczypce
homarowych łap! Nie dziwota tedy, że nam na te cuda
oczy na wierzch powychodziły jak rakom i żeśmy, prze-
walczywszy wstępne, skromne ociąganie się, żywo zasiedli
do stołu.

Komendant Piłsudski w pośrodku, szef sztabu Sosnkowski
z jednej strony, z drugiej poseł Daszyński, dalej szarże od
wyższych ku niższym, a na końcu sprawiedliwi podpo-
rucznicy czule ku wyżynom stołu i zakąskom wyglądający.
Muzyka nam rznąła te wszystkie marsze dalekich, krwa-
wych pochodów naszych, naszej bitwy i głodu i chłodu
i rewij i uroczystości. Jadło się za te wszystkie czasy i za
przyszłe, za tych, którzy padli, lub padną....

Jedzenie szło równo, napitek równo, a rozmowa wybu-
chami.... Raz wraz widać było, jak niby dwa obwarzanki
splatają się ramiona oficerów i ramię przez ramię wychyla
się kielich braterstwa.

Gdy mowca wzniósł zdrowie komendanta, buchnęła orkie-
stra spiżowemi surmami „Jeszcze Polska“. Zerwaliśmy się

wszyscy jak jeden mąż i dobywszy szabel, prastarym obyczajem skrzyżowaliśmy ostrza nad stołem, że błyskawicą powiało nad głowami.

Więc dalej zdrowia i owo tak tkliwe wśród nich, tak gorące zdrowie braci żołnierzy z II. i III. Legionu.

Mrok już zapadał, gdy się wspaniała biesiada kończyła i gdy na cynowych talerzach roztopiły się resztki lodów. Rozmowy się plotły teraz grupami. We wspólnym mundurze niedawni studenci odgrzewać jęliśmy „stowarzyszeniowe kawały“.

Tyś był tym — tyś był tamtym....

Pamiętasz, jak rozbiliśmy wam wtedy zgromadzenie?!

Tyś mówił, że ja się nigdy wśród was nie znajdę...

A dlaczegoście robili taką cholerną opozycję?

Teraz wspomina się te czasy, jak niewczesne a zabawne dzieciństwo, które znikło odrazu, gdy powaga Sprawy stała we wrotach zgromadzeń.

Inni opowiadają sobie swe przygody, rysując na czym się da — na stole, krześle czy kolanie — plan sytuacji. Jeszcze inni oglądają album, które III. batalion I. pułku brygady ofiarował dziś komendantowi.

Jest to księga z szarego, grubego papieru, tak podobnego do barwy naszych mundurów. W jednym rogu okładki, w czerwonym giętem ramowaniu oficerskiej odznaki I. Legionu błyszczy gwiazdka podporucznika, zaś brzeg przecinają na wzdłuż trzy czerwone paski — odznaka sierżanta.

Na pierwszej stronie w objęciu pięknie stylizowanych pędów świerkowych napis dedykacyjny. Dalej historia III. batalionu.

„Gdy Twa wola niezłomna — głosi pismo — powołała nas ośm miesięcy temu do nowej wojny o Niepodległość Naszą, pierwszymi z Twoich żołnierzy, którym szczęście przypadło sformować się w jednostkę bojową, przejść wraz kordony, bić się z Moskalami, byli żołnierze dzisiejszego

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



III. batalionu pierwszego pułku piechoty polskiej. W dniu 3 sierpnia stworzyłeś z uczniów szkół wojskowych obu zbratanych organizacyj strzeleckich pierwszą kompanię kadrową wojska polskiego. Było ich blisko 160, tylu, ilu podchorążych niegdyś w noc Belwederską. Pod komendą obywatela Zbigniewa (Kasprzyckiego) dziś kapitana Twego sztabu, przekroczyli 6 sierpnia granicę. 8 sierpnia zajęli Miechów. Tutaj z kompanią I., prowadzoną odtąd przez ob. Herwina, połączyły się dalsze kompanie w liczbie pięciu, siłę 372 ludzi. Z głównej ich masy sformowano kompanię drugą ob. Zosika, dotąd jej komendanta, trzecią ob. Scaevoli, dziś kapitana, komendanta dzisiejszego III. batalionu“.

Zaś parę ustępów niżej:

„Batalion III. miał szczęście spełnić swą powinność w potyczkach koło Opatowa i Nowego Korczyna (potyczka pod Uciskowem i Stróżyskami 19 września); w rekonesansie około Garbatki w pobliżu Iwangrodu 21 października; w boju leśnym pod Anielinem (22 października: odparcie oskrzydlenia nieprzyjacielskiego atakiem flankowym, 170 jeńców); w trzydniowej bitwie pod Łaskami (24, 25, 26 października); w boju pod Brzechowem 31 października; w przeprawie: z pod Krzywopłotów przez Ulinę Małą do Krakowa (utarczka 10 listopada); w nocnym napadzie na Chyżówki (23 listopada wzięty do niewoli szwadron jazdy); w szeregu walk dokoła Limanowej i Nowego Sącza, wreszcie w bitwie pod Łowczówkiem (22—25 grudnia 1914, rozstrzygający atak III. batalionu, szczególnie pierwszej kompanii, po utracie wszystkich oficerów prowadzonej przez sierżanta Kalinę-Zieleniewskiego, dziś podporucznika, paruset jeńców)“.

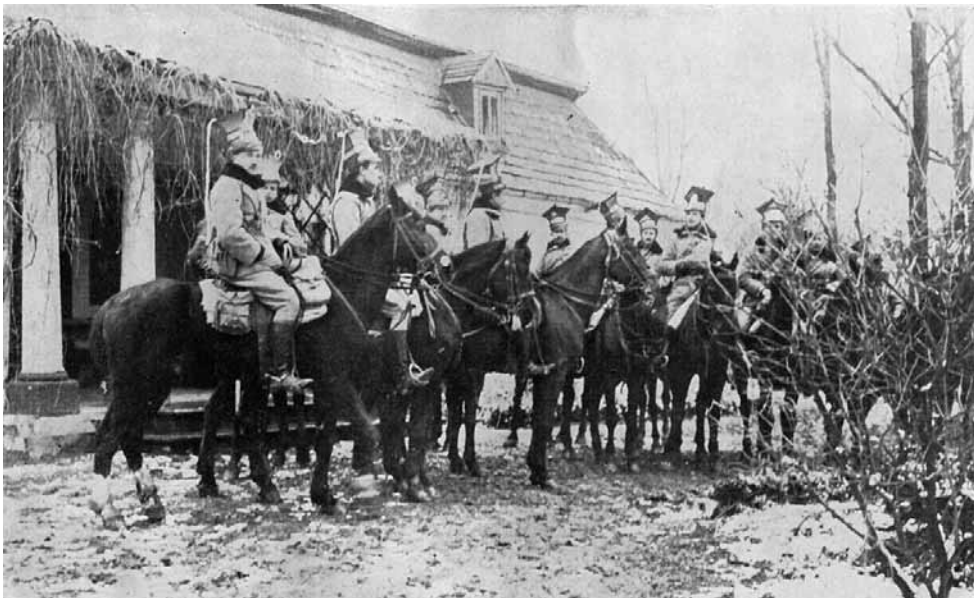
Na wstępnych stronicach fotografie komendantów batalionu i szarż, a dalej kompaniami, podpisy żołnierzy wprawne, wyrobione, doktorskie — i proste, jakby orane piórem na papierze i zupełnie niezdarne, drżące, jakby na wodzie pi-

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

sanę, wreszcie... znaki pod obojętnym podpisem — krzyżki chłopskie....

Zmierzcha się już zupełnie. Przewracam stronice tego albumu i oczy mi się w mroku mylą. Zwiduje mi się, że się te podpisy nietylko na kartach księgi snują, lecz drżą wedle mnie i nademną, w całej izbie i wśród pól śpiących i daleko na szarem niebie — powszędy....

PIŁSUDCZYCY



NOWY ROK W POLU.

Jak witaliście Rok Nowy wy wszyscy, których ta zima w domu zastała? Jeśli wznosiliście kielich na przełomie dwóch lat — pewno Wam kielich w ręku ocieżał.... Jeśliście życzenia sobie składali, wiem, że między życzenia wasze niepokój nagle wszedł i roztrącił je.... Wiem, że przyszła do was ta chwila odpowiedzialna, w której życzyliście wszystkiego najlepszego nam w polu.

Kielich wam w ręku ocieżał sumienną obywatelską troską o los żołnierza polskiego, a życzenia wasze wieńcem się spłotyły wokół sztandaru walki. My zaś.... Było to po ciężkiej czterodniowej bitwie. Właśnie się zaczął nasz żołnierski wypoczynek, inny niż wszelkie wypoczynki ludzi pokoju. Odpocznienie z ran i krwi wylanej i z doświadczonej śmierci (bo śmierci doświadcza szereg jak nagłej przygody), odpocznienie po wysiłku bitewnym, który upaja jak wino, zaś jak gorączka wyczerpuje.

Zajęliśmy na kwatery kilka wsi. Rozeszła się po chatach zjeżona, chrzęszcząca żelaziwem kolumna piechoty. Odeszła gdzieś w bok na leże porywcza kawaleria.

Czas był słotny, mokry, niechętny. Dopiero wieczorem 31 grudnia mróz począł brać i jakoś razem z tym mrozem przyjechał oficer od Beliny, — że w myśl poprzedniego zaproszenia czekają na nas i że już czas.

Staliśmy w pustym pałacu, raczej we dworze starym, w którym z dawnego zbytku zostały wygniecione łóżka, szklana gablotka z fotografiami przeróżnych krewnych, wreszcie fortepian o strunach popiołem i tytoniem przesypyanych. Zapomniane na ścianie lustro podkreślało ostentację dokonanego tu spustoszenia.

A przecież nigdzie podczas wojny nie czuje się człek tak, jak w starym polskim dworze, gdzie mu się życzliwie przychyła niski pułap przedsionka, gdzie ostrogą i trzaskiem szabli potakują w mroku zacne echa kochanego kamienia schodów wytartych.... Gdzie miło jest rękaw rozedrzyć na słabym zawiasie dygotliwych drzwi lub patrzeć, jak w pustych oknach umiera pobrzask zachodu.

Ze świecami w rękach, płosząc cienie i drogie jakieś wspomnienia zesłiśmy przed zajazd. Osiodłane konie czekały przed klombem. Trzeba wiedzieć, że żadne konie tak, jak nasze, nie umieją czekać w mroku przed dworem.... Żaden tak łba nie zwiesi, z nogi na nogę nie przestąpi i ogonem przez srebro księżycy nie machnie, właśnie jakby stary Kossak podpatrywał. W głębi mroźnych oparów rysował się twardy grzbiet szwoleżerskich kasków plutonu kawalerii.

Ruszyliśmy z brygadierem Piłsudskim i podpułkownikiem Sosnkowskim na czele w mgłę mięk kuchną, drogą wśród jarów i parowów mierzwiąc srebro napotykanym wśród marszu strumyków. Mgły się rozstały wkrótce i znaleźliśmy się jakby w łożysku perłowych ostępów inkrustowanych hebanem lasu. Zaś bliżej celu podróży — trudno rzec, iżemy wjechali do wsi, lecz ona sama nas ogarnęła, polska, zimowa wieś. Mignęły szybko w kłusie pochyłe chałupy, ślipające po nocy okienkami, przewinął się spiesznie cień utrudzonych stodół. Na ganek małego domostwa wbiegli oficerowie kawalerii.

Serdeczne przywitanie.

Weszliśmy do saloniku, który w normalnych czasach nie zwróciłby niczyjej uwagi, który jednak w czasie wojny wydał się nam ostatniem słowem wykwintu i nowoczesnego szyku. Po krótkiej gawędzie, po szumnych uprzejmościach i grzecznych duserach przeszliśmy na kolację.

Prawdziwa kolacja, złożona z rzeczywistych dań to na żołnierskim postoju dzieło niesłychanie złożone, czasem nie-

prawdopodobnie trudne do wykonania, zważywszy, że w danej miejscowości nic niema i że „Moskale wszystko zabrali....“ Dzieło to tworzy się z resztek, jakie pozostały po ostatnim postoju, z wysupłanych u kogoś laseczek cynamonu, ziarenek gwoździka, ze zdobytej gdzieś z trudem mąki i jajek, zresztą któż to wie jak?!

Dość na tem, że uczta się odbyła na rzeczywistym białym obrusie i wino było i pieczeń, ciastka i razowe przedziwne faworki. Zaś przedewszystkiem było to, co się żadną miarą opisać nie da, mianowicie owa gładka, kawalerska uprzejmość, ów zawadyacki, rycerski ton oficerów naszej kawaleryi.

Jeden z nich wniósł toast na cześć komendanta, który z nas, rozgadanych studentów, uczynił żołnierzy i na „baczność“ milczeć nauczył. Odpowiedział mu komendant w myśl tyloletniej, pięknej swej pracy, której celem wychować Polsce żołnierzy-obywateli.

Potem krążyć jęły toastowe, serdeczne dyplomacye.... Oficerowie piechoty wiwatowali na cześć kawaleryi, oficerowie kawaleryi na cześć piechoty, aż wszystkich wywabił na ganek ruch i rumor coraz większy, powstający przed domem. Chwila, którąśmy przed domem ujrzeli, była tak stara a wiecznie młoda, silna i serdeczna, tak tkliwa i mężna, jakby żywcem zesła z rysunku Grottgera, jakby spłynęła ku nam ze śnieżną falą.... Z falą srebra i brzasku od progu, na którym we chwale wiecznej, zimą surową, posnęli nasi Ojcowie-Legioniści. W sinawem lśnieniu mrozu, pod stropem białych gałązek, na tle drzew, niby kanwa starego srebra, biegnących w dal, stanęły setnym czworobokiem plutony szwadronów. Kolejno komendanci plutonów składali życzenia dowódcy szwadronu, a on, ogromny, rosły, całował jednego po drugim, potem zaś od żołnierza do żołnierza szedł, wymieniając uścisk dłoni.

Życzenia jasne, jedyne, które las polski i polska zima pamiętają tak dobrze....

PIŁSUDCZYCY

Życzenia w ciasnem, polskiem obejściu, gdzie mieści się i zmieścić się nie może serdeczność żołnierza, karabinowymi salwami wystrzela w górę, — skrzydłem śpiewu po lata.

Aż wreszcie stanął przed komendantem dowódca szwadronu i w obecności czworoboku, szablą ukłon oddawszy, życzył — aby na przyszły rok....

Zaś po nagiej klindze schylonej w oddaniu czci spływała poświata uroczystej nocy jasną tęczą najszczytniejszych nadziei.

A głosy dzwonów świątecznych prędko biegną po śniegu, przez las, po śniegu, przez górę....

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



ORDYNANS.

Felek czekał w kuchni, aż kucharka napełni obie sosjerki, by je na srebrnej tacy wniósł „za mięsem“ do stołowego. Tymczasem kucharce szło niesporo, bo Walenty już z mięsem na tacy stał przy stole i gadał i użerał się o to wojsko polskie.... Z gniewu, z ruszania wąsów, z potu, co mu na czoło występował, widać było, że Walenty gorączkuje się, złości i sprzeciwia.

Waryaty, oberwańcy, strzelcy, postrzeleńcy!

Felek słuchał Walentego, palcem przejeżdżał zimny kant sosjerki i nic nie rozumiał.

Wiadoma rzecz, że jeśli wojsko, to wojsko. Jest takie i inne, każdy ma swoje, było takie i owakie, z różną mową i cudacką komendą. Czemuż to ?....

Jakieś słuchy chodziły o tem po wsi od dawna, razem z zatłuszczonym kawałkiem gazety. Snuły się wieczorem przy kominie w czas pogwarki, schylone i chwiejne, jak dym....

Felek myślał w wieczory czytanek i słuchów owych, że siedzą prawie święte, tak dalekie — za obrazami nad łóżkiem. Pewnikiem stamtąd wyszły, pewnikiem tam wróca.... Już od kilku dni i teraz bał się i wstydził, że słuchy zeszyły między gadanie ludzkie, że Walenty pyskuje a wydziwia. Przystawił sosjerkę do sosjerki brzeżkiem równiutko i wyciągnął się nagle, aż mu oczy na wierzch wyszły, a w kościach chrupło.

Walenty splunął, łapę pod tacę podłożył — idziesz Felek — huknął i poszedł z mięsem.

Jeden za drugim wchodzili do jadalni, gdy nagle za rozwartą bramą iść to zaczęło....

Panienki sfrunęły do okien, Walenty stanął z głową rozdziawioną na środku posadzki, jak słup, starsza pani zakłósała się od łez, a pan ręce w łańcuszek zegarka wczepił, jakby go sobie z kiszkami wyrwać chciał.

Oni!!!

Szli drogą, w szarem, chmurnem południu, cierpliwie, jakby do spowiedzi, wojsko szare, z białymi orłami na czapkach. Co to było, nie wiedział Felek jeszcze, ino w ruchu i wzięciu się, w przystępowaniu, czy że na bakier się nosili, czy — już zapomniał, bo tylko dzwonienie słodkie nim trzęsło, że szli, a coś sobie powtarzał jak najprędzej w żarach i we wstydzie gorącym.

Aż nagle buchło z szeregu kurzawą, impetem po gazonie, przez płot, że wstrząsły się stare wierzby przydrożne:

Na bok wisielcy
Bo idą strzelcy,
Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

I znów:

Siwe mundury,
A butach dziury,
Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

Komendant jedzie,
Wojenka będzie,
Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

Zwaliły się z tacy dwie sosjerki, Felek wyrznął się o jedne drzwi, o drugie, i pędził, już pędził tyłami ogrodu na skrzyżowanie dróg, jęcząc i gryząc wargi do krwi.

Wstydził się, żeby go tam nie ujrzeli, więc się zaczął w krzakach i czekał.

Szli mocno, naprzeciw wiatru, krokiem równym i zgodnym, z przymrużeniami oczyma i z otwartymi od śpiewu ustami.

Na nic i na nikogo jeszcze nie patrzył, jak na nich... Każdy ruch, każdy guzik, każdy but zapamiętał Felek na zawsze.

Twarze mieli młode, dobre, wesołe. I to, że właśnie szli pod kamienną figurą, czwórka za czwórką, tacy dopasowani! Patrzył jak ten jabłko gryzie, tamten ciężar na plecach podrzuca, ten garścią okruchy chleba do ust wsypuje.

Szli tuż nad nim i oczy mu się mrużyły od mijania nóg, a od marszu i ziemi dudniącej i rozśpiewanego powietrza — wciąż się w piersiach rzewne układały drżenia.

Przeminęli na skrócie razem z wozami. Na drodze został tylko święty kamienny, z pajęczyną między palcami we wietrze fruwigającą.

Felek odczekał aż ucichło i znów kopnął się za nimi biegiem pospiesznym.

Skręcali na lewo w bok, do polnej drogi.

Stanął jak wryty.... Oto po jednej stronie dążyły czwórki i jedna za drugą zniknęła w borze sosnowym, a po drugiej stronie stała chałupa matki Felka i matka przed oknem między złotymi kręgami słoneczników, jak święta w złotej obwódce.

Nie ruszał się....

Nie ruszy się stąd, niech tylko ciągle idą pod tym lasem....

Ale szli i szli, aż znikli, potem jeszcze tamten i ten łysnął między drzewami, potem jeszcze bronie dźwięknęły, a potem las, jakby ich wypił wszystkich, topiąc w suchym szmerze gałęzi....

Felek słyszał, jak skrzyły drzwi, jak się z powrotem za matką zawarły. Słyszał sypki szum płowych mietliczek, do-brotliwy pomruk matczynej chałupy, wszystkich jej ścian i wszystkich ścian obory i wszystkiego, co tu żyło w biedzie, łataney troską.

Chmury ciężkie leciały nad lasem, wiatr cesał i pieścił wyschłe mietliczki, droga się po dawnemu u świętej figury rozdzierała na dwie części....

Samo się stało, że począł iść, krok za krokiem, jakby każdym krokiem komuś coś kradł i komuś coś dawał....

Aż znalazł się na krajezku lasu, tam, skąd widać całą chałupę matki zgarbioną, do pustego ugoru przyległą....

Coś go takiego tknęło, coś go takiego owiało, że się już nie obejrzał, tylko biegł przed się, za pobrzękiem gwerów i manierek, aby bliżej....

Dopadł ich przed samem miastem.

Noc już była, gwiazdy obsiały niebo jak srebrny mak, księżyc płynął wśród nich gładki i biały, a na trawach skry tańczyły mrowiem niezliczonem.

Żołnierze szli, niczem mur, zwarty cień to z boku wlokąc, to pchając przodem i ciężko robili bokami, widać bardzo zmordowani.

Na rynku wszystko się zatrzymało; dowódcy poszli do jasno oświeconego domu.

Nie obejrzał się, kiedy szeregi wsiąkły w ziemię. Wojacy się pokładli na bruku, oblepili wszystkie ławki pod apteką i wszystkie schodki przed domami. Usłał się z nich na rynku drugi bruk nierówny, dyszący....

Nazajutrz od samego rana począł ich szukać. Gdzieś poszli, czy ukryli się, a tylko chłopów nawaliło się do miasta! Pokręciły się te chłopcy tędy i siędy, aż nagle trąba rozległa się wojenna i wszystko sunąć poczęło w jedną stronę, a Felek ze wszystkimi, głupi na to, jak tabaka w rogu....

Chłopcy pochrzakując, podciągając portek, stanęły w zbitej gromadzie — słońce od samego rana świeciło najpiękniejsze — a ku gromadzie sunie, niby kawał ciemnego nieba, oddział z tym samym oficerem, co wczoraj. Zakręcił nimi, stanęli bardzo srogo.... Znowu powiedział i wytchnęli, jedną nogę naprzód wyciągnąwszy.

Widział to Felek, bo stał na boku, przy kupie bab płaczących. Oficer wyciągnął papier, czytał z niego wszystkie wielkie słowa i skończył wołaniem o wojsku polskim.

PIŁSUDCZYCY



Cisza nastała i aż się niebo wyprężyło od tej cichości.

Tymczasem chłopcy już idą....

Pierwszy, drugi, czwarty powoli se idzie, przed oficerem odmie się, bo mu nie sporo, przemówią do niego, zapiszą. Przekręci się na pięcie i stanie do szeregu.

Felek obleciał plac dokoła, przejechał łokciem pod nosem i też idzie, wielkimi krokami, z kapeluszną dziurawą, aż na oczy wciśniętą, że się tylko na uszach odstających trzyma. Stanął przed oficerem, słucha jak paski i rzemienie na nim chrzęszczą, a czuje, że na sobie wszystko się trzęsie i skrońmi pot płynie — z tej uwagi....

— Ile masz lat? — spytali.

— Nie wiem.

Oficer wzruszył ramionami. — Chcesz wstąpić do polskiego wojska?

Felek nie odpowiedział, bo mu twarz zakrzepła w przyśiężnej gotowości, a oczy jasne, jak czyste niebo tego dnia, znieruchomiały nagle.

Surowa twarz oficera ogrzała się różowem ciepłem.

— Czternastu lat nawet nie masz?! Za młody jesteś.

Felek zrozumiał i żeby przebłagać, czy przekonać, zdjął kapelusz, odsłaniając złote, zmierzone jak mietliczki, włosy i młodość głowy dziecinnej, za dużej w stosunku do całej postaci.

— Cóż my chłopcze z tobą zrobimy?!

Nie odpowiadał, garść całą wsadziwszy w dziurę kapelusza.

— Wracaj do domu, wracaj i nie zabieraj mi czasu.

Wtedy nagle w niebieskich oczach Felka rozpękły wielkie, brylantowe gwiazdy, twarz się ściągnęła w zmarszczkach, a wystające z rozchełtanej koszuli malutkie piersi drzeć jęły szybko.

Felek płakał. Przyszedł z kolei nowy, wielki chłop, odsunął płaczącego.

I znów szły chłopcy, odymały się przed komendantem i stawały do szeregu.

Słońce już doszło południa, gdy Felek, przeczekawszy całą kolej, drugi raz stanął przed komendantem....

Stał prosto, w oczy patrzył prosto, ręce prosto wyciągnięte trzymał wzdłuż siebie, bez tchu, w kapeluszu, którego dnem, jak ździebła owsa, miękkie się wychylały kosmyki włosów.

— Czegóż ty jeszcze chcesz?

Wtedy zaparł dech w sobie, żeby mu nie przerwała dławiąca łza i głosem wysokim, silnym jak kwilenie jastrzębia, rzekł: — Chcę służyć w wojsku polskim....

— Jużem ci mówił, nie zwracaj mi głowy — a młoda, czarna bródka komendanta drżała ze śmiechu. — Czternastu lat nawet nie masz. No idź....

Felek tylko naprzód postąpił, jak młody kogut wyciągając głowę ku górze.

— Silny jestem....

— Za młody jesteś.

— Ja i tak pójdę — odpowiedział, nie patrząc na nikogo.

— Nie wezmę cię, za młody jesteś.

I znów zapisywali się inni, a Felek stał zgrzany, spocony, bez ruchu, z amarantowemi uszami i powtarzał, jakby do siebie, czy do białych domków miasteczka, czy do nieba szerokiego — gdy go ludzie słuchać nie chcieli: — Ja i tak pójdę — ja i tak pójdę!!

Aż skończyło się wszystko.

Żołnierze piasnęli łapami o karabiny, chłopcy się ustawili w dwójki, zapłakane baby odeszły.

Felek stał na tem samym miejscu, dwóch małych żydków kręciło się koło niego — i krzyczał coraz głośniejszym głosem: „Ja i tak pójdę! Ja i tak pójdę!!!“

Komendant skoczył ku niemu i czerwony z gniewu krzyknął: — Pójdiesz, ale przy pierwszej sposobności, jeśli się zbłązniesz.... My wszyscy — Legion....

Oni wszyscy.... Legion....

Zelżało we Felku i światłość się w nim rozlała.... Teraz

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



się odął jak tamte stare chłopy. Wolno przystąpił do szeregu i stanąwszy na końcu, że przez bary poprzednika dojrzeć nie mógł, co się na początku dzieje, po męsku splunął przez zęby ze strasznej wdzięczności dla komendanta....

Zaczęło się od chodzenia, od prawej ręki i lewej, że ta prawa a nie lewa....

Potem przysły bluzki i wszyscy dostali, potem portki przysły, wszystkie dla niego za długie.

Dopiero zagryzając język, oberznął nogawki kozikiem.

Potem przysły buty, nabijane gwoździami, za długie. Potem dostali plecaki i karabiny. Ze swoim karabinem zajął się Felek pół dnia, cichutko głaskając kolbę i pakując oko do lufy. Żeby mu go kto nie ukradł, nauczył się na pamięć numeru gweru i wyrznął (jako że pisać nie umiał) chałupę matczyną na drzewcu.

Kiedy pierwszy raz stanął na warcie, nasrożył się tak, że ludzie z miasta całą kupą stali przed nim o 10 kroków i odejść nie chcieli.

Kiedy drugi raz stał na warcie, przysła matka z płaczem i z błogosławieństwem i za rękaw go brała, a on nic, tylko słyszał jak płacze, ale chodził tam i z powrotem i nie patrzył w tę drogą stronę.

Oni wszyscy!.... Legion!....

Potem się napadu nocnego spodziewali, stojący na cmentarzu. Szło się na ochotnika. Poszedł i on ze swoim komendantem, ale się tylko po próżnicy zgonili po lesie, bo „tamtego“ nie było.

Potem gdzieś szli i szli bez końca, ze strzelaniną na bokach, lasami i drogami, światami, z niebem przepalonem nad głową, z czarną nocą u stóp. Jeść nie było co, ani pić. Sama ziemia pusta i głodna dokoła, ale Felek zawsze dbał, żeby dla swego komendanta coś mieć, bo bardzo się pokochali, jako że on, Felek, był obywatelem i komendant.

Obaj....

— A wiesz ty, co znaczy obywatel? — spytał go raz komendant.

— Wiem.

— No co?

— Obywatel — to ja.

— Masz rację.

Tak się ułożyło w duszy Felka, że ponieważ jest obywatelem, musi więcej potrafić, niż może.

Idą... Inni niosą karabiny na ramieniu, na rzemieniu.... Żeby tak swój karabin Felek niósł, toby mu kolba grzęzła w błocie. On swoją broń niesie w garści, palcami za zamek podtrzymuje. Cały ciężar w mdlejącym ręku dźwiga, ale nie puści, bo jest obywatelem....

Aż doszli nareszcie do świata zakazanego. Wojsk tam widać było coraz mniej, a pustki coraz więcej i coś leżało na ziemi czy na niebie rozprószone, że aż dreszcz od tego brał. Pustki coraz więcej i ognia....

Minęli wieś i gdy noc nastała, siedli w okopach, zaś nad ranem zaczęło się....

Nad okopami szła jedna burza ołowiu, syki armatnie gięły się po niebie; ziemię szarpało, że czarnym słupem leciała pod niebo, to znów pękały w chmurach całe garście kul i żelaza. Od tego łomotu, trzasku i łamania zatykało Felkowi dech w piersiach. Leżał w okopie i gadał prędko, dużo, — krzycząc od czasu do czasu: Jo strzylom, strzylom!

Zaś gdy usłyszał za sobą rozkazy komendanta swego, wyskoczył z rowu, by się pochwalić.

— Jo strzylom, komendancie!

— Osiół jesteś, bracie.

— Podług rozkazu — odpowiedział Felek, prężąc się wśród gradu kul.

— Cóż ty za ordynans, skoro tu siedzisz, gdy ja cię co chwila potrzebuję.

Teraz dopiero zaczęła się dla Felka prawdziwa rozkosz bitwy. Z nieotartym nosem, gryząc wystawiony język, latał

od kompanii do kompanii lub włókł gdzieś za skórzane ucho pakę amunicji lub przynosił okopom kradzione w taborze konserwy. Potem wracał do komendanta, z zabobnym podziwem patrzył, jak ten odgaduje coś z trzieszczących stron wielokrotnie złożonej mapy.

Albo z rozkazem wracał na linię, spotykając po drodze rannych, którzy się wlekli, kuśtykając, popielaci od bólu, — w tej chwili, w tym huk, szanowni i niepotrzebni.

Minęła bitwa, nastał spoczynek, jedzenie, spanie i słońce. I znów bitwa. Zżyli się z komendantem do tego stopnia, że nie mogli się obejść bez siebie. Komendant myślał i pisał, a Felek pośpiechem i szybkością tej myśli był, niosąc rozkaz i meldunek — do ognia.

Aż pewnego razu, już w zimie, coś go tknęło, gdy się zapatrzył na całą tę wojnę w dolinie, z góry wracając z meldunkiem.

W mgłę sinej wyblyskiwały straszliwe jęzory wystrzałów armatnich. Daleko, na horyzoncie, niby krwawiące serca, gasły zapalone chałupy, dym się snuł, a ogień karabinowy cichł zwolna.

Słusznie go tknęło, bo spotkał na drodze swego komendanta. Szedł sobie komendant z głową w bok przechyloną, bez czapki, palcami jednej ręki rwał i skubał powietrze, drugą rękę nioś mu żołnierz, biało-siną, błyszczącymi nićmi krwi przez dłoń związaną.

— No, widzisz Felek, teraz się rozstaniemy — rzekł komendant — a usta mu się rozwarły tak powoli, jakby cały las wstrzymał od tego dech swój.

— Bo mnie przy was nie było, komendancie!!

— Tak, tak — szeptał komendant z uśmiechem — bo ciebie przy mnie było.

Poszli razem tą jedyną drogą rannego, wśród strzałów bólu i żalu i głębokiego honoru milczenia, ostrożni i odważni.... Komendant kapiący krwią po mchu i ordynans, siejący po zwiędłych gałęziach łyzy obfite.

U doktora był tłok.

Jedni leżeli, drudzy siedzieli, sycząc co chwilę. Każdy prosił o papierosy, których nikt nie miał.

Zrobiono miejsce, jako że to ranny komendant batalionu. Ramię miał rozwalone. Nie wiedzieć, jak się trzymać mogło. Z ramienia tyle krwi wypłynęło, że się Felkowi pusto w piersiach zrobiło.

Wziął doktorską kartkę o komendancie, jako że — kto, gdzie ranny, gdzie jedzie — i poszedł szukać fury osobnej. Odwiezie komendanta, osobno, on sam.

Od chałupy do chałupy biegł — z niczem. Zaczepił o jakąś kolumnę taborów, tu z wozu jednego zrzucić wszystko chciał, batami mu pogrozili, on bagnetem, aż gdy wrócił z powrotem do doktora — komendanta tam już nie było. Którędy poszły wozy z rannymi?!

Coś wymiarkował i poszedł lasem, polem, zboczami.... Wiatr dał ukośny, promienie księżyca giał, a Felek grzął w błocie i popędzał samego siebie, by dognać komendanta.

Pozary wciąż jeszcze gasły, gdzieś na przodzie huknęła palba karabinowa. Widać się zmylił, bo ogień był coraz gęstszy, kule bzykały koło uszu, jak ciężkie, ostre komary.

Zawrócił tedy przemarznięty, ze stopami oblepionymi gliną. Zimna wichura piszczała w czarnych krzakach, żal ogromny ciążył w zbolałym sercu.

Nadjechały tabory jakieś z ludźmi uśniętymi na kozłach. Konie parły pod górę, prężąc zady, drepcząc na miejscu, jak muchy w ulepie. Mimochodem skradł biały koc dla komendanta biednego, „taboryci“ dali mu czekolady i poszedł dalej.

Gdzieś już chyba nad ranem doszedł do drugiego miejsca opatrunkowego. W starym było pałacu, a wozy do niego zjeżdżały ze wszystkich dróg, pełne jęku i skrzypienia i trasku, jakby to nie drzewo i nie osie trzeszczały a ludzkie kości.

PIŁSUDCZYCY



Felek pokazał kartkę i przepuszczono go do pokojów, nasyconych słodkim, gryzącym zapachem leków i krwi.

Tu znajdzie komendanta....

Szedł na palcach między białymi kocami, pod którymi leżeli ranni na podłodze, wysoko stąpając, niby skoczybruzda wśród skib. Straszno mu było iść, bo ranni twarze mieli snem obrzękłe i zmordowane. A gdy zaświecał zapalną, nie dowierzając światłu ściennej lampki, wzdrygali się, głośno jęcząc.

Wtedy drzenie szło daleko po białych kocach, które niczem marszczony kozuch, zlewały się w jedną całość.

Poszedł na I. piętro.

Właśnie taszczyli kogoś po schodach sanitariusze.

Może komendanta ?!....

Widać było schylonych ludzi, doktora, dwie gały latarek elektrycznych, a w pośrodku żółtą, woskową twarz.

To nie był on.

Poszedł szukać dalej, tak jak się szuka na wojnie, to jest, kierując się za traktem wozów, za jęklwym szlakiem rannych, lecz głównie węchem i przypadkiem.

Od Czecha, sanitariusza, wydobył cały szereg nazw miejscowości, gdzie mogli być odwiezieni nasi ranni.

Powtarzał je na pamięć i doszedł wreszcie do większego etapu. Miasteczko to było opuszczone, rozbite, z połamanymi wozami na placach, z krzyżami mogił w rowach. Z okien parterowych domków wyglądały łby koni, w rynsztokach leżało mnóstwo pudełek od konserw, na drzwiach, niby znaki tajemnicze, bieleły się wielojęzyczne napisy różnych oddziałów wojsk, które tędy maszerowały.

Ruch w mieście, ledwie opuszczonem przez Rosyan, dopiero się budził, a zaczynali go, niby pierwsze węzły tkaniny, pojedynczy żydkowie, z towarem na plecach idący po rozwalonej drodze.

Felek uczeplił się furgonu i późną nocą, na kość zmarznięty, dojechał do pierwszej stacji kolejowej.

Przybył zapóźno. Pociągi już odeszły. Na stacyi czekały tylko dwa wagony I. klasy ze sztabem.

Tu też znać było wojnę. Szczególna ostrożność cechowała każde poruszenie się na szynach, każdy zaś gwizd lokomotywy szybko się urywał, jakby przerażony własną śmiałością. — Muszę jechać, mam przydzielenie — tłumaczył Felek naczelnikowi stacyi, który go nie chciał wpuścić do wagonu. — Pociąg już rusza.

— Mam przydzielenie! — Felek odepchnął naczelnika stacyi i przytrzymując na plecach swój kawaleryjski mały karabinek, skoczył na stopnie.

Pociąg ruszał ostrożnie, delikatnie, rzeczywiście, jakby sunął po drodze nigdy nieprzewidzianego podstępu.

W korytarzach wagonu spali ordynansi. Włokąc kradziony swój koc po ich głowach, Felek odepchnął jakieś drzwi przedziału, zamknął je i — bezpieczny przed pogonią naczelnika — wymacawszy, że na siedzeniach śpią jacyś oficerowie, położył się w środku, na podłodze przedziału.

Ledwo zdążył pomyśleć o swym komendancie, gdy sen go zdjął głęboki.

Dzień już był. Pociąg wciąż ostrożnie sunął wśród usniętych, bladych pól.

Felek obudził się, czując na sobie czyjeś mocne spojrzenie. Gdy otworzył oczy, ujrzał nad sobą siwą głowę, czerwoną twarz, złoty kołnierz i wyciągnięte ręce.

Jenerał!! — Felek poznał po kołnierzu.

Jenerał chylił się nad nim i coś po niemiecku głośno krzycząc, rozpytywał.

Tedy zerwał się Felek, na „baczność“ obcasami stuknął i głośno, surowo całą swą historję zameldował.

Na to obudził się drugi jenerał i powstało jeszcze większe zamieszanie. Zawołali innych oficerów, bo nikt nie mógł Felka zrozumieć. Jasno się zrobiło w przedziale od złota, gwiazdek i błyszczących guzików. Nareszcie dogadali się dzięki porucznikowi od ułanów, Polakowi.

Pochwalili Felka, dostał cukierków, śniadanie, jakąś kartkę, a co najważniejsze, dowiedział się, że ranni nasi zapewne wysłani zostali do X.

Jakim cudem, pożegnawszy uprzejmie sztab, dostał się tam Felek po całym tygodniu, tego niktby, prócz niego, nie zrozumiał.

Cudem prostoty i śmiałości. Bez marszruty, z kartką wystawioną w polu na ranę komendanta, kłócąc się, podłaząc pod balaski stacyjne, kręcąc się między wagonami, jechał coraz dalej, zmartwiony śmiertelnie i niemożliwie najejzony, bo nie omijał ani jednej okazji, gdzie były siostry dyżurne z kielbaskami i herbatą.

Kartkę na ranę komendanta uważał za glejt, który mu musi otworzyć wszystkie drzwi, ułatwić wszystkie przejścia, zapchane więznącymi we wszystkich drzwiach żołnierzami. Gdy chciano mu odebrać karabin, albo prowadzić do spisywania protokołu, pokazywał tę kartkę i nawet nie czekając, jaki wywrze skutek, zawracał na pięcie.

W X... miał o tyle ułatwione wszystko, że nikt go tu nie rozumiał, ale też i on nikogo rozumieć nie mógł, a więc i nie potrzebował.

Rozpoczął wędrówkę po szpitalach na własną rękę, długimi, nieznanymi ulicami, pierwszy raz w życiu patrzący na ulizany bruk wielkiego miasta i jego wydęte budowle. Obrażało tu Felka wszystko do głębi i ruch i hałas i piękne sklepy. Szedł od szpitala do szpitala, nie słuchając nawoływań, obojętny na słodką łaskę sióstr miłosierdzia, powodowany trafnym chłopskim węchem. Brudny, obłocony jeszcze z bitwy, w podkutych butach, z karabinem, który wadził o wszystkie progi, pchał się Felek od kancelaryi do kancelaryi — bezskutecznie.

To tu, to tu... — mówiło mu przeczucie i spocony, zziębnięty, robiąc łokciami, pchał się naprzód — lecz znów nie tu.... Tu, tu napewno.... Felek zawadził o dwóch żołnierzy, ale nie potrzebował z nimi gadać, bo sam był żołnierzem.

Zaraz zobaczy wśród pokotu zharatanych ludzi srogą, kochaną twarz, którą raz pierwszy ujrzał przy dróg skrzyżowaniu pod lasem, swego komendanta....

„Jeśli się zbłąznisz, my wszyscy.... Legion!“

Oni wszyscy — Legion!

Opowie mu zaraz koniec bitwy, bo przecie komendant nie wie jak się skończyło! — Z radością, z dumą, jakby mu niósł wszystek kurz, wszystką krew walki, szedł na salę.

Zawróciły go siostry, zdybał doktor. Znow się zaczęły pertraktacje. Felek pokazał kartkę na ranę komendanta.

Doktor przyjrzał się jej uważnie, ruszył skórą na czaszce i uszami, oddał ją młodszemu — a światło elektryczne błyszczało na białych ścianach jak miód — młodszy poszukał w książkach, kiwnął głową i oddał kartkę powoli Felkowi.

Felek zdrętwiał. Jeszcze mówiono do niego i poznał nagle po głosie gładkim i równym, który żołnierze rozumieją tylko...

Że z głosu tego wykreślone jest życie....

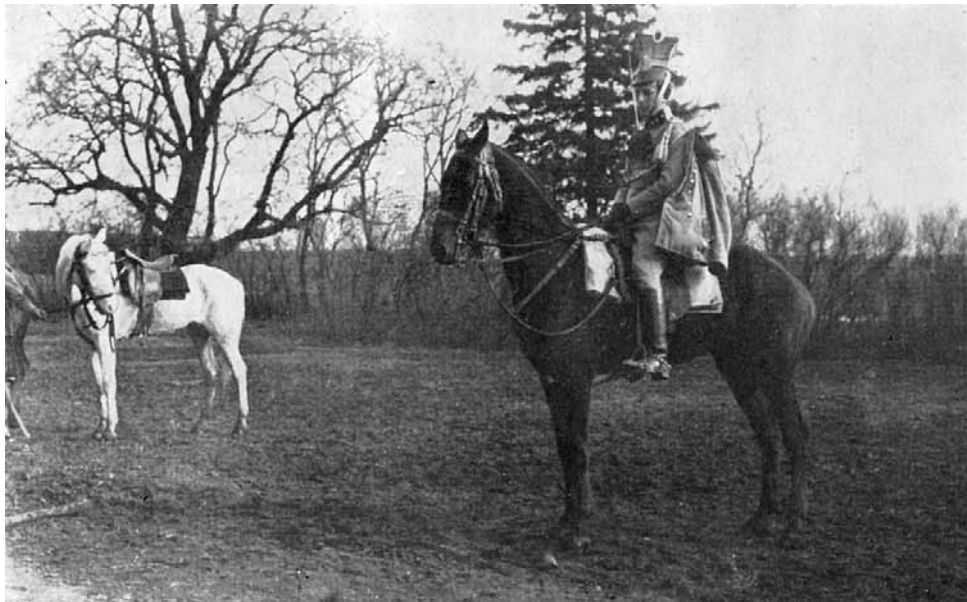
Jak wtedy, pierwszy raz w miasteczku, przed swoim komendantem, stał teraz wyprężony przed śmiercią jego.... Z pod powiek Felka, przybitych ciężarem wiadomości, płynęły ogromne łzy.

Wydziwiali nad nim, głaskali po głowie, dziwili się, że taki mały polski Legionista aż tu zajechał. Zjadł z nimi wspólnie obiad, chcieli zatrzymać w mieście i w szpitalu, ale on nie chciał, tylko chciał wrócić do pułku, a przedtem być na cmentarzu.

Zawieźli go tam dorózką.

Gdy się znalazł na tym grobie i gdy już, żeby Siostra nie myślała, udał, że napis odczytał, — zadumał się i zdziwił ogromnie rzeczy jakiejś nieznannej a wielkiej. W końcu ręce obie oparł na tej ziemi, z myślą, że komendant je czuje.... Potem zdjął z czapki białego orzelka i wsadził go w ziemię, tam, gdzie powinna być głowa, aby na tym orzelku leżała....

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



Dlaczego wracał do pułku? Już nie dlatego, żeby się bić i nie dlatego, by być ordynansem, bo komuż?... A tylko tak, jak się wraca do pułku, bo żyć bez niego nie można i tam się tylko być musi, a już nigdzie indziej nie — tylko tam....

Właśnie gdy przybył z powrotem, pułk ruszał naprzód. Orkiestra grała na drodze, mieszkańcy żegnali szeregi na chodnikach, a wojsko szło na wiatr, w dal....

Czasem tylko żołnierz w pożegnaniu rękę za siebie do dziewczyny wyciągnął, jakby ją chciał razem z jej domem, ciepłem i miasteczkiem, ze sobą wziąć w te pola śnieżne i miejsca nieznane....

Łącząc od szeregu do szeregu, przekonał się Felek, że wszyscy już o nim wiedzą, jak pojechał za swoim komendantem. Było mu wszystko jedno i żal jeszcze większy, że znów idą krokiem równym, zgodnym, przymrużonemi oczyma i z otwartemi od śpiewu ustami:

Na bok wisielcy,
Bo idą strzelcy,
Hej strzelcy, hej strzelcy,
Hej strzelcy wraz!

Stał samotny, jak ta figura przy drodze rozstajnej, bolejący, bezradny i nieruchomy.

Oddziały przeszły, nie miał się gdzie zameldować. Dopiero, za kolumną, w plebanii, zobaczył, że luzuje się jakaś warta. Pójdzie się zameldować komu bądź i niech robią, co chcą. Wszedł do pokoju i ledwie zdążył trzasnąć piętami na „baczność“, gdy cały zeszytniał z osłupienia.

Naprzeciw niego, oko w oko, siedział komendant Piłsudski z wąsem, jak srogi wujek, z oczyma, w które nie śmiał Felek spojrzeć, takie były niebieskie i mądre.

Reszta oficerów pakowała jakieś papiery.

— A co? — spytał sam Piłsudski.

W Felku zamarło wszystko.

— Melduję posłusznie, że mój komendant został ranny, a potem go zgubiłem i umarł.

— A któż gubi swego komendanta?

Felek patrzył na Brygadiera, jak siedzi z łaskawie opuszczonemi rękoma, zafrasowany, groźny i dobry.

— Kiedyście wrócili?

— Dziś rano.

— Czy meldowaliście się w naszym batalionie?

— Nie....

Krzaczaste brwi Piłsudskiego ściągnęły się i wzrok stał się twardy, jakby uderzyć chciał: — A cóż wy jesteście za żołnierz? — Wtedy uprzytomniły się Felkowi słowa umarłego komendanta:

Oni wszyscy.... Legion!....

Stanął w płomieniach żarliwego wstydu....

— Więc czegoż odemnie chcecie?....

Huknął w obcasy — podług rozkazu — zakwilił ostrym dyszkantem i gdy Brygadyer krył pod wąsem uśmiech pięknego zakłopotania, Felek pędził za kolumną, do batalionu, przejęty wielkiem gorącem ważnej świeżo zrozumianej Służby....

PIŁSUDCZYCY



TRĘBACZ ZE STANISŁAWOWA.

Czarne podwoje — heban, chmura i kir.... Wrota nieme i zimny próg.... Przystąpić nikt się nie kwapi, zaś po tamtej stronie stanąwszy nie zazdrości nikomu niczego, a sam urasta olbrzymi — wieczny....

Pierwszy we wrota te wjechał, pierwszy w nich konno stanął trębacz młodziutki.... Droga przed nim nieznana i niewiadoma kolej — heban, chmura i kir....

Czy jeszcze pamiętacie pierwszego naszego zabitego — trębacza ze Stanisławowa?... I że mu nie danem było dożyć wszelakich bojów naszych i że mu nie danem było nikogo żałować i silnego soku wojny kosztować i do syta pić chwały z piołunem?...

Że mu nie danem było nic więcej wiedzieć, jak tylko żeśmy ruszyli na gwałt! Żeśmy się sinym obłokiem przetoczyli po białej wstędze drogi kieleckiej....

A gdybyśmy w trzystu z Kielc szli pierwszy raz w życiu ogniem armatnim witani, zaś po raz setny i niezliczony w Polsce przeważającą zaskoczeni przemocą — czy wiecie?...

Nie zakosztował pięknych zbratań koleżeństwa, nie uświadczyl hucznej włóczęgi wojennej i pasyi cofania się i radości ataku....

Szrapnel oberwał młodą głowę i nic więcej nie mogły zmieścić te źrenice nieletnie, jak tylko pierwszą zorzę walki — najdroższego szczęścia na świecie zaledwie uśmiech najpierwszy....

Możnaby w liście Brygady zobaczyć, jak się ów trębacz nazywał i podać nazwisko powszechnej pamięci. Jednak młody chłopaczek, a pierwszy pod czarnym łukiem śmierci

jeździec i gość wybaczy mi, że nie streszczę tej rzeczy w nazwisku samem.

Bo życie się w tej śmierci pierwszej przenośnie rozrosło:
Pierwszy padł złoty głos Szeregu.

Trąbkę — złoty róg świeżą ogrzany wargą, śmierć zmiotła
pierwszym zamachem, — a walka właśnie trwa dalej!

Herold na błoni padł, a świetny szereg, jak miał walczyć
tak walczył!...

Więc jak wojnie przystało i ludziom jej i rzeczom —: Nikt
cię nie żegna młody trębacz, — bądź zdrow, — odjeżdżaj
za wrota coraz dalej i dalej, a z tobą.... A z zorzą twych
oczu, z cudownym żalem niedoczekanych rzeczy — oni....
My.... Ci z nas, którzy....

Dziś oni — jutro my....

Nie wymienić-że wszystkich ich — jak nie przeliczyć wszystkich
kwiatów łąki, nie dojrzeć wszystkiego srebra fali
w słońcu i nie doznać wszystkich radości w życiu.... Będę
pisać o tych, których znałem blisko, a nie o tych, których
nie znałem, taksamo jak radość mi daje tu godzina po-
ranna, choć i wszędzie indziej godziny poranne są ra-
dosne....

Eugeniusz Medyński zginął w świetnym szturmie VI bata-
lionu Fleszara, w bitwie pod Krzywopłotami.

Mówiono, że śpiewał, biegnąc do ataku „Jeszcze jeden
mazur dzisiaj....“ opowiadano, że konając, rażony w serce,
powierzał komuś list do narzeczonej....

Trudno wiedzieć dokładnie, bo któryż pola walki świadek
ma czas zapamiętywania szczegółów?... Kto może pamiętać,
jak leżał tam, jak się z szarego pola dźwigał młody pod-
porucznik, w mundurze krwawym, rozchełstanym na pier-
siach. I wzrokiem towarzyszy naprzód biegnących żegna-
jąc — czy podawał komuś list. Byłoby to najzupełniej
w stylu jego postaci romantycznej.

Całe życie tego porucznika, brunecika o zielonkawych
oczach z czarną bródką tak się właśnie układało....

On, kresowiec, syn ubogiego szewca — na barykadach Odessy.... On — później na gruzach marzeń, poszukiwany przez policję, goniony — a łódką jeżdżący do księżycy po srebrnych falach Czarnego Morza.... On — jeden z pierwszych — na szkole Strzelca — wówczas towarzystwa sportowego.... Przez jakąś pomyłkę wygnany z granic monarchii.... Dwukrotny wygnaniec — w Belgii....

Tam znów, bez centa, bez grosza siłą na zamiary budujący swe wykształcenie. Na to trzeba było umieć nie jeść, nie pić, nie mieszkać....

Ale cóż Medyński — Piłsudczyk! — Człowiek wierny przysiędze, kochający ogień i walkę jako jedyne oczyszczenie Ojczyzny.

Czego tam nie było w tych skrytkach i szufladach brukselskiej mansardy Medyńskiego! Proch, piroksylina, dynamit — ostrożnie otwierajcie, bójcie się Boga!

To znów — nie ruszać, tego nie można....

Było tam w tych szufladach w proszkach utajone marzenie gniewu i walki.... — broń pieszczona....

Medyński miał ów największy honor Piłsudczyka —: Prowadził wojnę, żył w jej pogotowiu na długo przed jej jawnym wybuchem. Całe tygodnie, jesienią nocował w Bois de la Cambre, w lesie, by się hartować do niewygód wojennego rzemiosła. Podczas letnich miesięcy wykonywał z ćwiczoną przez siebie w Belgii oddziałem marsze forsowne, wprawiał się ustawicznie w strzelaniu, czytał bardzo wiele z zakresu literatury wojskowej. Było wówczas dziwne, a obecnie szanowne jest i wielkie, że wierzył w rychły kres swego życia.... Szybki i gwałtowny koniec jego przeczuwając, gromadził zasoby umiejętności i pracy, jakby miał nie jedną, lecz cztery egzystencje do rozporządzenia.

Kolegą Medyńskiego z Belgii był Władysław Brzózka (pseudonim Hańcza). Komik, hałaburda, agronom, handlowiec, oponent wieczny, partyjnik, dziennikarz, tołstojowiec, fantasta, emigrant.

Był zawsze przeciw nam, gardził powstaniem i wojskowem do niego przygotowaniem, a uznawał jedynie „łeworucę”. Bo na domiar wszystkiego wymawiał „r” zamiast „ł” i na odwrót.

— Nie żalże wam Brzózka do dyabła — pytałem go kiedyś poufnie po jakimś nieskończeniu zawiłem zgromadzeniu w Antwerpii, — boście pewno krewny, czy powinowaty księdza Brzózki z powstania??....

— A tak, płoszę pana — kłówny, kłówny. Jestem ostatni z rodu Brzózków, na mnie się kończy wszystko....

Nie wyglądał na człowieka, na którym wszystko ma się kończyć.

Głowa, jak wystrugana z drzewa na jarmark dla dzieci, z wypukłemi, jakby twardemi oczyma. Duże usta, rumiane policzki, duże błyszczące czoło, łysy i zawadyaka i gaduła — i mistyk....

Śmierć Tołstoja obchodził tygodniowem umartwieniem, pijąc czarną kawę i nago siedząc przed wygasłym piecem.

— Czyście zwaryowali Brzózka?...

— Nie zwałyowałem kochani, wielki człowiek umarł — tłudna łada. Choć pokróciłem się z nim swego czasu.

— Z kim?

— Z Torstojem.

— Wyście go znali?

— Zachciało się go poznać, siadrem na pociąg i złobione — panie.

— O cóżeście się pokłócili?

— I nagałdarem mu nawet, panie. — O spławę polską. Siła złego na jednego....

Tem niemniej, kiedy już wojna wybuchła, kiedy Strzelec już wyruszał, Brzózka wciąż jeszcze marzył o „łewolucyi”.

— Marynarze, panie, w Kronstademie oberwali „flak” Poincałemu, panie!

Marzył hucznie, kłótliwie, „grošno”, aż pewnego rana spotkałem go zakurzonego, spoconego, jak wracał z Błóż

w strzeleckim mundurze i z fajką w zębach, bo naturalnie musiał być sobie jako żołnierz odrazu kupić fajkę.

— Bójcie się Boga Brzózka, czyście się wściekli?...

— A „wściekrem“ się!

— Wy u nas?

— Jeszcze tylko rzeczy swoje zawinę, panie kochany, i oddam gospodyni. Jak wrócę, po wojnie będą ręczniki i koszula jak znalazł! Dziś wyruszam...

Ledwo doszedł w oddziale do Miechowa. Nie mógł iść dalej. Pamiętam go tam w fabryce monopolu.

Jaka to była radość — spoczywać w tej rozbitej fabryce wódki rosyjskiej, rosyjskiego zła, nieszczęścia i bezprawia, stamtąd iść dalej, tam na miałach pokruszonego szkła front formować!

Dzień był gorący. Brzózka razem z innymi leżał pokotem na słomie, przykryty mokrą szmatą, w wielkiej gorącości nieprzytomny ze znużenia. W strugach słonecznego światła pod szybkim oddechem Brzózki szmata drżała, jak pomięty liść złotego ogromnego łopucha.

Było w tem i w tej chwili coś ponad wszelką miarę czułego, coś z bajki, czy jak ze snu „Nocy letniej“ ten Brzózka gaduła, z fajką w ręku, o twarzy prostodusznego chłopca, a oczach dziecka, na tej srogiej wyprawy progach zale dwie — już tak złamany....

Odprawiano go wtedy do lekkiej służby, do świadczeń. Nie chciał. Przechorował się i wrócił do pułku.

Powtarzało się to dużo razy. Chorował i znów wracał coraz słabszy, bardziej wyczerpany, ale trwał w szeregu.

Szła razem z wojną ciężka jesień. Brzózka opuścił się już był zupełnie, wszy go naturalnie oblażyły, stał się pośmiewiskiem silniejszych kolegów, sam pełen dzikiej rozpacz i niecierpliwości na słabowistość swą, pracujący nad siłą, a poniżej wszelkiego rezultatu, lecz pomimo wszystko wierny — wierny walce....

Aż pod Budami Michałowskiemi zginął na odpoczynku

w chałupie na słomie i — jak akurat sam był powiedział przed chwilą — ostatniego paląc papierosa. Dopiero kiedy zginął, zrozumiano, ile miłości ubyło z tym człowiekiem....

Nie przydadzą mu się już ręczniki i czysta koszula, które zostawił sobie w Krakowie na po wojnie.

Ostatni z Brzózków, — panie kochany, — nieprzejednany wróg Medyńskiego — obaj idą zgodnie w orszaku, minęli już podwoje....

Protokoły burzliwych zgromadzeń z Antwerpii obaj dziś krwią podpisali....

Heban wrót w słońcu się lśni, kir powiewa, młody trębacz jedzie przodem, złotem graniem szeregi prowadzi....

Tylko choć jesteś ostatnim z rodu Brzozków, nie kończy się na tobie wszystko.

Kapitan Kuba-Bojarski zginął pod Łowczówkiem.

Rzecz bolesna, że nie miał żadnych przeczuć, urządził się w wojsku i gospodarował, jakby ta wojna miała trwać wiecznie....

Choć widziałem w jego notesie jedną kartkę, która mnie przestraszyła. Gdzieś z boku między rachunkami batalionu napisane: Przyjazd mamy....

Po cóż ta prosta słodycz tutaj — pomyślałem — jak pokuszenie Losu, jak wyzwanie?...

Nikt tak, jak Kuba-Bojarski, przez Brygadiera Piłsudskiego Kubusiem zwany — nie umiał wydać kolumnie komendy — maszerować! Gdy ta kolumna po długim, forsownym marszu zamiast na miejsce spoczynku przyszła na zgliszcza.

Tyle było w tej komendzie serdeczności i powagi.... Zdało się pocziwie celebrować — a nie rozkazy wydaje.

Z pozoru był Kuba-Bojarski uosobieniem miłej przeciętności.... Regularna twarz, niskie, niepojętne czoło, czarne zmyślne i nieduże oczy, rumiane policzki i słodkawo wykrojone usta. A jednak był srogim, wypróbowanym żołnierzem, wojnę krwawą prowadził z żołdatem rosyj-

skim od czternastego roku życia — na wiele lat przed wojną....

Komendantem batalionu (pierwszego, I pułku I Brygady) był mianowany — i był z tego dumny — na placu boju. Przy całej swej powadze lubił naiwnie wszelką zewnętrzną wojskowego stanu. Opięty był zawsze chrzęszczącymi rzemieniami, osobliwą i bogatą miał szablę, najstaranniej naszyte odznaki, zaś najbardziej podobały mu się sznury srebrne.

Że zginie, dowiedziałem się, gdyśmy stojąc w górach w bitwie pod Limanową otrzymali cały jakiś transport z etapu.

A w tym transporcie właśnie sznury i bluzy ułańskie....

Kto nie był w polu długo, ten nie wie, co znaczy przybycie takiego transportu.... To znaczy — że skarby Sezama przyjechały i cała Europa i wytworna czułość cywilizowanego świata — i ponętny, niedościgły wdzięk kultury....

— A ta bluzka to mi się przyda — mówił kapitan Kuba, wyciągnąwszy ją z tłumoka i niosąc w promień słońca, który zwartym prostokątem spadał z okna chałupy na klepisko.

— Komendancie, gdzieżbyście wy chodzili w takiej bluzce, ułanka austriacka do piechoty — ale mnieby się przydała — prosił konny ordynans batalionu.

— No widzicie — kiedy mi szkoda tych złotych sznurów — odpowiedział Bojarski — z dziecinną radością i gustem na nie patrząc. — Później będę sobie je nosić....

Zerwałem się na barłogu. — Później ich nosić nie będziesz — och nie.... — przemknęło mi przez myśl....

Ze śnieżnych gór, z czarnych srebrzystych lasów waliło słońce złomami opalu przez okno. Kuba stał na środku izby i wysoko trzymając ułankę śmiał się do niej i do złośliwości jej, naiwnie, szczerze, tak radośnie, jak się ludzie śmieją do wzniesionego kielicha, gdy zdrowie nim wznoszą...

Zaś mnie śmierć tętniła w uszach czarnym apelem, nie w porę i okrutna....

Śmierć jeszcze straszniej nie w porę — to koniec porucznika Milki.

— Ach ta nowoczesna wojna — zwykł był żartować, gdyśmy się na zajętych pozycjach nie mogli nieprzyjaciela doczekać — ta nowoczesna wojna!.... Ten straszny huk (najsłodsza cisza leżała na polach) tak mnie denerwuje!.... Proszę cię — podsuwał szarlotkę, czy inny jakiś cud świetnej swej gospodarki kompanijnej, jedzmy szarlotkę, bo nie sposób.... Ta nowoczesna wojna!....

Jadło się u Milki tak, jak nigdzie, spało się, jak nigdzie, śmiało się, jak nigdzie, a bito się wyborowo.... Nadzwyczajny ten oficer miał poza bitwą dar przekształcania wojny w sielankę, w piękną wycieczkę krajoznawczą, której humorem i najweselszym ruchem był on sam....

Jego śmierć nagle (rażony w głowę szrapnelem) wywołała krzyk w szeregach. Ludzie wołali głośno, jakby samym sobie nie wierząc: Komendant Milko zabity! Zabity!

Przyznam się, że ta śmierć była tak dotkliwa, iż mogła być zdemoralizować oddział, — jak Indian, czy dzikich demoralizuje śmierć dowódcy.

Wracałem z pozycji, na której Milko padł, już nie chcąc się bić, ani atakować, ani uciekać. Tylko odejść stąd precz, zostawić to wszystko, i skoro padają tak mili ludzie, zabrać się stąd, iść gdzieindziej, zostawić to wszystko.... Taka odraza, taka niechęć rozrastała się we mnie, żem stępo, bez celu, jechał pustą szosą, a szrapnele prały po niej, trzeszcząc w powietrzu rozlatującymi się garściami żelaza.

W parę godzin później spotkałem na wozie ordynansa Milki, Jaśkiewicza.

— Wy też jesteście ranni, Jaśkiewicz?

— Ta gdzie ja ranny — mówił przez łyżę — ale ja jeszcze nigdy w życiu tak nie płakał.... Komendant Milko zabity.... Ja już nie mogę....

Nie mogę, nie mogę — odpowiedzą daleko gdzieś w domu najbliżsi, w grubej żałobie, rozpierzchający w zmrokach

pokoju, jakby cały świat mrokiem był i żałobą. — Twarda, chwalebna pociecha żołnierska do serc ich nie trafi, — że rozkaz — że męstwo — że Ojczyzna....

Ja już nie mogę, nie mogę — skarżę się ociężałe z bólu usta....

Słowa się poplączą — urwą....

Cisza rozdzieli nieprzebyta....

Tylko my, żołnierze, wiemy, że nie czas, nie pora po temu....

Ten kwiat, co tryska z ziemi — bo wiosna idzie — ten kwiat, to źdźbło, ta trawa, co tryska z ziemi być może wystrzela z rozbitego serca towarzysza....

Lecz z krzykiem wojny pójdziem naprzód depcząc te kwiaty!.... Te kwiaty, te źdźbła, te trawy, — depcząc wszystko....

Wszystko się zaczyna mój Brzózka, nic się nie kończy....

Czarny łuk błyszczy w słońcu, kir wiąże się w lekkie uśmiechy.... Młody trębacz nieznany jedzie przodem, a za nim orszak liczny....

I idą, odjeżdżają, murawy im już nie stają, w dalekości są, we mgle — we wspomnieniu.... Murawy im już nie stają — oni sami — murawa....

Dziś oni, jutro my, więc nikt cię nie żegna Trębacz. Jedź przez wrota, dalej i dalej prowadź swą drużynę, a my pójdziemy naszą drogą, nie patrząc, czy depczemy kwiat, co w wiośnie tej z rozbitych serc zakwita....

SŁOMA.

SZEREGOWCOM I. LEGIONU.

Słomo, słomo rodzona — zdrowe, kochane zboże Ojczyzny!

Wąsiku zielony, radosny puchu wzgórz i pól — dumo kłosów wyprostowanych — wygięty, pyszny łuku łańców urodzajnych, piękny ukłonie zasobności — i szumie, szumie cudowny!...

Kwiaty, kąkole, bławatki, złotość i chwast, pożytek i szczęście — szumie, szumie cudowny!...

Słomo, słomo rodzona, opieko, ponęto żołnierza.... Sprężysta słodczy jego snu, kłopotcie jego i radości, dobra nakrywo znużonych członków, szeleszczący śmiechu przebudzenia, doradczy szmerze powstań na alarmy....

Ty złoto chrupkie, łomkie, tak czyste, a tak dostępne, ojcowskie, matczyne, gospodarskie.... Ty dobre, zacne słońce, w kłosikach zimujące, ty — żaru promienie przechowane w stodole — zimowy śnie zgasłego lata, poskładany, powiązany serdecznie — do lata....

Kwiaty, kąkole, bławatki, złotość i chwast, pożytek i szczęście — szumie, szumie cudowny....

Och, słomo, którą ujmuje się, szeroko rozwarłszy ramiona, jakby się brało całą rodzinę w objęcia!...

W nocy.... Gdy żołnierze czekają na cię, śpiąc nad stołem, drzemiąc nad łyżką, a z pod obrazów, z matczynego łóżka, patrzą na nich dzieci i drżą, gdy żołnierz wali z siebie żelazo, broń, rzemienie, pasy i cały ten ciężar wojenny. Gdy siedzą zmartwieni, że cię niema, gorący od trudów walki, a tak senni....

Już szumisz.... Szumisz, jak złote blaszki wachlarza wscho-

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI



dniego obrządku. Otwarły się drzwi, szal mgły i mrozu wzdał się na progu izby. Noc się w drzwiach ukazała, od śniegów biała na ziemi, czarna na niebie, uroczystością gwiazd nizana.... Z tej nocy niosą cię na ramionach i przybywasz, słońce lata, w łomkich promieniach przechowane w stodole, — krótki, wonny warkoczu....

Słomo, którą się rzuca na klepisko, iż spływasz z powróśła, — jak z przechylonej konwi wino w Kanie galilejskiej, snopem złocistym, strugą szemrzącą....

Utonie w tobie trud żołnierza, potoną srogie dolegliwości odbitego na wojnie ciała. Gorąco skroni tętniących ustątkujesz twem ciepłem. Wsuniesz się między palce obrzękle, słomka za słomką, niby ziarnka różańca pokoju.... A to, żeś jest, żeś jest świeża i czysta, tchnie niebem błękitnem pod spieczoną powieką żołnierza i w niebie tem, jak mgła, rozplynie się pamięć śmierci, jak tęcza zakwitnie słodycz nadziei.... A to, żeś jest taka świeża i szumiąca, wygna z uszu żołnierzy srogie echa wystrzałów, szumem i szmerem napełni ich słuch....

Kwiaty, kąkole, bławatki, złotość i chwast, pożytek i szczęście — szumie, szumie cudowny....

Zdrowe, kochane zboże, słomo, słomo rodzona!.... Pod ciemnym dachem chałupy, kosmatym i zgiętym, jak grzyb, między czterema ścianami, białymi, jak opłatki, leżysz, niczem suche, złote jeziorko światła, ty, — fala chrzęszcząca i wonna, — jakby cię anioł możnemi garściami z chałupy do chałupy na klepisko kładł....

Gdzież ciebie niema — jesteś wszędzie!.... Jak najśłodsza, najwierniejsza kochanka, opleciesz mocnym, ciepłym warkoczem zimne strzemiona ułana, by nie dźwiękły, gdy pędzić będzie blisko swej śmierci o jeden krok....

I ty, bezradna słomo niziutkich dachów, którą na dalekiej, zatraconej placówce wyszarpuje koń, jak kudły, czy czuprynę ze łba bezgranicznej jakiejś Dobroduszości!...

Ty zła słomo artyleryjskiej pozycyi lub podstępного dołku,

w którym się tai nerwowa a nienasycona gardziel karabinu maszynowego.... Ty zła, ostra słomo, co sterczysz przed armatami, jak sztywna szczeń, drapiącą, nieogoloną brodą.... I ty!... Jasny, krótki strumieniu bez źródła i bez ujścia.... W twojej złotej fali stoi niebieski Legion, zanurzony aż po piersi.... Święta, przeznacna słomo rowów strzeleckich!...

Nisko w ziemi rozwinięta, złota wstęgo obrony, którą spływa, którą haftuje i znaczy świeża krew rannych, którą do ziemi przytwierdzają trupy walecznych.... Ty prześwieatna lamo wspaniała, tobą obszywa Legion swej ziemi cudny szmat raz na zawsze!.... Ciebie tu, słomo, słyszy w huku wystrzałów, w łomocie gałęzi, w dygotach uwiedłego listowia, ciebie tu słyszy w wołaniu o pomoc i w wielkim krzyku śmierci, dobrą kumotkę żołnierza, jak ruchowi każdemu szepczesz i chętna się poddajesz.

Kwiaty, kąkole, bławatki, złotość i plewy, walka i śmierć — ty szumie, szumie cudowny!...

A oto jesteś niepotrzebna! A oto nie słomą jesteś, lecz mierzwą obrzydłą i nic ci nie dam, prócz gniewu i pogardy!...

Jesteś słomą, w której się gnieździł i barłoczył mój wróg!... Wyrzuciłem go stąd nagłym ogniem.... Uciekł nad ranem, jak pies z nie swego legowiska, a ty leżysz zmięta, skopana, w różne strony roztrzęsiona, rzekłbyś nieprzytomna od hańby i poniżenia.... Runo twojej czystej fali oplwane jest tłuszczem jego strawy. Jego nienawistny wypoczynek odebrał ci wszystkie połyski.... Wiatr i uparte przeciągi gmerzą w tych zwojach i nie tknie cię nikt, bo cuchniesz służbą nikczemną....

A oto jesteś dobrotliwa.... Chodź, chodź — złotemi kometami pociechy uścielim cię na wozie dla rannych, na wozie poratunku. Chodź, podłożymy cię, byś pieczołowicie wymościła ciasną głąb gładkimi twymi pasmami. Teraz już sama myśl za siebie, wnikaj między ludzi bolejących, przegradzaj ich ostrożnie i tul....

PIĘSUDCZYCY

Bądź dobrą, stań się soczystą. Uszczknęły cię czarne, spalone gorączką wargi żołnierza, ktoś sobie kosmyk złoty do oczu tuli, ktoś inny przebiera palcami, — bądź skarbem, niech w skarbie toną palce Łazarza i drżij i szumiej, jak szumią najtkliwsze radości życia.

Kwiaty, kąkole, bławatki, radość i plewy, zdrowie i rany — ty szumie, szumie cudowny....

Inna nadejdzie i ta jest słomą świętą.... Leży równo na wozie, żdźbło wedle żdźbła, wszystkie wspólnie razem, stulone promienie gwiazdy strąconej.... Niech tu snop będzie makatą złotą, a puste kłosa niech się ułożą w kołnierż obszerny, suty.... Niech się to blasku bogactwo pasmami na drodze powolnej strzępi a ściele, bo jedzie wóz, co nie nawraca z tym, który padł — bo jadą wozy z tymi, którzy już nigdy nie wstaną....

Niech chrzęst z nimi idzie rycerski — chrzęścij, jak stal, słomo rodzona.... Niech szum z nimi płynie posuwisty — szumiej, jak Wieść umarłe zboże Ojczyzny....

Kwiaty, kąkole, bławatki, radość i plewy, życie i śmierć — ty szumie, szumie cudowny....

Taką cię słomo pożegnam, by cię jutro zobaczyć, ty droga, straszna, najlepsza, kiedy cię nasz ogień zapali w okopach nieprzyjaciela, ty rozkoszna!

Ty, która nagłemi płomieniami kipsisz w rowach wroga, jak krew, niby czerwony grzebień koguci, drżysz na horyzoncie, grzywą płomienia ślaniaś się ku mnie.... A z grzywy tej w przerażeniu, w rozpacz, wylatują po dwóch, po trzech, całemi chmarami wrogowie nasi....

Trzaskajże wtedy, buchaj i łam się i szumiej wichrem śmiertelnym....

Kwiaty, kąkole, bławatki, radość i plewy, tryumf i śmierć — ty szumie, szumie cudowny....

SPIS RZECZY.

Józef Piłsudski	1
Piłsudczycy	7
Sławek — kap. Śniadowski — kap. Brzoza	15
Sieroszewski — Dr Rouppert — Jur	19
Dr Kukiel — Grudziński — Fleszar	23
Doktorzy I. Brygady	27
Kolumna	31
Kawaleria I. Legionu	35
Przed wymarszem	39
Gospodarka I. Brygady I. Legionu	42
Kwatery	46
Bitwa pod Łowczówkiem	56
Lista strat	64
Okopy	69
Trzej sierżanci	75
Nasze listy	79
Imieniny komendanta	83
Nowy Rok w polu	89
Ordynans	93
Trębacz ze Stanisławowa	109
Słoma	118

„Idą” – *śp. Romanowi Zwiercanowi działaczowi „SW”*

1.
Idą ledwo unosząc głowy
i strudzone nogi.
Złe oko czai się w wyrwie chmury,
Rejestruje każdą twarz, każdy okrzyk,
udając jaskółkę.
Idą. W głowach myśl łomocze,
Jak kopnięcia w stalowe drzwi celi:
Kogo niedługo pożegnamy ? Co da jutro?
Przestali wierzyć
Że te dumne słowa
Za które pokolenia ginęły w powstaniach,
konfiskowano majątki, zsyłano na katorgę,
stawiano pod mur, zabijano strzałem w głowę,
A oni te słowa drukowali w różnych kryjówkach,
w pełnych gryzoni zimnych piwnicach,
w oparach chemii, bimbru i strachu
Przed biciem i kratami –
Są jak przygaszony ogień,
który obudzi sumienia i odwagę.
Oni chcą już teraz usłyszeć Trąby Jerycha,
Zobaczyć grzmoty

WŁODZIMIERZ KULIGOWSKI

które uderzą w siedliska
Wyznawców trzech cyfr i złotego cielca.

2.

Idą. Maszyneria ciała żąda wody,
Pokarmu i bezpiecznego schronienia.
Oczy już łez nie mają.
Wielki ból, cierpliwy i bezszelestny robak,
Uderza po cierpieniu,
Choć i tak czas wszystkie nerwy przetnie.
Wiatr, sługa okrutników,
Zmusza gardło do milczenia.
Chce słowa wzniosłe wtrącić w nicość.
Zastąpić rynsztokiem.

3.

Rtęć gorączki opada,
Jak wilgotne prześcieradło
Na twarz chorego –
Ulży mu przed ostatnią stacją.
Idą, czując pęd serca, każdą chrząstkę,
Ściągną, kamień.
Idą z modlitwą dla wybranych :
Naucz mnie chodzić Twoimi ścieżkami,
Nie bać się klęski, upadku, ruiny.
Niech ujrzę chmurę rozdartą,
Z której blask wielki bije,
Co oczy i oślepia, i wzrokiem obdarza.

„Ogień żarówki”

1.

Na niebie puszą się jaskrawe kropki,
Odprysk dawnych wieków.
W niepewny czas powraca rozum i przecucie.
Jesień. Mokra sierść psa, z liśćmi na grzbiecie,
niczym samotne wysepki, to zdradza –
jakby chciały powiedzieć,
że źle im w tej pustce, potędze ciszy.
Jesień odzywa się szyfrem,
tak jakby chciała obudzić martwe głązy,
co strzegą podziemnej rzeki.

2.

Leżę przyszpilony bólem kości,
niby ćma do aksamitnej poduszki.
Tężeje powietrze jak po wielkim gradobiciu,
byszczą niewidoczne owady –
nie chcą pofrunąć z wiatrem franki;
jakby chciały powiedzieć,
że czas zmarłych się cofa.
Pij lekarstwo starych prawd,
słyszę w głowie zmarłego ojca,
jakbym był którymś z wynalazków Tesli.
Prowadź rejestr upodlonych,
obserwuj ich niezdarne próby zrozumienia
tajemnicy myśli i stworzenia.
Oni swój los przyjmują z pokorą,
niczym galernik chłostę,
nim darń piersi im przykryje –

choć przegrane walki z bytem,
zginają ich do gleby i żyją,
jak pociągowy koń,
co pod batem żyje.

3.

Ale pamiętaj i o tych, którzy ze strachu,
tchórzostwa, wygody, sączą jad trupi
w słowa święte.
Dla nich nie miej pobłażania.
Oni dostaną owoce parszywe,
piętnem zdrady naznaczone.
Dbaj o spokój głowy i pamięć historii,
masz przecież zamię blisko serca,
szepcze zmarły ojciec,
jakby był księdzem z Rennes,
a jego oczy płoną jak pochodnie rycerzy,
płynących po wiedzę i skarby,
ukryte w czarnych obeliskach.

4.

Ogień żarówki wżera się w mózg,
jak łód w bezbronny most
albo ślad po ostatniej świecy.
Żyję.
Nikt jęku ani skomlenia nie słyszał,
Tonąłem.
Nikogo o pomoc nie wołałem.
Dźwigam się z mokradła bólu,
słabości krwi, serca, oczu i kości.
Wciąż szukam bezpiecznego lądu

WIERSE

dla głowy, nóg, ziarnem liter
po horyzont zapchany.
Widzę chudą dłoń z umarłym liściem dębu,
który parzy w usta, liściem
zamiast ryngrafu rycerzy z lilią.

„Nikną cienie”

Mroczniej ciepły wieczór,
Księżyc i satelity podglądają
Wszystko co ma energię
Nikną cienie pary –
Radośni, cali w ciepłe dłoni,
Objęci, zapatrzeni w siebie,
Obojętni na ten świat ruchliwy,
Ufni, że wszystkie przeszkody ominą
Albo rozwalą jak taran warownie.
Gwiazd sarkofagi prowadzą ich
Ulicami zadżumionego miasta.

Idą wolno z flagami
na ramionach i symbolami
Polski Walczącej na czarnych bluzach.
Ona w niebieskiej sukience,
z długimi włosami jak dojrzałe żyto,
Krucza niczym piórko gołębicy -
jakby wybiegła z obrazu Malczewskiego,
by narwać polnych kwiatków
na powitanie ułanów Beliny.
On wysoki, muskularny, uśmiechnięty,
Jakby chciał jej powiedzieć,
że będzie j kochał do dnia,

WŁODZIMIERZ KULIGOWSKI

kiedy biec przestanie czas.
Zna tę wielką tajemnicę życia.

Jeszcze kłótnie o źle umyty talerz,
okruszki chleba na dywanie,
słowa jak zatrute kule,
po których rany się nie goją.
Łód oczu za taflą dobroci –
nie płaczą ich kroków
w przeprawie przez życie.
Nie dopada febra mrozu,
gdy myślą o jutrze, samotności
w święta, chorobach.
Jeszcze nie kuśtykają, mają swoje zęby,
nie rozpadają się na chore komórki –
wargi są czerwone i dłonie bez plam.
Nie chcą wiedzieć
że są też ukryci władcy, łapówki,
wojny o surowce, bieda, proch i ciemność.

Niech oczu nie będą mieli podobnych
do zamarzłych okien, nie zegną ciosy życia,
zielony chwast nie wypali mózgu.
Niech sumienia nie wypędzą.

ŁUKASZ PERZYNA

ZANIM ZGINĄŁ MINISTER PIERACKI. O POWSTAJĄCEJ POWIEŚCI ROBERTA BOMBAŁY

Zabójstwo Bronisława Pierackiego, dokonane w biały dzień 15 czerwca 1934 roku na warszawskiej ulicy Foksal przez nacjonalistów ukraińskich stało się dla sanacyjnych pułkowników pretekstem do utworzenia niestawnej pamięci ośrodka odosobnienia w Berezie Kartuskiej, w którym przeciwników politycznych osadzano na podstawie nakazu administracyjnego a nie wyroku sądowego. Przysłał na to starzejący się już i chory Marszałek Józef Piłsudski. Do Berezny trafił m.in. Stanisław Cat-Mackiewicz, jeden z najznakomitszych publicystów tamtych czasów.

Wiele wskazuje na to, że terroryści zabili Pierackiego, podobnie jak wcześniej innego piłsudczyka Tadeusza Hołówkę, właśnie dlatego, że zmierzał do politycznego porozumienia z umiarkowanymi środowiskami ukraińskimi. Z chwilą jego zawarcia nacjonałiści straciliby rację istnienia. W tym sensie intencje radykałów obu stron okazały się zbieżne. Tydzień wcześniej zanim został zastrzelony, minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki - ulubieniec i zaufany Piłsudskiego, co też podkreślić warto - odbył podróż do Małopolski Wschodniej w trakcie której spotkał się m.in. z metropolitą lwowskim Andrzejem Szeptyckim.

Powieść Roberta Bombały skończy się zamachem na Foksal. Historycznym faktem. Jednak jej bohaterowie i relacjonowane wydarzenia pozostają wytworem fikcyjnym. To nie rzecz o tym, jak było - lecz bardziej, co zdarzyć się mogło. Nie *res gestae* ani historia alternatywna, po prostu ciekawa opowieść.

O pożytkach z otwartości w literaturze czyli kto pazerny ten nie zarobi.

Żadna sztuka recenzować to, co leży w księgarni. I zapewne długo może w niej zalegać, skoro za cenę zwykłej powieści student humanistyki na spółkę z koleżanką może zjeść w dobrym lokalu pizzę. Jak chce niech wybiera, zgadnijmy co. Wolność mamy, takie czasy. I od 15 października ub. r. żadnych co do tego wątpliwości.

Większą sztuką z pewnością okazuje się diagnozowanie tego, co dopiero do księgarni trafi, a na razie dopiero się tworzy, staje się faktem literackim wyłaniającym się z misternej materii wyobraźni. Tak pojmuję własną rolę krytyka literackiego: mój zawód wyuczony, chociaż niekiedy tylko wykonywany, który jeszcze niedawno określałem mianem wymarłego z podobnych powodów, jak ten zduna z braku pieców, tak mój z braku literatury. Nobel dla Olgi Tokarczuk w pewnym tylko stopniu to przekonanie złagodził, zwłaszcza, że symetrycznie niejako może pojawić się pytanie, jaki pożytek ma ojczysta Tanzania z tej samej nagrody dla Abdulrazaka Gurnaha, który dostał ją wprawdzie za fikcję powieściową ale znany jest również jako wnikliwy analityk dorobku naszego piszącego po angielsku rodaka Josepha Conrada / Józefa Korzeniowskiego. Wcale to jednak problemu nie rozstrzyga. Podobnie jak rynkowe realia, chociaż rzutują one na pisarskie zachowania: również tych, którzy z pióra nie żyją lecz traktują tworzenie literatury za przykładem XVII-wiecznej szlachty jak „niepróżnujące próżnowanie” wedle tytułowej dla jego zbioru formuły Wespazjana Kochowskiego.

Roztropni autorzy zmienili podejście do własnej twórczości na mniej pazerne. Jeszcze niedawno zewsząd słyszało się komunały o ochronie własności intelektualnej. W ślad za nimi szły działania, chroniące nie autora, nie dzieło nawet lecz korporację. Nawet żeby dostać się do własnych starych artykułów, jakie napisałem kiedyś do „Gazety Wyborczej” powinienem za ten dostęp zapłacić wydającej ją spółce Agora. To miara małości. Wielcy postępują inaczej. Znakomity rosyjski autor filozofującej dystopii wzorowanej nieco na kultowej dla naszego pokolenia prozie braci Arkadija i Borysa Strugackich, twórca cyklu „Metro” Dmitrij Głuchowski - nie tylko swoje niedokończone jeszcze utwory udostępnia czytelnikom w sieci, ale nawet zachęca, żeby poprzez własne wpisy mieli wpływ na ich zakończenie. Po czym sprzedaje setki tysięcy egzemplarzy

ZANIM ZGINĄŁ MINISTER PIERACKI. O POWSTAJĄCEJ POWIEŚCI...

papierowych wydań. Zapewne dlatego, że nie jest pazerny. Kto się z innymi dzieli, ten swoje też pomnaża, o czym przywoływana już szlachta wiedziała doskonale. na szczęście nie jest to przekonanie obce także autorom współczesnym.

Robert Bombała, wieloletni dziennikarz telewizyjny (pracował m.in. w Wiadomościach w czasach najlepszej oglądalności i wiarygodności programu oraz publicystyce TVP) oraz prasowy, specjalizujący się w tematyce gospodarczej, również nie odmawia dostępu do tworzonej dopiero powieści. Która, o czym była już mowa, nie traktuje też wcale o wzroście produktu krajowego brutto, chociaż i na taką z utęsknieniem wciąż czekamy, bo gdy w kulturze współczesnej przedsiębiorca pojawia się jako bohater to jako aferzysta lub osobnik trapiący problemami osobistymi a nie ten, kto Polskę w parę tak wraz z innymi przeniósł z wieku XIX wprost w XIX: ten brak nie obciąża jednak Bombały, który wszak równocześnie o wszystkim pisać nie może, nawet jeśli czyni to imponująco sprawnie, jak dowodzi jego osnuta wokół sprawy zabójstwa Pierackiego opowieść, chociaż nie o gospodarce ani nawet polityce traktuje [1].

Siedmiu jeźdźców na leśnej drodze

Siedmiu ludzi na koniach przemierza w pogodny dzień leśny dukt. Słysząc chrzęst kopyt o poszycie, wierzchowce rżą. Na ramionach jeźdźcy mają broń, być może więc chodzi o polowanie. Scena to w stylu angielskiego filmu z życia posiadaczy majątków ziemskich. Pozory jednak mylą. To nie opowieść z kręgu wyższych sfer. Trwa wojna polsko-bolszewicka 1920 r. Kresowy las przemierza oddział specjalny, przeznaczony do likwidacji dywersantów i najbardziej niebezpiecznych zagonów wroga. Wtedy takie formacje istniały rzeczywiście. Porównywano je nawet do *lisowczyków* z czasów wojny trzydziestoletniej, znanych z bitności i bezwzględności. Ten epizod znajdzie się w książce na pewno. Jako jeden z ważniejszych.

Autor powieści jeszcze tej sceny nie spisał. Jak na dziennikarza telewi-

zyjnego przystało, myśli gotowymi obrazami. Później stara się rozpisać je na zdania i słowa.

Czemu tylko kibicować wypada, bo to, co już poznaliśmy, okazuje się imponujące i rokuje całości jak najlepiej. Robert Bombala, człowiek nie tylko kreatywny ale kontaktowy i otwarty na innych, nie jest Franzem Kafką, więc Maksa Broda nie potrzebuje. Raczej gwoźli stwierdzenia faktu oznajmić wypada bez ozdobników, jak to między dawnymi kolegami z telewizji, że już powstał kawał niezłej literatury. „Śmierć na ulicy Foksal” zapowiada się doskonale. W jakimś sensie okaże się też spłaceniem długu, chociaż nie indywidualnie zaciągniętego, lecz w skali pokolenia.

Wychowani bowiem zostaliśmy - mam na myśli urodzonych w latach 60. zarówno autora tego skromnego szkicu jak opisanej w nim rodzącej się powieści ale również i redaktora naczelnego „Opinii”, która mój tekst zamieszcza - w kulcie Dwudziestolecia Międzywojennego. Jako licealiści i studenci ganialiśmy się z milicją każdego 11 Listopada. I zaczytywaliśmy bezcenną broszurę Marcina Króla „Józef Piłsudski: ewolucja myśli politycznej” wydaną przez NOW-ą w serii spisanych wykładów, wygłaszanych wcześniej po prywatnych mieszkaniach w ramach odrodzonego Towarzystwa Kursów Naukowych. Sfaitygowana mała książeczka, której nigdy jednak cienką byśmy nie nazwali, bo tak określaliśmy raczej - wbrew objętości - kolejne produkcje Andrzeja Garlickiego, wtedy mającego monopol na oficjalne publikacje o Piłsudskim a po latach skutecznie zdemaskowanego przez dra Andrzeja Anusza jako konfident komunistycznej służby bezpieczeństwa m.in. w książce „Wokół Marszałka” [2].

Autor mierzy się z legendą

Po co to wspominać? Żeby pochwalić odwagę autora powieści, której nawet tytuł jest jeszcze roboczy a nie ostateczny, podejmującego nie lada wyzwanie, skoro z legendą się mierzy. Tym bardziej, że temat międzywojnia znajduje w polskiej prozie refleksy obfite i ambitne, zarówno te z epoki jak całkiem niedawne. Począwszy od „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego, powieści o której

przynajmniej słyszał zapewne każdy Polak, a której stulecie napisania i publikacji właśnie obchodzimy. A także „Generała Barcza” Juliusza Kadena-Bandrowskiego, w którego tytułowym bohaterze dopatrywano się postaci samego Piłsudskiego, bardzo zresztą z tej książki niezadowolonego. Aż po opublikowanego niedawno i szybko zekranizowanego „Króla” Szczepana Twardocha, gdzie akcja rozgrywa się już po śmierci Marszałka, a bohaterem nie jest żaden legionista, lecz bokser i herszt mafii w jednej osobie, w tle jednak mamy - bo to przecież Dwudziestolecie - polityczną intrygę na szczytach sanacyjnej władzy. A w szkole katowano nas ciężką dziś do czytania „Granicą” Zofii Nałkowskiej, jakby nie był od niej lepszy, nawet jeśli nieco brukowy, „Romans Teresy Hennert” tejże autorki.

Jak wiemy, sam Dziadek Piłsudski w trakcie jednego z legionowych zjazdów weteranów po latach w wolnej Polsce, rozejrzał się po tłumnie wypełnionej sali, by rzucić słynne: - Żebym ja was wtedy tylu miał.

W odróżnieniu od redaktora Rasińskiego z „Generała Barcza” nieocenionego Kadena-Bandrowskiego, kapitan Ksawery z powieści współczesnego redaktora Bombały nie troszczy się o węgiel, załatwiany ze sprawą kombatanckiej protekcji, bo po odejściu do cywila skutecznie rozgrzewa się podczas codziennych treningów sportów walki. Pasjonuje się nimi do tego stopnia, że w siedzibie agencji detektywistycznej, jaką otworzył na rogu Nowego Świata i Wareckiej (tam, gdzie dziś znajduje się obszerny lokal Green Coffee Nero), urządził salę do ćwiczeń. To zresztą firma dość niezwykła, a zasłużony na froncie wiodącym i tym do dostrzeżenia trudniejszym (służył bowiem w wywiadzie) kapitan przypomina nam nieco specjalizującego się w rozwiązywaniu trudnych sytuacji bohatera „Pulp fiction”, kultowego filmu Quentina Tarantino.

Aż nagle otrzyma zlecenie zupełnie nietypowe. Nawet jak na zakres działania jego niezwykłego biznesu, który rozwija się tak obiecująco, że jego boss nie musi dopominać się o węgiel u urzędników jak znany z „...Barcza” Rasiński. Pozostaje mu wtedy tylko wsiąść do taksówki i udać się do nie cieszącej się dobrą sławą dzielnicy w pobliżu słynnego Kercelaka. I od tego momentu napięcie stale rośnie jak po wybuchu bomby w filmie Alfreda Hitchcocka według

ŁUKASZ PERZYNA

powszechnie znanej formuły autorstwa tego kultowego reżysera. Nieważne, że wiemy z góry, że Pieracki zginie w zamachu. Nie o polityce przecież opowiada ta powieść a już na pewno nie wyłącznie o niej...

[1] por. Robert Bombała. Fragment konspektu książki „Śmierć na ulicy Foksal”. „Opinia” nr 47 (145), lato 2024

[2] por. Andrzej Anusz. Wokół Marszałka. Akces, Warszawa 2010

ŁUKASZ PERZYNA

WIKTOR BATER, JEDEN Z NAS

Stał się ikoną polskiego dziennikarstwa. Pomimo to, również po przedwczesnej śmierci - potrzebuje reklamy. Z tego powodu, żeby symbolem świata mediów po zmianie ustrojowej nie zostali Tomasz Lis ani Michał Adamczyk, usłużni wobec silniejszych a brutalni wobec słabszych od siebie. Autorom niemal tysięczstronicowej książki o dzielnym korespondencie wojennym Wiktorze Baterze udało się pokazać go jako nie tylko zawodowca, budującego najwyższe standardy, ale człowieka, kochającego życie.

Wysięk Izoldy Kiec i Jaremy Jamrożka opłaca się, bo za ich sprawą poznajemy zarówno przemiany mediów od czasów opozycyjnych począwszy i meandry rozlicznych konfliktów w poradzieckiej Rosji, które opisywał, przestrzegając, ku czemu prowadzą, a co dziś oglądamy w przekazach telewizyjnych niestety już nie autorstwa Wiktora Batera - ale również otrzymujemy portret najmłodszego pokolenia sprzeciwiającego się władzy komunistycznej i pierwszego, które ustanowiło realną czwartą władzę, bez respektu kontrolującą wszystkie pozostałe. Z korzyścią dla odrodzonej polskiej demokracji.

Wiktor Bater pozostawał jednym z nas, w podwójnym, z punktu widzenia środowiska znaczeniu. Po pierwsze, pomimo młodego wieku z jakim wkraczał w rok przemiany ustrojowej 1989 - sam miał wtedy 23 lata - zdażył uczestniczyć w działaniach opozycji antykomunistycznej.

Po drugie - zaliczał się do czołówki tych, którzy pojawiając się w odnawianych w oparciu o doświadczenia drugiego obiegu polskich mediów, w krótkim czasie zmienili ich format i upodobnili je do zachodnich.

Jak „Wiadomości” TVP za dyrekcji Karola Małcużyńskiego czy Polskie Radio w czasach, kiedy jego moskiewskim korespondentem został Wiktor Bater, wreszcie jak „Życie” pod redakcją Tomasza Wołka, dziennik prasowy dla którego pracowaliśmy obaj pod koniec lat 90. - Bater w Moskwie i na frontach wojen na peryferiach rosyjskiego imperium, zaś ja na sejmowych korytarzach i mityngach kolejnych kampanii wyborczych. Sam Bater zaznacza, że zmiana jaka dokonywała się w polskim dziennikarstwie sprawiła, że w niczym nie przypominało tego, co przedtem, a ścieżki swoje wywodzi z opozycyjnej działalności, bo chociaż nie był zawodowym działaczem ukrywającym się w użyczonej przez zaangażowanych mieszkaniu - było mu dane przeżyć rewizję we własnym domu. Podobnie jak później w dziennikarskiej misji wiele ostrzałów w Czeczenii czy Abchazji. Życie wybrał sobie barwne, stając się - jak głosi tytuł - wesołym rajskim ptakiem. Na przekór zagrożeniom i traumom.

Na wojnie zawsze jakoś się uda...

Czasem jednak przychodzi utknąć gdzieś na bezdrożach. I wtedy: „Z pomocą przychodzi Said. Poznaliśmy się przed rokiem, oglądając transmisję z mundialu w przydrożnej kafejce. Ja postawiłem piwo, on przyniósł wędzoną rybę. Mecz się skończył, a my do świtu prowadziliśmy twardy polityczny spór na temat Kaukazu. Potem okazało się, że Said to dagestański „biznesmen oligarcha” (czytaj: mafioso), szara eminencja, człowiek o przeszłości tak ciemnej, jak czerń jego limuzyny BMW za pół miliona dolarów.

- Do Botlichu? - pyta przez telefon. - Nie ma sprawy. Mój dziadek tam mieszka. Za dwie godziny macie samolot.

I mamy.

Z Juergenem z Deutsche Welle docieramy do stolicy Dagestanu - Machaczkały. (..) Po północy Said przyprowadza rudego jak ogień Ismaila. Będzie naszym tłumaczem w Botlicchu. Ismail dyskretnie trzyma się na uboczu - taki zwyczaj. Szanowana rodzina, intruzem nikt nie chce być. Ismail nas nie opuści - takie otrzymał polecenie od „starszych” w Machaczkałe. Jest więc gotów oddać za nas życie” [1].

Niewiele zresztą do tego brakuje, co okaże się już, gdy zbliżają się do celu.

„(..) Najpierw duszny gazik, podrygujący od ciągłych wybuchów, plandeka, sztywne mordy bezpieczniaków, a potem w rękę tego największego, o posturze bawołu, błyska ostrze bagnetu od kałasznikowa.

(..) - Wszyscy jesteście na usługach tych czeczeńskich skurwysynów. Przyjeżdżacie, żeby tym bandytom pomagać (..) - argumentuje oficer i przystawia mi ostrze do gardła.

- Ostre, co? Wasze reportaże też takie ostre” [2].

Nic dodać, nic ująć, jeśli chodzi o charakterystykę twórczości Wiktora Batera. Nie wszędzie jednak odnajdował się równie doskonale, jak na regionalnych wojnach od Palestyny po Afganistan.

...za to sejmowy stolik dziennikarski to miejsce przeklęte

„Ale do Sejmu oczywiście też musiałem chodzić. Bo musiałem się nauczyć tej roboty od podstaw, czyli przede wszystkim pogoni za newsem. Od początku to było bardzo trudne, bo już wtedy był skryzalizowany stół dziennikarski w Sejmie, gdzie siedziały tuzy Radia Zet, Trójki, między innymi Monika Olejnik. Oni na nowych patrzyli oczywiście jak na koty. Przychodzi taki do Sejmu, nic nie umie. Czego tutaj chcesz? Co ty tutaj robisz? Na początku była taka fala wobec kotów, jak w wojsku (śmiech), że nikt ci nie pomoże, nikt ci nie podpowie, a jeszcze gotowi są w maliny wpuścić, żeby wyciąć konkurencję. Ale tak się porobiło śmiesznie, że ta ekipa, którą zebrał Jacek [Piotrowski, szef newsroomu Polskiego Radia - przyp. ŁP], z łapanki, tak na dobrą sprawę, tak jak mnie, to byli ludzie, którzy bardzo szybko zaczęli być konkurencją dla Zetki i RMF-ki” [3]. Mniejsza o rywalizację logotypów i skrótowców. Dziś mało kogo ona interesuje.

Istotne okazuje się co innego: Bater jako dziennikarz wyszedł spod ręki Jacka Piotrowskiego, wcześniej twórcy Radia Solidarność jeszcze na emigracji w Paryżu, które zresztą siedzibę znalazło w jego mieszkaniu w „stolicy świata”. Kierownik poznał się na jego talencie i skutecznie jego rozwój wspierał. Szkołą charakteru dla Batera okazały się jednak nie media czasów transformacji, lecz opozycja antykomunistyczna z lat 80. Zaliczał się do najmłodszych jej roczników. W Sierpniu jeszcze w podstawówce, tuż przed wprowadzeniem przez

władze stanu wojennego wspierał strajkujących junaków - bo takim dziwacz-
nym określeniem nazywano studentów mundurowych - z Wyższej Oficerskiej
Szkoły Pożarniczej sąsiadującej przez płot z jego żoliborskim liceum Joachima
Lelewela.

...a najlepiej było w opozycji

„Jako nastolatek pierwszy raz usłyszałem nagrane na kasetę magnetofonową
czeskie piosenki z Praskiej Wiosny. Sam z tego powodu nauczyłem się grać na
gitarze i kolportowałem te pieśni masowo i mniej masowo. Ta muzyka była
na każdej wojnie, jakieś strzępy tych piosenek, które śpiewaliśmy, kołatały mi
w głowie w różnych momentach” [4].

Nie wszystko jednak okazywało się równie romantyczne. Pierwszy solidny
łomot, jak sam rzecz określa, szesnastoletni Wiktor Bater odbierze w trakcie
demonstracji 3 Maja 1982 r. Przejdzie przez zomowską „ścieżkę zdrowia” na
Freta czy Franciszkańskiej, gdzie dokładnie, już nie pamiętał, gdy opowiadał.
Nosił wtedy opornik, symbol sprzeciwu wobec władzy. Zamiast go zgarnąć,
milicjanci wywieźli go pod Łomianki i tam zostawili. Mniej szczęścia miała sio-
stra, gdy pojechała specjalnie na demo do Wrocławia, z izby dziecka wyciągać
ją musiał partyjny tatuś przez zaprzyjaźnionego funkcjonariusza, zresztą rodzi-
ce już się wcześniej rozwiedli, aczkolwiek nie polityka stała się tego przyczyną.

Mieszkają z matką u cici w Izabelinie. „Gdy wprowadzono stan wojenny,
tam się zaczęła prawdziwa konspira. W naszym domu ukrywali się działacze
opozycyjni - rotacyjnie, po dwóch, po trzech, jedni przychodzili, drudzy od-
chodzili. Poza tym był kolportaż NOWEJ w garażu w Izabelinie. U nas miała
być drukarnia, w końcu z drukarni zrezygnowano. Ale gilotynowaliśmy, czyli
przycinaliśmy arkusze książek, które wydawała NOWA. Podjeżdżały samocho-
dy i zabierały te wory. No i siłą rzeczy ktoś sypnął, więc była rewizja. Po stanie
wojennym, w 82 albo 83 roku. Poważna rewizja, kipsz. Z aresztowaniem” [5].

Czasem warto powtarzać rzeczy oczywiste. „Agnieszka Iwaszkiewicz oce-
nia, że w okresie 1982-88 ukazywało się w całej Polsce ponad 3000 czaso-
pism (Archiwum Opozycji, Ośrodek Karta, Warszawa 2006). Były oczywiście
wśród nich pisma wydawane przez czas dłuższy i takie, które upadły po 2-3

numerach. Były pisma o zasięgu regionalnym i zakładowym, solidarnościowe i studenckie. Niemniej wszystkie one tworzyły zupełnie nową rzeczywistość - powszechności nieocenzuowanego słowa. Bibuła w latach stanu wojennego miała tę samą funkcję co w innych wcześniejszych okresach. Łamała monopol władzy na określanie charakteru i zakresu obiegu informacji (..) i tworzyła odmienny od narzuconego obraz rzeczywistości. W systemie, w którym zasadą ustrojową był monopol informacyjno-propagandowy, tak potężny obieg niecenzuowanego słowa niszczył sam system' - charakteryzuje prof. Andrzej Friszke [6].

Drugi obieg wciąga, stanowi szkołę charakterów ale i lekcję pogładową innego dziennikarstwa niż znane ze śmiertelnie nudnej prasy oficjalnej. Co nie znaczy, że nic interesującego nie pojawia się w oficjalnym życiu kulturalnym i literackim PRL. W państwowych wydawnictwach publikują przecież najwybitniejsi reporterzy: Ryszard Kapuściński, opisujący słynną „wojnę futbolową” między Salvadorem i Hondurasem, obserwator kilkudziesięciu rewolucji i wojen w Trzecim Świecie, a także Krzysztof Kąkolewski tropiący po całym globie z magnetofonem zbrodniarzy hitlerowskich, którzy wymknęli się sprawiedliwości, żeby zadać im tytułowe pytanie: „Co u pana słychać?” [7]. Bater jeszcze nie wie, że gdy sam zacznie już kursować między Sarajewem a Bagdadem, często będzie z nimi porównywany.

Na razie jednak nastoletni jeszcze Wiktor Bater obrzuca komendy milicji wydmuszkami wypełnionymi czerwoną lub pomarańczową farbą, która pięknie się na ich frontonach rozpryskuje.

Znaczką z Lechem Wałęsą, zatopionym w żywicy, produkują we dwóch z Adamem Malinowskim, teraz wykładowcą matematyki i informatyki na UW. Nie sprzedają ich, lecz rozdają.

Krąg rówieśniczy to Kamila Ceran, u której w piwnicy domu przy Reymonta się spotykają i tańczą w rytmie Zorby, Artur Domosławski co kiedyś zostanie kontrowersyjnym biografem red. Kapuścińskiego, wreszcie Anna Adamiak.

Niespodziewaną rolę w życiu licealisty z Lelewela odegra nauczycielka rosyjskiego Natalia Woroszyńska, żona opozycyjnego poety Wiktora Woroszyńskiego, zresztą w młodości zatwardziałego stalinowca. Za jej sprawą wybierze rusycystykę.

Rozległość jego zainteresowań przełoży się na nikłą frekwencję na zajęciach akademickich i przysporzy mu kłopotów na studiach, co z kolei grozi skreśleniem z listy i powołaniem do wojska. Stąd wyjazd do Berlina Zachodniego. Niby na stałe. A w praktyce na krótko, jak się okazuje. Przecież strasznie tam nudno. Ważne naprawdę rzeczy dzieją się w Polsce. I już nikt nie zwraca tu uwagi na - za przeproszeniem - stosunek do służby wojskowej. Wszystko jak trzeba poukładać w głowie pomocą Baterowi starsi o dekadę: reżyser Waldemar Dziki - niebawem nakręci film «Pierwszy milion» o beneficjentach przemian ustrojowych - oraz aktorka Daria Trafankowska.

Wszystkie wojny reportera

Od tego czasu Bater będzie już jeździł raczej na Wschód. Stanie się zapewne największym od czasów Andrzeja Drawicza, odkrywającego jak w «Pocałunku na mrozie» pod imperialną skorupą Związku Radzieckiego warstwę żarliwości i geniuszu [8], znawcą Rosji. Jeśli chodzi o znajomość także jej realiów i życia codziennego konkurować może jeszcze ze starszym o trzydzieści lat Jerzym Hoffmanem, który wojnę spędził jako dziecko na Syberii. Bo Bater to nie Maria Przełomieć, odklepująca w telewizyjnym studiu banały, które usłyszeć możemy od nie lubiącego „ruskich” warszawskiego taksówkarza. Ani Maria Stepan, zdolna ale dziwacznie zafascynowana przemocą, tyle, że przeciwko rosyjskiemu imperializmowi zwróconą, jak pokazuje jej znany materiał o „cyborgach” ukraińskich (formacjach tyleż doborowych co morderczych). Podobnie zdrowy rozsądek zachowa jeszcze Konstanty Gebert, co stanie się zresztą przyczyną jego rozstania z „Gazetą Wyborczą”.

Sukces za sukcesem, tworzenie metra sewrskiego dla gorącego jak wojny, które opisuje, dziennikarstwa reporterskiego - składają się na biografię Batera w pierwszych dekadach transformacji ustrojowej. Nadstawia jednak karku w czasie, gdy inni brylują na ściankach i zostają celebrytami. Kiedy relacjonuje atak islamskich terrorystów na szkołę w Biesłanie, sam zostaje ranny.

Zamiłowanie do motocykli oraz luksusowych samochodów, nawet jeśli jest to jak w Moskwie podstarzały już Jaguar Sovereign rocznik 1982, popsuły mocno pod pretekstem licznych napraw przez miejscowych mechaników - a zarazem erudycja, gawędziarski talent i mocna głowa zjednują mu sympatię twardych ludzi i ułatwiają kolejne misje specjalnego wysłannika.

Wzbudza za to zawiść i agresję żurnalistów małych i cwanych. Tomasz Lis, męska odmiana lalki Barbie, który rychło okaże się bestią w zbotokowanej z wyglądu skórze wobec kobiet i podwładnych, z wygodnego gabine- tu w Warszawie ruga Batera, że w lodowatym Dżalalabadzie w trakcie wojny afgańskiej napił się dla rozgrzewki i kurażu, co dało się zauważyć na antenie podczas wejścia na żywo. Telewizjowicze wołają jednak naprutego Batera od trzeź- wego Lisa. Staje się bohaterem wyobraźni zbiorowej.

Inni mają mu za złe, że za żonę pojął - bo skoro to księżniczka, to tak mówić wypada - wojenną uciekinierkę z Abchazji, bo ta w rodzinie ma przestępców, za którymi chodzi rosyjska FSB. Zresztą rozwiodą się po latach. Później żoną Wiktora Batera zostanie Justyna. Z prawie tysięczstronicowej książki dowiemy się o niej tyle, że zawsze przynosił jej kokosanki. Nie znosiła ich. Ale wcale to jej do niego nie zraziło. Nawet ona nie była jednak w stanie Wiktora Batera uratować.

Zawodowo bowiem działał się z nim coraz gorzej. Wilki podchodzą ze wszystkich stron, jak w tytule tomu opowiadań Marka Nowakowskiego. Los Wiktora Batera zaczyna przypominać sytuację bohatera filmu „Bez znieczule- nia” Andrzeja Wajdy.

Media po czasie burzy i naporu przechodzą recesję. Z tamtych czasów za- pamiętałem, jak w „Życiu” po zastąpieniu przez właścicieli Tomasza Wołka anemicznym Pawłem Fąfarań niejaką Marta Stremecka, przezywana „redaktor Kiepską” bo ten serial szedł właśnie w Polsce, strofowała przez telefon sateli- tarny przedzierającego się już po World Trade Center do talibańskiego jeszcze Afganistanu reportażystę Wojciecha Czuchnowskiego, żeby szybko wracał, bo trzeba dokończyć materiał o potomkach szlachty herbowej do niedzielnego wydania. W mediach po czasach przełomu kołtun zastępował twórcę, a lojal- ność zaczęła być w cenie w miejsce kreatywności.

Nie dają Baterowi pracować nawet na drugim planie polskich mediów, w Superstacji, zależnej od Polsatu.

„To był czerwiec 2018 roku, trzy miesiące po tym, jak szefową informacji i publicystyki w Polsce została Dorota Gawryluk, dziennikarka o prawicowych poglądach, która już zdążyła zrobić „porządki” personalne w swojej stacji, co nie wróżyło dobrze dziennikarzom i publicystom Superstacji, a zwłaszcza szefowi newsroomu. Rok później, na początku czerwca, zespołowi przekazano odgórną decyzję o rezygnacji z tematów politycznych i nie zapraszaniu do studia polityków. Wiktor Bater dowiedział się o tym na własnym weselu - tuż po ślubie z Justyną, z którą poznali się w Gdańsku i razem przyjechali w 2015 roku do Warszawy. Ale wtedy jeszcze Wiktor Bater nie spodziewał się zwolnienia z pracy, próbował robić telewizję „bez polityki”. Wypowiedzenie otrzymał wraz z kilkunastoma innymi osobami pod koniec lipca 2019 roku” [9].

Chociaż odznaczył się nie tylko jako reporter wojenny. Przeszedł do historii jako pierwszy dziennikarz, który podał wiadomość o katastrofie smoleńskiej.

Odszedł na trzy dni przed jej dziesiątą rocznicą. Niedługo przedtem leczył przez trzy miesiące w klinice pourazowy stres bojowy. Jak się jednak wydaje z wojnami poradził sobie lepiej niż z ludzką małością i zawiścią.

Jego los przywodzi na myśl koniec starszego o siedem lat Krzysztofa Leskiego, najpierw wybitnego dziennikarza drugiego obiegu, potem „Gazety Wyborczej” i prezentera wieczornego wydania „Wiadomości TVP”. A także dawnego działacza Niezależnego Zrzeszenia Studentów z Akademii Wychowania Fizycznego, znakomitego fotoreportera z wielu wojen Krzysztofa Millera. Łączyło ich wszystkich oprócz przedwczesnego odejścia również to, że chociaż przerastali innych talentem - nie okazywali im wyższości. Raczej empatię i zrozumienie.

Śmiało Batera nazwać można artystą, ale ten talent realizował bez szkody dla zdolności analitycznych. Aktualne pozostają sporządzone przez niego przed laty charakterystyki kremlowskich notabli czy rosyjskiego rynku mediów jak również kontaktów narodowościowych na Kaukazie. Prominenci i oligarchowie, watażkowie wojenni i królowie życia nie okazują się jednak dla niego ważniejsi od faceta napotkanego na stacji benzynowej, babci sprzedającej warzywa przy wejściu do metra czy uchodźczyni w muzułmańskiej chuście na głowie.

WIKTOR BATER, JEDEN Z NAS

Wszyscy stawali się bohaterami jego artykułów i materiałów filmowych, z których dowiadaliśmy się o cenach chleba w Moskwie i wysokości zwyczajowej tam łapówki dla milicjanta. O atmosferze w modnych klubach dla oligarchów i stawkach oraz sile nabywczej świadczeń dla emerytów z pobliskiego blokowiska.. A także - chociaż zabrakło go dwa lata zanim zagrożenie to się ziściło w pełnoskalowej, jak teraz mówimy, formie - o demonach, nadciągających ze Wschodu. Przestrzegał przed nimi i miał rację.

„Odbudowa imperium jest bowiem nadrzędnym celem Władimira Putina, nawet za cenę bezpieczeństwa i życia własnych obywateli” - pisał Wiktor Bater na dwa lata przed pamiętnym porankiem 24 lutego 2022 r., kiedy mieszkańców Kijowa obudziły wybuchy bomb i rakiet [10].

[1] Izolda Kiec, Jarema Jamrożek. Wiktor Bater. Wesoły rajski ptak. Ostatnia rozmowa. Artykuły. Wywiady. Marginesy, Warszawa 2022, s. 261-262.

[2] Kiec, Jamrożek. Wiktor Bater... op. cit, s. 263-264.

[3] ibidem, s. 119.

[4] ibidem, s. 74.

[5] ibidem, s. 65-66.

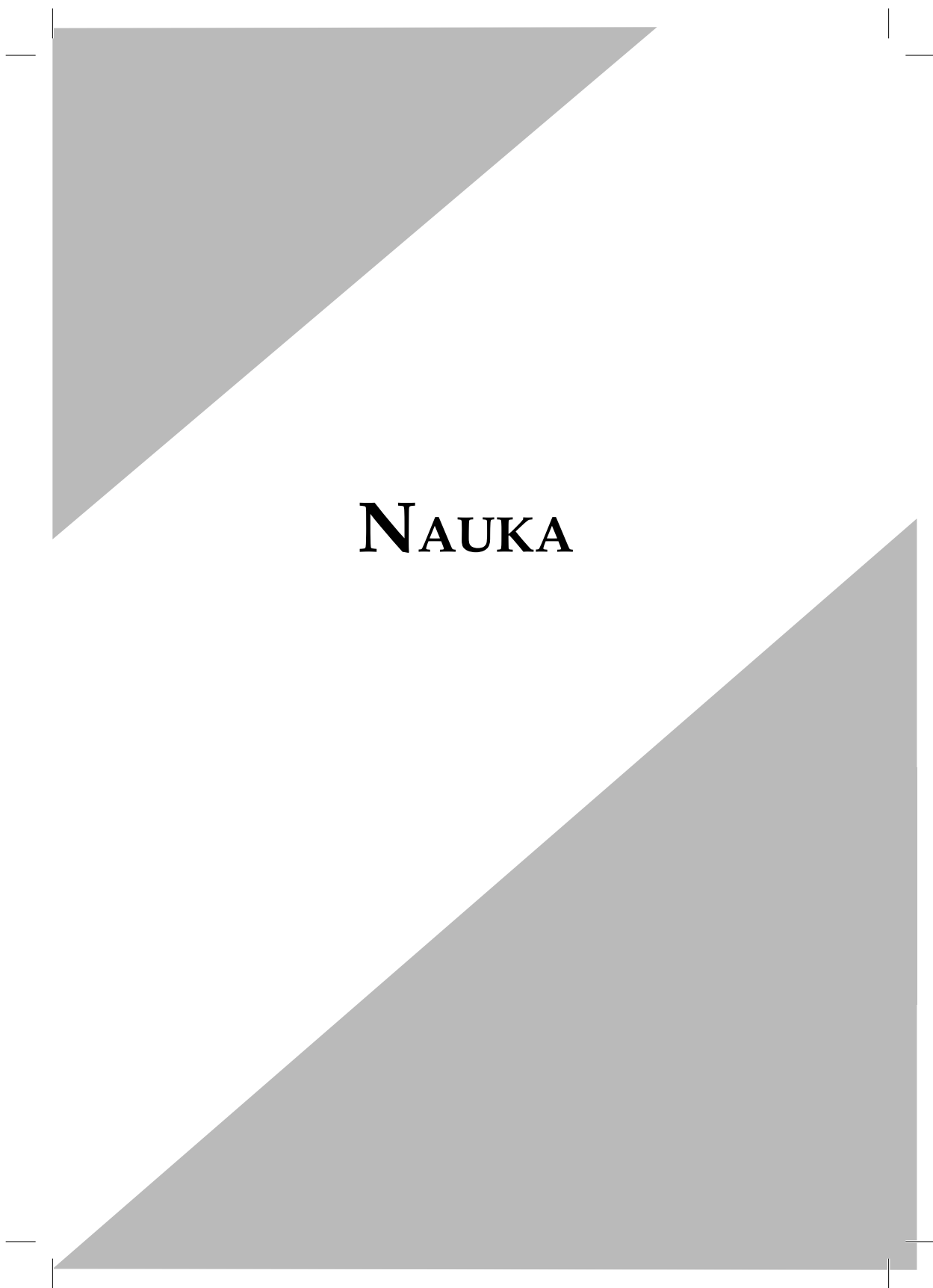
[6] Andrzej Friszke. Bibuła - sto lat doświadczeń [w:] Przegląd Wiadomości Agencyjnych 1984-1990. Przerwana historia ilustrowanej bibuły. Praca zbiorowa pod redakcją Jana Bryłowskiego i Jana Doktora. Wydawnictwo Dom Na Wsi, Ossa 2009, s. 33.

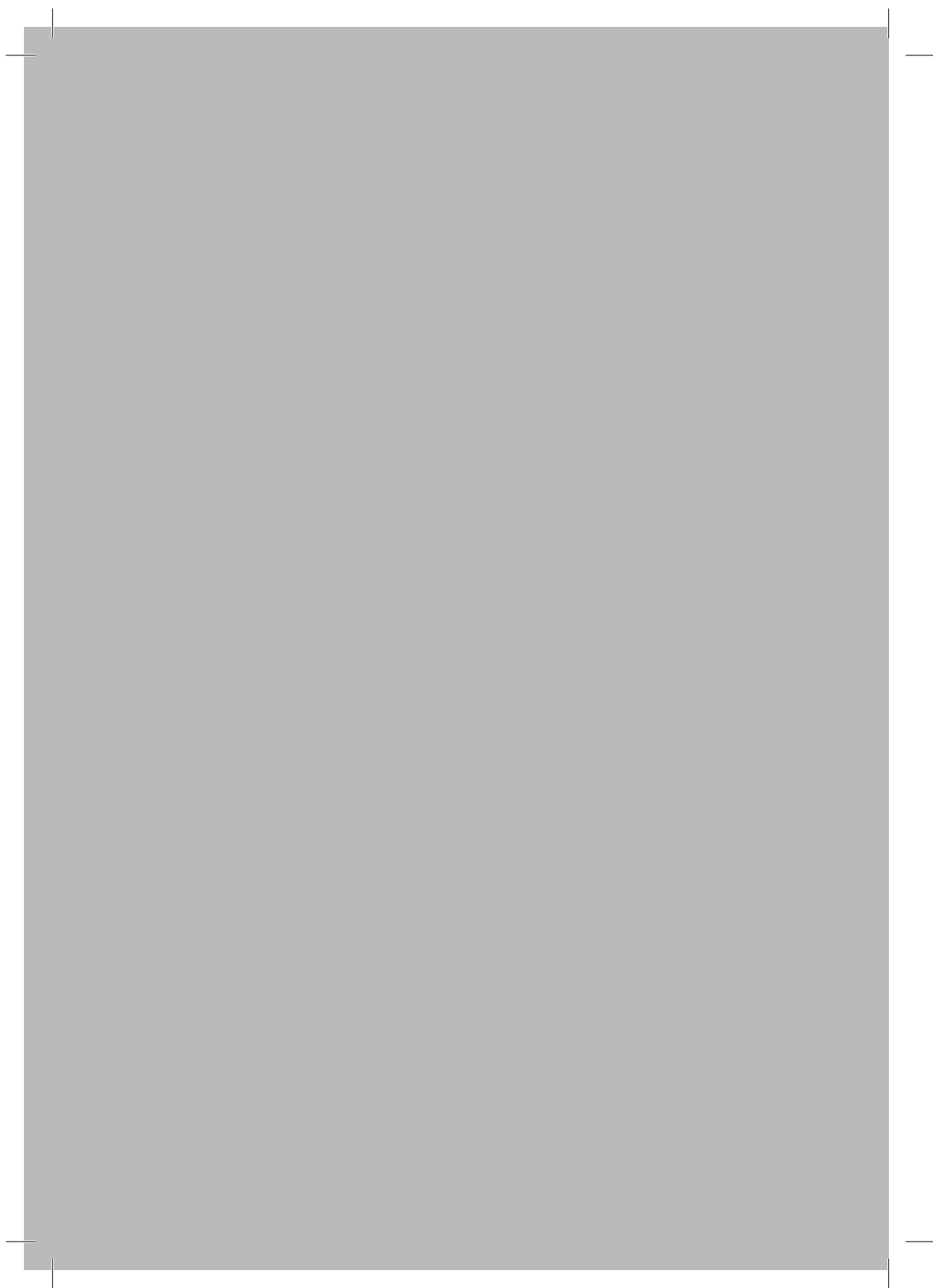
[7] por. Krzysztof Kąkolewski. Co u pana słychać? Czytelnik, Warszawa 1975.

[8] por. Andrzej Drawicz. Pocałunek na mrozie. Polonia, Londyn 1989.

[9] Bater.. op. cit, s. 423-424.

[10] ibidem, s. 848.





INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

W grudniu 2021 roku Minister Edukacji Narodowej przydzielił Kwartalnikiowi Nurtu Niepodległościowego „OPINIA” 40 punktów naukowych.

Lp.	Unikatowy Identyfikator Czasopisma	Tytuł, numer ISSN/numer eISSN	Liczba punktów	Przypisane dyscypliny naukowe
32650	201466	Opinia 2352-5725	40	historia

Zapraszamy do współpracy.

Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia”

1. Redakcja „Opinii” przyjmuje teksty w języku polskim nadesłane wyłącznie drogą elektroniczną, zgodne z instrukcją wydawniczą „Opinii”, w formatach *.doc, *.docx lub *.rtf. W przypadkach szczególnych, po uprzednim uzgodnieniu z redakcją, mogą być dopuszczone inne formy dostarczenia tekstu.

Przesłanie artykułu oznacza, że autor poświadcza, że zapoznał się z zasadami etycznymi obowiązującymi w „Opinii”, a jego tekst spełnia normy w nich zawarte.

Preferowaną objętością dla artykułu naukowego jest 60 tys. znaków, a objętość maksymalna wynosi 80 tys. znaków. Preferowana objętość dla recenzji to 25 tys. znaków, a maksymalna 40 tys. znaków. Objętość liczona jest z włącznie

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

niem przypisów i spacji, znaków w tabelach, bez bibliografii, streszczeń i podpisów pod fotografiami.

Wiadomość z elektroniczną wersją tekstu powinna zawierać ponadto podpisane skany oświadczeń o oryginalności tekstu i o „ghostwritingu” i „guest authorship”. Papierowe wersje oświadczeń należy przesłać na adres redakcji. Podpisanie oświadczeń oznacza, że autor zapoznał się z klauzulą informacyjną dotyczącą zbierania i przetwarzania danych osobowych oraz dobrowolnie przekazuje dane osobowe i zgadza się na ich przetwarzanie.

Plik zawierający artykuł powinien zostać nazwany według następującego wzoru: nazwisko autora, inicjał imienia, pełny tytuł artykułu (np. Kowalski J., Polska sztuka wojenna w dobie średniowiecza). Plik z artykułem nie powinien w metadanych być podpisany nazwiskiem autora lub innym podpisem pozwalającym na identyfikację autora.

Tekst powinien zostać wykonany z zachowaniem stylu normalnego programu MS Word – bez użycia stylów nagłówkowych, podziałów stron i sekcji – czcionką Times New Roman pkt. 12 w tekście głównym i pkt. 10 w przypisach. Stosujemy przypisy dolne. Interlinia tekstu głównego pkt. 1,5, przypisów pkt. 1.

2. W pliku z artykułem powinny znajdować się w lewym górnym rogu następujące informacje:

pełne imię i nazwisko autora, numer orcid i afiliacja, adres do korespondencji tradycyjnej, adres e-mailowy, numer telefonu. Pod tekstem artykułu powinna znaleźć się bibliografia wykonana zgodnie z modelem bibliografii zawartym w instrukcji wydawniczej „Opinii”.

W osobnym pliku Autor powinien dostarczyć streszczenie artykułu (Nazwa pliku powinna być zgodna z przykładem: Streszczenie i nota, Polska sztuka wojenna w dobie średniowiecza).

Streszczenie w języku polskim powinno mieć objętość do 1,5 tys. znaków. Opcjonalnie Autor może dostarczyć streszczenia w języku angielskim i rosyjskim o objętości do 1,5 tys. znaków każde.

Autor zobowiązany jest również do przygotowania abstraktu o objętości do 500 znaków w jęz. polskim lub angielskim. W pliku powinna znaleźć się również krótka notka dotycząca autora o objętości do 500 znaków oraz słowa kluczowe w języku polskim i angielskim, opcjonalnie rosyjskim.

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

Niezamawianych tekstów redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów.

Tekst główny:

Zasady opracowania maszynopisu wydawniczego dla wydawnictwa „Opinia”

Część I. Zasady ogólne

A. Tekst główny, wstęp, zakończenie

I. Daty

1. Rozwijamy nazwy miesięcy, skracamy natomiast słowo „rok”:
 - 10 kwietnia 1945 r.; 10 maja br.; w lipcu tr.
2. Stosujemy zapis:
 - w latach dziewięćdziesiątych (nie: w latach 90., w l. 90.)
 - w XX w. (nie: w dwudziestym wieku, w 20. wieku)
 - w drugiej połowie XIX w. (nie: w 2 poł. XIX w.).
3. Daty łączymy pauzą łączącą (półpauzą): 1945–1947. Nie stosujemy tu dywizu (-).

II. Miary, stopnie, tytuły

- Stosujemy skróty słownikowe, takie jak: godz., kg, ha, km, km kw., m sześć., proc., gen., płk, kpt., prof., doc., mgr, dr hab., m.in., tzw., tj., np., itd., itp.
- W przypadkach zależnych stosujemy zapis: płk (= pułkownika), dr (= doktora).
- Piszemy: II Rzeczpospolita Polska, III Rzesza, p.o. delegat

III. Nazwy własne

1. Organizacje i instytucje

- Przy pierwszym wystąpieniu podajemy pełną nazwę, dalej – ewentualnie skrót. W przypadku nazw powszechnie znanych (np. PRL, ZSRR, PPR, PZPR) dopuszcza się stosowanie skrótów bez ich rozwijania przy pierwszym wystąpieniu.

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

2. Osoby

- Przy pierwszym wystąpieniu podajemy pełne imię i nazwisko, dalej – samo nazwisko bez inicjału imienia lub imię i nazwisko (dopuszczalne jest stosowanie inicjału, jeśli nie znamy pełnego imienia); nie podajemy otczestwa.

IV. Cytaty i tytuły

- Cytaty ze źródeł i literatury przedmiotu podajemy w cudzysłowie, antykwą.
- Tytuły prac naukowych, utworów literackich, muzycznych, dramatycznych, obrazów wyróżniamy kursywą. Nazwy ustaw podajemy bez cudzysłowu, antykwą.
- Tytuły wystaw, konferencji, sesji naukowych, konkursów podajemy w cudzysłowie, antykwą.

V. Liczebniki

- Piszemy słownie, gdy możemy zapisać jednym słowem, zwłaszcza w odniesieniu do osób. Przy wyliczeniach – cyframi.
- Stosujemy skróty: mld, mln, tys. (jeżeli występują pełne tysiące, w innym wypadku cyframi: 75 345, 43 009).

VI. Wyrażenia obcojęzyczne

- Słowa i wyrażenia obcojęzyczne użyte w tekście polskim zapisujemy kursywą, np.: *sui generis*, *last but not least*, *ancien régime*.

B. Przypisy

I. Stosujemy oznaczenia: *ibidem*, *idem* (*eadem*), *passim*, *op. cit.*, *loc. cit.* (kursywą). W bardzo obszernych publikacjach zamiast oznaczenia *op. cit.* można stosować zapis: inicjał i nazwisko, skrót tytułu..., s. X.

II. Stosujemy skróty: t., cz., z., nr, R., a także pozostałe, jak w punkcie A II.

III. Daty

- Jeśli data jest pełna, miesiąc zapisujemy cyframi rzymskimi: 25 VI 1999 r., jeśli data jest niepełna miesiąc zapisujemy słownie: 25 czerwca, w czerwcu 1999 r.

IV. Odsyłacze

- Używamy skrótów: zob., por., cyt. za:
- Odsyłacze do innych fragmentów tekstu, np.:

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

zob. dok. nr 24, przyp. 7;

zob. rozdz. II, przyp. 8;

por. s. 38; por. dok. nr 12 i 17.

V. Liczebniki – jak w tekście głównym

VI. Informacje biograficzne

1. Informacje biograficzne zamieszczamy w przypisach. Biogram powinien być zwięzły. W szczególnych przypadkach można biogramy umieścić osobno, np. w części nazwanej „Biogramy”.

2. Kolejność elementów biogramu:

- Imię i nazwisko
- Pseudonimy, przybrane nazwiska, przydomki
- Daty życia
- Pozostałe informacje życiorysowe

3. Przykłady:

Julian Bartuś „Bojko”, „Julek”, „Zbyszek”, „Romański”, „Krajewski” (1922–1962), żołnierz AK i działacz WiN. Kierownik Rady WiN Przeworsk, kierownik informacji (wywiadu i kontrwywiadu) krakowskiego Wydziału i p.o. kierownik łączności krakowskiego Wydziału. 3 Mieczysław Kawalec „Kałuski”, „Żbik”, „Iza”, „Psarski” (1916–1951), oficer AK i działacz WiN. Komendant Obwodu AK Rzeszów, kierownik informacji (wywiadu i kontrwywiadu) Wydziału WiN Rzeszów, zastępca prezesa krakowskiego Wydziału, kierownik Wydziału Wywiadu w IV ZG WiN i p.o. prezes ostatniego zarządu. Aresztowany 1 II 1948 r., skazany na karę śmierci, stracony 1 III 1951 r.

VII. Cytowanie źródeł i literatury przedmiotu

1. Kolejność elementów w opisie cytowanej pozycji bibliograficznej:

- Inicjał imienia i nazwisko,
- Dalej jak w opisie bibliograficznym, zob. D. Bibliografia ,
- Numer cytowanej strony (pomijamy w wypadku dzienników i tygodników); stosujemy skrót s., nie ss.

Przykłady:

J. Kochanowski, W polskiej niewoli. Niemieccy jeńcy wojenni w Polsce 1945–1950, Warszawa 2001, s. 285.

A. Grajewski, Oskarżony ks. Franciszek Blachnicki, „Więź” 2001, nr 5, s. 94.

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

W. Władyka, Robotnicy wyszli na ulice, „Polityka” 2001, nr 26.

A. Kaczyński, Oczyszczanie pamięci, „Rzeczpospolita”, 19 V 2000.

2. Kolejność elementów w opisie materiału archiwalnego (poszczególne elementy oddzielamy przecinkami):

- Nazwa archiwum (skrót),
- Nazwa zespołu archiwalnego (ewentualnie skrót); stosowanie skrótu zesp. dopuszcza się tylko wtedy, kiedy nazwa zespołu jest zapisana cyframi lub symbolami,
- Sygnatura jednostki archiwalnej; jeśli sygnatura jednostki archiwalnej składa się z kilku symboli, dopuszcza się stosowanie skrótu sygn., wtedy jednak skrót należy stosować konsekwentnie w całej pracy,
- Opis dokumentu pozwalający na jego identyfikację – rodzaj dokumentu, kto, do kogo (jeśli tytuł dokumentu zawiera te informacje, można się nim posłużyć). Należy podawać pełne imiona nadawców i adresatów, nie inicjał.
Opis dokumentu (lub przytaczanej relacji) podawany jest antykwą,
- Data powstania dokumentu po przecinku lub data przybliżona w nawiasie kwadratowym; jeśli nie można ustalić daty, stosujemy skrót b.d.
- Numer karty (gdy przywoływany jest fragment dokumentu, numer karty, na której znajduje się ten fragment). Jeżeli jednostka archiwalna nie jest spaginowana, używamy skrótu b.p.

UWAGA 1. Jeżeli dokument był opublikowany, powołujemy się na wersję opublikowaną, a nie archiwalną.

UWAGA 2. Cytując dokumenty z Archiwum IPN (i archiwów oddziałów IPN), stosujemy skróty: AIPN, AIPN Bi, AIPN Gd, AIPN Ka, AIPN Kr, AIPN 4 Lu, AIPN Łd, AIPN Po, AIPN Rz, AIPN Wr. W wykazie skrótów rozwijamy je następująco: AIPN – Archiwum IPN w Warszawie; AIPN Bi – Archiwum

IPN Oddział w Białymstoku itd. Nie stosujemy zapisów typu BUiAD IPN,

OBUiAD, OBUiAD Kat, OBUiAD IPN-Wr, AIPN Kraków, OBUiAD Lublin, OBUiAD IPN w Poznaniu, Archiwum IPN Warszawa itd.

Przykłady:

AAN, KC PZPR, XI A/102, List Nikity Chruszczowa do Bolesława Bieruta w sprawie redukcji sił zbrojnych PRL, 12 VIII 1955 r., k. 3.

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

AAN, KC PZPR, 237/V-757, Notatka dotycząca analizy aparatu partyjnego KW, KP/KM, KD/KZ, [sierpień 1968 r.], k. 10–20.

AIPN Kr, Akta operacyjne, 010/12061, Analiza materiałów sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim „Naprawiacz”, 8 VI 1978 r., k. 37.

AIPN, MSW II, 4183, Notatka ze spotkania wiceministra Franciszka Szlachcica z aktywnym SB KW MO w Białymstoku, 13 XI 1962 r., k. 18.

Archiwum MSZ, Zesp. 12, w. 14, t. 331, Raport polityczny poselstwa PRL w Tel Awiwie, 28 III 1956 r., k. 36.

3. Jeżeli w przypisie podajemy kilka źródeł, ich opisy rozdzielamy średnikiem.

C. Wykaz skrótów

1. W wykazie umieszczamy skróty występujące w tekście głównym i przypisach.
2. Podajemy jedynie skróty „rzeczowe” (instytucji, organizacji itp.).

D. Bibliografia

1. Tytuły dzieł obcych podajemy w języku oryginału (z cyrylicy w transkrypcji na łacinkę); opis (red., oprac., t., cz.) w języku polskim; miejsce wydania w tym języku, w jakim zostało podane na karcie tytułowej.
2. Kolejność elementów w zapisie bibliograficznym. UWAGA: kolejność powinna być zachowana bez względu na to, ile elementów zawiera opis.
 - a) Wydawnictwa zwarte (jedno- lub wielotomowe; dzieło jednego, dwóch lub trzech autorów; dzieło zbiorowe, tj. więcej niż trzech autorów):
 - Nazwisko i inicjał imienia,
 - Tytuł. Podtytuł (kursywą),
 - Numer tomu i części (z dwukropkiem – t. 1:):
 - Tytuł tomu i części (kursywą),
 - Przekład (tłum.),
 - Współpracownicy (red., oprac.),
 - Które wydanie (jeśli jest istotne),
 - Miejsce i rok wydania (b.m.w., b.d.w., umieszczamy po przecinku),
 - Nazwa serii wydawniczej w cudzysłowie, numer tomu w serii (zapisane w nawiasie),
 - Informacje dodatkowe (np. rkps, mps).⁵

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

b) Artykuły w pracach zbiorowych:

- Nazwisko i inicjał imienia,
- Tytuł (kursywą)
- [w:] (bez poprzedzającego przecinka)
- Dalej jak w opisie bibliograficznym wydawnictwa zwarteo.

c) Czasopisma:

- Nazwisko i inicjał imienia,
- Tytuł artykułu. Podtytuł (kursywą),
- Tytuł czasopisma (antykwą, w cudzysłowie)
- Rok wydania czasopisma (można poprzedzić miejscem wydania, jeżeli jest to konieczne do zidentyfikowania publikacji),
- Część rocznika (numer, zeszyt; numer podwójny: 1/2 , numery kolejne: 1–2),

d) Prasa codzienna:

- Nazwisko i inicjał imienia,
- Tytuł artykułu. Podtytuł (kursywą),
- Tytuł czasopisma (antykwą, w cudzysłowie),
- Data wydania (a nie numer).

Przykłady:

- Kochanowski J., W polskiej niewoli. Niemieccy jeńcy wojenni w Polsce 1945–1950, Warszawa 2001.
- The Kissinger Transcripts. The Top Secret Talks with Beijing and Moscow, oprac. W. Burr, New York 1998.
- Anderson S., A Cold War in the Soviet Bloc. Polish-East German Relations, 1945–1962, Boulder 2001.
- Wołkogonow D., Stalin, t. 2, tłum. M. Antosiewicz, Warszawa 1998.
- Albert A. [Roszkowski W.], Najnowsza historia Polski 1918–1980, wyd. 2, Londyn 1989.
- Dąbrowska M., Dzienniki powojenne, t. 2: 1950–1954, oprac. T. Drewnowski, Warszawa 1996.
- Zakrzewska J., Mołdawa T., Historia sejmu polskiego, t. 3: Polska Ludowa, red. A. Ajnenkiel, Warszawa 1989.

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

- Dzierzgowska A. i in., Supliki do najwyższej władzy, red. M. Kula, Warszawa 1996.
- Centrum władzy. Protokoły posiedzeń kierownictwa PZPR. Wybór z lat 1949–1970, oprac. A. Dudek, A. Kochański, K. Persak, Warszawa 2000 („Dokumenty do dziejów PRL”, z. 13).
- Gluchowski L., Nalepa E., The Soviet-Polish Confrontation of October 1956. The Situation in the Polish Internal Security Corps, Washington D.C. 1997 („Cold War International History Project Working Paper”, nr 17).6
- Wrzeński W., Postawy i nastroje Polaków po klęsce wrześniowej na terenie okupacji sowieckiej [w:] Komunizm. Ideologia, system, ludzie, red. T. Szarota, Warszawa 2001.
- Romek Z., Droga Leszka Kołakowskiego ku antykomunistycznej opozycji. Od ortodoksyjnej ideologii ku wolności myślenia, „Dzieje Najnowsze” 1999, nr 4.
- Grajewski A., Oskarżony ks. Franciszek Blachnicki, „Więź” 2001, nr 5.
- Matis J. [Kozłowski M.], Dżuma, „Kultura” (Paryż) 1969, nr 3.
- Władyka W., Robotnicy wyszli na ulice, „Polityka” 2001, nr 26.
- Kaczyński A., Oczyszczanie pamięci, „Rzeczpospolita”, 19 V 2000.
- Nowak M., Wspomnienia z mojej młodości, Kraków 1962, mps w zbiorach Jana Kowalskiego.
- Lityński A., O prawie i sądach początków Polski Ludowej, Białystok, b.d.w.

E. Indeksy

1. W indeksie osób zamieszczamy tylko nazwiska występujące w tekście głównym i przypisach (bez karty tytułowej, spisu treści, bibliografii). Nie indeksujemy nazwisk występujących w tytułach książek i nazwach własnych.
2. Od pseudonimów i nazwisk przybranych odsyłamy do właściwego nazwiska za pomocą skrótu: zob. „Mietek” zob. Podhorodecki Tadeusz Szwarz Czesław zob. Naleziński Czesław
3. W indeksie nazw geograficznych zamieszczamy tylko nazwy występujące w tekście głównym i przypisach (bez karty tytułowej, spisu treści,

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

bibliografii). Nie indeksujemy nazw występujących w tytułach książek i nazwach własnych, miejsc wydania publikacji, nazw państw oraz nazw typu Europa Środkowo-Wschodnia.

Część II. Opracowanie tekstów źródłowych

1. Numer dokumentu

Wyśrodkowany, kursywa, czcionka wytłuszczona.

2. Nagłówek dokumentu

Kursywa, obustronnie wyjustowany.

Nagłówek składa się z daty powstania dokumentu, miejsca powstania dokumentu oraz – po myślniku – regestu dokumentu.

Data powstania dokumentu ma następujący zapis: rok, miesiąc (słownie), dzień.

Brakujące elementy daty należy uzupełnić w nawiasie kwadratowym.

3. Ogólne zasady edycji dokumentu

- Uwspółcześniamy ortografię i interpunkcję tekstu. Odstępstwa od tej reguły wymagają przekonującego uzasadnienia.
- Stosowane w dokumentach różne sposoby zapisu daty (np. 12.08.1946, 12/8 1946, 12.VIII.1946, 12/8/1946) ujednolicamy następująco: 12 VIII 1946;
nie zamieniamy na liczbę rzymską nazw miesięcy pisanych słownie.⁷
- Wszelkie wyróżnienia w oryginalnym tekście dokumentu, dokonane przez jego twórcę (s p a c j o w a n i e ; WERSALIKI; podkreślenia) oddajemy za pomocą czcionki wytłuszczonej. W uzasadnionych przypadkach dopuszcza się pomijanie wyróżnień (np. nazwisk zapisanych wersalikami w dokumentach proveniencji policyjnej) i zapisywanie tych fragmentów tekstu czcionką podstawową.
- Nawiasy ukośne // zamieniamy na nawiasy półokrągłe ().
- Skróty słownikowe (ob., np., wg, ww., tj., ...) pozostawiamy bez rozwinięcia.
- Skróty niekonwencjonalne rozwijamy w nawiasach kwadratowych antykwą
- Towarzyszące nazwiskom inicjały imion rozwijamy w nawiasach kwa-

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

dratowych antykwą. Dopuszczalne jest pozostawienie inicjału, jeśli nie znamy pełnego imienia.

- Należy ograniczyć do minimum użycie znaku [sic!]; kwestie wymagające komentarza omawiać w przypisach.
- Opuszczenia pochodzące od wydawcy zaznaczamy trzema kropkami w nawiasie kwadratowym i opatrujemy przypisem tekstowym, na przykład:
[...] e

4. Układ tekstu dokumentu

W edycji dokumentu nie odtwarzamy układu graficznego oryginału.

- a) miejsce i data powstania dokumentu – wyjustowane do prawego marginesu
- b) nagłówek nadawcy – wyjustowany do lewego marginesu
- c) nazwa adresata dokumentu – wcięta i wyjustowana do prawego marginesu
- d) tytuł dokumentu – wyśrodkowany
- e) treść dokumentu – obustronnie wyjustowany, akapity zaznaczone wcięciem pierwszego wiersza
- f) podpis pod dokumentem – wyjustowany do prawego marginesu; w wypadku dwóch podpisów – lewy podpis wyjustowany do lewego marginesu, a prawy do prawego.

5. Informacja o miejscu przechowywania dokumentu

Kursywa, czcionka o 1 pkt mniejsza od tekstu dokumentu, od akapitu. Po słowie „Źródło” i dwukropku podajemy: skrót nazwy archiwum, nazwę zespołu archiwalnego (lub jej skrót), sygnaturę jednostki archiwalnej, numer karty oraz informację o formie dokumentu będącego podstawą edycji (oryginał/kopia; rkps/mps).

W przypadku przedruku zamiast adresu archiwalnego podajemy opis bibliograficzny pierwodruku.

6. Przypisy tekstowe

Oznaczone literami. Do części odredakcyjnej przypisu stosujemy kursywę, do tekstu źródłowego – antykwę. Numerację przypisów tekstowych rozpoczynamy od nowa dla każdego dokumentu.

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

Przypisami tekstowymi opatrujemy:

- lekcję wątpliwą;
- lekcję błędną – do tekstu wprowadzamy lekcję poprawną, a niepoprawną umieszczamy w przypisie tekstowym. W wypadku błędu powtarzającego się w całym tekście lub jego większym fragmencie, przypisem tekstowym oznaczamy tylko pierwsze wystąpienie tego błędu. Błędy maszynowe korygujemy bez zaznaczenia;
- brakujące bądź nieczytelne fragmenty tekstu – przypis tekstowy należy ująć w nawias kwadratowy, na przykład: [d];
- niejasności tekstu, błędy składniowe i gramatyczne;
- treść pieczęci, podpisów, rękopiśmienne adnotacje w tekście;
- dopiski, nadpisanie, przekreślenia;
- podkreślenia tekstu dokonane przez odbiorcę.

7. Przypisy rzeczowe

Numerowane cyframi arabskimi; antykwa. Umieszczone pod strona, poniżej przypisów tekstowych. Numerację rozpoczynamy od nowa dla każdego dokumentu.

W przypisach rzeczowych umieszczamy wszelkie merytoryczne komentarze i wyjaśnienia do dokumentu. W razie konieczności opatrzenia lekcji błędnej komentarzem merytorycznym, umieszczamy go – wyjątkowo – w dotyczącym jej przypisie tekstowym.

8. Przykład

Nr 8

1945 luty 27, Białystok – Pismo naczelnika Wydziału Śledczego KW MO w Białymstoku do wojewody białostockiego w sprawie konieczności wzmocnienia posterunku MO w Milejczycach, pow. Bielsk Podlaski

Wydział Śledczy Białystok, dnia 27 II 1945 r.

Wojew[ódzkiej] Kom[endy]

Mil[icji] Obyw[atelskiej]

Do Ob. Wojewody Białostockiego w Białymstoku

Stosownie do polecenia Komendy Głównej [MO] z dnia 16 XII 1944 r. za L. 652 S/44, melduję, że dnia 24 II 1945 r. wieczorem zgłosił się do posterunku MO w Milejczycach leśniczy i jego zastępca z leśnictwa Milejczyce

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

i oświadczyli, że są posłuchy od rodz[*in*] Małasz^ków i Korzeni^owskich, miesz^k[*ańców*] wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk, że wkrótce ma być napad przez bandę na Pow[*iatową*] Kom[*endę*] MO w Bielsku i więzienie w Białymstoku. Również oświadczyli, że przechodząc, czy też przejeżdżając w okolicach wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk, trzeba być ostrożnym, gdyż ta wieś [*f*] jest zagrożona. Wobec czego komendant posterunku MO Milejczyce prosi o zwiększenie siły oraz większy przydział broni i amunicji, aby można zapobiec wypadkom i zlikwidować bandę, której jest we wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk.

Nacz[*elnik*] Urz[*ędu*] Śled[*czego*]

chor. S[*tefan*] Kufer

Źródło: APB, Urząd Wojewódzki w Białymstoku, 285, k. 12, oryginał, mps.

a Poniżej pieczęć prostokątna Urząd Wojewódzki w Białymstoku. Wpłynęło 28 II 1945 r. (data wpisana odręcznie).

b Poniżej odręcznie wpisana sygnatura pisma Nr S. 49/45.

c Tak w tekście.

d Korzeniewskich?

e W oryginale tu i dalej Libiejki. Niewątpliwie mowa o Lubiejkach w pow. bielskopodlaskim, nie zaś o Libiejkach w pow. zambrowskim.

f W maszynopisie dwa słowa przekreślone, niemożliwe do odczytania.

g–g Fragment napisany odręcznie.

h–h Fragment podkreślony odręcznie czerwonym ołówkiem.

i Tak w tekście.

j Powyżej nieczytelny podpis odręczny.

Tu i dalej mowa o Bielsku Podlaskim.

Chodzi o Wydział Śledczy KW MO w Białymstoku.

Podstawą powyższego przykładu jest autentyczny dokument ze zbioru Białostoczczyzna 1944–1945 w dokumentach podziemia i oficjalnych władz, pod red. J. Kułaka (Warszawa 1998), który na potrzeby niniejszej instrukcji został odpowiednio spreparowany.

9. Uwagi techniczne

Poniższe porady mają ułatwić użytkownikom edytora MS Word stosowanie

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

w praktyce zasad edycji dokumentów źródłowych. Ponieważ edytor tekstu nie powinien udawać mądrzejszego od swego użytkownika, przed przystąpieniem do pracy warto wyłączyć następujące opcje:

- Narzędzia→Autokorekta→Autoformatowanie podczas pisania→Stosuj w trakcie pisania oraz W trakcie pisania automatycznie (wszystkie opcje)
- Narzędzia→Opcje→Edycja→Dokonywanie wcięć z lewej klawiszami Tab i Backspace

1) Wstawianie przypisów rzeczowych

- Uruchomić polecenie Wstaw→Przypis¹⁰
- W otwartym oknie dialogowym zaznaczyć opcje: Wstaw: Przypis dolny oraz Numerowanie: Automatyczne (lub Autonumerowanie)
- Wcisnąć klawisz OK

2) Wstawianie przypisów tekstowych

- Uruchomić polecenie Wstaw→Przypis
- W otwartym oknie dialogowym zaznaczyć opcje: Wstaw: przypis dolny oraz Numerowanie: Znak niestandardowy
- W sąsiednim okienku wpisać odpowiednią literę, którą zostanie oznaczony przypis tekstowy
- Wcisnąć klawisz OK

W razie konieczności zastosowania „podwójnego” przypisu, obejmującego fragment tekstu (typu: axxxxxa), przypis zamykający należy wstawić zgodnie z powyższą instrukcją, zaś przypis otwierający zamarkować odpowiednią literą we frakcji górnej (polecenie: Format→Czcionka→Indeks górny). Analogicznie za pomocą litery i myślnika we frakcji górnej należy zamarkować część oznaczenia przypisu pod stroną (np. a–a).

3) Prawidłowa numeracja przypisów

Numeracja przypisów rzeczowych i tekstowych powinna się rozpoczynać od nowa dla każdego dokumentu. Aby to zrobić, należy:

- Przed przystąpieniem do edycji dokumentów uruchomić polecenie Wstaw→Przypis→Opcje, następnie w otwartym oknie dialogowym na karcie Wszystkie przypisy dolne wybrać opcję Numerowanie: Każda sekcja od nowa. Następnie wcisnąć klawisze OK oraz Zamknij.
- Po każdym zakończonym dokumencie wstawić znak końca sekcji od

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

nowej strony (polecenie: Wstaw→Znak podziału→Typy podziału sekcji:

Następna strona→OK).

Uwaga: Ponieważ edytor MS Word nie umożliwia rozdzielenia przypisów tekstowych od rzeczowych, pozostaną one „przemieszane”. Zasada umieszczania przypisów tekstowych pod stroną powyżej przypisów rzeczowych będzie mogła zostać spełniona dopiero na etapie łamania tekstu w profesjonalnym programie do składu komputerowego.

4) Wcięcia tekstu

Wszelkich wcięć w tekście (zarówno wcięć pierwszego wiersza akapitu, jak i całych akapitów) należy dokonywać za pomocą tabulatorów, a nie spacji.

KATARZYNA ŚNIADECKA

45. ROCZNICA POWSTANIA KPN. SEN O WIELKIEJ POLSCE¹ – KPN NA SCENIE POLITYCZNEJ OPOZYCJI PRL.

Leszek Moczulski: *„Najtrudniejszy był moment przejścia z konspiracji do jawności we wrześniu 1975 roku. Dokładnie pamiętam ten dzień - i łatwo ustalić jego datę, gdyż wtedy po raz pierwszy zapaliła się Trasa Łazienkowska. Było nas z 10 osób. Spotkaliśmy się w małym mieszkanku przy ulicy Bruna w Warszawie, gdzie mieliśmy podjąć decyzję o formowaniu jawnej struktury opozycyjnej. Zebranie było poświęcone jej organizacji, rozdzielaniu zadań. Mówiliśmy o wydawaniu własnej gazety z ujawnieniem nazwisk redaktorów i autorów, tworzeniu sieci jawnych biur, organizacji manifestacji i pochodów, a wszystko zapowiadane wcześniej na konferencjach prasowych. Wszyscy paliliśmy papierosy, a ponieważ pokój był mały, wychodziliśmy na klatkę schodową. Stałem tam z Romkiem Szeremietiewem, który nagle się spytał: „Leszek, nie masz wrażenia, że to sen? Przecież zapowiadamy rzeczy niemożliwe, komuna ciągle rządzi”. Coś mu tam powiedziałem, że wszystko jest całkiem realne, ale jednocześnie pomyślałem - „rzeczywiście, to chyba jest sen”.*²

Na początek dla porządku metodologicznego wyjaśnijmy, czym jest sama definicja opozycji. Opozycja (również opozycja polityczna) to ugrupowanie lub grupa ugrupowań, w szczególności partii politycznych, sprzeciwiających się

¹ Słowo zaczerpnięte z „Ostatniego słowa” Leszka Moczulskiego w czasie I procesu KPN: „Mieczysław Rakowski zarzucił nam, że śni nam się wielka Polska. To prawda. Tak, jest prawda, że walczyliśmy z programem małej Polski. Śni nam się Polska Wolna, Niepodległa, Sprawiedliwa – a więc W i e l k a...”

² C. Łazarewicz, Niepodległość, czyli z motyką na słońce, <http://wiadomosci.wp.pl/niepodleglosc-czyli-z-motyka-na-slonce-6027724312835201a> [dostęp 24.09.2024]

polityce rządu lub większości parlamentarnej, krytykująca dominujące ideologie czy instytucje. Najwłaściwsza wydaje się definicja funkcjonalna: opozycja to świadome, ustrukturalizowane działanie, które same władze odbierają jako działalność opozycyjną. Dla odróżnienia od opozycji wewnątrz samej PZPR przyjął, za dr Andrzejem Anuszem, termin opozycji drugiego obiegu politycznego³. Nie dołączam natomiast pod to pojęcie (na potrzeby tej pracy) zjawiska oporu społecznego, działalności kościoła czy organizacji studenckich lub samorządów rolniczych z tego okresu.

1 września 1979 roku twórców KPN-u połączyła jedna idea ...niepodległość. W tamtym okresie, dziś nie do uwierzenia, mówienie o niepodległości było aktem niezwyklej odwagi. Dla KPN-u był to jednak jasno określony i przeanalizowany cel polityczny. Postawili oni na działanie jawne, a nawet, ze względu na istnienie luki prawnej, niezakazane, aczkolwiek częściowo zakonspirowane, zwłaszcza działalność wydawnicza i związana z budową struktur organizacyjnych. Jej członkowie wywodzili się m.in. z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela i środowiska politycznego związanego z nurtem niepodległościowym, piłsudczykowskim.⁴ Idea konfederacji, czyli zrzeszenia różnych środowisk, poszerzała to spektrum: nie chodziło o wyznawane poglądy polityczne, w ścisłym kierownictwie partii znaleźli się np. byli PAX-owcy. Sami konfederaci widzieli siebie jako „kolejną zmianę w długim pochodzie pokoleń” prowadzącym do wolnej i niepodległej Polski. Była to więc zupełnie inna formuła działalności od tej, którą prowadziły powstałe wcześniej mniej sformalizowane struktury, takie jak Komitet Obrony Robotników i Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, których głównym celem była obrona praw człowieka, formalnie deklarowanych w Konstytucji PRL. Między innymi z powodu radykalizmu programu KPN-u jej liderzy byli represjonowani także w okresie karnawału „Solidarności” i już w stanie wojennym zapadły wobec nich wyroki

³ Zjawisko drugiego obiegu politycznego opisuje dr Andrzej Anusz w książce *„Nielegalna polityka...”*

⁴ KPN w swojej działalności nawiązywała do tradycji niepodległościowych, miała też bezpośrednie powiązania ze środowiskiem Armii Krajowej poprzez kontakty ze znaczącymi jej przedstawicielami starszego pokolenia, tj. L. Muzyczka, gen. R. Abraham, gen. L. Boruta Spiechowicz, A. Szomański i inni.

skazujące. Więzienna izolacja Leszka Moczulskiego i kluczowych przywódców KPN przez cały okres trwania solidarnościowej rewolucji uniemożliwiła im wpływ na przywództwo „Solidarności” i wzmocniła rolę doradcą działaczy lewicy laickiej. Władze komunistyczne stosowały w stosunku do Moczulskiego i przywódców KPN strategię całkowitej izolacji więziennej i cenzury informacji na ich temat skupiając propagandowy atak na pozostających w całym okresie solidarnościowej rewolucji na wolności Jacka Kuronia i Adama Michnika oraz liderów KOR. Lewica laicka, z jej programem finlandyzacji Polski Ludowej, nie była bowiem zagrożeniem politycznym istnienia komunistycznej władzy PZPR. Potwierdzają to opinie przywódców opozycji, m.in. Adma Michnika w „Czasie nadziei” opublikowanym we wrześniowym numerze (1980 r.) „Biuletynu Informacyjnego” KOR, przytaczany przez W. Jaruzelskiego w książce „Stan wojenny. Dlaczego...”: „Wiem, że niejeden z moich kolegów zarzuca mi faktyczną rezygnację z dążeń do niepodległości i demokracji. Tym odpowiem z całą szczerością: nie wierzę, aby w obecnej sytuacji geopolitycznej realne było wybicie się na niepodległość i parlamentaryzm. Wierzę, że możemy organizować naszą niepodległość od wewnątrz, że stając się społeczeństwem coraz lepiej zorganizowanym, sprawniejszym, zamożniejszym, wzbogacającym Europę i świat o nowe wartości, pielęgnującym tolerancję i humanizm – pracujemy dla niepodległości i demokracji...Musimy to wszystko od władz wydierać i wymuszać, bo nigdy żaden naród nie dostał swoich praw w prezencie. Wszakże, wymuszając i wydierając, pamiętajmy, by nie rozedrzeć na strzępy tego, co jest państwem polskim, państwem niesuwerennym, ale państwem, bez którego nasz los byłby nieporównanie bardziej uciążliwy”.⁵

W świetle tak umiarkowanych poglądów nie dziwi, że KPN, głosząc program budowy niepodległej Trzeciej Rzeczypospolitej i likwidację polityczną PZPR, była izolowana przez aparat państwa. Leszek Moczulski był jedynym w owym czasie politykiem, który analizował i przewidywał osłabienie ZSRR oraz w efekcie upadek systemu i to w krótkim czasie, a także wskazywał na argumenty małego prawdopodobieństwa wojskowej interwencji radzieckiej. Co ciekawe, takich analiz i wniosków nie stawiał w tamtym okresie nikt poza

⁵ W. Jaruzelski, *Stan wojenny. Dlaczego...*s. 179.

KPN. Owszem były głosy potwierdzające taką konieczność, natomiast nikt nie przewidział, że stanie się to tak szybko. Ta optymistyczna prognoza przyciągała zwolenników do KPN, ale rodziła też duży sceptycyzm u wielu zadeklarowanych przeciwników systemu panującego w PRL, spotykała się też z ostrą krytyką jako nierealistyczna i kompletnie błędna. Powyższe potwierdza fakt ujawnienia publicznie możliwej daty wprowadzenia stanu wojennego przez Moczulskiego. Z końcem listopada 1981 roku wojskowe terenowe grupy operacyjne zostały wycofane ze swych wojskowych jednostek macierzystych, dla uważnego obserwatora znaczyć to mogło tylko jedno – przygotowywanie się do uderzenia. Możliwe to było tylko w nocy z soboty na niedzielę, gdy zakłady pracy były puste; możliwe były tylko dwie daty: 13 albo 20 grudnia. Solidarność niestety nie przygotowała się do takiego scenariusza. Nie była na to gotowa zajęta własnymi wewnętrznymi podziałami i problemami m.in. przywództwa ruchu. Poza tym Solidarność nie wierzyła w możliwość przeprowadzenia przez siły rządowe tak frontalnie skierowanego na nich ataku. A. Touraine opisuje spotkanie grupy warszawskich aktywistów i działaczy „Solidarności” w czerwcu 1981 roku z chwilowo uwolnionym z więzienia przywódcą KPN L. Moczulskim: „Odwaga przywódcy KPN znajduje uzasadnienie, ale nikt nie jest w stanie podzielać jego poglądu, że trzeba bić się o „Trzecią Rzeczpospolitą Polską”. Między zespołem warszawskim Solidarności a L. Moczulskim „istnieje zasadniczy dysonans”.⁶

A jednak właśnie to ci ludzie wierzyli i wręcz byli przekonani o rychłym upadku ZSRR i szansy, jaką dostała Polska, aby to dla siebie wykorzystać. O ile bardziej przenikliwi okazali się analitycy z KPN niż amerykańscy sowietolodzy postrzegający mocarstwo jako trwałą formację społeczną, której nie jest w stanie zmienić jej wewnętrzna ewolucja. Píše o tym Jan Baszkiewicz w książce „Władza” „Reformy podejmowane „od góry” oceniano jako oszukańcze manewry lub jako przedsięwzięcia skazane na klęskę; zmian zachodzących w owej formacji niezależnie od woli rządzących docenić nie potrafiono. W cały ów system społeczny miał być wbudowany skutecznie działający mechanizm likwi-

⁶ A. Touraine, *Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980-1981*, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2010, s.119.

dowania pojawiających się zagrożeń. Można więc wyobrazić sobie gwałtowny upadek tej formacji – np. w wyniku przegranej wojny – ale na pewno nie jej ewolucyjne przeobrażenie. Najbardziej wpływowa wersja takiej teorii wyszła spod pióra Carla J. Friedriecha i Zbigniewa Brzezińskiego: długo uwodziła wyobraźnię zachodnich politologów (nie wszystkich, co prawda). Utrzymywanie się takich poglądów miało zapewne różne przyczyny. Działo tu ubóstwo wyobraźni historycznej, a także brak – w jakimś stopniu niezawiniony – solidnej empirycznej wiedzy o rzeczywistym stanie społeczeństw żyjących „w komunizmie”. Jakiś wpływ miało też zapewne konsekwentne określanie „realnoso-cjalistycznych” autorytaryzmów przez opozycję demokratyczną jako systemów niewzruszenie totalitarnych. Sens tego tkwił w chęci mobilizowania opinii społecznej: wynikałoby stąd, że „niewzruszenie” to nie oznaczało „niewzruszalnie”. Dopiero po fakcie sowietologowie przyznali się do błędu pomniejszania wagi wewnętrznych przemian w Europie „za Łabą”.⁷

Podobne uwagi czyni Mirosław Lewandowski we wstępie do opublikowanego wywiadu Leszka Moczulskiego z Maciejem Szumowskim, pt. *Polityka to jest bardzo racjonalne zajęcie*, *Opinia* nr 14, wiosna 2017.⁸ „Przez całe lata 70-te, kiedy inni mówili, że nastąpi interwencja radziecka, mówiłem – po co interwencja radziecka? Po co czołgi? Wystarczy jeden telefon ... Profesor Brzeziński jest bardzo inteligentnym człowiekiem, Ale Brzeziński jest człowiekiem przegranych koncepcji. Jego wszystkie koncepcje po kolei się nie sprawdziły. Brzeziński, czy też jego ludzie, na parę miesięcy przed wybuchem społecznym w Polsce traktowali jego możliwość jako fantasmagorię. ... Ukazał się numer *Kultury paryskiej* ... z datą lipiec-sierpień 1980 roku, gdzie w trzech kolejnych artykułach było wyśmiewanie się z niejakiego Leszka Moczulskiego i KPN, ponieważ ci wariaci uważają, że Polska jest w przededniu wybuchu społecznego i głoszą, że trzeba robić strajki. Było to według nich oczywistą bzdurą. Tak to napisali. Strajki wybuchły nim obeschła farba drukarska. „⁹

Znamienne jest, że Zbigniew Brzeziński nie nawiązał z opozycją żadnych kontaktów podczas swojego pobytu w Polsce. Także inni dyplomaci amerykań-

⁷ J. Baszkiewicz, *Władza*, 2009, s. 167.

⁸ M. Lewandowski, *Polityka to jest bardzo racjonalne zajęcie*, „Opinia” 2017, nr 14.

⁹ Tamże s. 155.

scy mieli bardzo zróżnicowane poglądy na temat opozycji antykomunistycznej w Polsce, jakim była KPN. Ich opinie przytacza Grzegorz Wołk: „Amerykański ambasador Francis Meehan w 1980 r. informował Waszyngton: „Większość ludzi w Polsce uważa Moczulskiego za nieszkodliwego romantyka politycznego, którego działalność nie przynosi nikomu zagrożenia”. (...) John Darnton, korespondent „New York Timesa” i zdobywca nagrody Pulitzera za reportaże z Polski ogarniętej solidarnościową rewolucją, był znacznie ostrzejszy. Po osobistym zetknięciu się z Moczulskim stwierdzał bez ogródek, że to „megaloman z głową w chmurach, a ta cała jego partia to fikcja, po prostu grupa niemogących nic ludzi”¹⁰.

Oprócz KPN, która powstała 1 września 1979 roku - rok wcześniej przed przewidywaną eksplozją społeczną - istniały inne niezależne ośrodki myśli politycznej. Organizacją, która odrzucała komunizm i nie uznawała PRL za państwo polskie był „Ruch”, liderami której był Marian Gołębiewski, Benedykt Czuma i Emil Morgiewicz. Środowisko to kształtowało się około 1965 roku w Łodzi, prace przerwały aresztowania w 1970 roku.

3 maja 1976 roku powstała tajna organizacja stworzona przez Zdzisława Najdera, która domagała się uniezależnienia od ZSRR, wystąpienia z Układu Warszawskiego, wprowadzenia pełnej demokracji, przywrócenia wolności słowa i stowarzyszania się, zniesienia cenzury, a także wprowadzenia swobodnej (także prywatnej) działalności gospodarczej. PPN domagał się również niepodległości Ukrainy, Białorusi i Litwy. Jednak w treści programowej próżno szukać niepodległości w rozumieniu KPN. W artykule opublikowanym w londyńskim „Dzienniku Polskim” i nagłośnionym w RWE mowa była nie o niepodległości, ale o suwerenności międzynarodowej kraju wyrażanej przez przynależenie Polski do sojuszy i układów międzynarodowych opartych na swobodnie wypowiedzianej woli narodu.¹¹ W dokumencie mowa jest o podporządkowaniu Polski Moskwie i o posłuszeństwie wobec ZSRR, ale i o „kosztownym sojuszu z ZSRR”. Nie ma też bezpośrednich odniesień do PZPR, nie ma postulatów

¹⁰ G. Wołk, *Konfederacja Polski Niepodległej – „romantycy i szaleńcy”* | dzieje.pl - Historia Polski [dostęp 02.10.2024]

¹¹ Z. Najder, *PPN (1976-1981). Język niepodległości*, wybór i opracowanie Jerzy Bertram, Warszawa 2012, s.132.

odsunięcia PZPR od władzy, nie ma potępienia dla agresorów, mowa tylko o doznanych przez naród polski krzywdach w stosunkach z ZSRR. Jasnego określenia celów politycznych PPN brak. Uczestnicy PPN-u nie wierzyli w realną możliwość realizacji formułowanego przez siebie celu. Skupili się na opisie rzeczywistości i wskazaniu, że świat nie jest po prostu czarno-biały. Niepodległość to cel odległy, program na dziś to praca. Trudno było wyobrazić sobie sposoby dojścia do swoich celów w warunkach panującej władzy uzależnionej od ZSRR. PPN nie zauważał również schyłku epoki Gierka, tym bardziej trudno było uwierzyć w rozpad systemu „Wielkiego Brata”. Zdzisław Najder podjął dość spóźnioną polemikę z „Rewolucją bez rewolucji”, wyśmiał on w paryskiej „Kulturze” z lipca-sierpnia 1980 roku prognozy mówiące o nadciągającym wybuchu społecznym. Zanim numer „Kultury” z jego artykułem dotarł do kraju, Polskę zalała strajkowa powódź.¹²

Leszek Moczulski przewidując koniec systemu nie operował konkretnymi datami, mówił, że może to nastąpić zarówno w okresie jednego pokolenia, jak też bardzo szybko, wskazywał na fakt, że proces już się rozpoczął. Nie polemizował z koncepcjami PPN, skupił się natomiast na otwartej polemice z koncepcją finlandyzacji Polski reprezentowanej przez KOR. Twierdził: „Rosjanie szukają tylko wtedy sojuszników...jeśli są im potrzebni do stworzenia sytuacji, w której zostaną zastąpieni z czasem przez radzieckich funkcjonariuszy. To właśnie nazywa się finlandyzacją”.¹³

We wrześniu 1976 roku powstał Komitet Obrony Robotników złożony z działaczy spontanicznie pomagającym rodzinom robotników Radomia więzionych za manifestacje. Główny trzon stanowili harcerze „Czarnej Jedyńki” (Antoni Macierewicz, Piotr Naimski i Wojciech Onyszkiewicz), którzy opracowali dokument powstania Komitetu. Do KOR-u dołączyli także Jan Józef Lipski, kpt. Józef Rybicki (współzałożyciel Win-u), Henryk Wujec, Ludwika Wujec, Bogdan Borusewicz, Zbigniew Romaszewski i przejściowo Wojciech Ziemiński. W późniejszym okresie dołączyła grupa młodszych działaczy m.in. Jacek Kuroń, Adam Michnik.

¹² https://www.earchiwumkpn.pl/leszek_moczulski/teksty_polityczne/rewolucja_bez_rewolucji_1979.pdf, s.2. (dostęp 19.09.2024)

¹³ tamże

KPN nie ukrywał swej polityczności. Leszek Moczulski: „My przywiązujemy wielką wagę przede wszystkim do silnego państwa. Zarówno jednak w porozumieniach helsińskich, jak i w deklaracji praw człowieka ONZ na pierwszym miejscu wśród tych praw znajduje się prawo do własnego niepodległego państwa. Było dla nas jasne, że wydobędziemy przede wszystkim ten punkt. Różnice między KOR i KPN istniały głównie w warstwie ideologii oraz odmiennym rozkładaniu akcentów. Dla ludzi KOR niepodległość miała być zwieńczeniem budowy społeczeństwa demokratycznego, dla KPN warunkiem zbudowania demokracji. Korowcy w hierarchii ideowej najwyżej stawiali wartości demokratyczne, konfederaci wartość niepodległości”.¹⁴

Efektem działań nurtu niepodległościowego (nn)¹⁵ było utworzenie w marcu 1977 roku Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO), których liderami był Leszek Moczulski i Andrzej Czuma. Rozłam w ROPCiO w dużej mierze spowodowali agenci wpływu, jakim byli ludzie wokół Andrzeja Czumy i Wojciecha Ziemińskiego i którzy mieli ich pełne zaufanie (oczywiście nie wiedząc o ich rzeczywistej roli i intencjach), tj. Paweł Mikłasz, Marian Bogacz oraz Andrzej Mazur. Byli to ludzie związani z SB, którzy wpływali na A.Czumę i skłócali go z L.Moczulskim.

W ramach ROPCiO działał też, kierowany przez Karola Głogowskiego, Ruch Wolnych Demokratów. Z inicjatywy ROPCiO powstały zorganizowane przez Kazimierza Świtonia i Romana Kściuczka pierwsze w PRL Wolne Związki Zawodowe (1978). Ruch Obrony wspierał Studenckie Komitety Solidarności.

W lipcu 1979 został utworzony przez środowisko niektórych młodszych uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a częściowo w reakcji na kryzys organizacyjny i personalny w jego szeregach Ruch Młodej Polski - ugrupowanie polskiej opozycji antykomunistycznej, skupione wokół Aleksandra Halla i pisma „Bratniak” nawiązujące do prawicowej myśli politycznej,

¹⁴ A.Anusz, *Konfederacja Polski Niepodległej 1979–1989. Kalendarium i zarys historii*, [w:] „Opinia” 2019, nr 23, s.14.

¹⁵ Określenie dla ruchu niepodległościowego, pisane z małych liter, powstałe w latach 50-tych; z drugiej strony posługiwanie się skrótem NN pisanym z dużych liter miało za zadanie zmylenie SB i było wielokrotnie mylone i nie rozpoznane przez te służby.

podkreślające jako swój pierwszoplanowy cel kwestię odzyskania przez Polskę pełnej niepodległości. Ugrupowanie nie miało sformalizowanej struktury, w tym organów kierowniczych ani formalnego członkostwa. Wyznaczyło sześciu rzeczników, którzy mieli występować w imieniu Ruchu, bez określonych bliżej kompetencji. Byli to Aleksander Hall, Arkadiusz Rybicki, Jan Samsonowicz, Marek Jurek, Maciej Grzywaczewski i Jacek Bartyzel. Nieformalnym liderem był Aleksander Hall. Po wybuchu strajków w sierpniu 1980 członkowie RMP włączyli się aktywnie w działalność NSZ „Solidarność”. W 1983 większość ukrywających się członków zdecydowała się na wyjście z podziemia i zrezygnowała z angażowania się w działalność „Solidarności” poszukując innych form aktywności. Ciekawe, że w już w sierpniu 1979 roku jednym głosem przepadł w Ruchu Młodej Polski wniosek Aleksandra Halla o skonfederowanie RMP z KPN. Jednak w przygotowanych już na 1 września ulotkach, informujących o powstaniu partii niepodległościowej, członkowie RMP zdążyli zostać w niej umieszczeni.

10 lutego 1979 roku powstał założony przez Wojciecha Ziemińskiego Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu, Komitet przekształcił się w 1981 roku w Kluby Służby Niepodległości. Organizacja powstała jako reakcja na rozwiązanie KSS KOR na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” w hali Oliwii w Gdańsku. Stawiała sobie za cel koordynowanie działań podziemnych środowisk niepodległościowych. Wśród jej członków znaleźli się działacze Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela i Ruchu Młodej Polski. Wśród sygnatariuszy deklaracji założycielskiej byli: Jacek Bartyzel, Janusz Grzelak, Aleksander Hall, Seweryn Jaworski, Jarosław Kaczyński, Jerzy Kaniewski, Bronisław Komorowski, Ryszard Kostrzewa, Stefan Kurowski, Jerzy Łojek, Antoni Macierewicz, Stanisław Michalkiewicz, Marian Piłka, Jacek Taylor, Józef Teliga, Tomasz Wołek, Wojciech Ziemiński. Poza sformułowaniem deklaracji organizacja praktycznie nie podjęła żadnej działalności.

W czerwcu 1982 roku Kornel Morawiecki założył nową organizację pod nazwą „Solidarność Walcząca” i stanął na jej czele. Organizacja sformułowała radykalny program walki z komunizmem, jako swój cel wyznaczając nie tylko budowę niepodległej Rzeczypospolitej Solidarnej, lecz także rozpad Związku Sowieckiego i upadek systemu komunistycznego w innych państwach.

Tak wyglądała scena tworzących się ośrodków niezależnej myśli politycznej. Był to pierwszy etap formowania się grup politycznych, określonych w opracowaniu Leszka Moczulskiego „Rewolucja bez rewolucji” prowadzący do kształtowania się infrastruktury politycznej oraz polskiego systemu politycznego. Etapem końcowym było stworzenie instytucji dublującej lub zastępującej instytucje państwowe.

Jak pisze dr Andrzej Anusz w artykule pn” *Konfederacja Polski Niepodległej 1979–1989. Kalendarium i zarys historii*: „Organizacje opozycyjne w latach siedemdziesiątych częściej deklarowały raczej cele społeczne, bezpośrednio interwencyjne, niż ogólno-polityczne. Takim bezpośrednim interwencyjnym celem była obrona robotników i praw człowieka. Antypolityczne nastawienie opozycji politycznej było wynikiem realnego spojrzenia na rzeczywisty układ sił politycznych. Pożądane przez społeczeństwo obalenie ustroju politycznego było w przekonaniu opozycji sprawą dalszej przyszłości. Z tej racji koncentrowała się ona na działaniu możliwym do wprowadzenia w życie indywidualne i społeczne obywateli w istniejących warunkach systemu totalitarnego”.¹⁶

Niepodległość była różnie rozumiana i swoiście interpretowana. W warunkach niewielkiej autonomii celowe raczej wydawało się działaczom strony opozycyjnej dyskutowanie o formach suwerenności, czyli określanie ile ma być „Polski w Polsce” niż zupełnego wyzwolenia spod kurateli ZSRR. Jedyną formacją, która otwarcie stawiała na zupełną niezależność i niepodległy byt kraju był KPN. Poza tym była najbardziej scentralizowanym i formalnie zorganizowanym ugrupowaniem wśród środowisk opozycji politycznej. W artykule 8 Statutu stwierdzono, że jej celem jest działanie na rzecz niepodległości Polski i budowy Trzeciej Rzeczypospolitej, tworzenie warunków dla rozwoju świadomości niepodległościowej, umacniania duchowych i materialnych struktur narodu, zaś w ostatnim 38 artykule napisano: Pierwszy Kongres KPN jaki odbędzie się po odzyskaniu Niepodległości i utworzeniu III Rzeczypospolitej obowiązany jest podjąć uchwałę, która stwierdza, czy KPN powinna zostać rozwiązana, czy też istnieć nadal.¹⁷

¹⁶ A. Anusz, *Konfederacja Polski Niepodległej 1979–1989. Kalendarium i zarys historii*, [w:] „Opinia” 2019, nr 23, s. 14.

¹⁷ https://www.earchiwumkpn.pl/dokumenty_kpn/statut_1984.pdf [dostęp 19.09.2024]

Należy zauważyć, że cele stawiane na początku działalności i zawarte w statucie partii KPN zrealizowała w całości wykorzystując potencjał intelektualny i ludzki w nadzwyczaj efektywny sposób. Odróżniała się poza tym od innych organizacji opozycyjnych przyjmując jako formę organizacyjną partię polityczną próbując bezskutecznie wejść na drogę jawnej i legalnej w życie polityczne kraju poprzez np. próbę zarejestrowania kandydatów w wyborach czy próbę nawiązania dialogu z władzami traktując to jako swego rodzaju test pokazujący mechanizmy jego działania i rzeczywistych celów. Były to działania bez precedensu w całym bloku wschodnim opozycji i stawiało nas w roli liderów. Wydaje się, że m.in. ta odwaga i nieszablonowość myślenia oraz „antyradzieckość” narażała KPN na szczególne represje ze strony władz i nieprzychylną stronę opozycyjnej. Wiele z jej słusznych postulatów np. gospodarczych powinno doczekać się większego zrozumienia i uznania, a naraził formację na osamotnienie w walce, a nawet opinię radykałów, czy wręcz wichrzycieli. Poza tym przewidywania KPN nieuchronnego rozpadu ZSRR i to w stosunkowo krótkim czasie, a więc trafnej analizy międzynarodowej, której nikt poza Leszkiem Moćzalskim się nie spodziewał, doczekały się szybkiej realizacji. Ten strach władz PRL przed władzami Kremla był najwyraźniej widoczny w okresie legalnej działalności NSZZ „Solidarność” w latach 1980-1981. A brak strachu KPN przed wypowiedaniem najbardziej antyradzieckich haseł był dla władz PRL najbardziej irytujący, kłopotliwy i w efekcie jako podważający sojusz polsko-radziecki traktowany w kategoriach karnych jako antypaństwowy i antyustrojowy. KPN w wielu aspektach miała rację, ale nie zyskała szerszego poparcia ani społecznego, ani politycznego ze strony opozycji. To częsty niestety casus ludzi lub formacji mających rację.

Jak ocenia Grzegorz Wołk w swej świeżo opublikowanej książce „Szaleńcy niepodległości. Historia Konfederacji Polski Niepodległej” „bez wątpienia KPN przyciągała ludzi odważnych, którzy dla niepodległości byli gotowi poświęcić wiele. Radykalizm, nie tylko werbalny, okazał się atrakcyjny zwłaszcza dla młodych, antykomunistycznie nastawionych opozycjonistów. Dla nich Komitet Obrony Robotników, a później Solidarność podziemna, były za mało wyraziste, a idea porozumienia z władzami i szukanie kompromisu – nieakceptowalne. Komunizm i ludzie go tworzący musieli upaść, a na gruzach

miała powstać niepodległa III Rzeczpospolita. Zresztą Moczulski był jednym z pierwszych polityków używających tej nazwy, określając byt państwowy, który powstanie po upadku PRL jako naturalna kontynuacja państwowości.”¹⁸ Nawet dziś KPN, która w pojałtańskiej rzeczywistości otwarcie mówiła o niepodległości Polski trzeba przyznać, że brzmi niezwykle.

13 września 2024 Sejm podjął uchwałę w sprawie upamiętnienia 45. rocznicy powstania Konfederacji Polski Niepodległej. *„Po 45 latach od powstania Konfederacji Polski Niepodległej, Sejm wyraża szacunek i wdzięczność wobec jej członków za niezłomność i wkład w walkę o wolną Polskę” - głosi uchwała i przypomina, że „1 września 1979 roku, gdy znaczna część świata i Europy znajdowała się pod wpływami Związku Sowieckiego, grupa działaczy opozycyjnych w Polsce postanowiła rzucić wyzwanie komunistycznemu reżimowi, tworząc pierwszą partię polityczną o charakterze antykomunistycznym w Europie Środkowo-Wschodniej w okresie postalinowskim — Konfederację Polski Niepodległej...Celem Konfederacji Polski Niepodległej było odzyskanie przez nasz kraj pełnej suwerenności i niezależności, usunięcie obcej dominacji, likwidacja władzy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i stworzenie demokratycznej III Rzeczypospolitej....Konfederacja Polski Niepodległej była jedną z najaktywniejszych organizacji opozycyjnych w PRL. Angażowała swoich członków w działalność wydawniczą, manifestacje i akcje protestacyjne. Działacze ugrupowania głosili konieczność związania Polski z demokratycznym światem zachodnim i potrzebę współpracy z narodami Międzymorza, szczególnie z niepodległą Ukrainą” - napisano. Przypomniano ponadto, że „członków Konfederacji Polski Niepodległej spotkały represje, kary wieloletniego więzienia, oskarżenia i pomówienia”. Wielu z nich zapłaciło za swą walkę życiem, zdrowiem i wolnością. Byli celem ataków komunistycznego aparatu. Sekretarz generalny KC KPZR Leonid Breżniew domagał się od przywódców PRL przykładowego ukarania założyciela Konfederacji Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego, który spędził w więzieniach ponad 6 lat”. Uchwała głosi, że „dziś, po 45 latach od powstania Konfederacji Polski Niepodległej, Sejm Rzeczypospolitej Polskiej wy-*

¹⁸ G.Wołek, Konfederacja Polski Niepodległej – „romantycy i szaleńcy” | dzieje.pl - Historia Polski [dostęp 02.10.2024]

raza szacunek i wdzięczność wobec jej członków za niezłomność i wkład w walkę o wolną Polskę i uznaje, że dobrze zasłużyła się Ojczyźnie, a między innymi z jej trudu wyrosła Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska — wolna i demokratyczna”.

Zarówno historia KPN, Solidarności Walczącej, jak i proces transformacji ustrojowej Polski czeka na rzetelne i pogłębione opracowania badaczy. Do tej pory, po 45 latach od powstania konfederacji, ukazała się dopiero jedna monografia dotycząca syntetycznego ujęcia jej historii. Pozycja dr Grzegorza Wołka z IPN, bo o niej mowa, jest na tyle świeża, że nie doczekała się jeszcze recenzji czytelników, choć pierwsze oceny historyków są pozytywne. Dziwi jednak fakt nie podjęcia przez tyle lat możliwości uzyskania relacji lub konsultacji z żyjącym jeszcze twórcą tej partii - Leszkiem Moczulskim. Autor celowo chciał uniknąć subiektywizmu interlokutora pozbawiając się jednocześnie uzyskania tak wielu cennych informacji z pierwszej ręki. Wiele jest bowiem wokół tych zagadnień przekłamań i zwykłych uprzedzeń nagromadzonych przez lata przez brak rzetelnej analizy źródeł. Niemniej jednak cenne jest, że nowe książki powstają, a wraz z dostępem do coraz nowych informacji i źródeł przybliżamy się do poznania prawdy o minionych wydarzeniach historii najnowszej. Czasami, pod wpływem doświadczenia, ewoluują poglądy samych ich autorów. Niewątpliwym jest, że zasługi ludzi działających w organizacjach dla wywalczenia niepodległości w ciężkich czasach PRL są bardzo znaczące i warte upamiętnienia. Temat jest ważny i zasługuje na obiektywną ocenę. Dobrze też się stało, że uchwała sejmowa z 13 września br ujrzała światło dzienne. Jednak nie wzięcie udziału większości posłów PiS w tym głosowaniu i związane z tym kontrowersje jeszcze bardziej wskazują na potrzebę upowszechnienia rzetelnej wiedzy historycznej i dyskursu politycznego.